







W POGONI.

HAJOTA

W POGONI.

POWIEŚĆ.

INSTYTUT
ADAM MICKIEWICZ PAM

Biblioteka
ul. Nowy Świat Nr 72
00-700 Warszawa

Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42



WARSZAWA
NAKLAD I Druk TOW. AKC. S. ORGELBRANDA S-ÓW
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI E. WENDE I S-KA.

1907.



1048

CZĘŚĆ PIERWSZA.

I.

Wechodziła w bramę ogrodu Saskiego od ulicy Niecałej, gdy za sobą tuż obok swego ramienia usłyszała niski, nieco zdyszany głos męski:

— Pan! Pani Ala!.. Już w Warszawie?

Odwróciła się szybko, masnąwszy nieledwie w tem poruszeniu jasnemi, jak blade złoto włosami chudą, długą twarz Michała Czerezy, który znalazł się teraz przed nią tak blisko, że musiała cofnąć się o krok, podając mu rękę.

— Tak. Przyjechałam w sobotę.

— A dziś środa! Niedarmo od czterech dni pachniało mi w powietrzu...

Drobną, delikatną ręką, starannie opiętą w białą rękawiczkę, uczyniła geściek, zdający się mówić, że do słów tych nie przywiązuje żadnej wagi; ale jej śliczne, świeże usta nie przestawały się uśmiechać.

Wogóle było w niej coś tak promiennego i szczęśliwego, że wyglądała, jak wcielenie uśmiechu życia.

— Róż teraz dużo na ulicach — rzekła nie co przekornie. — Sama spotkałam ze sześć kwiaterek.

— Właśnie... Pachniały mi różel

— Proszę włożyć kapelusz.

— Panią drażni moja łysina? To dziś modne. Nagie dusze, nagie głowy. Dokąd pani idzie?

— Do matki Adama.

— Przeprowadzę panią. Można?

Skręcili na lewo i zwolna zaczęli okrążać staw pod cieniem zleka już czerwienią i złotem pocentkowanych drzew.

Dzień był upalny, nadzwyczaj słoneczny; niebo mocno błękitne, jak się to często zdarza w pięknym początkach września.

Staw migotał środkiem, mając dokoła niby obręcz złotawą z natrzęsionych już obficie liści.

Na ławkach siedziały niańki z dziećmi; po drugiej stronie stawu ciągnęła chodnikiem prowadzona na spacer „parami“ pensja — wąż niepokalanie świeżych, granatowych wstążek u kapeluszy — tu i tam ostrą szafirową barwą występował na tle zieleni nowy uczniowski mundurek; a i dorośli przechodnie z inteligencji mieli w twarzach, ruchach, ubiorze jakiś powakacyjny nastrój: mieszanię pozostałości wsi, wód, podróży i jakby opornego wchodzenia w codzienne ramy.

Czereza postępując w milezeniu obok swojej towarzyszki, zatapiał w niej oczy z głodną chci-

wością człowieka, zatapiającego zęby w dawno nie widzianym kęsie chleba.

Czynił to zupełnie jawnie, a wazkie jego usta, równo, jak nożem rozcięte, pod rzadkim, czarnym wąsem drgały mu i krzywiły się wyrazem dziwnej, gorzkiej, niby z samej siebie drwiącej namiętności.

Młoda kobieta, ze swojej strony zdawała się tego nie widzieć, lub raczej uważać to za rzecz naturalną, z którą oddawna była oswojona.

Szła z wielką swobodą, zwracając ku niemu co chwila swą białą, radosną twarz o dużych, osobliwego blasku oczach.

Osobliwego tem, iż będąc tak silnym, że gasił samą barwę oczu i czynił ją niepochwytą, nie był przecież ani palącym, ani niespokojnym; nie rzucał owych demonicznych iskier, które takim mocno błyszczącym oczom nadają niebezpieczne podobieństwo do wybuchowych żużli; lecz wydawał się raczej ożywezą, kryształową światłością, jaką w rozpadlinach skał jaśnieją pod słońce czyste, górskie źródła.

Dwa najrzadsze na tym świecie zjawiska: dobroć i szczęście zdawały się być zaklęte w tę parę oczu kobiecych, patrzących życzliwie w nerwową, posępną twarz Czerezy.

On za to, nie wydawał się ani dobrym, ani szczęśliwym.

Pomimo wielkiej bladeści i chudości nie sprawiał jednak wrażenia zdechlaka.

Miał na to za dużo charakteru w spiczastych, wyciągniętych rysach i ostro zakreślonych czarnych brwiach, które często podnosiły się i zbiegały

tworząc na czole dziwaczną brózdę w kształcie otwartego kwadratu.

W ruchach jego przebijała się też znaczna siła maskularna i nerwowa.

Wogóle był brzydki; tą brzydota trochę tajemniczą i szorstką, która tak silnie czasem pociąga niedojrzałe dziewczęta i przejrzałe histeryczki.

— Siądźmy tu trochę—rzekł nagle.—Niech mi pani daruje pół godziny szczęścia. Taką magnatkę stać przecie na to.

Ręką wskazywał objęte ławkami wgłębienie w murawie, dotykające barjery stawu.

Zawahała się nieznacznie.

— Dobrze. Ale czemu pan w rozmowie ze mną tak zawsze szafuje wyrazami?

— Niezem nie szafuję—odpowiedział sucho.— Nazywam rzeczy po imieniu.

Usiedli.

Ławki były puste; tylko naprzeciwko przy barjerze siedział sam jeden młody student w pierwszorocznej czapce i, zgarbiony trochę, z rękoma na piersiach skrzyżowanymi, patrzył w głębokiej zadumie na wodę.

Dwa łabędzie podплыnęły blisko i także zdawały mu się przyglądać z wielkiem zajęciem.

— Z całego ogrodu Saskiego, to jedynie możliwe miejsce—przemówił po chwili mileżenia Czercha.— Dażo powietrza i stosunkowo mało ludzi. Pamięta pani tę wiosnę, tę ogromnie dawną wiosnę, kiedy przychodziliśmy tu często: pani z matką i siostrą, Roman i ja. On już nie żyje...

— Biedny pan Roman!—westchnęła młoda ko-

bieta. — Ale to przecież nie tak ogromnie dawno. Pięć lat dopiero. — Mnie się to wydaje tak, jakby wczoraj...

Czereza zaśmiał się.

— Czy nie miałem słuszności nazywać panią magnatką szczęścia? Żałuje pani tych, którzy się już ukłonili życiu; a pięć lat nie zaciężyło na pani bardziej, niż—listek róży! Pięć lat!.. Ha! ha! To się tak krótko wymawia... Ha! ha!

— Ja też nie zaprzeczam, że jestem bardzo, nadzwyczajnie szczęśliwą—odpowiedziała z prostotą—że zawsze nią byłam. Owszem, gdy widzę dookoła siebie tyle niedoli i łez i pomyślę, że dotychczas tylko nad cudzemi cierpieniami płakałam, doznaję takiego uczucia, jak gdybym brała więcej, niż mi było wyznaczone; jak gdybym bezwiednie czyjaś cząstkę sobie przywłaszczyła...

— Może moją? — poddał Czereza takim głosem, że trudno było zgadnąć, czy drwi, czy mówi z przekonania.

— Pana? Wątpię. Ale chyba na pewno mojej własnej siostry. Ach! jaka ona nieszczęśliwa ta Klama! Śmierć pana Romana zgnębiła ją zupełnie. Bo też!.. Na dzień przed ślubem stracić narzeczonego; i to w taki tragiczny sposób. Wie pan? Ona wciąż rozpacza...

— Pociesz się jeszcze—odparł Czereza twarde. — Śmierć jest najłagodniejszą formą utraty... kogoś kochanego!

Spojrzała na niego ze zdumieniem, zgorziona niemal.

— Och! Jak można tak mówić!..—panie Mi-

chalet.. Przez śmierć traci się na zawsze... niepowrotnie!

— Właśnie. Ta niepowrotność, taka napozór okrutna, cudownie z czasem koi... Jad zamienia się w balsam. Bo widzi pani—można przez całe życie patrzeć na swoją stratę, będącą w zakresie możebności ludzkiej do odzyskania—i wiedzieć, i mówić sobie, że się jej nie odzyska nigdy; a swoją drogą ta możebność będzie świdrować w duszy, jak robak w drzewie... To jest dopiero męka... Ale pani się na tem nie rozumie... Ludziom szczęśliwym brak zawsze połowy pojęć; jak tym, którzy nigdy na chleb nie pracowali.

Mówił głosem rwanym, syczącym, który w dziwny sposób gorycz słów potęgował.

Dobre, szczęśliwe oczy jasnowłosej kobiety patrzyły znowu na niego, ale teraz już bez zgorzienia; ze smutkiem tylko i bardzo słodko.

— Czemu pan dziś taki... nad miarę?—zapytała po chwili.

— Czemu? czemu? Alboż ja wiem? Może temu, że przez trzy miesiące na panią nie patrzył; albo temu, że już miałem cztery godziny na czterech żeńskich pensjach, a jutro daję sobie plombować ząb. Zresztą—pani wie—jestem historykiem. Cdybym pisał monografie słowików i motyli, a chociażby sępów i skorpionów, może kiedy niekiedy jaka kropla miodu spadłaby mi z języka. Ale ja miałem złą skłonność do badania dziejów ludzi, a specjalnie własnego narodu, a specjalnie gospodarki królewiąt na kresach. To są hurtowne składy piętuna dla każdego dzisiejszego współple-

miennika tych wesołych chłopczyków — upewniam panią.

Zaśmiał się znowu i nerwowo przeciągnął cienkimi palcami po małej, w ostry klin ściętej bródce.

Po raz pierwszy, jakby z wysiłkiem oderwał wzrok od słonecznej twarzy swej towarzyszki i posępnie przed siebie się zapatrzył.

Milezeli czas jakiś oboje.

Zmęczone, podpuchłe nieco oczy Czerezy, wracając ze swej myślowej wędrówki, padły na siedzącego wciąż nieruchomo, zadumanego studenta. Coś w nich błysnęło, jakby nagle zbudzone wspomnienie.

— Ciekawa rzecz, o czem ten myśli? — wyrzekł innym już głosem, zniżonym i powolnym. — Wygląda, jak gdyby tę czapkę po raz pierwszy dzisiaj włożył... Aj! aj! aj! Sacramento! Co się to pod taką pierwszy raz włożoną studencką czapką kotłujel.. Aż mi dziwno, że temu tak spokojnie na głowie siedzi... Pamiętam... ja moją oba rękoma na czuprynie trzymać musiałem, tak ją wichem młodości i zapachu zrywał..! Ha! ha! ha! Miałem wtedy tyle bodaj rojeń pod czaszką, ile włosów na czaszce. A było ich sporo... Z jednych i drugich dziś ani śladu... Znaliśmy się już, pani Alo... Ile pani mogła mieć lat? Ośm? Dziesięć?.. Oho! Wiele rzeczy uchodziło wtedy studentowi, który tak, jakby do rodziny należał... Wolno mi było dawać pani przydomki... Słoneczko!.. Pamięta pani?

Objął ją przeciągłem, dziwnie złagodniałem spojrzeniem.

— Słoneczko... Moje słoneczko!.. — powtórzył ciszej, jakby sam do siebie.

Jakaś marzycielska, tęskna nuta zadrgała w jego twardym, syczącym goryczą głosie. I twarz mu się zmieniła. Przez chwilę był to zupełnie inny człowiek.

— Tak... To było niegdyś... przedawno... Według pani może także wczoraj? — dodał, wracając znowu do zwykłego tonu.

— Nie. Ale onegdaj—odrzekła z uśmiechem.— Czemu to pana gniewa?

— Mnie? Bynajmniej. Nie w pani i od pani nie może mnie gniewać. Jestem tylko po swojemu nieznośny... Pani przez te trzy miesiące odwykła. Co pani na wsi robiła?

— To co zawsze u rodziców. Czytałam sobie w ogrodzie, smażyłam konfitury — będzie je pan jadł zimą—jeździłam z Tadzkiem linijką po polach... Z Tadzkiem taki zawołany gospodarz się zrobił i myśliwy!

— Zawsze to przewidywałam, podczas moich heroicznych walk o jego maturę. Ci zawołani w przyszłości gospodarze i myśliwi, to bywają dla swoich korepetytorów... no! Tylko znowu... zdarza się, że ten i ów ma siostry... Kochany chłopak, ten Tadzio! Jaka szkoda, że po raz drugi nie może zdawać matury!

I znowu coś jakby cień tęsknoty mignęło mu w oczach, chociaż usta krzywiły się drwiąco.

Oparł łokieć o poręcz ławki i siedział tak, cały ku Ali zwrócony, trzymając w zawiniętej dłoni koniec swej spieczastej brody.

W tej postawie, ze swą zmysłową, szyderską twarzą, na tle zieleni, wody i nieba i u boku tej ślicznej kobiety, wyglądającej jak w leśnej rosie wykąpana nimfa, sprawiał wrażenie fauna, ubranego według przepisów bieżącej cywilizacji i dotkniętego melancholją.

— Cóż dalej? Niech pani mówi dalej. Słodką jest rzeczą słuchoać głosu pani!

— Dalej! Chodziłam trochę po wsi...

— Haum! Rozumiem. Idyla skrofalicznych dzieciaków i zreumatyzmowanych bab... Kmiotkowie... chatki.. Nigdy nie byłem chłopomanem. Dziwna rzecz, że pani dotąd jakim tyfusem lub szkarlatyną nie przypłaciła swej leczniczej manji. Bo i te tutejsze ambulatorja także są pani potrzebne...

— Adam nie ma nic przeciwko temu — odrzekła trochę sztywno.

Szczególny jakiś błysk zapłonął i zgasł natychmiast w zmęczonych źrenicach Czerezy.

— Ochl Adam!.. Adam!.. Od tego jest powieściopisarzem, żeby się lubował w efektach.

— Więc ja to robię na efekt?

— Nie; ale to swoją drogą jest efektowne. Zresztą, nie o to chodzi. Wiem, że gdyby pani była moją...

Zawiesił głos.

— Miejsza o nazwę... Gdyby to odemnie zależało, nie pozwoliłbym pani nigdy mieszać się w nieswoje rzeczy i narażać na niebezpieczeństwa.

Ala rozśmiała się.

— Jak to dobrze, że to od pana nie zależy.

Rzuciła mu wesołe spojrzenie, ale wyraz jego twarzy był tak chmurny, że poważniej już rzekła:

— Więc, panie Michale, według pana, jeżeli kobieta pielęgnuje chorych i do biedaków zagląda, to się miesza w nieswoje rzeczy? Przecież to najszczytniejsza...

Czereza syknął i poruszył się niecierpliwie.

— Pani Alo, pani jest natura taka prosta i jasna. Po co ta deklamacja? Niech pani to zostawi...

Przygryzł usta, jak gdyby wstrzymując niepotrzebny wyraz, i mówił dalej:

— ... innym. Pani powinna rozumieć, co ja mam na myśli, a jeśli nie, no, to się wytłómaczę. Widzi pani:—Kapusta jest od tego, żeby ją szatkować i jeść, a róża jest od tego, żeby na nią patrzeć i zapachem jej się poić; chociaż obie mają jednakowy układ liści. Ja zaś powiadam: Nie wpadajmy w błąd szatkowania róż na kapustę.

Młoda kobieta przechyliła na bok swą złocistą głowę i poczęła nią zlekka kiwać. Nie było nie zalotności w tym ruchu; ale było za to niesłychanie wiele wdzięku.

— Oj, panie Michale! Pan mi zarzuca deklamację, a czy to jest prosty sposób mówienia?

— Nie; ale nie razi, bo jak wszystko, co złe i brzydkie, jest u mnie na miejscu... Tymczasem pani —

Długą chwilę patrzył na nią w taki sposób, jak gdyby oczyma rysował jej postać w najdrobniejszych szczegółach, podczas gdy ona z niezmaconą swobodą znosiła ten przegląd, chwytając wciąż

głową, z rodzajem żartobliwego politowania, i mówił dalej:

— Pani zupełnie nie zdaje sobie sprawy ze swojej właściwej wartości i ze swego właściwego posłannictwa na tym świecie... Tak; i nie tylko pani, ale... i inni... Przestrzykiwać żebrackie wrzody karbolem potrafi każda poczciwa Pastranna. Niech pani im to zostawi. Tak, pani Alo. Pani ma o wiele rzadsze i trudniejsze zadanie do spełnienia. Ród ludzki tak szpetnieje pod każdym względem, a pani jest tak skończenie piękną, skończenie harmonijną, skończenie czystą, że pani nie ma prawa szafować sobą; panią trzeba chronić, strzedz, jak zesłanego na ziemię objawu doskonałości ku krzepieniu serc. Pani samym swoim widokiem może uzdrowić nie jedną chorą duszę, a przynajmniej sprawić jej znakomitą ulgę. Pani działa, jak muzyka, jak poezja, jak słońce; i nie potrzebuje pani nic ku temu robić, tylko po prostu żyć. Nie dodawać, nie ujmować, nie psuć, nie poprawiać... być sobą... taką, jaką pani jest w tej chwili.

Rzeczywiście była prześliczną w tej chwili.

Padł na nią, jakby odbłask gorących słów Czerezy i nadał jej ten nieuchwytny czar, jaki otacza kobietę bardzo głęboko kochaną i wielbioną, która wie o tem, ale się tem nie chełpi.

Zaróżowiła się; prześliczny uśmiech cichego rozradowania wygiął słodką linię jej ust; w świetlanych oczach zajaśniał wyraz wdzięcznej serdeczności.

— Dobry pan Michał—wyrzekła ciepło.—On jest zawsze jednakowo zaślepiony we mnie. — Dziękuję.

Poufałym, pieścizotliwym niemal ruchem dobrej siostry położyła dłoń na rękę Czerezy.

On drgnął z lekka i przymknął na chwilę oczy, zaciskając swe wążkie, blade usta.

Obejrzał się, a widząc, że prócz zadumanego studenta, niema w pobliżu nikogo, pochylił głowę i zlekka same koniuszeczki drobnych paleców Ali ucałował.

Poczem delikatnie, jak gdyby to było cenne, filigranowe cacko, złożył tę malutką rączkę na kolanach młodej kobiety.

— To ja dziękuję — rzekł zmienionym znowu głosem. — Dziś byłem tak usposobiony, że na pewno wieczorem byłbym zrobił jakie łajdactwo. Teraz go już nie zrobię. To pani sprawa. Aj! aj! aj! Sacramento! Czego bym ja nie dokazał, gdyby pani tak była przy mnie zawsze... Ja się tylko dziwię, że Adam do tej pory nie poruszył z posiadziemi... Ja bym przynajmniej próbował, gdybym był na jego miejscu. Ale i za to, że mnie pani od czasu do czasu... ocala, Bóg zapłać.

Zwykłym mu, nerwowym ruchem przeciągnął palcami po brodzie, i znów ją w dłoń ująwszy — mówił dalej:

— Ja to pani mówię jeden... bo tak się już utarło... ale co pani może wiedzieć, na ilu moralnych nędzarzy masz taki sam błogostawiony wpływ? Więc powtarzam: zostań sobą... strzeż swego piękna... jak bezcennego skarbu. To pani społeczny obowiązek. Pani, na przykład, nie powinna się zestarzeć, zbrzydnąć... tego pani nie wolno.

— Mam zatem umrzeć młodo? — zapytała na wpół serjo.

— Co znowu! Powinna pani zwyciężyć starość. Jest to nawet przywilejem takich, jak pani kobiet. Pani starą i brzydką? Sacramento! Nigdy bym tego doczekać nie chciał.

— To już wiem, co zrobię. Gdy zobaczę, że nie ma rady, że brzydnię i starzeję, zacznę się ubierać niebiesko.

— A to znowu dlaczego?

— Jakto? zapomniał pan? A ta cyganka, która mi wróżyła u nas na wsi, tego lata, kiedy pierwszą, długą suknię włożyłam?

— Tak, przypominam coś sobie — mruknął niechętnie.

— A widzi pan. Przepowiedziała mi przecież, że umrę w kolorze błękitnym, i że ten kolor wogóle przyniesie mi nieszczęście.

— Co za nedorzecznosc! — rzekł Czereza szorstko.

— Zapewne. Ale ja jestem trochę przesadną. Czy pan nie uważał, że ja od tej pory nigdy nie błękitnego na sobie nie miałam? Nie... nie... Ani na sobie, ani dokoła siebie, o ile się dało... W całym naszym domu jedyną błękitnością są —

Przerwała sobie, i ciszej, z oddźwiękiem bezmiernej tkliwości dokończyła:

— ... Oczy Adama!

Ten sam dziwny błysk mignął znowu w posępnych źrenicach Czerezy.

— Widzi mi się — rzekł sycejąco — że gdyby

Adam był cały z lapis lazuli, to taki pani poszłaby za niego na pohybel wszelkim wróżbom.

Milczała.

Odwrociła głowę i patrzyła na łabędzie, które, znudzone przypatrywaniem się studentowi, przepłynęły teraz ku ich ławce.

Czereza z ukosa śledził wyraz twarzy Ali. Im więcej w niej czytał miłostnego rozmarzenia, tem ostrzejszemi stawały się jego rysy. Przykry uśmiech drwiącej goryczy wykrzywił mu usta.

Nagle pochylił się, podjął kamyk z ziemi i z rozmachem cisnął go po za plecami Ali pomiędzy łabędzie, aż woda trysnęła w górę.

— Czemu pan je płoszy?

— Nie cierpię tych ptaków; a ta głupia legenda, o ich przedśmiertnym śpiewie do reszty mi je obrzydza. Gęsi w aureoli słowików... Czy może być coś wstrętniejszego?—Gdzie jest teraz Adam?—zapytał bez żadnego przejścia.

Młoda kobieta zwróciła się znów ku niemu i zaczęła się śmiać.

— Czy pan uwierzy, że nie wiem?

— Jakto?

— Doprawdy. Pan pamięta, że Adam miał w tym roku na dłużej wyjechać zagranicę?

— Jakżeżby! Całą zimę o tem tylko mówił.

— Jemu to było ze wszelkich względów potrzebne... dla zdrowia, dla wrażeń, dla jego twórczości. On tak nawykł do tych podróży, dalekich, egzotycznych; a odkąd się ożenił, raz tylko wyjeżdżał gdzieś dalej, ale i to... ze mną.

— Pani to uważa za okoliczność obciążającą?—zapytał Czereza.

Zaśmiała się znowu.

— Nie. Wiem przecie, jak mnie Adam kocha... O! nie! To był jeden rajski sen ta nasza podróż poślubna... Ale już wychodząc za Adama, zrozumiałam doskonale, że żona wyjątkowego człowieka nie może stosować do niego miary przeciętnych dobrych mężów... Strojąc się w jego sławę, musi też i sama dla niej coś uczynić... Choćby jakąś ofiarę z siebie... Pisarz, artysta, potrzebuje czasem zupełnej swobody, zmiany...

— Żony?—zapytał Czereza naiwnie.

— Panie Michale! Proszę nie być tak dowcipnym. Zresztą pan to pojmuje równie dobrze, jak ja. Adam jest niewypowiedzianie dobry, delikatny...

— Kto by z panią potrafił być złym! Pani samego djabła przemaalowała by w końcu na biało.

Nie zważając na przerwę—mówiła dalej:

— Ale przez całą tę zimę był szalenie zde nerwowany. Męczyła go ta powieść, którą pisał prawie z numeru na numer... Był z niej nie kontent... nieraz chciał wszystko rzucić w ogień... Ja jedna tylko wiem, jak go wyczerpuje ta praca twórcza, o której ludzie myślą, że ma tak lekko przychodzi... Teraz ma jakieś nowe, szerokie plany... Sama go namawiałam, żeby wyjechał...

— Doprawdy? Nigdy bym nie odgadł, że potrzebował namowy w tym kierunku.

— Pan się z nim często widywał, kiedy on tu został sam bezemnie w Warszawie?

— Nie; rzadko. Zaszedł do mnie w przed-

dzień swego wyjazdu do Kłonic. Mówił, że zostanie na wsi do sierpnia, a potem—w świat. Wydał mi się ogromnie podniecony, ożywiony. Dawno go takim nie pamiętam.

— Prawda? — zawołała ucieszona. — I takim samym był na wsi. Ochl on umiel.. Wszystkich po prostu czarował.. rozruszał mamę, ojca; nawet ta biedna Klima zapominała chwilami o swoim nieszczęściu, słuchając go, jak mówił.. Mieliśmy przedudnych parę tygodni... Mój najukochańszy, złoty, genialny Adam!..

Mimowolnym ruchem spłótła ręce i podniosła w górę swe nadzwyczajne, całe w djamentowych iskrach oczy.

Wyglądała w tej chwili, jak wymarzony wzor do obrazu, przedstawiającego czcicielkę niewidzialnego bóstwa.

Czereza gryzł wargi.

— To wszystko nie objaśnia mnie jeszcze, jakim sposobem pani może nie wiedzieć, gdzie on się teraz znajduje. A mam nawet do niego interes. Zaś zwięzły adres: „Adam Oldaniecki w Europie,“ wątpię czyby wystarczył, pomimo całej jego sławy i przekładów jego powieści na wszystkie cywilizowane języki.

Zdawała się nie słyszeć tych słów, drgających hamowaną, głuchą niechęcią, myślą gdzieś daleko odbiegłszy.

Zwolna promiennosc jej twarzy przygasła, powlekając się cieniem tęsknoty.

— Gdzie on się teraz znajduje?— powtórzyła cicho—gdzie on się teraz znajduje?

Zwróciła się nagle ku Czerzy.

— Tak... to się może trochę dziwnem wydawać ale ja — naprawdę nie wiem, panie Michale. Adam z Klonic pojechał do Szwajcjarji, pod Lucernę. Bawił tam ze trzy tygodnie... pisywał do mnie bardzo często... a teraz... przed kilku dniami miałam od niego list... z drogi w wagonie pisany... Otóż w tym liście — —

— Cóż w tym liście?

— Prosi, żebym się nie martwiła i nie zatrzymała, jeżeli przez dłuższy czas żadnych wiadomości mieć nie będę... Chce oderwać się od wszystkiego, przestawać tylko sam z sobą... z naturą. Będzie odbywał piesze wędrówki... sam nie wie jeszcze gdzie... może po Włoszech... może po Hiszpanji... tłumaczy mi się, że jest w takim wyjątkowym nastroju... że mu to potrzebne... Ja to przecież rozumiem... Niech się pan tak dziwnie na mnie nie patrzy... To mi sprawia przykrość.

— To nie to sprawia pani przykrość — odpowiedział Czerza zwolna.

— Myśli pan, że ta Adama — zawahała się w doborze określenia.

— Autorska robinsonjada — poddał Czerza tym szczegółnym głosem, który zdradzał jakąś ukrytą myśl.

— Nazwijmy to tak... O! weale nie! Znadto go kocham, żeby to, co jemu dogadza, co on za dobre dla siebie uważa, sprawiało mi przykrość. Boże mnie strzeż od takiego samolubstwa... Toż on jest mój... mój na całe życie... daje mi tyle szczęścia! Cóż znaczy kilka tygodni, jeżeli to ma

mu pomódz do stworzenia jakiego arcydzieła?.. Przecież swoje „Zarzewia,“ te „Zarzewia,“ które go sławnym uczyniły, napisał, żyjąc, jak pustelnik, w jakiejś wiosce normandzkiej. Może i teraz... Cóż znaczy kilka tygodni! Mój Boże! Jabym mu się na zawsze usunęła z życia, gdybym wiedziała, że tego wymaga jego szczęście, jego sława!.. Pan powie, że mi to łatwo mówić, bo jestem pewna jego miłości i to się nigdy stać nie może... ale, naprawdę, naprawdę, zastanawiałam się nad tem nieraz i wiem... czuję, żebym to zrobiła!

— S a c r a m e n t o ! — mruknął Czereza— można się wściec!

— A co teraz — mówiła dalej — to najwyżej mogłabym się niepokoić o niego. Ale on i temu postarał się zapobiedz... Dał mi najuroczystsze słowo w tym liście — a ja bezgranicznie ufam słowu Adama—że gdyby, Boże broń, zachorował, lub coś się stało, natychmiast mi przyśle depeszę. Będę więc sobie mówiła codziennie: żadnych nowin, dobre nowiny; i tak to jakoś przejdzie.

Uśmiechała się, zwalczając bezwiedny smutek, przebijający wskroś tych pogodnych słów.

— A gdyby pani, Boże broń, zachorowała, gdyby się z panią co stało? — rzekł Czereza sucho—jakże będzie wtedy?

— Ze mną?—powtórzyła, zaskoczona tą stroną położenia, której widocznie dotąd nie brała pod uwagę.—Dlaczego ze mną ma się co stać?

— Zapewne. Niema po temu żadnej słusznej przyczyny. Proszę wybaczyć głupotę zapytania.

Nastąpiła chwila przykrego mileżenia.

Czereze zsunął brwi, i, z czołem, przeciętem ową dziwaczną brózdą, wbił oczy w ziemię; Ala zapatrzyła się na szarzejącą w błękitnym powietrzu okrągłą masę zbiornika, przygniatającego swym niezgrabnym ciężarem wzgórze po drugiej stronie stawu.

— Czemu mi pan dokucza?—zapytała wreszcie, odwracając się ku niemu z porywcznością rozżalonego dziecka—czemu mi pan chce psuć szczęście? To brzydko, panie Michale! Gdzież ten mój dobry wpływ na pana, o którym pan zawsze mówi? Pan zamiast lepszym, gorszym się przy mnie staje. Jeśli tak dalej pójdzie, będziemy musieli przestać widywać się.

Nie odpowiadał; usta mu tylko drgały a bróзда na czole pod zmiętymi kresami kapelusza pogłębiła się bardziej.

— A jako przyjaciel Adama—ciągnęła dalej. Podniósł szybko głowę.

— Droga pani: może mnie pani nazwać skończonym łotrem, będę mileżał; ale zastrzegam się przeciw tytułowi przyjaciela Adama, czy kogo bądź.

— Więc i mojego?

— I pani także. Niema rzeczy, której bym dla pani nie zrobił; w kawałki bym się własnoręcznie pokrajał, gdyby mi pani kazała, ale przyjacielem pani nie jestem. Z Adamem my krewni, koledzy, mieszkaliśmy razem za czasów uniwersyteckich, kochaliśmy się w jednej kobiecie z niejednakowym skutkiem—kto wie, jeśliby zaszła potrzeba, jeśli bym sobie logicznie wyrozumował, że z niego większy pożytek na świecie, niż ze mnie—(ale bym ko-

niecznie do takiego przekonania dojść musiał), to może i życie bym za niego oddał, to jednak nieczego nie dowodzi. Przyjaźń jest przelaniem własnej duszy w drugą; a ja moją zawsze na mój wyłączny użytek zachowywałem... Com marzył, kim byłem, co życie ze mnie zrobiło, wiem tylko ja sam... Jeślim cierpiał, nikogom do picia łez ze mną nie zapraszał, a na radowanie się społem sposobności nie było! Zresztą nie wierzę w przyjaźń, jak nie wierzę w mitologję... to jest bardzo piękny abstrakt, z którego ludzie zrobili sobie parawan dla swoich podstępnych i wyrachowanych stosunków.

Mówił szorstko, zjadliwie, a ona słuchała, nie przerywając, jak gdyby instynktem kobiecym czuła, że mu to wyładowywanie goryczy, której musiało być pełno w tej, tak zazdrośnie strzeżonej, duszy sprawia jakąś ulgę.

— Biedny pan Michał—szepnęła, patrząc znowu na niego z łagodną życzliwością.

Syknął jak urażony w bolączkę.

— Otóż jest! Teraz zacznij się pani nademną litować. I to sobie także wypraszam. Nie jestem weale biedny, tylko — jak to już niejednokrotnie miałem zaszczyt pani oświadczyć — nazywam rzeczy po imieniu. Ale dajmy pokój mojej osobie. Więc pani wróciła do Warszawy na słomiane wdowieństwo? To ślicznie. Pozwoli pani odwiedzać się często; pozwoli pani?

Z pod nabrzęklých nieco, wydłużonych powiek spoglądał na nią prawie błagalnie, co jego ostrym, szyderskim rysom nadawało jakby cudzy wyraz.

Jasnym było, że patrzenie takie nie jest powszechnym chlebem tego człowieka.

— Często... w każdej porze... choćby codzień... Ja tego nie nadużyję, ale niech wiem, że mi to wolno... Niech mnie pani uważa za domowy sprzęt, z którym się nie robi ceremonji, ale do którego się przywykło... Pani to nie zaszkodzi... a mnie... Przyjdę, posiedzę, popatrzę, pomyślę trochę i pójdę sobie... W tym domu... ja panią nigdy samą w tym domu nie widywałem... Aj! aj! aj! Sa cr a m e n t o ! Pozwoli pani? Ostatni idjota ze mnie... Pozwoli pani?

Mówił z przestankami, z dziwną mieszaniną wzruszenia, prośby i jakby przeciw tym uczuciom burzącej się złości.

Młoda kobieta spuściła oczy.

— Pozwoliłabym — rzekła po chwili spokojnie, — tylko, że ja znowu wyjeżdżam.

Czereza rzucił się na ławecę.

— Wyjeżdża pani! dokąd?

— Do Meranu.

— A pani na co Meran?

— Mnie na nic. Ale matka Adama potrzebuje winogronowej kuracji. Jadę z nią.

— Kiedy?

— Za jaki tydzień! Mam już pasport gotowy, wszystko. Czekamy tylko...

— Na tuzin nowych sukien ciotki Oldanieckiej — rzekł Czereza sykliwie. — Biedaczka! Ona zawsze tak sobie niszczy szaty, rozdzierając je nad memi losami.

Zamiast odpowiedzi, Ala spojrzała na maleń-

ki, secesyjny zegarek z pękiem breloków, u oksydowanego paska wiszący.

— Ach, mój Boże! Wpół do drugiej! Miałam już tam być przed godziną.

Wstała szybko z ławki, zbierając długie fałdy jasnej, fularowej sukni.

Czereza nie próbował zatrzymać jej. Podniósł się także w milczeniu i szedł obok niej spochmurniały, ze zwieszoną głową, z ustami tak zaciśniętymi, że ich wcale z pod wąsów nie było widać.

Błada twarz jego, po której przed chwilą, gdy prosił Ali, by mu pozwoliła przychodzić do siebie, przelatywały płomienie, zastygła raptem.

Są natury napiętnowane nadmierną wrażliwością, jak kłatwą. Życie szybko czyni z nich zgliszczę, ciągle tlejące zgliszczę; i równie łatwo tam o iskry, jak o popiół.

Jedną z takich natur był Czereza.

— Oti i znowu psztyczek w nos od losu — zaczął przez zęby, jakby sam do siebie. — Przez chwilę jużem się widział wydeptującym codzień Żórawią ulicę. Laby świat jeszcze nie ściągnął do miasta... natrętów by nie było... przynosiłbym pani różę, potem chryzantemy... a właśnie całe to lato trawiła mnie chęć: — módz nosić kwiaty kobiecie... Pani dałaby mi czarnej kawy... i tam, w salonie jest taki kącik, gdzie, zawsze myślałem: jakby to dobrze było siedzieć w nim z panią... we dwoje... o szarej godzinie... i nic nie mówić. Oti, był mój miraż! Ha! ha! ha!.. Ten wezorajszy gimnazysta, któregośmy tam na ławce widzieli, już by na tem

niepoprzestał.. A ja bym poprzestał... dureń taki!.. To byłyby moje wakacje... moje lato.. A pani jeszcze powiada: „Pozwoliłabym.“ Ha! ha! ha! śmiać mi się chce. „Pozwoliłabym — ale wyjeżdżam.“ No—i po wszystkim! Dlaczego? Kto by na tem co stracił?.. Ha! ciotka Oldaniecka nie może jeść bez pani winogron... Nie mam szczęścia do rodziny Oldanieckich!

— Panie Michale—przerwała Ala łagodnie.

— Ma pani słuszość. Trzeba mnie przyprowadzić do porządku. Jeszcze chwila, a kazałaby mi pani iść precz. Oszczędzę pani trudu. Pożegnaj się panią.

Przystanął i, zdjawszy kapelusz, klaniał się, unikając jej wzroku.

Śpiczasta nieco, obnażona czaszka, po bokach tylko i z tyłu ciemnym, twardym włosem porośła, szpeciła go, dodając wiele charakteru całej powierzchowności.

Tłumiony sentymentalizm i zjadliwy sarkazm, wrodzona wytworność ruchów i linii przy wyraźnym braku dbałości o swój wygląd, ślady przedwczesnie zniszczonej młodości, a zarazem ciągły bunt, ciągłe wewnętrzne szarpanie się jakichś niezżytych zasobów żywotnych, wszystko to z nagłą siłą uwydatniło się w nim, gdy tak stał z odkrytą głową, czekając, by Ala podała mu rękę na rozstanie.

Ale jej żal go się zrobiło.

— Rzuce mnie pan na środku ogrodu? To weale nie po rycersku. Za karę proszę iść ze mną aż na Hożą.

— Ochłap zgłodniałemu psu, aby dłużej zdychał — mruknął, ale włożył kapelusz i szedł dalej, bynajmniej nie ułagodzony.

Dla przeciętnego oka była z nich wielec niedobrana para: Ona śliczna, delikatna, o linjach pieszczonych i falistych, ze swą słoneczną twarzą i szczęśliwemi oczyma dobrego dziecka; elegancka w każdym drobiazgu gustownego, świeżego stroju; on chudy, kanciasty, ponury, w źle noszonym musztardowym garniturze, który musiał być niejednokrotnie na deszczu, lecz ani razu potem u krawca.

Malarz jednak byłby nimi zachwycony.

Dawali nastrój. Tkwił w nich wspólny zasadniczy ton, który przepuszczony przez ich fizyczne indywidualności, tak sobie na pozór przeciwne, tworzył pyszną, artystyczną całość!

A była w tem i duchowa, dla bystrego tylko psychologa widzialna wskazówka, że gdyby nie jakieś coś, jakiś brakujący czy zbyticzny kawałek w łamigłówee życia, której los nie umiał, czy nie chciał zestawić, to tym dwojgu mogło być razem na świecie tak dobrze, jak tu tylko być może.

Zapewne Czereza miał świadomość tego i to musiało go rozgoryczać tem bardziej.

Bezwiednie jednak, idąc obok Ali, przysuwał się tak blisko, że lekkie falbany jej sukni ocierały się o szorstki materiał jego odzieży.

Te prawie niedostrzegalne zetknięcia zdawały się oddziaływać na niego kojąco.

Zaczął rzucać ukradkowe, coraz dłuższe spojrzenia na swą towarzyszkę i, w miarę tego, twarz stawała mu się mniej chmurną.

W ten sposób zbliżali się do bramy, przez którą widać było długą perspektywę Marszałkowskiej ulicy, zaćmioną sylwetami dorożek, tramwajów i przechodniów.

Dwóch młodych mężczyzn, mijając ich, przystanęło mimowolnie; oglądali się z widocznym zachwytem za śliczną kobietą.

Czereza spostrzegł to i sposepniał znowu.

— Bydło!—syknął przez zęby.

— Panie Michale! — napominała go Ala ponownie.

— Powiedziałem, że mnie pani w końcu przepędzi. A przecież powinna się już pani była przyzwyczaić do mojej nędzy... Cóż robić; jestem zazdrosny o panią, a raczej o wszystkich, o wszystko, choćby o spojrzenia takich ulicznych kretynów, co się na pani śmiać zatrzymać. Na to już nikt nie poradzi.

— Nie ma pan do tego żadnego prawa — odrzekła z pewną surowością Ala.

— A pani nie wie, że najwścieklesza jest ta zazdrość, która nie ma żadnego prawa?

Weszli w ulicę i zamilkli, ogarnięci turkotem, wrzawą i miganiem gęsto snujących się po chodnikach postaci.

— Ciekawa rzecz—zaczął po pewnym czasie Czereza—czy pani umiałaby być zazdrosną?

Młoda kobieta mimowolnie drgnęła i spojrzała na niego zdziwiona.

— Ja? O Adama? — rzekła takim tonem, jak gdyby nagle ukazywano jej okno, o którym nie pomyślała dotychczas, że przez nie wyjrzeć można.

Uczynił ruch zniecierpliwienia.

— Nie myślałem o Adamie—odpowiedział sucho. — Widzi pani, nie dla wszystkich cały świat obraca się dokoła niego. — Mówiłem wogóle, po akademicku.

— Ja, zazdrosna? — powtórzyła Ala w zamyśleniu, nie zważając na te uszczypliwe słowa. — Dziwna rzecz: nigdy jeszcze nie przyszło mi do głowy zastanowić się nad tem... Ale zdaje mi się, że zazdrość musi powstawać z podejrzenia. A podejrzewać?... nie, nigdy. Podejrzenie to dla mnie coś tak wstrętneho, oślizgłego, jak gad...

Wzdrygnęła się z obrydzeniem.

— Nie! nie! nie potrafiłabym dopuścić do siebie takiej szkarady... A przytem, to taka cudowna rzecz ufać. I takie wielkie szczęście... Chyba wobec jakiejś straszliwej, niezbitej pewności. Zazdrość... zazdrość...

Mimowolnie zwolniła kroku, powtarzając ten wyraz, jakby urzeczona jego niepojętem a przerażającym ją znaczeniem.

Czereza przyglądał jej się okiem badacza, śledzącego jakieś nadzwyczajne zjawiska.

— Tak! tak! — podchwycił — pani jest na to za przejrzystą... To struna z ciemnego metalu... charcząca, jak dławione zwierzę... A dusza pani, jest „jak harfa szklana.“

Głos zmięknął mu dziwnie, gdy te wyrazy wymawiał. Mgła sentymentalizmu przesłoniła ostrość jego rysów i znowu był to momentalnie inny człowiek.

— Jak harfa szklana! — powtórzył zwolna —

Aj! aj! aj! Sacramento! Strach pomyśleć, coby się stało, gdyby tak życie uderzyło całą pięścią w ten kryształowy instrument!

Urwał nagle.

Było to charakterystyczną cechą ich dziwnego ze wszech miar stosunku, stosunku mężczyzny, który kochał, jak szalencie i bez nadziei, i kobiety, która wiedziała o tem, i dla której inny był wszystkim, że ilekroć dłuższą chwilę ze sobą przebywali, wytwarzała się dokoła nich, choćby w najbanalniejszych warunkach atmosfera szczególnej wrażliwości; coś, jakby działanie dalekiej gry na flecie, słuchanej w górach, w bardzo cichy, księżycowy wieczor.

Może to ich rozdarte przeznaczenie nuciło im w ten sposób swą niedokończoną pieśń?

Oboje odczuwali ten nastrój doskonale, choć każde inaczej.

Dla Czerezy była to kąpiel ożyweza, w której duch jego przepelniony goryczą, nurtowany wciąż zwalczaną żądzą, pławił się z rozkoszą; Alę ogarniał zawsze nieokreślony niepokój, smutek prawie.

Dziś, to przypadkowe spotkanie po trzymiesięcznem niewidzeniu, tem intensywniejszymi uczyniło te ich odmienne, wewnętrzne stany.

On, nigdy jeszcze, od czasu jak za mąż poszła, nie mówił jej tak wręcz o swoim kochaniu; ona, nigdy jeszcze nie uczuwała tak jasno, że nie było w tem nic, coby jej jako żonie innego, ubliżyć mogło, i nigdy jeszcze nie miała w sercu tyle poślazania dla tego dziwnego człowieka i tyle rzewności.

I robiło się jej coraz smutniej.

Po jej słonecznej duszy zaczął rozwłóczyć się cień jakiejś nieujętej straty... jakiegoś niepowrotnego rozminięcia się z czemś... z czemś... co mogło być jeszcze piękniejsze, niż jej obecne szczęście...

A wszystko to na tym trywialnym chodniku, wzdłuż, brutalną chęcią zysku tęnących, wystaw sklepowych i wskroś ulicznego ruchu.

To też ostatnie słowa Czerezy, zgłuszone przenikliwym jazgotem tramwajowego dzwonka, zamiast stracić na znaczeniu, padły w tę wysubtelnioną, duchową atmosferę, jak gdyby były wyszeptane w zagłębieniu mrocznej kaplicy, gdzie lada wyraz stać się może czemś zaświatowem i wróżebnem.

On sam się ich zląkł prawie; ona pobladła.

— Jak pan to dziwnie powiedział — rzekła cicho.— Zkąd panu myśl taka?

— Zkąd, że jestem skończony kretyń! — wybuchnął wściekły na siebie. — Niech pani nie zważał

— Bo pan ma naprawdę słuszość — mówiła dalej Ala tym samym zniżonym głosem.— Mnie los tak nie nie zahartował...

— POCO miał panią hartować? Palma pod równikiem nie potrzebuje być zahartowana na mróz.

— Mróz pod równik dostępu nie znajdzie; a nieszczęście w życie każdej chwili wejść może. Pan sądzi, że ja nie potrafiłabym znieść nieszczęścia?

Podniosła na niego pytające oczy, pełne trwożnych niemal blasków.

Czereza uczynił taki ruch, jak gdyby chciał sobie uszy zatkać.

— Nie nie sędzę. Czema mnie pani dręczy
Niech pani lepiej namówi ciotkę Oldaniecką, i pójdziemy dziś do teatru. Przyniosę paniom bilety.

— Pan przecież nie cierpi teatru...

— Cóż z tego? Będę siedział przy pani.

— Nie... dziś nie mogę... Obiecałam się ja na wieczór.

— Nowe winogrona! Komu?

— Pannie Konstancji. Pisała do mnie... przyrzekłam.

— Co? Ten stary grat jeszcze żyje? Jak je nie wstydi!

— To pan niech się wstydi mówić w ten sposób. Takie nieszczęśliwe, sparaliżowane biedactwo...

— Właśnie dlatego powinna już była oddać na umrzeć! Ale dajmy jej pokój. Pójdzie pani do niej jutro.

— O! nie... nie! Ona zawsze coś przygotuje na moje przyjęcie... I tak się już naprzód cieszy. Jej bardzo przykro... Lepiej teatr odłożym do jutra.

— Jak pani uważa. Mnie wszystko jedno. Czy dziś czy jutro nie usiądę przy ciotce... Poza tem... Ale ehożiło mi o panią... Jutrzejsze przedstawienie może nie być tak interesujące.

— A dzisiaj co? Od przyjazdu nie zajrzałam jeszcze do Kurjera. Nie wiem, co się dzieje w mieście.

— Dziś jest ostatni gościnny występ tej nowej gwiazdy Ryty Szemko, dla której cała Warszawa bzikuje.

— Ryty Szemko!—wykrzyknęła Ala z ożywieniem.—Ach! wiem... Cuda o niej na wsi we wszystkich pismach czytałem... Ogromnie jej byłam ciekawa. Jaka szkoda! I to napewno jej ostatni występ?

— Podobno. Cóż? Mam się postarać o bilety?

Zawahała się. Pokusa widocznie była silna. Przelotny wyraz żalu mignął w jej świetlanych oczach.

— Nie—odrzekła stanowczo.— Nie pójdę.

Czereza ramionami ruszył.

— Czy to pani zaczyna się w ten sposób hartować, tworząc sobie dobrowolne przykrości? Przecież widzę, że pani ma szaloną ochotę.

— *Mom*; ale gdybym poszła i zrobiła zawód tej biednej pannie Konstancji, cała moja przyjemność byłaby zatruta. Zresztą to drobnostka. Zobaczę Ryte Szemko innym razem... Ale, ile pamiętam, jej występy skończyły się w czerweu, czy w lipcu... Zkądże ten teraz?

— Coś sporadycznego... Jakiś cel dobroczynny, na czyjś dochód... Nie wiem dokładnie... Nie obchodzi mnie te rzeczy. Dziś przypadkowo obito mi się o uszy.

— Ta Ryta Szemko to ma być naprawdę jakaś nadzwyczajność—mówiła dalej Ala z tem samem ożywieniem:—Modrzejewska, Duse i Sara Bernhardt w jednej osobie i jeszcze coś więcej, wnosząc z tego co o niej pisano. Czytałem, że chcą ją na stałe zaangażować. Nie słyszał pan?

— Nie. A mnie co do tego? Czemu się pani

nie rozpytała Adama? On taki teatroman. Powinien wiedzieć.

— I podobno gra na skrzypcach, jak skończona artystka, śpiewa, pisze poezje... Jaka to musi być rozkosz posiadać tyle talentów! Ja na przykład nie mam żadnego.

— Pani? Pani posiada w stopniu najwyższym jedyne talenty, jakie kobieta uprawiać powinna: pięknosć i dobroć! Wobec tych dwóch wszystkie inne idą w kąć.

— To nie są talenty.

— Jak kto uważa. Dla mnie w jednych oczach pani jest więcej poezji, niż we wszystkich wierszach Deotymy i Konopnickiej, nie wspominając już o innych piszących niewiastach.

— Ale ta Ryta Szemko...—zaczęła znów młoda kobieta.

Twarz Czerezy przybrała ten sam wyraz, który ją zachmurzył, gdy dwaj przechodnie obejrzel się za Alą.

— Jeszcze! — syknął zazdrośnie. — Zaczynam być rad, że pani nie idzie... Co pani sobie upatrzyła do tej histrjonki? Gotów jestem pójść z umysłem, aby ją wygwizdać.

Uśmiechnęła się.

— Pan się dziś ciągle dąsa, panie Michale. Ale ma pan słusznosć... W dziwny sposób interesuje mnie ta kobieta... I to tak, od pierwszej chwili, skoro się tylko z jej nazwiskiem spotkałam... Przyznam to sobie doskonale... Przywieźli z poezty

Kurjera. Stałam przy oknie, bo już się ściemniało. Akacje wtedy kwitły i pachniały tak silnie... Zaczęłam przeglądać i natrafiam na prostą, reporterską notatkę, że Ryta Szemko, która z takim nadzwyczajnym powodzeniem debiutowała we Lwowie, przyjeżdża w tych dniach na szereg gościnnych występów do Warszawy... Nie więcej... I wie pan... może się pan ze mnie śmiać... ale to było szczególne... Poprostu w samym:—nie dźwięka, bo czytałam myślą—ale w samym, jakby to pana powiedzieć? w samym układzie liter tego imienia i nazwiska było coś takiego, co mnie jakby zahypnotyzowało...

— Pretensjonalne i niesmaczne— wtrącił Czerca.—Trać aktorstwem o milę. Zresztą to pseudonim. Ta pani pono inaczej się nazywa.

— Nie wiem; nie myślałam o tem... Bo, widzi pan, wydało mi się naprzód, że je znam... Gdzie? skąd? w żaden sposób nie mogłam sobie przypomnieć... A jednonocześnie miałam ciągle to wrażenie, że niegdyś, ktoś powiedział przy mnie: „Ryta Szemko.“ I ten zapach akacji... Byłabym przysięgła, że wtedy także, kiedy ów ktoś mówił: „Ryta Szemko,“ pachniały tak samo akacje... I przypominałam sobie... przypominałam sobie... Oczywiście to było urojenie... Nikt nigdy nie mógł mi o niej mówić... A jednak... Jakie to dziwne, prawda?

Nie można było wątpić, że musiała zostawać pod bardzo silnym wrażeniem, bo samo opowiadanie o niem wzruszało ją jeszcze. Powtarzając kilkakrotnie nazwisko Ryty Szemko, wymawiała je

przeiszonym, bezwiednie tajemniejszym głosem, tak, że to zaczęło oddziaływać i na Czerezę.

Rzekł jednak z pozorną obojętnością:

— To są znane objawy. Wyznawcy teorii prabytu rejestrują je skwapliwie.

— To też tylko tłómaczę panu pierwszy powód mego zainteresowania się nią... A potem te entuzjastyczne recenzje!.. Nie pamiętam, żeby kiedy o jakiej artystce z takimi zachwytemi pisało... I to najpoważniejsze pióra... To przecież zaciekawia. Pan, ręczę, nie czytał?

— Spodziewam się. Miłą mi jest ta piąta klepką, która mi jeszcze w mózgu siedzi. Ale sobie wyobrażam... Głębokie studia nad tem, dla czego w Adrijannie Lecoavreur wchodzi na scenę lewą nogą zamiast prawą.

— Ryta Szemko! Ryta Szemko! — powtarzała Ala w zamyśleniu, z tą uporezywością, z jaką czasem czepiają się nas pewne dźwięki. — Bardzo.. bardzo pragnęłabym ją zobaczyć... I pan powiada, że ona się inaczej nazywa?

— Tak coś słyszałem. Powtarzam, czemu pani nie wyegzenterowała Adama? Ręczę, że był na każdym przedstawieniu.

— To prawda. Ale, przyjechał już w jakiś czas po jej występach i jak go zobaczyłam, o wszystkim zapomniałam. Było tyle do mówienia!.. Nie miałam go dla siebie prawie przez półtrzecia miesiąca.

Splonęła znów tą samą miłosną łuną, która oblekała jej delikatną twarz przy każdej wzmiance o mężu.

— Jakie pół trzecia miesiąca?—burknął Czereza. — Pani wyjechała drugiego czerwca.

— Jaką pan ma pamięć do dat! — zauważyła żartobliwie, odzyskując po trosze swobodę.

— Od tego jestem historykiem.

— Historyk nie zanotował tego faktu, że Adam przez cały maj tak dobrze, jak gościem był w domu. Ale prawda. Pan się wtedy weale u nas nie pokazywał. Pan był zapracowany...

— I w dodatku porządnie chory, o czym nie widziałem potrzeby trąbić. A tak... teraz sobie przypominam... Gdzież to on jeździł? Na groczystość do Pragi?

— Tak. A z tamąd do Lwowa. Wrócił dopiero na dwa dni przed moim wyjazdem na wieś. Pamięta pan? Pan także, tego dnia do nas przyszedł pierwszy raz po tej długiej niebytności.

— Do Lwowa. Oo!

Czereza ściągnął brwi w brózdę i mimowoli przystanął, jak gdyby ma jakaś myśl nagła, w którą się z nateżeniem wpatrzył, zastąpiła drogę.

— Co pana jest? — zapytała zdziwiona.

— Nie!

Bywa, że w pamięci naszej chodzą sobie luzem, jak konie po łące, fakty jakieś, zdarzenia, słowa czyjeś. Sto razy przesuną się przed oczami i sto razy rozpierzchną.

Aż nagle, pada jakiś jeden wyraz, i w mig chwytą je wszystkie na arkan i zaprzęga do drabiniastego woza wniosków.

A taki wehikuł może się stać rzeczą weale niebezpieczną...

Jedno niebaczne podejście konia, wóz się przewraca i najeźściej wtedy coś niepowrotnie ciężarem swoim druzgoce.

Czy umysł Czerezy był w tej chwili widownią tej stojennej metafozy, trudno orzec.

To pewna, że coś się w nim zakotłowało.

Pod zmęczonemi powiekami oczy jego nabrały ostych, przenikliwych błysków. Spuszczał je i podnosił szybko, jak gdyby rozcinając w powietrzu jakieś wątpliwości.

Przykry, szyderski uśmiech wykrzywił mu usta.

Parę razy spojrzął z akosa na Alę, odetchnął głęboko; chciał coś powiedzieć i milczał.

Ona także nie odzywała się. Nawykła zdawna do jego wybryków i myślała o czem innym.

Żal jej było trochę dzisiejszego teatru, a zarazem odezwała jakby algę, że nie pójdzie.

— Tak będzie lepiej; tak będzie lepiej — mówiła sobie.

Ale to lepiej nie dotyczyło wyłącznie owej sparaliżowanej panny Konstaneji, której tak poczciwie postanowiła oszczędzić przykrości próżnego oczekiwania; tkwił w niem, jakiś nieujęty, dziwaczny związek z samą Rytą Szemko.

Dlaczego?

Wszak ta nieznaną artystka rozpałała jej ciekawość w tak wyjątkowy sposób? A teraz, kiedy zaspokojenie tej ciekawości było możliwe, coś ją jakby od tego odpychało.

Ten rodzaj wstrętu był przecież tak subtelny i delikatny, że tylko dzięki owemu specjalnemu na-

pięciu wrażliwości, jakiemu podlegała przy Czer-
czy, mogła go w sobie wyczuć.

Więc może istniał w niej od początku; może
stanowił cząstkę tego wstrząśnienia, doznanego tam
na wsi w ów wieczór letni, przy oknie, gdy prze-
rzuciała Karjera.

I znowu... nagle, na tym warszawskim braku
owionął ją mdławo słodki zapach akacji, i ten sam
głos, niegdyś wrzekomo słyszany, którego w ża-
den sposób przypomnieć sobie nie mogła, powtó-
rzył gdzieś, z najtajniejszych głębi jej duchowej
istoty:

Ryta Szemko!

I szli tak, objęci odmiennymi kręgami myśle-
nia, przez które, jak prądy tajemnicze, przepływa-
ły nieważkie fale ich wzajemnego oddziaływania na
siebie.

Wciąż milcząc, skręcili w Hożą ku placowi
Św. Aleksandra.

Ulica była cała osłoneczniona, cicha, prawie
pusta, i po piciącem się wrzawą i tłokiem miej-
skim morzu Marszałkowskiej, czyniła wrażenie
brukowanej zatoki.

Raz po raz, jak potężne dmuchnięcie wpadał
w nią rzeźwiejszy pęd powietrza, bliskość Alei
i drzew zdradzający.

Tu i owdzie z domów wychodzili leniwie stró-
że polewać swoje części, i długie węże ich sika-
wek rozrzucwały po bruku tęczowe w słońcu gir-
landy wody.

— Pani Alot — przemówił nagle Czerza.

Drgnęła, jak ze snu zbudzona.

— Czy pani wie, o co bym panią teraz poprosił, gdyby to było możliwe?

Spojrzała pytająco.

Nie mógł znieść tego słodkiego, ufnego wzroku i przytknął powieki.

— Żeby mnie pani kopnęła.

— Panie Michale! — zawołała Ala, nie tyle zgorszona, ile przestraszona temi słowy, które nawet przy całym znanem jej dziwactwie tego człowieka brzmiały niemożliwie. — Panu naprawdę coś jest dzisiaj.

Teraz spojrzał na nią już przygastemi oczyma, w których jakieś niedobre, ostre iskry tliły się jeszcze mgłą prawie bolesnej reakcji przestonione.

— Nie mi nie jest. Po prostu przed chwilą wart byłem kopnięcia i powiedziałem to pani. Ale to już przeszło. Panią tak zaraz wszystko przejmuj!

Dochodzili do bramy pięknej, nowej kamienicy. Ala zatrzymała się.

— Do widzenia pana!

— To już!

Ujął jej rękę i Ala przez glansowaną skórkę rękawiczki uczuła nerwowy chłód jego chadych palców.

W swem własnem zdenerwowaniu doznała szczególnego wrażenia.

Wydało jej się, że z palców tych, tylko co wypadł dlugi, ostry sztylet, który miał ją zranić, i który pozostawił w ich dotknięcia swe metalowe zimno.

Cofnęła szybko rękę. On mylnie ten ruch zrozumiał.

— Gniewa się pani?

— Nie—zaprzeczyła żywo, wzruszona pokorą tego głosu, tak sprzeczną z jego zwykłym twar-
dem, syzącym brzemieniem.— Nie, panie Michale.

Stał, nie mogąc się zdobyć na odejście, przedłużając tę chwilę rozstania, znów cały wpatrzony w nią z głodną ciekawością więźnia, który śledzi promień słońca, mający wnet zniknąć z okratowania jego celi i pozostawić go w mrocznej pustce.

I rzeczywiście: na ciemnym tle otwartej w bramie furtki, postać jej zdawała się być uosobieniem światła, porywającym jasnością i ciepłem swych mlecznych i złocistych tonów.

— Więc jakże będzie z jutrzejszym teatrem?— zapytał, aby coś powiedzieć. — Mam wziąć bilety?

— Może innego dnia. Porozumiem się na-
przód z matką Adama. Nie wiem, kiedy zechce
pójść. Zastosuję się do niej.

— Ale ja sam przyjść mogę jutro?

— Proszę.

— O szarej godzinie?... Dobrze?

— Dobrze.

Wywróconym do góry podszewką kapeluszem dotknął prawie asfaltu chodnika i ukłonił jej się w sposób, przypominający chłopskie podejmowanie za nogi.

— Panie Boże Wielki zapłać.

Same słowa były niby żartobliwymi; ale w duszy, tej duszy samotnika, okrytej łachmanami nie-

spełnionych pragnień, trawionej ogniem tęsknoty i wiecznego buntu, było mu istotnie tak wesoło, jak żebrakowi, kiedy za jałmużnę dziękuje.

II.

Ala zastała swoją siostrę, siedzącą pod oknem elegancko urządzonego pokoju, przy stoliku, zarzuconym stosami próbek, o firmach najpierwszych magazynów, które z wielką uwagą przeglądała.

Matka głośnego powieściopisarza, ulubienca tej czytającej publiczności, która goni za talentami, narzucającemi się odrazu siłą bezwzględnej dojrzałości, była kobietą pięćdziesięciokilkolletnią, znakomicie zakonserwowaną.

Twarz jej sładawa, spokojna, bez zmarszczek, mówiła o wieku jedynie opadnięciem owalu i pewnem zgrubieniem rysów, już z natury wydatnych i nieco męskich.

Pełna, prosta, zawsze silnie wygorsetowana i wiewta w pasie, jak młoda panna, włosy miała bujne jeszcze, w lekkie nioby starannie ułożone i zrecznie przyfarbowane.

Pani Oldaniecka hołdowała hasłu: „Precz z siwizną“ nie przez spóźnioną chęć podobania się, lecz przez głęboko zakorzenione w niej i na wszystko rozciągające się poczucie niezłomnego konserwatyzmu.

Od tylu lat przyzwyczaiła się do swoich ciemnych włosów, że gdy — już zresztą po wstąpieniu

w epokę, w której najodporniejsza na czas kobieta składa broń — zaczęła nagle i szybko siwieć, białe te nici, nadające nieokreślony, szarawy koloryt jej głowie, drażniły ją, jak coś cudzego.

Inne zmiany, zachodzące w jej powierzchowności, były bardzo powolne i nieznaczne.

Nie będąc nigdy piękną, nie miała z czego brzydnąć, tak jak jej spokojna, rozważna, doskonale w utartych formułach zamknięta natura nie mogła tracić najbardziej znamienitych cech młodości: aroku nagłych i łatwych wzruszeń, marzyielskich porywów i gorących ukochań, które jej zawsze były obecne.

Gdy była młodziutką panią, dziwiono się ogólnie jej nad wiek poważnemu i staremu wyglądowi; dziś, jako wdowa od lat wielu i matka trzydziestoletniego syna, budziła także [podziw, ale już w odwrotnym kierunku.

Życie jej było równie czyste i gładkie, jak jej czoło.

Nie zaznała nigdy pokus, ani walk, co w połączeniu z przeciętną ciasnotą pojęć etycznych, stanowiącą u nas tak zwane staranne wychowanie, wyrobiło w niej twardą bezwzględność dla innych, zwłaszcza dla kobiet i zwłaszcza w sferze sercowych wykroczeń.

Nie rozumiała też żadnych różnic, żadnych okoliczności łagodzących.

Niewinna dziewczyna, padająca ofiarą swego uczucia i niekzemności mężczyzny, była w jej oczach równie pogardy godna, jak każda prostytutka, która sobą po ulicach handluje.

W pojęciach pani Oldanieckiej tylko obowiązki i zasady mogły być jedynymi motorami czynności ludzkich; temperament, namiętność, wpływy i warunki otoczenia nie wchodziły zgoła w rachubę.

Brzydząc się złem, nie chciała ani go poznać, ani w jego pobudki wnikać, a ztąd na wielu punktach doświadczenie jej i sądy równa się doświadczeniu i sądom nieświadomego żywego dziecka.

Siebie ceniła wysoko i czuła się dumną ze swego nieskazitelnosci, nie przypuszczając, jak dalece była ona bierną i bez zasługi.

Na wskroś samolubna, miała ów naiwny, żywiołowy egoizm, który jednocześnie oburza i rozbija.

Żona wysokiego dosyć urzędnika, po który pobierała teraz bardzo przyzwoitą emeryturę, całe życie spędziła w wygodach i względnych dostatkach; obecnie zaś mogła sobie pozwalać nawet i zbytki, a to dzięki hojności syna; ten bowiem, przed siedmiu laty, odziedziczywszy niespodzianie wielki majątek po jakimś dalekim krewnym z linii ojca, dokładał równie znaczną sumę do utrzymania matki, więcej może przez próżność, niż z potrzeby serca.

Pani Oldaniecka przyjmowała te wszystkie drobniejsze losy, jako rzeczy zupełnie naturalne i należne, za które nawet jej przez myśl nie przeszło być komuś, lub czemuś wdzięczną.

Niegdy prawie nie cierpiąc fizycznie, obdarzona wybornie funkcjonującym organizmem, pielęgnowała się z największą troskliwością, wmawia-

jąc w siebie, w braku innej choroby, w najlepszej wierze, chroniczny brak sił.

Nie znosiła, aby jej powiedziano, że dobrze wygląda, i niebaczne przypuszczenie mniej wtajemniczonej, że jest zdrowa, odpieszała zawsze, jak jakiś ujmą dla niej będący zarzut.

Była bardzo obraźliwa i wymagała ciągłych dla siebie atencji, najszezerzej jednocześnie przekonana, że wszędzie i zawsze usuwa się na drugi plan.

Czytała bardzo dużo, nie mając zresztą żadnych wyraźnie określonych literackich upodobań; zwiedzała sumiennie wszystkie wystawy, obojętna w gruncie na prawdziwe piękno; chodziła na koncerty, będąc absolutnie pozbawioną muzycznego ucha i, jak syn jej żartobliwie utrzymywał, kształciła się bezustannie.

Na to pani Oldaniecka odpowiadała mu z powagą, że: popierwsze postępowanie rodziców nie powinno być przedmiotem uwag i krytyki dzieci, a podrugie, że człowiek, który nie postępuje, cofa się; ona zaś, aczkolwiek nie jest autorką, ani artystką, równie dobrze zna się na literaturze i sztuce, jak zawodowcy.

Ten wyraz „zawodowcy“ wychodził z jej rzadko uśmiechających się ust, przez jej duże, silne, dosłownie zdrowe zęby, z jakimś nieokreślonym lekceważeniem, będącym instynktowną niechęcią miernej, przeżywającej inteligencji do twórczych jednostek.

Sława syna nie imponowała jej bynajmniej.

Lwią część jego talentu przypisywała swemu

u mnie raz ostatni, a przez całe lato raz tylko raził się o ciotkę przypomnieć...

— On taki zapracowany...—szepnęła Ala w rodzaju obrony.

— To także źle. Nadmiar we wszystkim jest szkodliwy. Przerwałaś mi, Alińciu.

— Przepraszam, kochaną mamę. Mama mówiła, że za ostatniej bytności pana Michała...

— A tak.—Uważałam za swój obowiązek zrelektować go, otworzyć mu oczy na przyszłość, jaką sobie gotuje. Powiedziałam mu: „Mój Michasiu! teraz to jeszcze nie; ale gdy nadejdzie starość, zobaczysz, jak wtedy uczujesz brak wiernej, dogonnej przyjaciółki.“ A on mi na to z całą powagą: „Niech się ciocia nie kłopotuje“—mówi—„ja taką przyjaciółkę mam, i ona mnie nigdy nie opuści.“

Ala z pewnem zdziwieniem podniosła głowę i patrzyła na swoją świekrę.

Pani Oldaniecka ciągnęła dalej:

— Tak to szczególnie powiedział, jak gdyby miał na myśli... albo ja wiem, jaką kobietę nie z naszej sfery, jakiś niemoralny stosunek — cóż? wszystko to możliwe. Zwróciłam mu więc uwagę, aby pamiętał do kogo mówi. Tymczasem on zaczyna się śmiać, tym swoim cynicznym śmiechem, którego tak znosić nie mogę. Mówi mi: „Niech się ciocia nie gorszy przed czasem; ta moja przyjaciółka wszędzie ma wstęp; nawet i cioci spotkać ją można.“ To mnie zaczęło... „Któż to taki?“ — pytam... Wiesz co mi odpowiedział? Jak ci się zdaje?

— Nie mogę zgadnąć, mamó — odrzekła Ala, rumieniąc się mimowoli.

— Bardzo wierzę. Na to trzeba by mieć tyle cynizmu, co on. Odpowiedział mi krótko i wężłowato: „Wódka!“ Słyszałaś, Alińcia: „wódka.“ Człowiek z naszej sfery, syn takich zaenych rodziców i z takim wykształceniem! Ale masz go w tem całego. Ja bo mu wróżę najsmutniejszy koniec. Zawsze mi się wydawał anormalnym. No, a już po takim powiedzeniu!

Ala pochyliła znów głowę i zaczęła przerzucać próbki.

Płytki sąd świekry o człowieku, którego ona rozumiała nieskończenie lepiej, był jej przykry.

Ta nieszczęsna „wódka,“ zamiast zgorszyć ją tak, jak panią Oldaniecką, zadzwięczała w jej uszach, jakby jakiś nieokreślony wyrzut, zwrócony do niej samej.

— Na co to sobie mama kazała przynieść? — zagadnęła, pragnąc zwrócić rozmowę na inny przedmiot.

Pani Oldaniecka w jednej chwili puściła w niepamięć smutne losy swego siostrzeńca.

— Ach, prawda! Doradzisz mi, Alińcia. Potrzebuję płaszczyka na drogę...

— Zdawało mi się, że mama już sprawiła... Ten popielaty...

— To letni i na ulicę. Teraz chciałabym coś trochę cieplejszego i do wagonu... Ja należę do rzędu tych kobiet, które się nie kochają w strojach, ale lubią być ubrane zawsze stosownie do każdej

pory i okoliczności... Wybierz mi co, moje dziecko; nie mogę się sama zdecydować.

Ala brała po kolei do ręki kartony z ponaklejanymi na nich kawałkami miękkich wigoni, szewiotów, angielskiego sukienka i innych materiałów, wszystko w drogich i doskonałych gatunkach.

Czyniła to dla formy, wiedząc naprzód, że pani Oldaniecka nie posłucha nigdy niczyjej rady, prócz swojej własnej.

— Jabym wzięła ten — rzekła wreszcie.

— Myślisz? Nie będzie praktyczny.

— Więc może ten?...

— Za ciężki...

I szło w ten sposób dalej; aż przy trzydziestej odrzuconej próbie, pani Oldaniecka zapytała nagle:

— Nie miałaś dziś listu od męża?

Ala wypuściła trzymany w rękę kartonik z wyłożoną na nim firmą Hersego.

Czereza miał dar wyprowadzania na jaw ujemnych stron każdej rzeczy. Słowa jego rzucone w ogrodzie, oświeciły tę sprawę w sposób, który poruszenie jej uczynił Ali dziwnie przykrem.

Odrzekła jednak spokojnie:

— Nie. Mówiłam kochanej mamie, że Adam...

— Ależ pamiętam. Tylko spodziewałam się, że go ta niedorzeczna fantazja ominie. Do czego to podobne, żeby wpaść, jak kamień w wodę!... Zdaje mi się, że ze wszystkiego zostanę przy tym, który odłożyłam przed twojem przyjściem. Zobacz, Alińciu.

— To bardzo ładne — przytaknęła młoda kobieta z roztargnieniem.

— Wielka to boleść dla matki — mówiła dalej pani Oldaniecka takim tonem, jak gdyby wcale nie odbiegała od przedmiotu — gdy widzi, że dziecko dorósłszy, postępowaniem swoim przeczy zasadom, jakie z trudem i poświęceniem wpajała w nie od kolebki. Ja zaś należę do rzędu matek, które powinny zbierać inne owoce ze swego wychowania.

Ala zarumieniła się mocno.

— Ach, mamó droga! — zawołała z żywością, która przy tym podkładzie dobroci i słodyczy, przepajającym ją na wskrós miała swój odrębny wdzięk, tak rzadki u natur porywezych. — Ach mamó! Ileż to kobiet w kraju zazdrości mamie takiego syna, jak Adam... Każda z nich czuła by się dumną...

Ta pani Oldaniecka uznała za właściwe obrazić się. Uroczystym gościem wstrzymała dalsze słowa na różowych ustach swojej synowej.

— Pozwól, moja Alińcio, że ja wiem najlepiej, z czego mam być dumna. Nie należałam nigdy do rzędu tych matek, którym nierozsądne zaślepienie odbiera właściwe na rzeczy poglądy. Można pisać bardzo piękne powieści, a w życiu pozostawiać wiele do życzenia... Człowiek prawdziwie rozumny postępuje w taki sposób, aby wszyscy mogli sobie zdawać jasno sprawę z jego czynów. Ja sama należę do rzędu takich ludzi, i pojąć nie mogę, czem się to dzieje, że mój syn tak dalece lekceważy przykłady, jakie mu od najwcześniejszych lat przed oczy stawiałam.

Ala skarcona milezała.

Pani Oldaniecka mówiła dalej:

— Któż mi naprzykład wytłómaczy obecny je-

go wybryk? Nie pisać do żony... Bo że do matki... to zwykła kolej rzeczy... Rodzice wzamian za swoje poświęcenia idą w kąć, skoro tylko są już niepotrzebni... Ale do żony... w parę lat po ślubie... Pogniewaliście się?

— Och! nie!—zaprzeczyła gorąco...—Ja z Adamem... pogniewać się? Umarłabym chyba z rozpacz, gdyby z gniewu zaprzestał do mnie pisywać.

— Nie egzaltuj się, moja Alińcio. W małżeństwie to się zdarza... I przyznam ci się, lepsze to, niż być w zgodzie i wzajemnie o sobie nie wiedzieć... Nie mówże o tem nikomu... To, proszę cię tak dziko wygląda.

Alę zabolaty te słowa.

Na dniu jej duszy powstawał jakiś tępy niepokój i żal.

Nie do męża przecież, o! nie! Ale do jego matki, do Czerezy, do ludzi, przed którymi zaleca no jej ukrywać jego postępowanie, jakby rzecz zdrożną.

Dlaczego?

Jeżeli ona, jedynie interesowana w tej sprawie, nie skarżyła się, co komu to mogło szkodzić?

Pani Oldaniecka mięła w palcach wybran przez siebie tkaninę.

— Myślę nad tem, jakby go kazać zrobić—mówiła tym samym rozważnym, beznamiętnym głosem, jakim krytykowała korespondencyjne nieprawidłowości swego syna.—Czy z pelerynką, czy tylko z szerokim kołnierzem? Jak się tobie zdaj Alińcio?

Ala drgnęła.

— Słucham mamę...

Pani Oldaniecka obraziła się po raz drugi.

— Dziwna rzecz—rzekła, prostując swą sztywną postać. — Ja bo należę do rzędu tych, którzy zawsze dla innych żyją i dla innych się poświęcają. Ale niechże chodzi o mnie, to nawet na taką drobnostkę, jak na chwilę uwagi, i to ze strony swoich najbliższych, leczyć nie mogę. O czymże się tak głęboko zadumałaś, jeśli wolno spytać?

Zamiast odpowiedzi, Ala przyłożyła usta do spoeczywajacej na stoliku w powodzi próbek dużej, twardej ręki świekry, poczem oparła na niej pieyszczotliwie swą białą bródkę i postąpiła w chłodną, sztywną twarz starszej kobiety dwa snopy ciepłych blasków ze swych przecudnych oczu.

Słoneczność jej natury wzięła górę i rozproszyła w jej szczęśliwej duszy mroczne opary tych sądów ludzkich, z których jeden miał źródło w zazdrości męskiej, a drugi wtrącony był mimochodem pomiędzy wybór i krój modnego materiału.

Czyż mogła choć na chwilę przywiązywać do nich wagę?

Ogromna tkliwość dla tego nieobecnego męża, który w jej pojęciu był tak wielki, szlachetny i doskonały, zalała jej serce wzmożoną falą, ogarniającą wszystko, co z nim miało związek: jego chęci, dążenia, pracę, sławę, a więc i jego matkę.

A przytem Adam Oldaniecki powierzchownością bynajmniej dawczyni dni swoich nie przypominający, miał jednak pewien rys po niej odziedziczony: to samo gładkie, czyste, szerokie czoło i ono zawsze rozbrajało Alę.

Nie mogła chować żalu do świekry, patrząc na to czoło, tak żywo uprzytomniające jej tamto drugie, oddalone teraz, a tak bardzo kochane.

— Już będę uważna i grzeczna—rzekła z żartobliwą skruchą.— A może mi mama kochana powierzy obstalowanie tego płaszczyka? Wszystkie wskazówki zapamiętam najskrupulatniej. Pójdę zaraz—dobrze? Bo to śpieszyć się trzeba.

Ale pani Oldaniecka nicłatwo dawała się udobruchać.

— Dziękuję ci, Alińciu—odparła sucho.— Należę do rzędu tych, którzy nigdy innym nie robią sobą subjekeji. Po obiedzie wyjdę sama i załatwię to sobie. Ale jeśli jesteś tak dobra i chcesz się dla mnie trudzić, to może, przechodząc, kupisz mi pół tuzina guzików, takich, jak ten.

— A gdzie go mama kupowała?

— O, nie pamiętam. To jeszcze w zeszłym roku. Ale tego dostanie wszędzie.

Ala obejrzała guzik.

Był duży, rogowy, z jakimś subtelnem na wierzehu nakładaniem z perłowej masy.

Zdjęła ją obawa, że „tego“ nie dostanie już nigdzie; ale nie chcąc mieć powracającej harmonji, nie zdradziła się z tem przypuszczeniem.

Stanowczo byłaby wołała obstalowanie płaszczyka.

— Radabym już co najprędzej znaleźć się w tym Meranie—zaczęła po chwili pani Oldaniecka, porządkując rozrzucone próbki. — Czuję z dniem każdym większy ubytek sił. Muszę być dziś bardzo mizerna w oczach?

— Tak... trochę — wykrztusiła Ala, bo nawet tak niewinne kłamstwo było jej trudne.

Pani Oldaniecka westchnęła z tajonem zadowolaniem.

— Ach! Jaż ja nie należę do rzędu tych, które się z sobą pieszczą! Nikt wiedzieć nie może, ile mnie czasem kosztuje zwlec się z łóżka i ubrać. Ale bronię się chorobie całą siłą woli i także tylko ze względu na innych... żeby nie zrobić ambarasu swemu otoczeniu. Chorować i nie mieć właściwej opieki i dozoru... to bardzo ciężko!...

— Ach, mamu droga,—przerwała Ala żywnie chcąc nawet przewidywać takich smutnych rzeczy, ale w razie czego, ja całym sercem...

Pani Oldaniecka nie pozwoliła jej dokończyć.

— Moja Alińciu, jeśli Bóg ci da dziecko, przekonasz się, że tylko matki umieją pielęgnować... To też, mojem zdaniem, tylko dzieci mogą sobie pozwolić na taki zbytek, jak choroba... Ale kobiety samotne, opuszczone... nikomu nie potrzebne, o których nikt nie myśli...

Uczyniła ręką ruch, wyrażający zupełną abnegację; Ala zaś mimowoli rozejrzała się dokoła.

Nie było tu zbytku, ale wszystko świadczyło o drobiazgowem uwzględnieniu domowych wygod i przyjemności: wszystko było solidne, kosztowne, z największą starannością utrzymane.

Wzrok młodej kobiety zatrzymał się na doskonale odżywionej, we francuzką alpagę opiętej, jedwabiem podszepek szeleszczącej postaci świekry, i znova zrobiło jej się przykro.

Nie po raz pierwszy aderzała ją szczególna,

bo pełna zupełnie dobrej wiary niewdzięczność, z jaką pani Oldaniecka zdawała się zapominać o tej szczodrej i troskliwej ręce syna, która uczyniła jej z życia wypikowaną atlasem bombonierkę.

— Ach, mamol—zawołała z żalem—jak można tak mówić! Przecież Adam...

Ale pani Oldaniecka wstrzymała ją znowu majestatycznym gestem.

— Dajmy temu pokój... Powtarzam, nie masz dziecka i nie możesz rezonować o tych rzeczach. Nie łatwiejszego, jak nadłożyć pieniędzmi, zwłaszcza, gdy się ich ma dość! Ale poświęcenia i tradów matki żadne złoto nie wynagrodzi. Już tak jest, że dzieci muszą do końca życia pozostawać niewypłacalnymi dłużnikami swoich rodziców.

Westchnęła głęboko i dodała:

— To jednak dziwne, że wy dotychczas nie macie dzieci! I jaka to dla mnie krzywda. Ja bo należę do rzędu tych kobiet, które tęsknią za wnuczętami. Zarazby tu weselej było w tych kątach, gdyby po nich jakie maleństwa biegały.

Ala zaramieniła się gwałtownie.

Tak; nie mieli dotychczas dzieci; i co było jeszcze dziwniejsze, to, że ona, przy swej tak na wskroś kobiecej naturze, weale braku tego nie czuła.

Miłość do męża tak jej wypełniała serce pó brzezi, że nie mogła prawie zrozumieć, jakby się tam znalazło miejsce na drugie, równomierne ukochanie; i zdejmował ją żal, prawdziwy żal kochanki na myśl, że nowe obowiązki musiałyby z konieczności zwracać ku sobie jej myśli i pra-

gnienia, które dotychczas tylko w mężu ześrodkowane były.

A co najważniejsza, on, Adam, mówiąc stylem pani Oldanieckiej, nie należał do rzędu tych mężczyzn, którzy tęsknią za ojcostwem.

Przeciwnie; pragnął przejść do potomności, ale zgoła innemi drogami, i dotychczasowy brak „błogosławieństwa Bożego“ poczytywał sobie za wielką łaskę.

Ta okoliczność byłaby sama przez się wystarczająca, aby stłumić, lub przynajmniej zagłuszyć instynkty macierzyńskie obóstwiającej go żony, gdyby się nawet w niej budziły.

Lecz nie zachodziła potrzeba taka.

Było im tak dobrze we dwoje, i Ala miała tak dojmające oświadczenie pełni swego szczęścia, że chwilami graniczyło ono z jakimś mistycznym, do lęka podobnym odczuciem.

Jednakże wobec wyrzutu świekry zawstydziała się swego samolubstwa, i opuściła głowę, jak winowajczyni, z czego korzystając, pani Oldaniecka jęła rozwijać poglądy swoje na sprawę bezdzietności młodych małżeństw, z taką goryczą, jak gdyby była obywatelką Franeji, zagrożonej wyludnieniem.

Zresztą na tym punkcie, jak i na wielu innych, trudno było pani Oldanieckiej dogodzić; swojego czasu bowiem nie znajdowała dość słów nagany dla własnej siostry, matki Michała Czerczy, którą nieba mniej więcej raz do roku obdarzały potomkiem.

Doszło do tego, że przy ósmym dziecku chciała

zerwać z tą gorliwą krzewicielką rodu ludzkiego wszelkie stosunki, niemowlę wszakże umarło przy ząbkowaniu.

Okoliczność ta załagodziła sprawę.

Teraz za to wręcz odmienny stan rzeczy w małżeńskim pożyciu syna oburzał ją szczerze.

Młodzi, zdrowi, kochający się, pod każdym względem dobrani i — nie!

Do czego to było podobne!

A zresztą jej się to należało. Po to była wzorową żoną i matką, aby z kolei zostać wzorową babką; i ta luka w programie „normalnego biegu życia kobiety,” który sobie od najwcześniejszej młodości jako ideał postawiła, rozgoryczała ją najbardziej.

— Tak, moja Alińcio. To nie ma żadnego sensu... Trzeba brać życie z poważnej strony... Jesteś jeszcze bardzo niedoświadczona, ale wspomnisz kiedyś moje słowa... Nie tak nie przywiązuje męża do żony, jak dziecko... Powinniście koniecznie mieć dzieci... Mówię to dla twego własnego dobra. Pomyśl nad tem, kochanko. Cóż?

Tej ostatniej rady pani Oldaniecka udzieliła synowej takim tonem, jak gdyby chodziło o zaopatrzenie się w parę nowych kaloszy na nadeżdżającą jesień. Potem bez żadnego przejścia dodała:

— Zostaniesz u mnie na obiedzie? Będą rydze z kartoflami i karapatwy. Cóż?

— Dobrze, mamó — odrzekła Ala posłusznie.

Pani Oldaniecka przyjęła te słowa jako obietnicę spełnienia obu jej propozycji i uśmiechnęła się łaskawie.

Bardzo lubiła mieć kogoś u siebie na obiedzie, a zwłaszcza tę śliczną Alę, której widok dodawał smaku potrawom, jak bukiet świeżych kwiatów.

Przywiązując wielką wagę do aktu odżywiania się, była istotną mistrzynią w sztuce kulinarnej, a o „365-ciu obiadach“ Ćwierzakiewiczowej wyrażała się z lekceważeniem, jako o marnym podręczniku, dobrym dla profanów.

Jedynie „prawdziwemi“ były jej przepisy—takie odręczne, Boże broń nie drukowane, przechodzące w jej rodzinie z matki na córkę, w postaci luźnych, poprzecieranych na złożeniach kartek.

Niektóre z nich były już tak pożółkłe i wyblakłe, że tylko przez lupę dawały się odeczytywać i tych wartość była zdaniem pani Oldanieckiej wprost bezcenna.

Łączył się z nimi jakiś tajemniczy *hocus* *pocus*, dzięki któremu potrawa, podług nich przyrządzona, nie mogła się nie udać.

Skoro taki półmisek zjawiał się na stole, pani Oldaniecka stawała się nadzwyczaj gościnną; sama kładła na talerze, i jeśli jeszcze jakiś zręczny pochlebca podał w wątpliwość jej własny apetyt, który był doskonały — wpadała w najróżowszy humor.

Przychodził na nią wtedy dowiep, spokojny, cichy, wypowiedany z jej zwykłą, niby bezbarwną intonacją, która tem silniej podkreślała całą trafność spostrzeżenia.

To też obiadki pani Oldanieckiej miały swoją reputację, a syn najchętniej widywał się z nią przy stole.

Błogosławiona atmosfera jadalni i dzisiaj nie pozostała bez skutku.

Owszem. Nadzieja blizkiej podróży, szczęśliwy wybór płaszczyka i tylekrotne należenie do rzędu tych lub owych, którego sobie w poprzedniej rozmowie z synową nie żałowała, wszystko to usposobiło panią Oldaniecką jaknajlepiej.

W dodatku kuropatwy były wyśmienicie upieczone i Ala dobrała sobie dwa razy rydzów.

Obawa choroby w samotności i opuszczeniu, jak również tęsknota za wnuczętami, pierzechnęły bez śladu.

Z lubością spoglądała co chwila na Alę, chwaliła jej suknię i uczesanie, i przypominała sobie różne drobne zdarzenia z dziecinnych lat Adama, czego znów młoda kobieta mogła słuchać do nieskończoności.

Rozgadały się obie i rozserdeczniły, i było im ogromnie dobrze.

Ukośne już promienie słońca, wpadając przez weneckie okno do ładnego na woskowany dąb urządzonego pokoju, zapalały złote iskierki w jasnych włosach Ali i w baccaretowskim szkle, rozstawionem symetrycznie na cienkim, białym obrusie.

Małowana w lila kwiaty porcelana przeświecała delikatnie, mieszając swe mleczne tony z sinawym pobłyskiem srebra, a ułożone na kryształowej paterze winogrona wyglądały jak zastygłe w powietrzu bursztynowe krople.

Był to śliczny szmaciek flamandzkiego płótna, ta wykwintna zastawa, nad którą unosiła się para wybornych potraw, niby delikatny obłoczek, i te

przedzielone nią, naprzeciwko siebie siedzące dwie kobiety, które zajadały z takim szczerym, zdrowym apetytem i gwarzyły tak wesoło, każda doskonale szczęśliwa na swój sposób.

Przy czarnej kawie Ala poruszyła kwestję teatru, i ułożono, że pójdą we trójkę pojutrze, a następnie wrócą tutaj na kolację; tak więc i Czerczy, choć nieobecnemu, nie stała się krzywda w tę dobrą chwilę.

Wkrótce po obiedzie Ala pożegnała świekrę, śpiesząc do domu, gdzie jeszcze przed północą do panny Konstancji miała coś załatwić.

Pani Oldaniecka wyprowadziła ją aż do sieni, co było dowodem osobliwszej łaski, i ucałowała tak serdecznie, jak nigdy.

— Więc do pojutrze, Alińciu—rzekła jeszcze, wychylona przez balustradę.— Zajedziecie po mnie z Michasiem?

Ala schodząc już z drugiego przęsła, zatrzymała się i podniosła w górę oczy.

Stała tak chwilę, przepasana tęczową smugą światła, rzucanego na nią od kolorowych szybek okna.

Jakiś oderwany błękitny płomyk drżał tuż nad jej czołem, niby mistyczny kaganek Psychy, i załamywał się pawiami odblaskami w jej przejrzystych, dziwnie w tej chwili do wodnych głębi podobnych źrenicach.

— Tak, mamó. Do widzenia.

— Do widzenia.

Uśmiechnęły się do siebie raz jeszcze.

Jasna postać Ali wysunęła się z tęczowego

pasa i znikła w ciemnawej głębi klatki schodowej, jakby pochłonięta przez mrok; a matka Adama Oldanieckiego patrzyła za nią, na to jej zstępowanie w dół i cień, mające w sobie coś nieuchwytnie do spuszczenia trumny w grób podobnego; patrzyła uparcie, dopóki czubek białego kapelusza Ali i złota masa jej włosów nie mignęły po raz ostatni na załamaniu najniższego piętra, patrzyła, i żadne przeczenie nie jej nie powiedziało w tej chwili.

III.

Wszedłszy na ulicę, Ala znalazła się nawprost rozlanej szeroko nad Warszawą zachodniej łuny.

Długą perspektywę Hożej zamykała olbrzymia płachta różowości, ciągnąca oazy tajemnicza korytna słońca, poza którą rozgrywało się pełne dziwów widowisko: miljardy innych zachodów, zatykanych, jak tryumfalne sztandary na szczytach gór i gasnących rubinowemi kulami w liljowych toniach mórz dalekich.

Cudny, jasny błękit wypełniał przestworze, pożyczowany wąziutkimi stryżkami złotych obłoczków, z ledwo widocznym, bledziuchnym półkrażkiem księżycy, niby pierwszą literą gwiazdzistego pisma noey, rozwieszającego co wieczór swe nigdy nie odczytane poematy nad myślą ludzką.

Po stronie przeciwnej chodnika, którym szła Ala, kamienice miały, wzdłuż najwyższych swych

pięter, ostro odcinający się pas złota, przetykany tu i owdzie ezerwienią rozgorzałych szyb.

W dali, kominy fabryk stały przemienione w obeliski z karminu.

Z poblizkiej piekarni pędziły, rudą purpurą promieniejące, kłęby dymu i rozchodziła się ciepła woń świeżego chleba.

Dwa młode psy figlowały pośrodku ulicy, a przed jednym ze sklepików przystanął ręczny wózek pełen kawonów, którego właściciel znikł w głębi.

Gdzieś poza Alą i gdzieś przed nią szumiało miasto; ona sama szła pasem zupełnej ciszy i pustki, którą tylko jej własne, lekkie kroki przerywały.

Szła i patrzyła wciąż w ów, niby przypadkiem, aroniony pomiędzy te szare braki i mury strzęp królewskiego płaszcza, który włókł za sobą konającą gdzieś na wspaniałych widnokręgach moczars.

Tam, poza tą różową zaporą, znajdowało się wszystko dalekie... wielkie... nieznanne; znajdował się i on... jej Adam!

I nagle, w jednej chwili, jak wzrok jej w agonii słońca, tak cała jej dusza zanurzyła się w tęsknocie.

Tylko uczucie to nie miało w sobie nic bolesnego; owszem przenikało ją niby jedna więcej radość życia.

Nie było w tem ani gorzkiej, jak piołun mocy, ciągnącej duszę wstecz za tem, co minęło i już nie wróci; ani namiętnego, niepewnością kipiącego rwania się ku rzeczom jeszcze niespełnionym i mogącym niespełnionymi pozostać.

Jak wonny dym tylko z pachnących substancji, tak ten rodzaj tęsknoty, który ogarnął Alę, mógł powstać jedynie z serca, przepojonego szczęściem terażniejszości.

O! co za rozkosz iść tak krokiem młodości i zdrowia przez ten świat cały różowy i złoty i na tym świecie mieć kogoś, kogo się tak kocha!

On!... On!.. Adam... Jej Adam!...

W tej chwili było jej prawie wszystko jedno, czy on jest przy niej, czy nie; dość, że jest!

Potęgą swojej błogiej tęsknoty przerzucała się w ów punkt niewiadomy, gdzie ten kochany żył teraz, czuł, myślał i tę samotnicę, którą dobrowolnie się otoczył, zaladniał wizjami swych natchnień.

Mówiła sobie, że i on musi być szczęśliwy w tej chwili, że oczy jego piją piękno, którego poszedł szukać, a duch buja swobodnie, nieskrępowany żadnym, choćby najmiłszym obowiązkiem życia, tak właśnie, jak tego pragnął i jak mu widocznie było potrzeba.

Miłość Ali była tak wielka, ufna i bezmiernie ofiarna, że pogody jej nie zmącił nawet cień samolubnej chęci współuczestnictwa.

Zresztą, przecież tu wchodził w grę nie zwyczajny zjadacz pyłlowca, lecz on... Adam Oldaniecki, wielki pisarz, chluba kraju, szafarz rajskiego chleba fantazji, którym karmił rzesze.

Ala rozumiała dobrze, o! stokroć lepiej, niż on to mógł nawet przypuścić, że szczęście artysty w jego momentach twórczych jest czemś zupełnie różnem od szczęścia człowieka; że stoi poza obrębem wszystkich ziemskich związków i ukochań.

Nie próbowała nigdy wdzierać się w to zakłete koło, z poza którego on wracał do niej czasem chmurny, wyczerpany, bezradny, jak dziecko małe, pieszezoty i starań potrzebujące; czasem podniecony, z błyskawicami w oczach, jak młody bóg.

Dość jej było piastować kwiat jego sławy, który on z uśmiechem miłości w jej dłonie składał.

Dość jej było!

I teraz także, goniąc za nim i odnajdując go myślą szczęśliwym bez niej, nie doznawała żadnego żalu, lecz wyobrażała sobie, że sama z dobrej woli przystanęła tak daleko, aby mu się lepiej przypatrzeć...

Och! jak ona go kochała!... jak ona go ogromnie kochała!

I jej czyste serce wzbierało niewinną dumą tej miłości, bo czuła, że kochać w ten sposób nie każdemu było dane.

Spojrzała w niebo, z dziękczynnym porywem dziecka.

— Jaki Bóg dobry!—szepnęła—jaki Bóg dobry, i jaka ja szczęśliwa!

Był to chyba najbielszy gołąb wdzięczności ludzkiej, jaki kiedykolwiek uleciał do Stwórcy z tego miejskiego bruku, nad którym zwykle unoszą się tylko czarne ptaki skarg, przekleństw, zbrodniczych pożądań nędzy i występku.

A potem, myśl jej pobiegła w przyszłość tak bliską, że mogła się zdawać nadchodzącą teraźniejszością...

Pisał, że się nie odezwie przez pewien czas...

Jak to długo może trwać ten „pewien czas?”
Miesiąc?...

Chyba nie... może trzy tygodnie... może dzie-
sięć dni...

A może—już ten tydzień niecały wydał mu się
pewnym czasem?...

Znała przecież jego nierówne, tak łatwo z je-
dnej ostateczności w drugą przerzucające się uspo-
sobienie.

Więc może... w domu zastanie list! Kto wie?..
Kto wie?...

Mimowoli przyśpieszyła kroku.

A jeśli w tym liście napisze jej: „Przyjedź?”

Raz, wiosną jeszcze, gdy rozmawiali o tej je-
go zamierzonej podróży, napomknął coś w tym
rodzaju.

Powiedział:

„Jak mi będzie źle samemu, to zakwilę po
moją ptaszynę. Przyfraniesz?”

Oj! jakby przyfrnęła!... jakby przyfrnęła!..
Zda się, jak stoi w tej chwili, leciałaby w tę dal
różową, bez wytehnienia dniem i nocą... Nie jeść,
nie spać, byle prędzej w te kochane ramiona upaść
i w nich dopiero odpocząć!..

Na samą tę myśl już coś ją z ziemi podry-
wa... Słyszy uderzenia własnego serca, i biała jej
twarz płonie rozkoszą tego przypuszczenia, tak
prawie, jak ta łuna zachodnia.

Że też jej to wcześniej do głowy nie przysz-
ło... Przecież to takie możliwe... Prawda, czarod-
ziejskie, jak sen z bajki, jak skarby zaklęte w ja-
skiniach, a zarazem zupełnie możliwe... Boże! Bo-

że! czem ona sobie zasłużyła, żeby podobne możliwości istniały dla niej na świecie!

I znowu fala dziękczynienia niesie jej myśl w górę.

— Jaki Bóg dobry! — szepee znowu. — Jaka ja szczęśliwa!

Z harkotem, sykiem i miauczeniem sygnału wpada w ulicę od strony Marszałkowskiej samochód i gna ku Alejom.

Pałac ma minę człowieka przygotowanego na wszystko; za nim siedzi para: mocno już niemłody mężczyzna i strojna kobieta z twarzą znużoną i zlekka podmalowaną.

Przelatując koło Ali, spoglądają na nią w ten bezwiednie lekceważący sposób, jakiego ci, którzy jeżdżą w Warszawie samochodami nie pozbyli się jeszcze w stosunku do bliźnich, uprawiających pieszą i końską lokomocję.

Ale odezuwa dla nich jakąś smętną litość: Biedni ludzie! Oni pewno nie mają w duszy takiego światła!

Samochód tymczasem przejechał tylko jednego psa, drugi szczęśliwie umknął i popędził dalej.

Ala, mijając te psy, uśmiechała się do ich swawoli. Teraz idzie dalej i nie wie, że po za jej plecami, na bruku, z jednego z nich została tylko krwawa, bezkształtna masa. Biedne zwierzę! tak je dokładnie przejechano, że nawet nie zdążyło zaskowyczeć.

Ha! życie! Psie, czy ludzkie miewa czasem dziwnie stanoweze momenty...

Lecz brutalne wtargnięcie samochodu wyrwało Alę z tego kręgu marzeń, w jakim szła na różową światłość zapatrzona.

Gdyby nie to, byłaby minęła lub zdeptała leżącą na chodniku tuż u jej stóp kopertę.

Teraz ją spostrzegła i machinalnie schyliła się, aby podnieść.

Koperta była ciemno błękitna, matowa, ze sztywnego, angielskiego papieru, o delikatnych białych brzeżkach, zaklejona marką na zgranicę w miejscu monogramu. Wydzielał się z niej nadzwyczaj subtelny zapach, nie mający nic wspólnego z banalną wonią saszetów.

Było to raczej jakby nasiąknięcie atmosferą ogólnej wytworności, właściwą przedmiotom, z którymi miały do czynienia jakieś bardzo delikatne, wyrafinowane ręce.

Ręce te musiały ją upuścić, niosąc na pocztę.

— Wrzucę do skrzynki—pomyślała Ala:—może jaki ważny list.

Tym samym machinalnym ruchem, jakim podniosła kopertę, odwróciła ją stroną adresu.

Żaden muskuł nie drgnął w jej rękę; spełniła tę drobną czynność, jak tysiące podobnych, a przecież — to była karta jej własnego przeznaczenia, którą odwracała w tej chwili.

Na pierwszy rzut oka uderzyła ją oryginalność nadpisu.

Adres skreślony był białym atramentem; litery były bujne, ostre i na ciemno-błękitnym tle papieru sprawiające wrażenie sztychu.

Litery te wiązały się w szeregi następujących wyrazów:

Italie,
via Naples,
Monsieur
Adam Oldaniecki
Sorento
villa „Rosa di Monte.“

Ala odezystała adres i, nieruchoma, z rozszerzonymi oczyma, w których nagle wszystkie blaski zagasły, patrzyła na ten gruby kwadracik papieru, leciuchno uginający się w jej palcach.

Patrzyła, nie mogąc zebrać myśli.

Rozumiała tylko, że jest w jakiś nieznany jej dotąd, nadzwyczajny sposób, zdziwiona.

W tem zdziwieniu coś się czaiło... coś kryło... coś—straszego; jak zbierający się do skoku dziki zwierz, którego sapanie wylęknione ucho łowi w głębi mrocznej jaskini.

Przedewszystkiem jednak treścią tego wrażenia był szalony, aż do bólu przejmujący chłód pod czaszką; mistyczny chłód, jaki ogarnia nas wobec zjawisk świata nadprzyrodzonego.

Nigdy dotychczas w kryształowej duszy Ali nie powstał nawet cień przypuszczenia, żeby jej mąż mógł skłamać przed nią.

Miejsce jego pobytu miało być nieznane nikomu—tak pisał—i to dla niej było prawdą tak niezbitą, jak jej własne istnienie.

Więc też ta dokładna wskazówka, ścieląca jej

się pod stopy na tym miejskim chodniku, i to w chwili, gdy całym jestestwem biegła w przestrzeń, szukając tam tego ubóstwanego męża, wydała jej się, jakby cudem zesłaną odpowiedzią na nieme pytania jej duszy.

Trwało to przecieź tylko jedno mgnienie oka: było raczej jakby wionięciem niesformułowanej myśli, niż myślą samą.

I jak oddech ze stali, tak to wrażenie dziecinne zsunęło się z rzeczywistości, pozostawiając ją nagą, twardą, zdolną zabijać, jak stal.

Rzeczywistość ta mówiła:

Ty, żona, przed chwilą jeszcze nie wiedziałaś, gdzie się twój mąż znajduje. Nie wiedziałaś z własnej jego woli. Choćby ci się serce rozpekło z tęsknoty, nie mogłabyś go przyzwać do siebie; choćby cię ścigało największe niebezpieczeństwo, nie mogłabyś się schronić do niego.

Ale jest ktoś, ktoś tu, w tem samym mieście, w którym ty żyjesz, ktoś, co przed niedawną chwilą szedł tą samą ulicą, którą ty idziesz, i ten ktoś... wie!

Dla ciebie, on, twoje szczęście, twoje wszystko błądzi gdzieś po świecie: dziś tu, jutro tam, ale dla tego kogoś znajduje się w Sorrento, w willi „Rosa di Monte.“

Co to znaczy?

Boże miłosierny! Co to znaczy?

I cała jej istota: mózg, krew, serce krzyczało tem jednym rozpaczliwym pytaniem: Co to znaczy?

Gardło miała zesnurowane, i krzyk ten, nie mogąc się przez nie wydobyć, tamował jej oddech;

pod czaszką zamiast chłodu czuła teraz wrzenie, rozsadzające jej tętna i zalewające oczy białą, żarową mgłą.

Stała, jak wrośnięta w asfalt, rozglądając się przez tę mgłę po pustej ulicy, po niebie błękitnym, w które przed chwilą leciał jej hymn dziękczynny i po różowej dali, w której tonęła rozręsknioną bezgranicznie duszą.

Co to znaczy?

Och! odpowiedźcie: Ziemi! niebo! przestrzenie! przez litość—odpowiedźcie!

Koperta wypadła jej z ręki i stuknęła sucho o chodnik.

To ją oprzytomniło.

Tu znajdzie odpowiedź. Tu!... tu...

Porwała z ziemi kopertę, ale nieprzezwyyczajony wstręt sparaliżował jej palce, szarpiące już białe, silnie sklezione brzeżki.

Ala posiadała prawość charakteru wyjątkową. Poprostu nie była zdolną do różnych drobnych nadużyć, lekceważonych zwykle przez kobiety.

Na myśl otwarcia cudzego listu doznawała jakiegoś fizycznego wzdrygnięcia, jak przed spełnieniem okrucieństwa na bezbronem zwierzęciu.

A teraz, do tej odrazy zbuntowanej natury, dołączał się jeszcze instynktowny lęk tego, co w tym liście wyczytać mogła.

Nie zdawała sobie jeszcze sprawy, czego się właściwie obawia.

To, żeby ten list był dowodem pospolitej małżeńskiej zdrady, nie przyszło jej nawet do głowy.

Była na to za wierząca, za nieskazitelnie czysta sama.

Odgadła natychmiast, że list pochodził od kobiety: jakież mężczyzna pisałby białym atramentem? Ale to jeszcze nie dowodziło niezego.

Adam Oldaniecki, jako człowiek sławny na cały kraj, miał bardzo rozległe listowne stosunki.

Pisywały do niego i kobiety: koleżanki po piórze, tłumaczki, prosząc o upoważnienie na przekłady jego powieści, wreszcie wielbicielki, spragnione autografów.

Ręka, która skreśliła ten dziwny, biały adres, mogła należeć do jednej z nich.

W innych okolicznościach Ala byłaby poprostu wrzuciła kopertę do skrzynki, roześmiewszy się z zabawnego trafu, który kazał jej znajdować na ulicy listy pod adresem męża.

Lecz tu było coś innego; w tem tkwiła jakaś straszna, nie do pojęcia tajemnica.

Zkąd ta obca kobieta mogła wiedzieć, gdzie się znajduje człowiek, który nawet dla własnej, akochanej żony, pragnął pozostać w ukryciu?

Może ktoś znajomy zobaczył go w Sorrento i doniósł tamtej?

Ale — dlaczego?

A jeśli to on sam — Adam — to stokroć bardziej — dlaczego?

Wyobraźnia jej zawirowała chaosem najdzikszych przypuszczeń.

Żadne jej nie zaspokajało; wszystkie budziły szaloną, bezbrzeżną trwogę...

Ta błękitna, sztywna koperta parzyła jej palce, wyłamywała je jak stofuntowy ciężar.

Ala potrzebowała całego wysiłku woli, aby jej nie opuścić znowu, nie cisnąć daleko od siebie, jak jadowitą żmiję.

Gdyby nawet... gdyby nawet—przezwyjęczywszy wstręt, rozerwała ją—co będzie, jeżeli wyczyta coś takiego, co zmiążdży ją odrazu, pozbawi zmysłów, tu — na środku ulicy?

Obudziło się w niej teraz namiętne, wszystko inne przygłuszające, pragnienie znalezienia się co prędzej pod dachem.

Do domu! do domu!

Obejrzała się za dorożką, chociaż ztąd do siebie miała już niedaleko, ale chodziło jej o kopertę. Byłe uwolnić się od niej, położyć na siedzeniu, nie dotykać!

Dorożki nie było.

Natomiast w oddaleniu zamajaczyła jej szybko poruszająca się ludzka sylwetka.

Ali błysnęła myśl, że może tamta spostrzegła swą zgubę i wraca szukać jej, i że się spotkają oko w oko...

Wtedy... o wtedy!... spytałaby ją... musiała by spytać!...

To przypuszczenie tak ją przeraziło, że pędem przebiegła kilkanaście kroków, dzielących ją od Kruczej i rzuciła się w bok, biegnąc w stronę swego mieszkania.

Sybki ruch i zmęczenie poczęły oddziaływać na nią kojąco i nadawać inny zwrot jej myślom.

Nagle ołśniła ją nadzieja, że w domu zastanie list.

Wszak prawie spodziewała się tego, przed znalezieniem tej fatalnej koperty.

Namiętnie uczepiła się tej myśli, roztrząsając ją w sobie; nie pojmując, że odrazu na nią nie wpadła.

Boże! jaka ona dziwna!

Tak zaraz stracić wszelką zdolność logicznego rozumowania...

Przecież to jasne.

Adam zmienił zamiary, osiadł w Sorrento i zamtąd napisał do niej list.

Jednocześnie mógł napisać kilka innych; a więc i... do tamtej.

Oba listy przyszły jednocześnie do Warszawy, tylko ona, wyszedłszy od tylu godzin z domu, nie mogła swojego odebrać.

A tamta odebrała i odpisała zaraz. Naturalnie, interes musiał być ważny, nie cierpiący zwłoki, więc odpisała zaraz.

Tak... tak: rzecz rozwiązywała się sama przez się.

Podniosła rękę do oczu i przetarła je, jakby budząc się ze snu ciężkiego.

Nie zwolniła jednak kroku, gnana palącym pośpiechem, z ustami nawpół otwartymi i tak dziwnym wyrazem twarzy, że nieliczni przechodnie, których tu spotykała, oglądali się za nią.

Nie mogła się zdobyć na to, aby wsunąć do kieszeni kopertę, której widok szarpał jej nerwy. Niosła ją zdaleka od siebie w dwóch palcach, ostrożnie, niby złośliwy owad, mogący lada chwila wysunąć żądło.

Skrećila w Żórawią i wbiegła na schody bez tchu prawie.

Gdy pocisnęła guzik elektrycznego dzwonka, musiała oprzeć się o drzwi, żeby nie upaść.

Otworzyła jej młodsza; lokaj odprawiony był na letnie miesiące.

Ala spojrzała w przystojną twarz dziewczyny, i wydało jej się, że na tych zdrowych, usłużnym uśmiechem rozjaśnionych ustach, zawisł dla niej wyrok.

— Jest list do mnie? — wyrzekła urywanym głosem.

— Jest, proszę pani.

— Ach!... Gdzie?

— Mnie nie było, jak przynieśli. Kucharka położyła w sypialnym pokoju.

Ala nie miała już żadnej wątpliwości. Rano, nim wyszła, oddano jej list ze wsi, od matki, a prócz męża i rodziny, rzadko kto do niej pisywał. Teraz zwłaszcza, gdy wszystkie towarzyskie stosunki były zawieszona, a ona sama tylko przejazdem w Warszawie.

Ruchem nieopisanej ulgi położyła rękę na dy-
szącej gwałtownie piersi.

— O jej, proszę pani. Że też pani taka zmę-
czona! — zaaważyła młodsza. — Może zaraz roze-
brać?

— Nie, nie! Zostań.

Z żywością wstrzymała chcąc iść za nią dziewczynę i wbiegła do wnętrza.

Mieszkanie miało bezduszny, łysy, przykry wy-
gląd, ugorających latem pokojów: meble w pokrow-

cach, pozasuwane najdalej od światła; posadzki bez dywanów; drzwi, okna bez portjer i firanek; lustra, obrazy, żyrandole opięte muślinami, puste żardnierki i stoliczki.

Tylko w wielkim, kwadratowym gabinecie Oldanieckiego, ściany, wybite suknem mehowego koloru, zaladnione były rzędami bibliotecznych szaf, w stylu secesyjnym z woskowanego orzecha z blado zieloną inkrustacją stylizowanych, dębowych liści.

Majaczące przez szyby grzbiety książek здаwały się wieść pomiędzy sobą, złożonemi usty swych tytułów, niemą gawędę wielojęzycznej myśli ludzkiej.

W górze brązowe biasty genialnych pisarzy wieńczyły zaklętą, w drukowane słowa, treść własnych istnień.

Pośrodku stało biurko; prawdziwy ołtarz tej świątyni ducha: ogromne, wspaniałe, w tym samym co szafy stylu, z równianką liści sławy biegnącą dokoła drewnianego obramowania blatu, zarzucone nieładem papierów, broszur, książek podręcznych, pism z nieporozrywanemi opaskami i artystycznych przyborów pisarskich.

Wszystko leżało tak, jak pozostawił Oldaniecki, po raz ostatni przed wyjazdem wstając od tego biurka.

Nawet podwójna, ruchoma lampa, arcydzieło brązowniczej sztuki, miała skośnie nastawione jedwabne, zielone umbrelki na swych matowych globusach.

W pół okrągłym karle zdawał się drzemać znużony ruch ręki, które je odstawiła.

Ala, chcąc się dostać do swojej sypialni, musiała przechodzić przez ten pokój.

Na środku zawahała się chwilę, poczem szybko podeszła do biurka, i otwierając palce szeroko, upuściła błękitną kopertę tuż u stóp pompejańskiego posążka, przedstawiającego bóstwo Okazji, z twarzą zakrytą zoksydowaną na zielono masą włosów.

Wbiegła wreszcie do siebie, zamykając za sobą drzwi, lecz nie od razu list znalazła.

Służąca wsunęła go pod kryształową szkatułkę do drobiazgów, stojącą na toalecie tak, że tylko rożek silnie glansowanego, złotego papieru wystawał.

Ala słyszała wyraźnie uderzenia własnego serca, gdy drżące jej palce wyszarpywały list z pod przyciskającego go cacka.

Rzuciła okiem i — zdrętwiała.

Była to, miejską pocztą przysłana, firmowa koperta, zawierająca anons świeżo otwartej chemicznej pralni, polecającej się względem publiczności.

Młoda kobieta otworzyła zbiegłe nagle usta, ale żaden dźwięk z nich nie wypadł.

Wydało jej się, że jakaś żelazna dłoń chwytą ją z tyłu za głowę i gnie ku ziemi.

Instynktownie wyciągnęła przed siebie ręce, jakby odpychając, ujrzaone raptem widmo i zwolna, w milczeniu osunęła się na klęczki.

Życie — ta dzika bestja, biegnąca dotychczas przed nią wdzięcznie, jak oswojone jagnię — odwróciło się, po raz pierwszy pokazując jej swoje kły i pazury.

IV.

— Proszę pani. Pan Czereza przyszedł i czeka w salonie.

Ała z trudem uniosła głowę z szezłaga, na którym leżała od rana w półsennem odrętwieniu.

Przebyła okropną noc.

Poprzedniego wieczoru, gdy się już zupełnie ściemniło, a drzwi sypialni pozostawały wciąż zamknięte, zaniepokojona młodsza weszła i zastała swoją panią w ciemnościach, skuloną na ziemi, w kapeluszu i rękawiczkach, tak, jak wróciła z ulicy.

Przerażona, chciała biedz po doktora, lecz Ała, którą widok tej dziewczyny, stojącej nad nią ze światłem, oprzytomnił, nie pozwoliła.

Przemogła się do tyła, że zdołała napisać kilka słów do sparaliżowanej, dawnej nauczycielki, tłumacząc swą nieobecność raptowną migreną.

Następnie dała się rozebrać i wypila herbatę z cytryną, którą jej służąca do łóżka przyniosła.

Uśmiechnęła się nawet do zatroskanej dziewczyny i kazała jej odejść, mówiąc, że czuje się już zupełnie dobrze i chce zasnąć.

Ale rychło leżenie w pościeli stało się dla niej męką nie do wytrzymania.

Doznawała takiego uczucia, jak gdyby w piersi wstawiono jej zębate koło, które obracało się ciągle i za każdym obrotem wyszarpywało jej serce kawałkami.

Ból to był zupełnie fizyczny i tak straszliwy, że w mętnej nadziei uśmierzenia go ruchem i umęczeniem, porwała się z łóżka i, bosą, z włosami rozwiązującymi się zwolna po batyście i koronkach nocej bielizny, zaczęła krążyć po sypialni, potrącając sprzęty pod liljowem światłem ampli, związającej się od sufitu w kształcie wielkiej bżowej kiści.

Za oknami, po cudnym zachodzie słońca, rozpadał się gęsty, jesienny deszcz, szepejąc szybom, w głębokiej nocej ciszy, swą mokrą, żalną spowiedź.

Chłód gołych taflí posadzki ziębił drobne stopy Ali i przejmował ją dreszczem, aż do szpiku kości.

Palce jej opuszczonych wzdłuż ciała rąk otwierały się wciąż i zamykały febrycznie, jakby usiłując pochwycić istotę ciosu, który w nią uderzył.

Nie mogła bowiem zrozumieć dotychczas, co się właściwie stało, ani dlaczego rozpacza tak okropnie.

Straciła poczucie czasu, i najbliższe zdarzenia zasuwwały się pod nią w jakąś nieskończenie daleką przeszłość. Było jej tak, jak gdyby lata już całe krążyła po tym pokoju zziębła i drżąca, z tem niemiłosiernem szarpaniem i wierceniem w pier-

siach, i tą palącą pod powiekami lawą łez, których w żaden sposób spłakać nie mogła i jak gdyby nigdy nie miał być temu koniec.

To znów zdawało jej się, że lada chwila stanie się coś, co rozjaśni wszystko.

Zatrzymywała się na środku pokoju, i z palcem przy ustach, podana naprzód, słuchała.

Wyteżony jej wzrok przebijał ściany i widział w ciemnej klatce schodowej ludzką postać idącą na górę i kierującą się ku drzwiom jej mieszkania.

Jeszcze sekunda... a usłyszy dzwonek, jeszcze sekunda, a przyniosą jej list, depeszę, albo...

Cała jej fizyczna i moralna istota prężyła się w tem namiętne oczekiwanie, w tej tragicznie ludzkiej pewności, jak struna blizka pęknięcia.

Ale sekundy płynęły, zamieniając się w minuty, topniejące smutno i powoli w rozpaczliwej jednostajności deszczowego szeptu.

Ala oba dłońmi chwyciła się za głowę, rozpoczynając znów swą gorączkową wędrówkę.

Postać męża, stojąca jej zawsze przed oczyma, jak żywa, przesłoniła się tumanem jakiejś nie-realności, otaczającym zwykle w wyobraźni naszej dalekie obce krainy i rzeczy, o których wiemy, że istnieją, których rysopis jest nam znany, ale których nie widzieliśmy i nie zobaczymy nigdy.

Ona myślała o nim, jakby myślała o zorzy północnej, lub o morskiem dnie...

Chwilami próbowała koniecznie przypomnieć sobie jego głos i spojrzenie i — nie mogła.

Wtedy stawała znowu i patrzyła uparcie na

drzwi, poza któremi o tej właśnie porze tak często dawało się słyszeć lekkie pukanie i pieszczotliwe słowa: „Czy mój dzieciuś już śpi?”

„Dzieciuś“ zwykle nie spał, otwierał drzwi, silne męskie ramiona oplatały jego delikatne kształty, a gorące, spraghnione usta kładły się na jego różowych usteczkach.

Ala potrząsała głową.

Niel... Niel... To nigdy być nie mogło...

Taki nadmiar szczęścia nie mógł się dziać, bo byłby jej rozsadził serec, jakby je rozsadził w tej chwili, gdyby tak za temi drzwiami... taki głos... takie słowa...

Dławiona wzruszeniem, jakim ją sama ta myśl napełniała Ala biegła do okna, podnosiła białą, namarszezoną roletę i, otwierając okno, wpatrywała się w mokry, ciemny tunel ulicy, przyświecający żółtymi kręgami rozlanych szeroko na bruku odbić latarnianego światła.

Noenry stróż, z głową wtuloną w ramiona, włócił się środkiem, stukając głucho swą ciężką pałką.

Ala z rodzajem ulgi wystawiała rozpaloną twarz na zimne, wilgotne powietrze, nie czując dreszczów, wstrząsających jej członkami.

Jak przedtem na chodniku Hożej, rwała się całą siłą do domu, tak teraz te zaciszne ściany, obciążone blado perłową materją, malowaną w ametystowe gałęzie bzów, wypełnione tą przeszłością, która straszyla ją na podobieństwo fantastycznego widziadła, stały się dla niej narzędziami tortury, czems w rodzaju owych najeżonych kol-

cami drewnianych „mniszek,” w które włączano ofiary średniowiecznych okrucieństw.

Teraz cała jej dusza była pokłuta i ociekająca krwią od tych grotów wspomnień, o które zaczepiała każdą myślą, każdym spojrzeniem.

Zdawało jej się, że gdyby znalazła się w szecerem, pustem polu, z rozszałała dokoła niej wichurą i mokrą chłostą ulewy, smagającą ją nawskroś, byłoby jej lżej.

I zwolna, blado zarysowywała się przed nią myśl, że coś uczynić musi.

Ale dokoła tej myśli, nie pozwalając jej skupić się w określony kształt, błędziła niby pajęczka motowisko, nadzieja jutra...

Te obecne wyczekiwania były chorobliwym urojeniem... zkądżeby w nocy... list... a depesza?

Poco! Przecież nie się nie stało... tam w Sorrento!...

Ale jutro — jutro list będzie z pewnością! Spóźnił się, zawieruszył gdzieś w drodze — to się zdarza — więc go dziś nie doręczono... Jutro za to!

Och! żeby to jutro co najprędzej nadeszło!...

I jej biedną, po raz pierwszy wihrem życia porwaną duszę ogarniała nagle dziwna błogość, ów stan odpływu bólu, pomiędzy dwoma jego przyływami.

A jeśli i jutro zawiedzie — co wtedy?

Druga taka noc?... Gorsza jeszcze!... Nie! nie!... Wszystko, tylko nie to!

Czuła, że podobne męczarnie, trwające bez jakiegokolwiek choćby zmiany, jeśli nie przerwy, przyprawiłyby ją o szaleństwo.

Istotnie — działo się z nią coś strasznego.

Rzec było można, iż cała zdolność cierpienia, nagromadzona w jej duszy i nigdy dotychczas nie zużytkowana, wybuchnęła raptownie i bierze swój odwet potworny.

Tak; Czereza miał słuszość. Ona była naprawdę harfą szklaną, i to, co w innym, odporniejszym instrumencie ozwałoby się może zgrzytem chwilowym, ją rozstroiło zupełnie.

A przecież... to nie było jeszcze owo grzmo-tnięcie pięścią życia, o którym mówił. Ta pięść dopiero wzniosła się nad nią, groziła jej i... struny już pękają!... Co będzie dalej?

I wskrósł tej nieznośnej udręki, która nią szarpała, sączyła się nieokreślona gorycz jakiejś pogardy dla samej siebie, jakiegoś wstydu wobec własnego rozbicia.

Cierpieć... cierpieć tak piekielnie i nawet nie wiedzieć przez co, jakim jadem zatruto jej duszę.

Tam... tam... za temi drzwiami, w mileżącej głębi mieszkania leży zwinięty w kłębek ów tajemniczy gad, który ją ukąsił.

A ona?

Zamiast śmiałą ręką zgnieść żmiję, ona tchórzliwie upuściła ją we własne gniazdo.

A teraz się boi... Tak! boi się!

Nie raz, i nie dwa, kładła dłoń na klamce i chciała biedz, chwycić błękitną kopertę, przynieść ją tu i przeczytać!...

I zawsze nieprzemierzony wstręt i strach przyciągał ją do miejsca. Zwłaszcza strach!

Zimny pot występował jej na czoło; zęby

dzwoniły widziała tę mroczną amfiladę pokoiów, jak w całuny spowitych, obcych takich, i jakby wrogich w tem letniem odarciu ich ze wszelkiej przytulności... Zdawało jej się, że tuż za progiem wyciągną się jakieś zimne, lepkie ręce i nie puszczą dalej...

Och! nie... nie... Nie odważy się nigdy! Jutro... za dnia!

Rzucała się w tył i biegła znów do okna wyrzeć w ulicę, której widok uspokajał ją trochę, przynosząc jej coś z rzeczywistego świata.

Kilka razy zaturkotała zapóźniona dorożka z podniesioną, deszczem ociekającą budą; czarny, brzydki kształt, ciągniony przez drugi jeszcze brzydszy.

Ala wiodła za nią oczyma, usiłując odgadnąć, kto wewnątrz jedzie...

Może młode, szczęśliwe małżeństwo wraca do siebie od obojętnych ludzi, od szarugi, do jasnych, ciepłych, kochanych ścian... Jak im tam dobrze będzie...

Ona miewała powroty takie... przynajmniej tak jej się zdaje.

Kiedy to było?... Przed ilu wiekami?...

I znowu to okropne koło zaczynało obracać się w jej wytorturowanej piersi, doprowadzając ją do takiego rozdrażnienia, że zapędzała się napowrót pod drzwi, gotowa na wszystko, byle tylko raz z tem skończyć, raz wiedzieć całą prawdę.

Lecz ta obezwładniła ją wątpliwość.

Głos wewnętrzny szeptał jej, że to napróżno;

że to, co ta koperta jej powie, nie wystarczy, a tylko wtrąci ją w jeszcze okropniejszy zamęt.

Co począć? co począć?—wołała łamiąc rękę. Godziny płynęły.

Deszcz ustał; sinawy brzask wypijał resztę wilgoci z białych obłoków i kładł trapię refleksy na ramach okien.

W ampli nafta wypaliła się do szczętu; tylko sam knot żarzył się rubinowym krążkiem w szarości, zalegającej teraz sypialnię.

Ala kilkakrotnie rzuciła się na łóżko, próbując napróżno zasnąć.

Była już tak wyczerpana, że zdawało jej się, iż głowę tylko do poduszki przyłoży i wnet zapomnie w błogostawione zapomnienie; lecz myśl okazywała się silniejszą nad fizyczną niemoc i spędzała ją znów z pościeli.

Snęła się więc, coraz wyraźniej świecąc w ustępującej pomroce swą bladą o ściągniętych rysach twarzą; kostniejącą od porannego chłodu, z ustami, jak spalony papier.

— Co począć? Co począć?

W jednej z takich chwil od strony wiedeńskiego dworca doleciał jej uszu przeciągły, ostry gwizd lokomotywy.

Ala drgnęła. Wywrócone do góry dłońmi ręce zaplotła na czole i tak stała, nieruchoma, wsłuchana w przeszywający głos pędzącego gdzieś w przestrzeń pociągu, jak gdyby to była odpowiedź rzucona niespodzianie jej rozpaczliwym pytaniem.

Potem, gdy ostatnie echa świstawki zamilkły, dowlokła się do łóżka i ułożyła się na niem cicho,

w złocistej chmurze swych zwiechrzonych włosów, których nie miała już siły wiązać.

Spała kamiennym snem kilka godzin i pierwsze jej słowa, gdy się około dziesiątej ocknęła, zboleła i bardziej znużona, niż kiedy się kładła, były o list.

Listu nie było.

Pozostawała jeszcze popołudniowa godzina zagranicznej poczty. Ala myślała o niej już bez żadnej nadziei, spoglądając raz po raz na zegarek, a gdy skazówki minęły drugą i dzwonek mógł się lada chwila odezwać, rozpętał się w niej istny huragan oczekiwania.

I znów, jak nocą po sypialni, zaczęła krążyć po całym mieszkaniu; wyglądając przez wszystkie okna, skradając się pod drzwi wchodowe, z sercem nieledwie wyskakującym jej z piersi za lada szelestem.

Cierpienia jej były tak okrutne, że gdyby nie ta myśl, której posiew świstawka odlatującego pociągu rzuciła jej w duszę, a która stopniowo dojrzewała w niezłomne postanowienie, obawa powtórzenia się chwil podobnych jutro, pojutrze i przez szeregi dni następnych, byłaby ją popchnęła do jakiego szalonego kroku.

Ale teraz, gdy ostatnia iskierka prawdopodobieństwa nadejścia listu zagaśła, Ala wróciła do swojej sypialni, gdzie przyniesiono jej obiad, którego nie tknęła, i leżała na szezlongu bezwładna, z zamkniętymi oczyma, jak kwiat podeity burzą, aż do chwili, kiedy służąca przysłała jej oznajmić przybycie Czerzy.

Zrazu nie mogła zrozumieć, czego chcą od niej i kto jest ów Czereza?

Wracająca świadomość rzeczywistości ukazała jej wezorajszy staw, cały w słońcu, niebo nad nim modre, i ją samą—taką inną—słuchającą z uśmiechem niedowierzania słów tego chmurnego mężczyzny, który jej mówił, że ludziom szczęśliwym brak połowy pojęć.

Serec rzuciło się w niej gwałtownie, i w pierwszej chwili chciała powiedzieć, że chora i nie przyjmuje nikogo, zaraz jednak rozmyśliła się.

— Dobrze. Poproś pana Czerezę, żeby zaczekał—rzekła cichym głosem.—Zaraz przychodzę.

Pomimo wszystkiego co się w niej działo, była, jak zawsze, starannie ubraną i uczesaną.

Miała instynktowny wstręt do czynienia z siebie widowiska, choćby dla oczu służby. Zresztą te drobne zajęcia koło własnej osoby dopomogły jej przebyć możliwie przedpołudniowe godziny, a czesanie sprawiało jej nawet prawdziwą, fizyczną ulgę.

Siedząc przed zwierciadłem, długo i powoli puszczała przez grzebień złote strumienie swych włosów, sięgających jej kolan, przyczem z rodzajem zdziwienia przyglądała się własnemu odbiciu.

Tak jeszcze nigdy w życiu nie cierpiała, a książki i ludzie tyle jej naopowiadali o straszliwej ruinie, jaką nieszczęście wypiętnowyywa się na powierzchowności, że z dziecinną obawą spodziewała się ujrzeć twarz swą pooraną zmarszczkami, a włosy przyprószone siwizną.

Tymczasem, prócz liliowej bladości i głębo-

kich smug pod oczami, których blask zwiększył się nawet, nie było w niej żadnej zmiany.

Nie dostrzegł jej na pierwsze wejrzenie i Czereza, choć swoim zwyczajem, gdy tylko Ala weszła do salonu, na którego środku stał, utonął w niej łakomemi oczyma i, nieruchomy, pozwalał jej zbliżyć się do siebie, jak gdyby to jej zbliżanie się było melodją, z której nie chciał utracić najbliższej nutki.

On za to wyglądał zupełnie inaczej, niż wczoraj.

Ubrany był w nowy, zapewne po raz pierwszy włożony wizytowy garnitur i elegancka czarność tego stroju uwydatniała nadzwyczaj korzystnie wrodzoną wytworność jego postawy. Cerę miał mniej żółtą, oczy jakieś wypoczęte, a w ich wyrazie i w złożeniu wązkich ust nieme dziękczynienie i dziwnego wdzięku pełną, nieśmiałą pieszczotę.

W rękę trzymał dużą wiąź żółtych róż i tuberozów.

Słońce tylko co zaszło i salon wypełniony był ciepłem, zmatowanem światłem, w którym ważyły się ostatnie drżenia różowości i złota.

Ala stanęła przed Czerezą i nie mówiąc, w obawie przed własnym głosem, podała mu rękę.

Leż on tak był wzruszony tem zaczynającym się sam na sam — ich pierwszym sam na sam pod tym dachem, pod którym ta na stracone kochana kobieta żyła z innym mężczyzną — że nie zwrócił uwagi na to mileżące powitanie.

Pochylił nisko swą łysą, równo z karkiem ściętą głowę i zgięty położył same końce palców

młodej kobiety na dolnej, rozchylonej wardze. Nie całował ich, tylko wdychał je w siebie długo, jak woń kwiatu.

— Dziękuję — wyrzekł wreszcie, nie zmieniając postawy.

— Za co? — spytała, czując, że nie powinna dłużej milczeć.

Z nadzwyczajnym wysiłkiem zdobyła się na swobodne prawie brzmienie głosu; lecz pomimo to było w nim, nawet dla jej własnych uszu, coś cudzego.

— Za to, że tu jestem — odszepnął i nagle — jakby teraz dopiero czemś uderzony — wyprostował się.

— Co pani jest?

Odwróciła nieznacznie głowę, unikając jego wzroku; on jednak zdążył już dostrzedz nietylko głęboką bladość jej słodkich rysów i ciemne piętna pod spuszczonej powiekami, lecz i to wszystko dla oka nieuchwytnie, wyczuć się tylko dające, co ją od wczoraj uczyniło taką inną.

Kwiaty wypadły mu z ręki.

— Pani Alo! Na Boga — zawołał przestraszony. — Z panią się coś stało.

Pochwycił obie jej dłonie, zwieszające się pomiędzy fałdami lekkiego, liljowego szlafrocza.

— I te rączki!... Takie zimne!... Ja panią nigdy jeszcze taką nie widziałem... Bałwan ze mnie ostatni, żeby też zaraz... — Co pani jest?

Zamiast odpowiedzi podniosła na niego oczy, mówiące z taką prośbą: „Nie pytaj! Nie dręcz mnie“ i z taką smutną stanowczością: „Czy nie ro-

zumiesz, że ja ci nie nie powiem," że paścił jej ręce, i stał, raptem zastygły, jak zdmuchnięty płomień, z brózdą na czole i zaciśniętymi ustami.

Ala zwolna spuściła powieki i westchnęła leciuchno.

— To dla mnie?—rzekła z nikłym uśmiechem, spostrzegając leżące na posadzce róże.

Czereza syknął.

— Już nie dla pani—odparł drewnianym głosem.—Upadły na ziemię.

— To nie nie szkodzi. Proszę mi je podać, panie Michałe.

Nie poruszył się.

— Pani daruje. Nie miałbym serca ofiarować ich pani—teraz... Oti głupie róże! Gdyby umiały mówić, toby one pani wytłómaczyły... Sacramentol... Ale, oti jak głupcom bywa.

Wązką, rasową, w błyszczący lakier obutą nogę postawił na kwiatkach i zdeptał je.

Ala patrzyła na to w milczeniu z jakąś tępą zadumą.

Westchnęła ponownie.

— Może mi lepiej iść?—zapytał szorstko.—Panią, jak widzę, głowa boli... Podwójny natręt ze mnie. Przyjdę innym razem.

Nie odchodził jednak, patrząc na nią chmurnie z pod ściągniętych brwi.

Szalona, nowa zazdrość, zazdrość o jej cierpienie, które widział po raz pierwszy, a którego podzielić z nim nie chciała, wzdęła mu piersi.

Był wściekły na nią, jak gdyby broniła mu

czegoś, co było jego niezaprzeczoną własnością, do czego miał najwyższe, z góry mu dane prawo.

A jednocześnie czuł, silniej, niż kiedykolwiek, że nie było na świecie takiego bohaterstwa i takiej podłości, którychby dla niej nie popełnił.

— Idę — powtórzył, ku drzwiom się zwracając.

Ala uczyniła ruch powstrzymujący.

— Nie. Niech pan zostanie. Jestem rzeczywiście trochę... cierpiąca; ale mi będzie lepiej z panem. Usiądźmy. Który to jest ten kącik, panie Michale, przez pana wczoraj wspomniany?—dodała, siłąc się znowu na uśmiech.

Machnął ręką.

— Co tam! Niema dla mnie żadnych kącików na tym świecie... tak mi się widzi. Ale to ten... chociaż już nie ten...

Wskazał najgłębszy róg salonu, w którym, pod piękną kopją neapolitańskiej Galatei, na smoku jadącej, stała niska, przytulona „berżerka,” mając z boku stoliczek o blado zielonym blacie z inkrustacją białego jawora w lilje secesyjne.

— Obeo tu dzisiaj — zauważył, rozglądając się.—Wszystko w pokrowcach. Meble i... nie meble. Wolno?

Usiadł na brzeżku kozetki, w której drugi kąt zasunęła się Ala, łokcie na rozstawionych kolanach oparł, i zgarbiony, patrzył w posadzkę, z lekka dłonią o dłoń uderzając.

Ala z tą samą tępą zadumą pochyliła głowę i wzrok jej tkwił uparcie w zdeptanych kwiatach. Mocna, brutalnie wycisnęła z nich woń rozwłó-

czyła się konając po zapyłonych, dawno nie froterowanych taflach posadzki, i podpływała ku tym dwojgu, w ciężkiem milezeniu siedzącym, jak żaloszny, sponiewierany czar.

— Pani była ciekawa Ryty Szemko—odezwał się nagle Czereza. — Przyniosłem jej fotografię — nie w żadnej roli—choć... może to właśnie jest jej największą rolą.

Ala drgnęła i przez chwilę zbierała myśli.

Ryta Szemko?

Ach, tak! To również jedno więcej widmo z tamtego brzegu życia, po którym szła jeszcze wczoraj.

Takie dalekie, zamglone widmo, kiedy na nie patrzy ztąd, gdzie stoi teraz...

Uczuła znów to szczególne szarpnięcie w piersiach, jakiego doznawała na wspomnienie wszystkiego, co się zdarzyło przed tamtą straszną, zwrotną chwilą...

Więc ją naprawdę obchodziła tam... niegdyś...

Ryta Szemko? Jakie to dziwne.

Machinalnie wzięła z rąk Czerezy gabietową fotografię i oparła ją na kolanach.

On zauważył tę obojętność, tak sprzeczną z jej wczorajszem zaciekawieniem, i wpił paznokcie w dłoń.

Niegodziwał okrutna! wie, że ostatnią kroplę krwi oddałby dla niej, i nawet tego... nawet swego bólu mu skąpi.

— Cóż? Podoba się pani?—zapytał sykliwie.

Fotografia przedstawiała Ryte Szemko do kolan, w postawie stojącej, prosto, bez żadnego zwro-

tu ciała, z rękoma opuszczonemi równo, w pewnem od bioder oddaleniu, na tle jakiejś ściany, do której przylgnęła głową, plecami i dłońmi w taki sposób, że zdawała się się być, jakby rozpiętą na niej.

Ściana była biała, gładka, tylko z jednej strony padał na nią cień postaci i czarnych, aż po twornie obfitych włosów aktorki, kłębiących się nad bardzo niskiem, szeroką płaszczyzną zatoczonym czołem, i spadających luźno w ktrótszych i dłuższych, widocznie naturalnych skrętach, na długą, silną, jak kolumna, odsłonioną szyję, na ramiona, oblepione gładką tkaniną wązkich, bardzo długich rękawów, aż poniżej pasa.

Biała, bez żadnych ozdób, jakimś futerałowym krojem uszyta suknia, spięta u piersi na dwa wielkie, czarne guzy, zaznaczała zarówno brak gorsetu, jak przepyszną spoistość i jędrność kształtów, które musiały być giętkie i mocne, jak stal.

Twarz nieco spłaszczoną, mądrze zadumana, niepokojąca, miała w swych dziwnych, jakby nie-europejskich rysach nieopisane połączenie bujnej, namiętnej pierwotności z przesabtelnym modernizmem.

Rzekłbyś: bohaterka Nibelungów, jakaś Freja, lub Iduna skandynawska, ołówkiem Jones Burne'a na papier przeniesiona.

— Podoba się pani?—powtórzył Czereza.

Oderwała z wolna oczy od tej nadzwyczajnej postaci, zaczynającej działać na nią, wbrew jej odrętwieniu, jak niezrozumiałe dźwięki, w których

wyczuwamy treść ważności pełną, i rzekła z namysłem:

— Ona się nie może podobać... To za słabe dla niej... Ona... zdaje mi się... może budzić tylko jakieś krańcowe uczucia.

— Naprzykład wstrętu — poddał Czereza — Zgadzam się. We mnie budzi wstręt. Widziała pani kiedy takie włosy? To sprawia takie wrażenie, jak gdyby była cała kosmata, jak wilezyca... Stanowczo jest coś zwierzęcego w tej kobiecie...

Ała wpatrywała się wciąż w fotografię.

— A jednak — wyrzekła po chwili — jest tyle duszy w tej twarzy!... Jakiejś zbuntowanej, cierpiącej duszy... Widzi pan? Ona ma usta tak złożone, jakby za nimi krył się krzyk... straszny krzyk... Musiała być niegdyś bardzo nieszczęśliwa... Może jest nią jeszcze.. pomimo swoich tryumfów.

Mówiła z przestankami, bezwiednie, zmęczonym głosem, który podrywał Czerezę z siedzenia.

— Hm!...—mruknął.—Zkąd się pani wzięło dośzukiwać nieszczęść?... To jest nowy sposób patrzenia u pani. A co się tycze tej damy, to podobno ona już zdążyła blizkich sobie unieszczęśliwić... Matkę, męża, czy kogoś tam... Tak coś sły-szałem... bo skoro się pani nią zainteresowała, chcia-łem się wywiedzieć... Aj! aj! aj! Sacramento! pani ma niezdrową ciekawość, pani Ało.

Ała wstrząsał dreszcz i nagle fotografia Ryty Szemko poczęła jej ciężyc nieznośnie.

Położyła ją na stolik.

— Niezdrową ciekawość — powtórzyła cicho,

patrząc przed siebie. — Tak... ciekawość może być bardzo niezdrowa. Może być nawet... tragiczna.

Czereza spojrział na nią z ukosa i zgarbił się jeszcze bardziej.

— Tragiczna? Nigdy! — rzekł sucho. — Jest na to za płaskim uczuciem.

— A jeśli — mówiła dalej, jakby do własnych myśli—jeśli pragniemy dowiedzieć się czegoś... gorąco... całą naszą istotą, choćby kosztem życia? Jeśli w tem niewiadomem tkwi jakaś okropna groza, jakieś wszystko druzgocące przeświadczenie... a my pomimo to chcemy? Jak pan to nazwie?

Podniósł raptem głowę.

— Jak ja to nazwę? Ja to nazwę żądzą prawdy, pani Ało. Taką, która ma nogi, jeśli się odnosi do naszych małuczki, osobistych spraw; i taką, która ma skrzydła, jeśli ogarnia wielkie zagadnienia wszechbytu. Czy zaś tę, czy tamtą, nazwę ją zawsze przekleństwem ludzkości. Tak, cudna pani. Niema głodniejszego Molocha nad prawdę... Więcej ona pożarła i pożera ofiar, niż ciemnota, więcej, niż zbrodnia, więcej, niż piekło... Ale co pani do Hekuby? Pani sama jesteś wcielaniem prawdy, piękna!... Nie szukaj nigdy innej! *Sacramentol...* Nie szukaj!

Ała powstała szybko. Słowa Czerezy wydały jej się jakby przeniknięciem leżącego na dnie jej duszy postanowienia, a zarazem złowróżbną przestrogą przed jej spełnieniem.

— Zapomniałam o kawie—rzekła nerwowo.— Pan się napije ze mną czarnej kawy?

Czereza zaśmiał się z goryczą.

— Programowy numer rozwianego mirażu — powiedział, wstając także. — Owszem; napiję się. I kieliszek koniaku, jeżeli łaska. Oti brutalne bydlę ze mnie zawsze, ale poproszę o więcej, niż jeden kieliszek koniaku.

Ala spojrzała na niego smutnie i, nie nie rzekłszy, wyszła.

Gdy wróciła, zastała Czerezę stojącego nad swemi zdeptanemi różami.

Był tak zadumany, że nie słyszał szelestu otwierających się za jego plecami drzwi, i Ala zatrzymała się i patrzyła na niego, zdjęta nagłą tęsknotą powiedzenia mu wszystkiego, jak brata, spytania o radę, dławiona okrutną samotnią swego bólu, która straszyla ją, jak zabłąkane w lesie dziecko.

Ale nie; to było niemożliwe.

Splotła ręce i nieznacznie, bezwiednie wyciągnęła je ku niemu. Ochl to dziwne, niepojęte poczucie owej straty, owego rozminięcia się...

Czemu? Czemu?

I stali tak, zdala od siebie, w sypiącym się coraz gęściej mroku; a udręczone ich dusze latały, nie widząc się, jak ośleple ptaki w jałowej za sobą pogoni.

Służąca wniosła tacę.

— Panie Michale—proszę!—odezwała się Ala łagodnie.

Obejrzał się i oczy ich, na sekundę zahaczyły o siebie, jakimś dla nich samych niepochwytnym wyznaniem.

Tymczasem służąca stawiała tacę na stoliku i czyniąc to, zrzuciła fotografię Ryty Szemko na ziemię.

Nikt z nich nie zauważył tego, a liljowy tren szlafroka Ali powlókł się po niej i wmiótł ją pod kozetkę, gdy siadali na dawnych miejscach.

Czereza nalewał sobie jeden kieliszek koniaku po drugim i pił zapatrzony na białe, drobne palce Ali, migające delikatnie wśród złoconych przyborów serwisu.

Miał szalenie mocną głowę, mógł sobie pozwolić.

Od wielu lat tranek nartował jego organizm, jak robak toczy drzewo, skrycie i już bez ratunku.

— Zimno mi było — rzekł, jakby tłómacząc się i odstawił butelkę.

— Ściemnia się — mówił dalej powoli. — To i dobrze. Dziś tak mi jest, że chciałbym panią widzieć tylko mętnie, jak z oddali... To mi jakoś wchodzi w ton...

Zrozumiała ukryty w tych słowach wyrzut i wzruszyła się nim. Ale — cóż mu mogła powiedzieć?

Zamilkli oboje i, tylko od czasu do czasu, jakieś krótkie zdanie banalne i wymuszone spadało z tego milezenia ciężko i głucho, niby dojrzały owoc z drzewa.

Zapach kawy, koniaku i umierających kwiatów krążył dokoła nich w popielatym falowaniu powietrza, jak zmysłowa pobudka, która nie miała żadnej władzy nad ich młodością.

Stopniowo gniew i gorycz ustępowały z duszy Czerezy.

Ostatecznie, o cóż chodziło?

Pogodził się już przecież oddawna z tem, że był niezem w jej szczęściu, zkażdże więc to dzikie uroszczenie, aby się stać dla niej czemś w jej cierpieniu?

Ważniejszem, jedynie ważnem było to, że ona—cierpiała. Dlaczego? Co jej się stało? Zbyt dobrze znał ją i jej życie, żeby rozumieć, że dla niej źródło takiego, tajonego bólu, mogło być tylko jedno...

Wszystko inne, jakieś nagłe nieszczęście, z rodziną jej związane, z tem by się nie kryła, zwłaszcza przed nim, który w domu jej ojca uważany był prawie za syna.

Więc to się tyczyło... tamtego. Ale w jaki sposób? Przecież nie wiedziała nawet, gdzie się znajdował.

Zatem — przez ludzi.

Przypomniała mu się ta chwila wczorajsza, kiedy ją odprowadzał, i kiedy przy wzmiance o Lwowie stanął na chodniku, światłem nagłych zestawień uderzony. O! jakże był sobie wdzięczny, że nie uległ podszeptowi szarpiącej nim zazdrosnej namiętności, że nie rzucił bodaj jednego słówka.

Gdyby to był uczynił i dziś ją taką zobaczył, strzeliłby sobie w łeb, jak psu...

Ale czego nie zrobił on, mógł zrobić ktoś inny, i ten ktoś mógł wiedzieć więcej od niego, który miał tylko garść zapamiętanych wyrażen, jakieś

spojrzenie, jakiś ruch, kilka mętnych kombinacji, na poparcie swoich przypuszczeń.

A ta kobieta była zanadto szczęśliwą, zanadto czystą, zanadto dobrą, żeby jej to długo uchodziło bezkarnie.

Świat nie toleruje podobnych wyjątków.

Ale kto? Kto upuścił kroplę błota na ten kryształ?

Oczywiście nie pani Oldaniecka.

Czereza nie miał przekonania do ciotki; niecierpliwiła go ciasnota jej pojęć i formalistyka, oddawał jednak sprawiedliwość prawości jej charakteru, a zwłaszcza jej ogromnej dyskrecji!

Więc może ta nawpół zdziecinniała paralityczka? Odwiedzało ją ciągle tyle bab, nie mających nic innego do roboty, prócz mielenia językiem.

Postanowił wybadać Alę, i, jeśli podejrzenia jego były słuszne, spróbować w jaki uboczny sposób zaradzić złemu.

— I cóż panna Konstancja?—zapytał od niecheenia. — Wystawiła piec na środek pokoju dla przyjęcia Pani? Warta była wczorajszej ofiary?

Ala zmieszała się; lecz zupełny pomrok, w jakim siedzieli, nie pozwolił Czerezy dostrzedz jej nagłego rumieńca. Zawahawszy się — odrzekła:

— Nie mogłam być u niej. Czułam się niezdrową...

— Al... Więc spędziła pani wczorajszy wieczór samotnie?

Wstrząsnęła się na wspomnienie tego wczorajszego wieczoru.

— Tak.

Nie mógł nalegać więcej. Zresztą zaczynał mówić sobie, że się omylił. Gdyby zatruto jej spokój w kierunku, jakiego się obawiał, nie byłaby mogła przed niedawną chwilą zachowywać się tak obojętnie, mówić tak bezstronnie...

Niel! Niel! co za niedorzeczność.

Więc co? Więc co?

Służąca z własnego domysłu wniosła lampę, postawiła ją na rozkaz Ali w najdalszym rogu salonu, przysłoniwszy żółtym, jedwabnym abażurem.

Objął ich miły, ciepły półcień.

W tem oświetlenia twarz młodej kobiety miała swą zwykłą, wiosenną białość owocowego kwiecia; tylko blask podkrążonych oczu zmienił się: nie była to już owa słoneczna przezrocz górskiego źródła, lecz jaskrawe, niespokojne odbicie, pełgającego na dnie duszy ognia.

Wzrok jej jakby zaostrzył się. Przez pryzmat własnej udręki patrzyła na Czerezę i ta jego łysa, spieczasta głowa, ostre, szyderską melancholją ściągnięte rysy i żgarbione plecy, po raz pierwszy, z jakiegoś niewyraźnego pisma, stawały się dla niej nagle czytelną historją zwichniętej doli tego człowieka, który, w niej szczęście swe złożywszy, nigdzie go już znaleźć nie mógł.

Zdjęła ją nad nim ogromna, czysto kobieca litość i tkliwa chęć znalezienia dla niego w swem sercu czegoś... czegoś, coby mu w ten wieczór dzisiejszy, mogący nie powtórzyć się już nigdy, ofiarować mogła, jak kwiat niezapominajki na przyszłość całą.

Ale niezego takiego nie znajdowała, a chwile płynęły.

On jednakże z tą charakteryzującą ich stosunek wrażliwością, odczuł ten jej nastrój.

Nieśmiało, lecz wewnątrznie pewny, że mu to odmówione nie będzie, ujął jej rękę, położył ją sobie na dłoni, i dwoma palcami drugiej ręki obwodził delikatnie jej śliczne linje. Była cała subtelna tragedia w tej pieśszczocie żaka, na jaką jedynie pozwalał sobie, on, którego wściekła wyobraźnia, pobudzona żądzą i trunkiem, tylokrotnie w ciszy bezsennych, piekielnych nocy, zataczała dokoła wizji tej kobiety kręgi najzmysłowszych uniesień.

I minęło znów w ten sposób sporo czasu.

— Panie Michale—przemówiła wreszcie Ala— która godzina?

Ocknął się i spojrział na zegarek.

— Wpół do dziesiątej! Poruszyła się niespokojnie.

— Już!—zawołała z rodzajem przest్రachu.

— Aj! aj! Sacramento... Już.

Popatrzył na nią wyczekująco.

— Powinienbym pójść precz—zaczął po chwili. Ale... O! co tam!... Krzty ambicji we mnie nie zostało... Gorszym od żebraka, Sacramento... Pani Alol... niech mi pani pozwoli zostać jeszcze... Jeśli pani tylko nie zanadto zmęczona... I tak z tą resztą wieczora, co pani będzie robiła?... O! bezwstydnym wyzyskiwacz... Niech pani pozwoli.

Wyrzucał z siebie wyrazy nerwowo, krztusząc się, jak zwykle, gdy mu przychodziło prosić o co.

Ala milczała... Każde jego słowo rozdzierało jej serce...

Taki drobiazg... takie nic, i tego nawet uczynić dla niego nie mógł!

Co ona będzie robiła z resztą wieczora?...
Boże! o Boże!

Zrozumiał niemą odmowę jej milczenia.

— Wypędza mnie pani? — rzekł bez gniewu, z wielkim tylko smutkiem. — Ha! co począć... To i pójdę sobie.

Wstał — lecz i ona zerwała się z kozetki, jak żywym ogniem dotknięta.

— Niech pan tak nie mówi, panie Michale — wykrzyknęła z żalosną porywcznością. — Niech pan nie odchodzi z takimi słowami... Ja nie chcę... Ja nie mogę tak dzisiaj pana... O! mój Boże!... Pan widzi, że ja... Pan zawsze dla mnie, od tylu lat... O! mój Boże... Taki dobry... O! mój Boże!

Usta jej się poczęły trząść; karcz chwycił za gardło, nie mogła mówić dalej.

Czereza stał bez ruchu.

Po raz pierwszy widział te słodkie rysy wzburzone i pasujące się z bólem i widok ten sięgnął do najtajniejszych głębin jego duszy, do marniejących tam skarbów tkliwości, których nie było na kogo złać.

— Biedne dziecko — wyszeptał takim głosem, jakiego nikt jeszcze u niego nie słyszał. — Moje anielskie dziecko! Co tobie?

Było w tych słowach tyle najczulszej miłości, że nie mogła, nie mogła dłużej...

Z nagłym zaniemieniem się rzuciła mu sple-

ciłone ręce na ramię i kryjąc twarz na jego piersiach, wybuchnęła płaczem.

Zastygła lawina bólu, gniotąca od wczoraj jej duszę, rozplynęła się strumieniami łez, i cała cudna dziecięcość jej natury, owinięta dotychczas w szczęście, jak w liść aloesu, i w niem przechowana, pomimo jej dwudziestu dwóch lat i zamężcia, objawiła się teraz tą nieprzewartą potrzebą utalenia i osłony.

O tem tylko pamiętała, że ma przy sobie kochające serce, i to serce nie miało dla niej płci. Garnęła się do niego, składając na niem ciężar swego cierpienia, jak znużony wędrowiec opiera swe brzemie o drzewo na wypoczynek chwilowy, przed dalszą drogą.

I łkała przeciągle, rozpacznie, oplatając konwulsyjnie ramię Czerezy rękoma, muskając mu szyję bezwiedną pieczęcią włosów.

A on stał, jak przedtem, bez ruchu, bez słowa. W pierwszej chwili, gdy to śliczne ciało, na którego samo wspomnienie, krew rozsadzała mu żyły, poczęło drżeć i wieść się na jego piersi, owładnął nim szal.

Zaszumiało mu w uszach; oczy zaszły czerwona mgłą; na nic nie pomny, chciał opleść ją rękoma, wtłoczyć w siebie namiętym uściskiem, pocałunkami szukać kobiety na jej ustach rozszłochanego dziecka...

— Ha!... jedną, jedną taką chwilę mieć w życiu, a potem — niechby go już wypędziła, niechby się świat nad nim zapadł... Gwałt żądy zawył w nim o tę jedną chwilę, jak głodny szakał.

Jego chude, nerwowe palce otwierały się i zamykały w powietrzu i nagle opadły sztywne i martwe. Dyszące wargi zniknęły w zębach, skureczona twarz wydławiła się agonją zdławionego przez dach zwierzęcia. Krótki, głuchy okrzyk bolesnego tryumfu warknął mu w piersiach i zmieszał się z żalosnem zawodzeniem Ali.

Nie mówił do niej nic; nie próbował jej uspokajać; stał wyprostowany i silny, dając jej to jedno, czego potrzebowała w tej chwili; oparcie i bezpieczeństwo.

Dopiero, gdy wyczerpana płaczem, poczęła się słaniać, a łkania jej stawały się coraz cichsze, wziął ją na ręce, uniósłszy z ziemi, jak gdyby nie miała żadnej wagi, złożył delikatnie na kozetec i owinął jej drżące stopy trenem szlafroka.

Karafka z wodą stała na tacy. Nalał trochę do szklanki, wpuścił kilka kropli koniaku i dał jej się napić. Potem zwilżył chustkę i ostrożnie otarł jej pałające policzki.

— Dziękuję, dziękuję — szeptała Ala, znajdując niewysłowioną ulgę w tem jego miękkim krzątaniu się dokoła siebie.

Wzięła jego zlodowaciałą rękę i przyłożyła ją do swych nabrzmiałych powiek, z pod których zwolna sączyły się ostatnie, zupełnie już nieme łzy.

— Dziękuję — szepnęła raz jeszcze.

Czerza przykląkł. Jakieś mętne wspomnienie mignęło mu w pamięci. W ten sposób klękał niegdyś w kościele, kiedy był małym chłopcem i umiał się modlić.

— Panie Michale—przemówiła Ala po chwili, puszcżając jego rękę i otwierając oczy.

— Co?

Popatrzyła na niego — a on nie miał już wspomnieć tego spojrzenia do końca życia.

— Niech mnie pan pocałuje... i niech pan idzie.

Przymknęła znowu powieki i leżała na wznak z rękoma, złożonemi na owijających ją szczelnie z prostotą całunu fałdach szlafroka, blada i taka już spokojna, jak w trumnie.

I w Czerezy był spokój, gdy, usłyszawszy te słowa, wstał z klęczek, pochylił się nad nią i zlekka dotknął ustami jej ust zimnych i nierachomych, kładąc jednocześnie dłoń na jej złotej głowie. Gdyby była naprawdę umarła, nie mógłby jej całować inaczej.

— Dobranoc, słodkie dziecko — wyrzekł po cichu. — Dobranoc. Zaśnij.

Potem, cofając się ku drzwiom plecami, ze wzrokiem utkwionym do ostatka w jej zmartwiałej twarzy, o zamkniętych oczach, wyszedł z pokoju.

Czereza nieraz bywał pijany, i znał ten stan, kiedy nogi i głowa gonią za jakimś chimerycznym środkiem ciężkości dla reszty ciała, a w przestrzeni niema jednego stałego punktu dla oczu.

Dziś jednak po raz pierwszy doświadczył, że można równie dobrze upić się wzruszeniem, jak wódką.

Gdy, trzymając się mocno poręczy, zeszedł ze schodów i gdy go owiało chłodne, wieczorne

powietrze ulicy, zatoczył się i wpadł prawie na plecy jakiegoś niemłodego pana z teką pod pachą.

Niemłody pan odwrócił się, a ujrzawszy człowieka przyzwyczajonego ubranego, o twarzy inteligentnej, odtrącił go ze zgorzeniem.

— Ach! podły dekadencie! — krzyknął, dając do poznania, że jedna przynajmniej cecha nowego kierunku literatury nie jest mu obca.

Czereza wybełkotał niezrozumiale: „Przepraszam” — i oparł się o ścianę domu, ciężko dysząc.

Długo stał tak, nie czując w sobie żadnej woli postąpienia krokiem w lewo, lub w prawo.

Poco? dokąd?...

I czego on już wogóle pójdzie szukać po świecie?...

Napełniło go to szczególne, potworne zgnębienie, przychodzące bezpośrednio po jakimś niespodzianem, wielkiem szczęściu — szczęściu bez jutra.

Spotkało go to, o czem nawet zamarzyć nie śmiał, a przecież... Przeżył chwilę, za którą bez wahania oddałby życie i... co dalej?...

Chwila minęła... nie wróci... i—co dalej?... Nie wrócił... Nie nie wraca...

Są tylko rzeczy, które trwają... naprzykład puste, zmarnowane życie...

Gdyby przeszło, nie wróciłoby także... Ale ono trwa... Ono trwa — a chwila minęła!.. Więc — co dalej?

Wirowało mu w mózgu to pytanie, nakształt młynka, to znów czuł je, niby tępy stuk młotka, gdzieś z tyłu czaszki.

Wreszcie spostrzegł, że nieliczni już w tej porze przechodnie zaczynają mu się przyglądać...

Wtedy potarł palcami oczy, odetchnął głęboko i powlókł się ku domowi.

Mieszkał niedaleko w Alejach Jerozolimskich i zajmował na czwartym piętrze ogromny, rotundowy pokój z widokiem na kolej wiedeńską i na Wisłę.

Czereza miewał swoje fantazje. Przed kilku laty, gdy się tu sprowadzał, zachwycony liczbą okien, kupił do nich i do drzwi kosztowne, wschodnie portjery, a do portjer wspaniałą otomanę i projektował z czasem dodać do tego prawdziwy smirneński dywan, stylowe biurko i inne szczegóły urządzenia. Ale już po kilku tygodniach zobojętniało mu to wszystko.

Nigdy nie trzepane portjery porastały kurzem; otomana nosiła ślady zabłoconych butów i wygniotła się od ciężkich pak z książkami, które na nią składano.

Bo książek przybywało ciągle. Nie były to piękne, solidnie oprawne, w wytwornych szafach uszeregowane tomy, jak w gabinecie Oldanieckiego, lecz stare, obdarte wydania, nadgryzione przez mole szpargały, dokumenty, rękopisy, które Czereza skupował głównie po żydowskich antykwarniach, lub z prywatnych, przez licytację sprzedawanych zbiorów.

Znajdowało się wśród nich kilka cennych, białych kraków, z wielkim trudem wyszperanych. Czereza nie byłby ich odstąpił za żadną cenę, ale

swoją drogą miał je nie w większym poszanowaniu niż portjery i otomanę.

Walały się po kątach.

Była tu przecież rzecz jedna, o którą dbał, jak o źrenicę oka: niewielka, kokosowa palma, darowana mu przez Alę, kiedy był w fazie „meblowania się.“

Czereza sprawił dla tej palmy osobny stolik, sam ją podlewał, ścierał z niej pył gąbką i ustawiał w coraz innym oknie, pilnując, aby miała zawsze jak najlepsze światło. Gdy raz straciła dwa liście, poruszył wszystkich ogrodników w Warszawie, zasięgając ich rady, i byłby ją wysłał na kurację do Pekinu, gdyby tam istniał zakład dla chorujących palm.

Czereza nigdy nie mógł sobie przypomnieć, jakim sposobem znalazł się tego wieczora na swoim czwartym piętrze, jak otworzył drzwi i zapalił lampę... Wszystko to czynił za niego ktoś inny, chwilowo w nim przebywający.

Dopiero rozejrzawszy się dokoła przy świetle, oprzytomniał.

Chwyliła go martwota tego ogromnego, mrocznego pokoju i rozpaczliwe zaniechanie, jakim teńczyły te masy spleśniałych draperji, zwieszające się dokoła w zapyłonych, zmiętych fałdach.

Pod ścianami, spiętrzone stosy książek majaczyły w cieniu, na podobieństwo nawpół rozwalonych mogił.

Ciasno tu było a zarazem pusto; i nieporządek, i duszno, a nadewszystko chłodno... dziwnie chłodno.

Czerzą wstrząsnął dreszcz bezlitosnej, brutalnej świadomości.

Tak... oto był jego życiowy port; jego domowe ognisko, jego wszystko „własne“ na całym świecie.

Rozejrzał się znowu dokoła, z jakąś głuchą nienawiścią...

Czuł, że przecież coś tu czynić musi; ale co?...

Wrosnąć w tę podłogę; zdrewnieć jak ona; dać się przysypać prochowi, jak te portjery, zbutwieć, jak te szpargały... ot, co byłoby najwygodniejsze, ale — niewykonalne.

Ociężale zbliżył się do stołu zawalonego papierami, w mętnej nadziei, że znajdzie tu o coś zaczepić myśl i zdjął paltot, bo, pomimo wiejącego z tych ścian chłoda, płonął cały wewnątrz.

Spostrzegł swój nowy, wizytowy garnitur i niewiedomo dlaczego wydał się sobie w nim bezdenie śmiesznym, wstrętnym i... głupim. Ochl jak głupim!

— S a c r a m e n t o ! — syknął przez zęby...

Począł gwałtownie rozpinać guziki palmersto-
na, w tem wzrok jego padł na dużą, wilgotną plamę, odznaczającą się jeszcze wyraźnie po lewej stronie przodu.

To były ślady jej łez... jej pierwszych w życiu łez, wyplakanych na jego piersi...

Opuścił ręce: Wezbrała w nim duma, i ból, i szczęście, i pogarda dla siebie samego za to szczęście...

Jej łzy!... a on pysznił się i upajał wspomnieniem tych łez... Ach! tak!.. Nikt inny ich nie po-

siadł... jemu oddała dziewictwo swego cierpienia, jak tamtemu słoneczne dziewictwo swej miłości... Należała do niego — choć tem...

— Bydlę, podłe bydlę — wyszeptał, próbując zdusić okrutną radość tego bolesnego posiadania.

I kurezowo przyciskał dłonią splamione miejsce, jak gdyby chciał wilgoć tych łez w ciało sobie wprowadzić.

— Moje... moje... to moje...—powtarzał drgającymi ustami.

Nagle błysła mu myśl...

Chwycił ze stołu otwarty seyzoryk i szarpnięciem ostrzem cienkie sukno wyciął cały ten mokry płatek, niepomyślny na dwa względy, które byłyby wstrzymały każdą rozważniejszą rękę: po pierwsze, że nie posiadał innego wizytowego garnituru; po drugie, że ten nie był jeszcze zapłacony.

„Aj! aj! Sacramentol!“—gdyby w tej chwili surdut ten przedstawiał nie tylko całą jego garderobę, ale całą przeszłość, byłby go zniszczył tak samo.

Następnie osunął się na krzesło, sukno na wyciągniętej dłoni położył i, zwykłym mu ruchem, brodę w palce ująwszy, patrzył... Patrzył — jak gdyby ją samą miał przed oczyma... na ten strzęp czarnej tkaniny, w który wsiąkło coś z duszy ukochanej kobiety i jakaś materialna cząstka jej istoty; patrzył, jak ta utajona obecność rozpoczynała w owym strzępku swe odrębne mistyczne życie pamiętki.

Zwolna, z zadumy, w jaką popadł, wyłaniał się nieznany mu dotąd czar: czar dziwnie czystego,

słodkiego rozrzewnienia, i padał mu na duszę, przepaloną ogniem żądź i piołunem zawodów, jak rosa rzeźwiąca.

To, co uczynił, było znowu postępkiem żaka, a przecież nie wstydził go się, nie wydawał się sobie śmiesznym.

Czuł się tylko młodym, pięknie młodym...

Było mu tak, jak gdyby ta wiosna życia, która odeszła skąpa i nieużyta, zwracała się teraz ku niemu, rzucając mu zdaleka garść nie oddanych w swoim czasie kwiatów.

Kilka łez... lekki, jak muśnięcie skrzydeł anielskich pocałunek i ten szmatek czarny na pamiętkę...

Czereza położył głowę na stole, ukrył twarz w dłoniach i, eisnąc do ust wilgotne jeszcze sakno, płakał nad temi naiwnemi darami młodości, które mu przyszły tak późno.

V.

Nazajutrz, Czereza, choć mało spał tej nocy, zbudził się wczesnie i z jakąś rzeźwą chęcią do życia.

Był to piątek; dzień, w którym miewał tylko popołudniowe godziny zajęte lekcjami, ranki zaś spędzał u siebie na pisaniu, lub w wielkich prywatnych bibliotekach, które stały dla niego otworem i gdzie zbierał materiały dla swoich historycznych studjów.

Ubrał się szybko, jak człowiek, mający przed sobą jakieś nowe zadanie do spełnienia.

Właściwie od wczoraj nie zmieniło się nic w jego życiu, ale w nim samym nastąpił przewrót.

Dotychczas, we wszystkim, co czynił, tkwiło żywiołowe lekceważenie celowości własnych usiłowań, owo rozpaczliwe „czy warto,” które podgryzało mu duszę, jak wódka podgryzała organizm.

Wczoraj dopiero zrozumiał, że może stać się potrzebnym... że ta kobieta, pławiąca się dotąd w blaskach życia, jak kwiat w słońcu, mogłaby zostać wyrzuconą po za obręb tego promiennego koła i, że tam... powinna znaleźć jego...

Nie pragnął tego, odpychał tę myśl; z ręką na sercu wolał stokroć być dla niej niezem w szczęściu, niż we wszystkim w nieszczęściu, ale niemniej, otworzyły mu się oczy, że może być... czemś.

Więc postanowił — gdyby chwila taka przyjsz miała — okazać się nietylko gotowym, ale godnym...

Niedość podsunąć znękanej głowie pierś swoją i rzec: „spocznij;“ trzebaby, żeby w tej piersi był spokój. Niedość się kwapić czyjs chwiejny krok podtrzymać; należy samemu dzielnie i równo stąpać.

Nie wyraźnie, nie nie formułując, wiedział, że zacznie jakieś inne życie, że przedewszystkiem przestanie pić i machać ręką na cały świat, a potem — zobaczy, co z tego wyniknie.

Z takimi myślami wypił prędko kawę, jaką mu stróżka przyniosła, powiedział dzień dobry palmie i zauważył z uciechą, że nowy liść już roz-

czapierza końce; poczem wziął się do przeglądania zapełnionych drobnem, ścisłym pismem kartek swej ostatniej pracy, będącej prawie na ukończeniu.

Czereza był z niej zadowolony; o ile mógł być zadowolony człowiek, który całą umysłową działalność ludzkości nazywał narzuconem jej przez cywilizację zwyrodnieniem naturalnego rozwoju, i który nieraz już w chwilach większego zniechęcenia cały ten owoc kilkoletnich szperań, dociekań, przewertowanych foljałów i prześlęczonych noey byłby rzucił w ogień, gdyby go miał wtedy właśnie pod ręką.

Czuł jednak, że nigdy jeszcze nie wspiał się na takie wyżyny historycznej wiedzy, i okiem badacza nie sięgnął tak daleko w zamglone horyzonty dziejów, jak w tem kresowem studjum.

Władał w niem faktami, jak najsprawniejszy szermierz bronią, oprawiwszy pewną, jak stal i jak stal nielitościwą klingę dowodowego materiału w błyszczącą drogiemi kamieniami porównań i przenośni rękojeść stylisty.

Dziś przecież, w miarę, jak odczytywał ustępy do których największą przywiązywał wagę, spostrzegął w nich brak czegoś.

Daremnie szukał, w czemby ów brak tkwił; zdumiony, że go uderza po raz pierwszy... Ale zbyt grubą była powłoka goryczy i jadu, okrywającego jego duszę, aby stopniała odrazu w najgorętszych bodaj łzach.

Potworzyły się w niej dopiero szczeliny, przez które odgadywał raczej, niż widział, martwość

wszystkiego, co było dziełem jedynie rozumu i pracy.

Oto, z kart tych uczonych i zajmujących, mądrych i błyskotliwych, wychylał się wszędzie świetny djagnosta, pochylony nad przeszłością i opowiadający chwili obecnej jedną z chorób, na jakie skończył ten wspaniały trup; ale nigdzie nie odnajdywało się syna, któryby umiał pokazać rany matki po przez cudowny, przejrzysty płaszcz miłości, tak aby widoczne były, a przecież nie nagie.

I Czereza wyczuwał to teraz tym nowym zmysłem, jaki wczorajsze zdarzenia, przetrawione w nocej ciszy, powołały w nim do życia, i ogarniał go przestach, połączony z jakąś szczególną otuchą.

Chwilami chylił zbróždzone czoło i zamyslał się głęboko, a wtedy rysy jego, jakby bardziej jeszcze w ciągu tych kilkunastu godzin wyciągnięte, powlekał wyraz bezdennego znużenia; to znów z gorączkowym pośpiechem przewracał kartki rękopisu, kreśląc tu i owdzie ołówkiem znaki na marginesie.

Kilka razy, wśród największego natłoku sprzeczných myśli, kładł rękę na piersiach i chude jego nerwowe palce dotykały z rodzajem ulgi tego miejsca, gdzie w nocy jeszcze, niezgrabnemi ściegami do tasiemki przyszyty i na szyi zawieszony, spoczywał kawałek sukna łzami Ali przesiąkły.

Dzień był znowu przepyszny, upalny, jak w lipcu.

Gorąca jasność wlewała się do wnętrza wszystkimi czterema oknami. Jakże, pomimo swego

nieład i zaniedbania, pokój wyglądał zupełnie inaczej, niż wczoraj w słabym świetle lampy, cały złożony teraz od iskierek osłonecznionego pyłu, i kolorowy od jaskrawych refleksów portjer.

Jedno z okien było otwarte.

Na ramie podskakiwał wróbel, ćwierkając wesoło, a od Wisły płynęło ciepłe, wilgotnawe powietrze, niosące jakąś subtelną woń, jakby dojrzewających gdzieś w dalekich sadach jabłek i traw koszonych.

Godziny mijały.

Czereza był zatopiony w pracy, że nie słyszał, jak około jedenastej zadzwoniono u drzwi wchodowych.

Dopiero gdy dzwonicie powtórzyło się energiczniej, podniósł głowę i, mruknąwszy przez zęby „Sacramento,“ poszedł niechętnie uchylić portjerę, za którą znajdował się maleńki, ciemny przedpokoik.

— Kto tam? — zapytał dość szorstko, nie otwierając.

— To ja, proszę pana—odpowiedział nieśmiały, kobiecy głos.

— Co za ja?

— Służąca od pani Oldanieckiej.

Klucz obrócił się w zamku gwałtownie, i Czereza ujrzał przed sobą młodą dziewczynę, w chustce na ramionach i w białym fartuchu.

— List do mnie?—wyrzekł, czując, że wszytki krew zbiegła mu do serca, i cofając się za portjerę.

Dziewczyna weszła za nim do pokoju.

— Nie, proszę pana; tylko pani kazała prosić, żeby pan był łaskaw zaraz przyjść.

— Stało się coś?.. Pani zdrowa?..

Dziewczyna uśmiechnęła się przebiegle.

— Albo to pani kiedy chora?.. Nic się nie stało, tylko...

Czereza spojrział na nią bystro. Nie mógł jej poznać, bo z zasady nie patrzył na służące, które otwierały mu drzwi po znajomych domach, ale coś w jej tonie zastanowiło go.

— Od której pani Oldanieckiej jesteś? — rzucił nagle.

— A z Hożej!

— Z Hożej.

Odwrócił się i usiadł napowrót przy stole.

— Dobrze. Będę tam dzisiaj — rzekł zupełnie innym tonem.

— Ale kiedy, proszę pana, pani prosiła, żeby zaraz.

Spojrział na nią przez ramię, ściągając brwi.

— Paradna sobie jesteś, moja kochana. A jeśli ja zaraz nie mogę? Przeproś panią i powiedz, że mam bardzo ważne zajęcia, a potem wychodzę na lekcje. Przyjdę o piątej.

Dziewczyna nie ustępowała.

— Oj! proszę pana... Kiedy to... Już musi być coś pilnego, bo ja miałam spódnicę nakropioną i duszę gorącą, a pani mi kazała wszystko to rzucić i lecieć... Pani mówiła, że jakbym pana nie zastała, to żeby się koniecznie u stróża dowiedzieć, albo co...

Czereza był wściekły. Nie dość, że mu przer-

wano pracę; ale jeszcze ta szalona, niemądra nadzieja, którą się przez chwilę łudził...

„Ona“ przysyłać po niego!... Co za myśl!... Stanowczo będzie idjotą do końca życia...

— Czemu twoja pani nie pisze, czego chce?— rzekł brutalnie.— Wyobraź sobie, żeś mnie nie zastała i wędruj.

— Albo to pani miała czas pisać?—odpowiedziała dziewczyna. — Pani tyle tylko, że list przeczytała i zaraz powiada...

— Jaki list? — przerwał Czereza żywo.

— Nie wiem, proszę pana. Poślaniec przyniósł.

— Poślaniec?...—powtórzył i jakiś szczególny chłód powiał mu na duszę.

Odłożył rękopis, do którego już był powrócił i zamyślił się... Nie! list nie mógł być od „niej.“ Poczóż by, mając służbę w domu, wyręczała się posłańcami?... A jednak!

— Niech i tak będzie—mruknął po chwili.— Czegoż jeszcze stoisz? Sacramento! Przyjdę zaraz.

Dziewczyna wybiegła, a Czereza, który miał na sobie starą, zaplamioną ohydnie marynarkę, począł się szybko przebierać w swój musztardowy garnitur.

Ptak złego przeczucia nadleciał na niego, niewiadomo z kąd, i zataczał nad nim coraz ciasniejsze kręgi.

Gdy Czereza wyszedł na ulicę, był już tak zdenerwowany, że, zamiast iść piechotą, wskoczył w dorożkę, nagląc o pośpiech.

Pani Oldaniecka przyjęła go z właściwą sobie ceremonialną uprzejmością.

Jej sztywne, spokojne rysy, nie zdradzały żadnego wzruszenia.

Czereza nawet nie próbował coś z nich wyczytać, wiedząc naprzód, że się nie obejdzie bez prologu.

— Proszę cię, Michasiu, usiądź — rzekła pani Oldaniecka. — Dawno już nie miałam przyjemności widzenia cię.

— Nie mam czasu na wizyty. Ciocia mnie wezwała, więc jestem.

— Dziękuję ci. Tem bardziej, że, ile wnioskuję, z tego co mi powiedziano, uczyniłeś wielką ofiarę. Pozwól sobie zwrócić uwagę, mój Michasiu, że można nie mieć należnych uczuć i względów dla ciotki, lecz nie wypada zdradzać się z tem wobec służby.

Czereza przygryzł wargi, lecz mileżał z rezygnacją.

— Ja bo należę do rzędu tych — cignęła dalej tonem umiarkowanego rozgoryczenia pani Oldaniecka — którym największą przyjemność sprawia, gdy się mogą drugim przysłużyć. I dla tego tak mi trudno pamiętać, że świat składa się z samych egoistów. Doprawdy, bardzo cię przepraszam...

— S a c r a m e n t o ! ... — syknął Czereza.

— Proszę cię, nie kluj. Chciałam tylko powiedzieć, że w danym wypadku nie wypadało mi zwracać się do kogo innego, więc z konieczności musiałam cię trudzić.

— Jestem na rozkazy cioci.

Pani Oldaniecka powiodła badawczym wzrokiem dokoła, jak gdyby chcąc się upewnić, że są zupełnie sami i drzwi dobrze pozamykane; następnie wyjęła z kieszeni podłużny bilecik i, trzymając go w złożonych na kolanach dłoniach tak, że Czereza mógł dostrzedz tylko różki blado-liljowego papieru, zapytała:

— Miałeś być wczoraj u Alińci. Czy byłeś?

— Byłem—odpowiedział, błędąc, a niepokój. uśmierzony chwilowo ruchem i obezwładniającą wymową pani Oldanieckiej, szarpnął nim znowu.

— Długo?

— Blizko do dziesiątej. Dlaczego ciocia pyta o to?

— Do dziesiątej!—powtórzyła ze szczególnym naciskiem, zaszeleściwszy leżącym na jej kolanach listem. — I... i ona nie ci nie mówiła. Nie wiesz o niezem?... To dziwne.

Czereza rzucił się na krzesło, jak ukąszony.

— Moja ciocia!—wybuchnął—nie jestem kasztan, żeby mnie pieczono na węgielkach. Jeśli się co stało z panią Aliną—sacramento—było już chyba dość czasu, żeby mi to powiedzieć.

Pani Oldaniecka przyglądała się chwilę zdumiona swemu siostrzeńcowi.

Wydawał jej się zawsze uosobieniem nagannej apatji i po prostu nie mogła go poznać.

Jedyny wszelako wniosek, jaki ztąd wyprowadziła, był ten, że jej się wypada obrazić.

— Uważam, mój Michasiu — rzekła uroczyście—że już do reszty straciłeś pamięć starannego wychowania, jakie otrzymałeś. Ale tak bywa zawsze,

gdy młodzi ludzie zaniedbują stosunki rodzinne i lekceważą tradycje. Dlatego...

— Ciotko!—przerwał niemal groźnic.—Ciotka coś wie o pani Alinie... Dość próżnych słów.

Nigdy nie napróżno nie mówię. Ponieważ jednak niepodobna mi nadażyć za twoją gwałtownością, będzie najlepiej, jeśli to sobie sam przeczytasz.

Podawała mu list.

Czereza chwycił go w sposób, zadający ostateczny kłam starannemu wychowaniu, jakie otrzymał, i jednym rzutem oka ogarnął krótką zresztą treść:

„Droga Mamo!“

„Muszę jechać do Adama niezwłocznie. Adam nie jest chory i żadnej złej wiadomości od niego nie otrzymałam. Przysięgam na moją miłość dla niego, że piszę prawdę. Niech więc droga Mama będzie zupełnie spokojna i wybaczy mi, że osobiście nie pośpieszyłam ucałować Jej rączek i poprosić o krzyżyk na drogę. Czynię to teraz z najgłębszym uszanowaniem

„Przywiązana synowa

Ala.“

Nastąpiło milczenie.

Pani Oldaniecka siedziała wyprostowana i obrócona jedną czwartą profilu do poniewierającego tradycjami siostrzeńca.

Ten wydobył chustkę i zwolna otarł sobie czoło.

— Pojechała— wyjąkał nareszcie.— To niepodobna! Kiedy?

Ciotka Oldaniecka ruszyła ramionami, zwiększając nieco ułamek swego oblicza na korzyść Czerezy.

— Właśnie chciałam cię o to zapytać... Jeżeli, jak powiadasz, byłeś u niej do dziesiątej...

— Tak...

— A wieczorne pociągi odchodzi?

— Przed północą, oba.

— Miałyby tylko godzinę z czemś do wyjazdu... To dziwne!... Chyba nie wiedziała jeszcze, że pojedzie?

Milczał.

Był przezroczyście żółty; tylko kwadratowa bródka na czole nabiegła mu krwią i drgała gwałtownie.

Pani Oldaniecka mówiła dalej:

— Oczywiście musiała nie wiedzieć. Zapewne dopiero po twojem wyjściu przynieśli jej jakąś depeszę, czy co. Bo czemu, pytam, robiłaby tajemnicę z tego przed tobą?

— Nie wiem— odrzekł głucho.

— To nie miałoby żadnego sensu... Tak mówię, jak gdyby w tem wszystkim był jakiś sens... I z drugiej strony... gdy się kto wybiera w drogę, to zaraz widać... Nie takiego nie zauważyłeś? Jak była ubrana?

— Po dawnemu... W szlafrocuku... Sa c r a...

Zacisnął zęby i orał paznociami dłonie...

Przypomniał sobie, jak ją kładł na kozetce i owijał jej stopy tym szlafrocukiem.

Wydała mu się, że nie zdierży i ryknie, jak raniony zwierz.

— No, to niema o czem mówić—zawyrokowała pani Oldaniecka ze swą trzeźwą praktycznością.— Alińcia nie należy do rzędu tych, które się tak umieją przebrać, raz, dwa, trzy, jak na przykład ja... Nie mogła pojechać wieczorem. I ten postaniec...

Czereza podniósł głowę.

Był tak oszołomiony, że z wielką trudnością zbierał myśli, a jeszcze z większą znajdował dla nich słowa.

— Tego posłańca — wymówił bezdźwięcznym, rozbitym głosem — trzeba było zapytać... On najlepiej...

— Właśnie...—podechwyciła pani Oldaniecka — tylko, że sobie zaraz poszedł. A tyle razy mówię i zapowiadam, jak kto przyjdzie z listem, niech zaczeka... Ale kto dzisiejsze sługi czego nauczy! Wszędzie anarchia. Wszędzie modernizm!

Ruszyła ramionami i, dostrzegłszy jakiś pyłek na sukni, strzepnęła go starannie.

Czereza dusił się.

— Mnie się zdaje — rzekł po chwili — że to w gruncie drobnostka, kiedy pojechała... pani Alina... Daleko ważniejszą rzeczą byłoby dowiedzieć się — dlaczego pojechała?

Podniósł rękę do gardła, rozpiął nieznacznie kołnierzyk i odetchnąwszy głęboko, dodał przeciągle:

— I dokąd?... Aj! aj! aj! Sacramento!
I dokąd?

Pani Oldaniecka po raz trzeci wzruszyła ramionami i rzekła:

— Tem ja sobie głowy nie zaprzątam. Prosiłam cię już, żebyś nie kłął. Jakiś nowy wybryk Adasia, ma się rozumieć. Mój spokój nie jest do tego stopnia drogi Alińci, żeby dla oszczędzenia go posługiwała się kłamstwem, którem się brzydzi... To tylko rodzice są zdolni robić dla swoich dzieci ofiary nawet ze swoich zasad. Więc też najzupełniej wierzę, że Adaś zdrów, i nie ma się nie stało, a że ją tak nagle i tajemniczo do siebie wezwał, no, to przecież w jego stylu — modernistyczne! — dodała ze wzgardliwą ironią.

Czereza słuchał tych słów, wypowiedzianych miarowym, urażonym głosem ciotki, i zdawało mu się, że one go dochodzą z jakiejś wielkiej odległości i że gdzieś po drodze straciły swoje znaczenie.

Ogarniała go senność.

Zaczynał pragnąć, żeby ona tak mówiła... mówiła... ciągle, jednostajnie; a on żeby mógł nie ruszać się z tego krzesła i słuchać w ten sposób, nie nie czując.

Ale pani Oldaniecka umilkła i Czereza ocknął się nagle.

— Więc to pewne... to nie ulega wątpliwości... że ona pojechała. Ot... do niego?—wyrzekł tonem pytającego zdumienia i jakby sam nie wiedząc jeszcze, komu to pytanie zadaje.

— Jakto? A do kogoż innego mogłaby pojechać? Co ty mówisz?

Oprzytomniał do reszty.

— To prawda— odpowiedział zgnębiony. — To prawda.

Pani Oldaniecka przyglądała mu się podejrzliwie.

Już od początku zachowanie się Czerczy nawsuwało jej niejake wątpliwości, a po tem co teraz powiedział, była prawie pewną, że nie jest trzeźwy.

— Upija się już od samego rana— pomyślała ze zgrozą. — Przewidywałam, że do tego dojdzie. Biedna moja siostra! Dobrze, że tego nie dożyła... Ale to jej wina... Była zawsze za słaba dla swoich dzieci.

Westchnęła głośno, a on mylnie tłómacząc sobie to westchnienie, ujęty niem, podniósł na nią swe podpuchłe oczy, których wyraz przygasły i jakby otumaniony usprawiedliwiał poniekąd podejrzenia ciotki, i zapytał:

— Cóż teraz czynić?

Pani Oldaniecka zesnurowała usta, prostując się z całym majestatem.

— Przedewszystkiem, zdaje mi się, że wypadłoby ci przeprosić mnie za niewłaściwość zachowania. Tłómaczę je sobie nienormalnością twego stanu, ale—tem mi to boleśnieszje... Ja bo należę do rzędu tych, którzy, tam gdzie widzą upadek, czy zgubę swoich blizkich, zapominają kompletnie o własnych urazach. Tak, mój Michasiu... zasmucasz mnie sobą głęboko.

Spojrzał zdziwiony i spotkawszy się z jej surowym, potępiającym wzrokiem, spuścił oczy.

Czyżby się aż tak dalece zdradził?

— Nie rozumiem—szepnął, czując podpływającą mu do skroni krew.—Ja panią Alinę...

— Ach! tu nie o Alińcię chodzi.

Czereza aż podskoczył na krześle.

— Nie o nią? A o kogóż, o cóż może w tej chwili chodzić, jeśli nie o nią. Sacramento!

— Prosiłam cię już tyle razy, żebyś nie kłął. I nie pojmuję, doprawdy, dlaczego bierzesz to tak tragicznie... Chyba, że jest to skutek tego opłakanego... podniecenia, w jakim cię widzę.

Powiedziała to w taki sposób, że Czereza zrozumiał i raptem porwała go tak dzika wesołość, że gotów był tarzać się po ziemi ze śmiechu.

— Więc ciocia myśli, że ja... Ha! ha! ha!... To dobrze, to doskonale... Ha! ha! ha! Sacramento!... Niechże tak będzie... Ha! ha! ha! Oti ideal!

Pani Oldaniecka ogarnęła fałdy sukni i rozejrzała się po swoim eleganckim saloniku, jak gdyby przepraszając te dystyngowane ściany, że są widownią tak skandalicznego postępowania; potem zasunąwszy się w głąb fotelu, patrzyła z pełną godności rezygnacją na Czerezę, który śmiał się w dalszym ciągu, jak szalony.

— Ominęło cię już? — zapytała wyniośle, gdy umilkł równie nagle, jak zaczął, i spochmurniały znów wbił oczy w ziemię.

— Ominęło mnie już — odpowiedział tonem poprzedniego zgnębienia.

— To szczęśliwie. Może więc... przejdiesz się trochę? Świeże powietrze powinno ci zrobić

dobrze. Jeżeli potem zechcesz wrócić, pogadamy rozsądnie.

Mówiła tonem oględnej perswazji, jak do człowieka, który bardzo łatwo może się stać niebezpiecznym.

Czereza wyprostował się szybko, co widząc, pani Oldaniecka, cofnęła się nieznacznie z fotelem.

— Ciocia miała często do czynienia z pijanymi ludźmi? — zapytał, odzyskując coś ze swej zwykłej szyderskiej arogancji.

— Boże mnie strzeż! — wykrzyknęła szczerze oburzona. — Co za przypuszczenie! Proszę cię, mój Michasiu, idź na spacer.

— Chętnie. Chciałem tylko ciocię objaśnić, że nie tak nie wytrzeźwia, jak śmiech. Przyszedłem rzeczywiście trochę wstawiony.

— Domyśliłam się odrazu, — westchnęła pani Oldaniecka, nie bez pewnego zadowolenia z własnej przenikliwości — chociaż nie wiedziałam, że się to tak nazywa. Wstawiony! Co za określenie!

— Ale teraz jestem już zupełnie... przytomny. Sa c r a... Przepraszam... Wracam więc do wyjazdu... pani Aliny. Nie biorę go tragicznie, ale wydaje mi się trochę... o! dziwnym!

— Dziwnym?—obruszyła się pani Oldaniecka, z właściwym jej duchem przekory, wpadając w zapał, w miarę, jak Czereza chłódł. — Tylko tyle! A ja go nazywam cudacznym, warjackim, a ze względu na mnie wołającym o pomstę do nieba!

— Ze względu na ciocię?

— Spodziewam się. Przecież miała jechać ze mną do Meranu. I Adaś wiedział o tem! Ale czy

on kiedykolwiek liczył się w czemkolwiek z matką, która wszystko dla niego poświęciła... Byle tylko dogodzić własnej fantazji. A ona?... Ledwo kiwnął palcem, rzuca wszystko i leci... To nawet ubliża godności kobiecej. Powiedz sam... Tu mąż nie daje znaku życia i wpada, jak kamień w wodę; tu znów pędza ją za sobą po Europie... Do czego to podobne? O! nie spodziewałam się tego po Alińci! Już to muszę sobie przyznać, że należę do rzędu niepoprawnych optymistów... Żeby mnie tak zostawić na lodzie... I uważasz, że nawet w liście nie wspomina o tem, nie przeprasza... Oczywiście! Ktoby tam sobie robił ceremonje ze starą matką! Oto jest — pociecha z dzieci!

— Moja ciociu... — zaczął Czereza, ujmując brodę w kufak...

— Proszę cię, nie broń ich. Tybyś tak samo postąpił — wiem. Znam przecież te wasze... modernistyczne teorie... Świat należy tylko do was... młodych. Starzy nie mają do niego prawa. Nie wolno im nawet chorować.

Wykonała jeden ze swych majestatycznych gestów.

— I co ja teraz pocznę z moim wyjazdem? Ubytek sił coraz większy... Żeby mi choć adres zostawiła... Mogłabym się z nią telegraficznie porozumieć... Ona sobie najwidoczniej nie zdaje sprawy z zawodu, jaki mi uczyniła, z konsekwencji... Ja przecież sama do Meranu jechać nie mogę, a codzień jestem słabsza... Będę musiała chyba pojechać na wieś, do swojej siostry Zosi. Od-

dawna mnie zapraszała. Ja wsi nie lubię... Ale cóż robić!

— Pani Alina zapewne wkrótce napisze — rzekł Czereza z dziwnem ściśnieniem serca, bo niewiadomo, dlaczego ta rzecz tak prosta i naturalna, wydała mu się w tej chwili czemś nadzwyczajnym, co mogło nie stać się nigdy.

— To zależy — odparła cierpko matka Oldanieckiego.—Jeśli jej tam będzie bardzo wesoło, to może i nie napisze.

— Wesoło!—zasyzczał Czereza—moje przekonanie jest, że to, co spowodowało nagły wyjazd pani Aliny, nie było wesołe.

— Powiedziałam ci już, Michasiu, że nie zdaję sobie próżnego trudu zgadywania, co go spowodowało; wiem za to naprzód, co spowoduje. Spowoduje plotki. I to jest druga rzecz, która mnie nęka. Powinna się była nad tem zastanowić. Takie sługi, Bóg wie co nagadają. Trzeba, żebyś poszedł na Żórawią, wywiedział się na miejscu i...

— Ja mam tam pójść! — wykrzyknął, wzdrygając się mimowolnie.

— Koniecznie. Głównie nawet dla tego posyłałam po ciebie. Ty to potrafisz przecież zręcznie zrobić... od czegoż masz tyle wykształcenia?

— Nie kształciłem się na detektywa — mruknął.

— Musimy wiedzieć, co mówiła w domu na wyjeździe, czy dużo rzeczy zabrała, kiedy, co, jak, jednym słowem, wszystko co się da... A może ona jeszcze nie pojechała? może się dopiero pakuje

i dla tego przysłała posłańca, że sługi zajęte?... Są przecież jakieś popołudniowe pociągi za granicę?

Czereza zerwał się z krzesła.

— Tak, tak, jest słuszość. Biegnę.

— Tylko, mój Michasiu, proszę cię, rozważnie, z taktem... Jeśli już jej nie zastaniesz, to pamiętaj, że z nikim nie trzeba tyle dyplomacji, co ze sługami... To są nasze płatne szpiegi.

Czereza już tych słów nie słyszał. Uczepił się nadziei, że może... może... zastanie Alę i pędził znów dorożką, co koń wyskoczy.

Prostą nie mieściło mu się w głowie, żeby ona, którą pożegnał taką wyczerpaną, bezwładną, tonącą w liljowych zwojach wiotkiego jedwabiu, niby złamany kwiat wieczornymi mgłami otulony, mogła w godzinę potem znaleźć się na kolejowym dworcu, w podróżnym rynsztunku, z długą, męczącą jazdą przed sobą...

Jakiż inny powód, jeśli nie nagła, groźna choroba... tamtego, wygnałby ją w ten sposób, z oczyma nie obeschłemi jeszcze z łez, na całą noc?... A tamten był zdrow; co do tego nie miał najłżejszej wątpliwości...

Więc co?... Więc co?...

Więc może, istotnie, nie pojechała jeszcze? Pociągi popołudniowe były szybsze, niż ranne; wiele względów przemawiało za przypuszczeniem pani Oldanieckiej.

— Prędzej! prędzej! — powtarzał Czereza, nie mogąc usiedzieć w dorożce, choć cała jazda nie trwała i czterech minut.

Wpadł na schody, sadząc po trzy stopnie na raz, ale przed drzwiami mieszkania Ali powściągnął się z taką nadzwyczajną siłą, że gdy zaspana pokojówka otworzyła mu po dość długiem oczekaniu, pokazał jej swą zwykłą, arogancko niedbałą twarz.

— Pani już pojechała? — zapytał lekko zdyszczanym, a po za tem zupełnie spokojnym głosem.

Dziewczyna spojrzała na niego w taki sposób, że musiał uznać całą słuszność obaw pani Oldanieckiej.

— O! jeszcze wczoraj, proszę pana!

Drgnął cały wewnątrz, i czując, że coś mu przed oczyma gaśnie, rzekł z tą samą pozorną obojętnością:

— Tak! No to widocznie zrobiło się pani lepiej po mojem wyjściu, bo miała dopiero dzisiaj jechać.

Dziewczyna wstrząsnęła głową z powątpiewaniem.

— Ja tam nie wiem, proszę pana. My z kucharką od wczoraj, jak te głupie chodzimy. Pani nam pieniędzy na życie zostawiła na cały miesiąc, a pojechała bez rzeczy, z jedną tylko ręczną walizeczką. A pani też było nie do drogi, bo jak onegdaj zastała w swoim pokoju, com się pani ledwo docuciła, to ani jadła od tej pory, ani nie. Ja się aż, proszę pana, lewą ręką przeżegnałam, kiedy pani z tego szlafroka przebrała się w suknię podróżną i mówi do mnie: „Jadę.“ W imię Ojca i Syna. Myślałam, że nie daj Boże, co do pani

przystąpiło... I nawet się na kolej odwieźć nie dała; tyle tylko, com dorożkę sprowadziła.

Czereza słuchał tych szczegółów, i zdawało mu się, że jakaś straszna nieodgadniona katastrofa wisi w powietrzu.

Rozumiał jednak konieczność przecięcia pola domysłem; bo istotnie ten dziwny wyjazd coraz bardziej zakrawał na ucieczkę.

Przez chwilę pasował się z sobą, zbierając myśli, usiłując coś wynaleźć, poczem spojrzął prosto w oczy wpatrzanej w niego z jakimś chytrem zaciekawieniem dziewczynie i rzekł na traf:

— Pan złamał nogę za granicą i telegrafował do mnie, żeby pani nie przestraszać. Ja panią bardzo wczoraj prosiłem, żeby się do dzisiaj wstrzymała, bo wiedziałem, że była niezdrowa, no—i nie usłuchała. O! Sacramento! Jeszcze gotowa w drodze zachorować.

Dzieweczyna splasnęła w dłonie.

— O! mój Boże kochany! Nasz pan nogę złamał!... To się tam pani dopiero zmartwił! I powiadają, że to człowiek nie ma przeczucia. A kiedy, proszę pana, pani od onegdaj, to nie, tylko ciągle listu czekała. Listu i listu!

Czereza otworzył usta, chciał o coś zapytać i dał pokój. Coraz mniej to wszystko rozumiał.

Listu czekała? Jakże? Przecież tam w ogrodzie mówiła mu wyraźnie, że... Była zupełnie pogodzona z tym stanem rzeczy, i zaraz potem...

Poprosta zaczęła mu się mieszać w głowie.

Drzwi od salonu były nawpół uchylone. Pchną

je i dając znak dziewczynie, by go zostawiła samego, wszedł do środka.

Stała tam jeszcze niesprzątnięta taca, a w zadaszonym od pozapuszczanych rolet powietrzu błądziły nikłe zmieszane zapachy kwiatów, kawy, koniaku, te same, któremi Czereza oddychał wczoraj, mając na piersiach łkającą Alę.

Uderzyło to w niego teraz, jak w osieroconą duszę uderza po powrocie z pogrzebu woń kadzidła w pokoju, z którego wyniesiono najdroższą trumnę...

Zadrżały pod nim nogi; machinalnie obejrzał się za krzesłem i usiadł.

Wszystkie jego nerwy zbiły się w jeden bolesny kłębek, rozsadzający mózg.

Przez chwilę był, jak nieprzytomny.

Patrzył na pustą kozetkę pod Galateą i, w żółtawym półmroku, jaki napełniał salon, wydawało mu się, że widzi sznur wagonów, przelatujący po pasiastym pokrowcu tej kozetki, jak po relsach. W jednym z nich dostrzegał bladą twarz i zapłakane oczy Ali!...

Dokąd? dlaczego?... Co się stało?...

Siedział w męce tych zapytań, które już od godziny szarpały mu duszę, ale które tu dopiero nabyły swej najokrutniejszej mocy, mocy czerpanej z jakiegoś głuchego przeświadczenia, że odpowiedź na nie, nie przyjdzie nigdy... nigdy...

— Pojechała! — wymówił w głos — pojechała!

Zerwał się z krzesła i upadł na kolana przed kozetką, kryjąc twarz w siedzeniu, które zach-

wało jeszcze jakby niewyraźne odcisnięcie spoczywającej na niem wczoraj postaci.

Przypomniał sobie rojenia ubiegłej nocy i dzisiejszego ranka...

Oti i pokazało się, czem był dla niej... Zniknęła, nie rzuciwszy mu nawet jałmażny pożegnania... W bólu i łzach poszła gdzieś w świat daleko... i... cóż on teraz dla niej uczynić może?..

Głupiec, głupiec, wiecznie złudzeniami żyjący głupiec!!

I w przystępie niespodzianej, wściekłej rozpacz, Czereza tarzał swą łysą głowę po miękkim wysłaniu, rwąc zębami płótno pokrowca.

— Pojechał! pojechał! — powtarzał z okropnem, suchem łkaniem.

Och! gdybyż, gdybyż chociaż mógł powiedzieć sobie: „Uciekła. Uciekła przedemną.“

Kołem by się w tej chwili łamać dał za tę piekielną pociechę.

Ale nie.

Ona poprostu pojechała, a on w tem wszystkim nie znaczył nic... nie zgoła, i to była tortura nad torturami.

Nagle skoczył na równe nogi, chwycił się rękoma za głowę i z przekleństwem na ustach, oszalały cierpieniem, drzwi otwarte za sobą zostawiając, uciekł.

To wspomnienie tego pierwszego, jedyne go pocałunku, który teraz, po tem co zaszło, wydał mu się najurągłiwszą obelgą, wyrządzoną jego bez-

nadziejnej miłości, — to to wspomnienie wypędzało go w ten sposób.

.....
Było już dawno po północy, gdy Czereza wrócił do domu. Wrócił pijany.

VI.

Z chwilą, gdy wioząca ją na kolej dorożka ruszyła z przed bramy, Ala wpadła w stan odrętwienia, w którym pozostało jej tyle właśnie świadomości, ile było potrzeba, aby zamiast do Włoch nie pojechać do Anglii.

Na dworcu wręczyła posłańcowi list do pani Oldanieckiej, zalecając, aby go dopiero nazajutrz przed południem zaniósł według adresu, poczem siedziała spokojnie w poczekalni, dopóki posługacz, który odebrał jej walizkę, nie przyszedł zaprowadzić ją do damskiego przedziału pierwszej klasy; taki bowiem bilet wykupił dla niej bez pytania, przyjąwszy za pewnik, że pasażerka tak wytworna i piękna i z taką niedbałością powierzająca mu dwudziestopięćorublowy banknot, nie może podróżować inaczej.

Ala nie zwróciła na to żadnej uwagi.

Gdyby przy kurjerskim pociągu szła trzecia klasa i gdyby ją tam wsadzono, byłaby to przyjęta bez protestu.

Usiadła przy oknie, i pozostała tak, nieru-

choma, wyprostowana, nie czując zmęczenia, ani potrzeby przybrania wygodniejszej postawy, choć mogła to uczynić z całą swobodą, bo w przedziale, oprócz niej, znajdowała się tylko jedna, niemłoda dama, która zaraz ułożyła się do snu, spuściwszy bez ceremonji obie zasłonki u lampy.

Noce była bardzo ciepła, cicha i po zejściu wczesnego księżyca wygwieżdżona.

Po wesorajszym deszczu i dziennym upale, ziemia parowała silnie, śląc w okna wagonów swój szeroki wilgotny oddech.

Wielkie płaty mrocznej przestrzeni uciekały cicho z pod warezających kół pociągu, nieruchomiąc na krańcach widnokręgu, rozświetlonych białawą mgłą.

I uciekały tak samo słupy telegraficzne, i maleńkie domki dróżnicze, i sygnałowe światełka, i drzewo, samotnie wśród pól rozsiadłe, i woda szkląca się taflami na niskich łąkach, i czarniawe zarysy dalekich lasów, i wystrzelone w górę kominy fabryk podmiejskich, i wsie do ziemi nakształt wielkich gniazd przypadnięte; a uciekając sprawiały wrażenie widm sennych, płoszonych przez tego charezącego potwora, który jeden, w błogosławione ukojenie noce wnosił gorączkę istnień ludzkich, rwących wraz z nim w dal, ku swoim różnym celom.

Ala siedziała wciąż przy otwartem oknie, patrząc na to wszystko po przez falistą kurtynę złotych iskier, padających, jak tajemniczy ognisty siew żelaznego oracza przestrzeni.

Turkot kół, lekkie chybotanie się pociągu,

oszałamiały ją, nie usypiając; a ta nieustanna z minuty na minutę walka z odległością, była dla niej pociechą...

Wiedziała, że zwycięży, że dojedzie, i na tem zatrzymywały się jej myśli.

Sorrento było jeszcze za dalekie, by mogło oddziaływać na nią nerwową niecierpliwością ostatnich stacji.

Jej współtowarzyszka chrapała głośno.

Kilkakrotnie wchodził do przedziału kontroler, bohatercko wywalezał u chrapiącej damy pokazanie biletu, i z niejakiem zdziwieniem spoglądał na tę drugą pasażerkę taką rozbudzoną i dopiętą w swym eleganckim, popielatym kostiumie, jak gdyby jechała w biały dzień.

To mu się wydawało podejrzanem, a że był człowiekiem obowiązkowym, zaglądał coraz częściej, mając na sumieniu bezpieczeństwo chrapiącej damy.

Granica poprzedziła świt o niedługą chwilę; a Trzebinia ukazała się już cała różowa od rannych promieni słońca, z niewypitą jeszcze przez nie rosą na bujnych festonach winogrodu oplatającego peron, rozbrzmiewająca okrzykami: „Świeża woda! świeża woda!“ i bieganiną uzbrojonych w dzbanki dzieciaków.

Ali wołanie to przypomniało jakiś dawny, zaraz po skończeniu pensji, wyjazd do Krynicy z matką i siostrą.

Ile uroku miał w sobie ten ranny etap pierwszej podróży „zagranicę!“ ile wesela na szesnastoletnich ustach, świeższych od tej wody, którą z ta-

ką rozkoszą piły; ile szczęsnego oczekiwania w oczach, wypatrujących już ztąd mogiły Wandy.

„Świeża woda! świeża woda!“ rozlegało się w jej zmartwiałej duszy nieopisanem echem.

W Wiedniu Ala przejechała tylko z północnego dworca na południowy, śpiesząc by nie stracić rzymskiego kurjera.

Gdy ją objęły piękne, wesołe ulice tego obcego miasta, uczuła się czemś bezbrzeżnie biednem, lichem, jak to ziarnisko piasku, falą na brzeg wyrzucone, pod łaskę i niełaskę stopy każdego przechodnia.

Nikt jej tu nie znał, nie tu nie miała swego, prócz tej walizeczki, która na przednim siedzeniu fiakra umieszczona, kiwając się w takt jego turkotu, zdawała się wyrażać jej tym ruchem swoje politowanie.

Ta walizeczka była rodem z Wiednia i pamiętała inne czasy!...

Oldaniecki kupił ją dla Ali, gdy tu nazajutrz po ślubie przybyli i był to zarazem jego pierwszy podarunek, jako męża.

Przejeżdżali tak samo koło pomnika Tethoffa, tak samo z kolei, był tak samo wrzesień, a ona miała na sobie tak samo popielaty kostium... i na tem kończyło się podobieństwo!

Ach! prędzej, prędzej!... z pośród tych wspomnień, na ten kurjer rzymski, który jej niczego nie przypomni.

Tę drugą noc w wagonie Ala spędziła również bezsennie, jak pierwszą. Czuła się nawet mniej znużoną, niż podczas dziennej jazdy, kiedy

ostrość migających w słonecznym świetle widoków kłuła ją w oczy, upał dławił kurzawą, a jakieś trzy niemki ciągną paplaniną zapełniały rozprężone ściany przedziału.

Teraz znów pęd lokomotywy niósł ją wskroś ciszy, samą zupełnie, zanurzoną w łagodny półcień przyćmionej lampy.

Semering mignął jej przed oczyma, jak czarodziejski majak srebrnych kształtów, wyblaskujących w nieprawdopodobnych liniach z atramentowo czarnych głębin; majak chłonięty przez paszcze tunelów i wyrzucany z nich wraz z pociągiem, który zdawał się to lecieć po czubach lasów, to wślizgiwać pod białe arkady skał, to wspinać na szczyty, to spadać w przepaście, jakby jeden więcej cud, wiedzy i wytrwałości ludzkiej, z żywiołowymi cudami przyrody o lepsze idące.

Na wysokości Steinhausen zrobiło się raptem przeraźliwie zimno... Ala kostniała, mając tylko lekki pled za całe cieplejsze okrycie.

Zamknęła okno, pozapuszczała firanki i, wsunięta w kącik, skulona, bez ruchu, mogła się здаwać jakimś martwym przedmiotem, istną wysyłką losu, zapakowaną w pudełko i nieświadomie do swego przeznaczenia dążącą.

Tak minęła, nie widząc, uroczę Märzschlag, uśpione na dnie doliny i olbrzymie lasy za Brück, ciągnące się jak wspaniałe tunel przyrody po obu stronach relsów; i szerokie, oddzielnymi szczytami najeżone przestrzenie Leoben i St. Michael, gdzie pociąg stał długo, a rozbudzeni podróżni, ziewając głośno, wydobywali się z wago-

nów na gorące kiełbaski i piwo; i wdzięczne Willach, mające już coś południowego w wilgotnem tchnieniu swej szeroko rozlanej rzeki.

Temperatura stawała się coraz łagodniejszą; lampa w przedziale zgasła; mrok rzedniał.

Pontebba!!

Gwar, ścisk i zamęt tej małej granicznej stacyjki, oblały, jak ukropem, stężałe nerwy młodej kobiety.

„Facchino,“ który porwał jej walizeczkę, dopominał się z krzykiem o „grandi bagaglii;“ to samo uczynili i celnicy, a ponieważ „bagaglii“ nie było, rzucili się, jak sępy, na ten jedyny pakunek, przetrząsając szczegółowo trochę bielizny, którą tam miała, i zaglądnęła do każdej przegródki.

Ta wytworna cudzoziemka, podróżująca bez kufrów i pudełek, wydawała im się podejrzaną, choć na inny sposób, niż warszawskiemu kontrolerowi.

Wietrzyli w niej nie złodziejkę, lecz defraudantkę; tylko nie byli pewni czego: tytoniu, koronek, czy kart?

Jeden z celników obwąchał ją nieznacznie, a drugi równie zręcznie obmacał; tymczasem zaczęto dzwonić; wrzask się podniósł jeszcze większy; chmara emigrantów z tobołami, jadących do Tryjestu, zalała cały peron, gdzieś, jakby z pod ziemi wyrósłszy. „Facchino“ dopadł do Ali, wśród łajdaków i szturchańców, przeprowadził ją przez ciżbę i prawie wepchnął do wagonu.

— Partenzà! Partenzà! — darli się kon-

duktorowie, nadając tej ostatniej, niewinnej samogłosce dźwięk trąby Jerychońskiej.

Chociaż Ala jechała wciąż pierwszą klasą, nie przyszło jej na myśl zażądać w Wiedniu wagonu „direct,” i przedział, w którym się teraz znalazła, był tak natłoczony i miał tak mieszane towarzystwo, jak u nas czasem trzecia w spacerowych pociągach.

Dwóch otyłych lombardczyków w szafirowych koszulach i zielonych krawatach, palących bez ceremonji ohydne włoskie cygara; jakaś żydówka, cała w jedwabiach, bez kapelusza, w koronce na głowie, z ogromnem pudłem na kolanach, o które stoczyła namiętą walkę z konduktorem, i którym ciągle szturchała Alę; kratkowany angiik z miną kamerdynera lub dyplomaty, chory na zęby i pakujący co chwila w usta amunicję waty, nasyconej ekstraktem miętowym i anodynami; rudy, brudny niemiec za wolnym biletem, który zapewne był wystawiony nie na jego imię; wreszcie młoda, świeżo zaślubiona para z burżuazji wiedeńskiej.

Ci byli najnieznośniejsi. Pili ciągle chianti i jedli winogrona, wypluwając głośno łuskwiny na rękę, uszczęśliwieni sobą i swemi obrączkami, które sobie pokazywali wśród rzekomo dyskretnych pieszczoł, ciesząc się, że je dadzą poświęcić przez Papieża.

I to wszystko aż do samego Rzymu, w wagonie starej konstrukcji, ciasnym, drzewczkowym, istnym „koczu.”

Ala literalnie nie mogła się poruszać.

Głowa rozboleła ją szalenie; głód począł do-

kuczać; prócz kawy na Südbahn'ie od wyjazdu z Warszawy nie miała nic w ustach; a na tych obcych stacjach lękała się wysiadać, nie pewna, czy zdąży, czy jej nie zostawią.

Była do takiego stopnia wyczerpana i fizycznie zboląta, że chwilami traciła przytomność, i ów rady niemiec wydawał jej się bardziej mirażem w blaskach południowego słońca, niż przy księżycu najfantastyczniejszy kształt na Semmeringu.

Ale wnet wytrzeźwiła ją myśl, że to jaż Włochy, że większa część drogi jaż za nią...

Drogi?... Alboż ona jedzie?

Podniosła ciężkie, jak z ołowia powieki i strzępek krajobrazu, w którym wszystko było dla niej nowe, wpadał jej w oczy.

Ach! prawda... Włochy...

Jeszeze tylko jedna noc, a jaż ten dzień, który po niej przyjdzie...

Ten dzień to co?...

Tu znowu rwały się jej myśli.

Co się takiego stanie w tym dniu?... Do czego ona tak śpieszy?... Co ją tak gna... tak bezlitośnie gna? Aha! jaż wie... Sorrento.

A w Sorrento jest on... on... Zobaczy go... Jakie to dziwne!...

I w żaden sposób nie mogła w to uwierzyć...

Nie! nie! nie zobaczy go... Przecież skrył się przed nią.—A ona będzie tak jeździła bez wytechnienia... bez końca!...

Bo to nieprawda!... Kto jej powiedział, że on jest w Sorrento?

Znalazła jakąś kopertę...

Wszystko złudzenie: I Sorrento, i koperta, i on, i ta straszna jazda, przez te spalone od słońca okolice, i ten wściekły warkot, i te nieznane twarze... ach! zwłaszcza te twarze... i jej własna męka. Jediną rzeczywistością jest... Co?

I zaczęła szukać dokoła siebie i w sobie tej rzeczywistości; tego czegoś, co wciąż wymykało się z pod ujęcia jej zmęczonych zmysłów, a czego łaknęła uparcie, rozpaczliwie, jakby w tem było dla niej jedyne ukojenie i bezpieczeństwo.

A potem, wycieńczona do ostatka, z szumem w głowie i uczuciem eklewnej słoności w ustach, pogrążała się znów w bezwład, w zanik, dopóki nowy przypływ uświadomienia nie targnął jej fizyczną i moralną istotą, zadając jej niewypowiedziane katusze.

W jednej z takich chwil zaczęła sobie nagle powtarzać w myśli: „Harfa szklana! Harfa szklana!“

Nie pamiętała, kto jej to powiedział, ani do czego się to stosowało; poprostu dwa te wyrazy powracały jej, jak uparta zwrotka piosenki, oplątująca duszę melancholją i tęsknotą.

Tak minął dzień.

Pociąg pędził teraz przez smutne, technieniem Mremmny owiane płaszczyzny Kampanji.

W wagonie zapalono lampę.

Ala powitała ten globusik żółtego światła u sufitu, jak życzliwą, znajomą twarz.

Wydało jej się, że i on mruga na nią przyjaźnie.

Jaż trzeci wieczór z rzędu dotrzymywali sobie w ten sposób towarzystwa.

Wstąpiła w nią jakaś dziwna otucha; przymknęła oczy i, ułożywszy się, jak mogła najwygodniej, w swoim ciasnym kąciku, drzemała, czując wciąż dotkliwie męczącą jawę huku i dygotania pociągu.

Wreszcie zadudniło, zacharkotało głośniejsz; wagon szarpnął się mocno i znieruchomiał.

Ala ocknęła się.

Elektryczne światło, z zewnątrz płynące, załało jej oczy.

Wszyscy wychodzili.

Deptano jej po nogach; ściągano z nad głowy pakunki; obce postacie kręciły się z głośnym nawoływaniem, a ona jeszcze zrozumieć nie mogła, coby to było takiego.

Machinalnie spróbowała wstać i opadła na siedzenie sztywna, bez żadnej władzy w pokuczonych członkach.

— Zostanę — pomyślała — zasnę.

Wtem dotknięto jej ramienia.

— Signora! Roma!

Dźwięk tego wyrazu przebiegł po niej, jak iskra elektryczna.

Oprzytomniała, otwierając szeroko oczy.

Rzym! była w Rzymie!

Przed nią, w pustym już zupełnie przedziale, stał „facchino“ z jej walizką w ręku.

— I grandi bagagli, signora?

Wstrząsnęła przecząco głową i z wolna, chwytając się, wysiadła na peron, nie wiedząc, co teraz uczyni, gdzie się zwróci.

Pamiętała mętnie, że ma jechać dalej, że nie powinna zatrzymywać się nigdzie, ale „facchino,” który stracił dla niej wszelki szacunek z powodu braku „grandi bagagli,” wytlómaczył jej, postępując się obficie mimiką, że pociąg do Neapolu już odszedł i że na następny trzeba było czekać do jutra.

— Venga, venga, Signora! — powtarzał szorstko, chcąc jej się pozbyć jak najprędzej.

Wsadził ją do dorożki i odbiegł, nie wydawszy reszty z lira, który mu podała.

Szczęściem dla Ali, trafił jej dał jakiegoś poczciwego „cocchiere,” który, widząc swą pasażerkę ledwo żywą i niemogącą mu wskazać żadnego adresu, z własnego pomysłu zawiózł ją do najlepszego pensjonatu na via Sistina, zamiast do jakiejś złodziejskiej nory, co w tych warunkach było by ją niechybnie może z innym, mniej sumiennym spotkało, zaś w Neapolu niechybnie z każdym.

„Pension Lavigne” błyszczał z elektrycznych punkcików napis nad sienią, przystrojoną w krzewy i jaskrawe na ścianach anonsy wszelakich „escursione” wodą i lądem.

Gdy Ala znalazła się nareszcie samą, w ładnym, zacisznym pokoju, wysłanym dywanem, o zamkniętych szczelnie żaluzjach i zapuszczonych koronkowych storach, gdy się przekonała, że nie już nie szarpie, nie trzęsie się dokoła niej, nie łomocze nad głową, ucałała się prawie szczęśliwą.

Nastąpiła w niej reakcja maltretowanej przez tyle czasu fizyczności.

Wszystko, co nie było jej biednem, osłabłem ciałem, przestało ją obchodzić.

Rozumiała tylko, że jest brudną i głodną, i całą istotą pragnęła jedynie ciepłej wody i ciepłej strawy, rada, że może dopomnieć się o to po francusku.

Podczas kiedy przygotowywano dla niej kąpiel i kolację, zaczęła się rozbierać z ciężkiej od kurzu sukni, z uczuciem więźnia, któremu pozwolono zrzucić kajdany.

Zdejmując kapelusz, spojrzała przypadkowo w zwierciadło i ledwo nie krzyknęła z przerażenia.

Zobaczyła twarz zupełnie szarą, o wysadzonych szklistych oczach i zezerniałych od gorączki ustach. Była to jakaś cudza, straszna maska.

Dotknęła jej palcami i przekonała się, że cała pokryta jest warstwą pyłu i sadzy. To ją trochę uspokoiło. Myślała, że ją tak przepalił żar, tych okropnych, rozpędzonych w przestrzeni pudeł, że już taką pozostanie.

Nie! nie! nie dbała o nie; nie dla niej nie istniało w tej chwili; ale stać się brzydką—och nigdy!

W pół godziny potem, wykąpana, z okręconym dokoła głowy mokrym warkoczem, w czystej białej bieliźnie, posilona gorącym omлетem, szynką, winem i owocami wsuwała się pod białą, szczelnie obtykającą materac kołdrę, na wązkie, płaskie poduszeczki tego włoskiego łóżka, opuszczając za sobą muslinowe fałdy mustikiery.

Przeniknęła ją zmysłowa, omdlewająca rozkosz; głębokie westchnienie ulgi podniosło jej piersi

i, wyciągnięta w całej swej długości z uśmiechem bezmyślnego zadowolenia, zasnęła.

Nad trwogą zagrożonego w swych najdroższych skarbach serca, nad męką wtrąconego w niepewność ducha, zatryumfowało nasycone i spoczynku łaknące zwierzę...

Ala przespalała w ten sposób cały następny dzień i noc, i jeszcze jeden dzień.

Nie był to już zwyczajny sen, ale jakby jakaś symfonia snu, ogarniająca wszystko, co ten stan tajemniczy w sobie mieści, poczynając od kamiennej martwoty, która sprowadza życie w takie głębiny bytu, gdzie jeden krok tylko dzieli je od śmierci; wpadając w wiry fantastycznych rojeń, dziwacznych zmartwychwstań rzeczy umarłych i jeszcze dziwaczniejszych uśmierceń rzeczy trwających, i zatrzymując się na jakiejś pół-jawie, spowijającej wrażenia już rzeczywiste w mgły nieświadomych odruchów.

Rzecz prosta, o wyjeździe mowy być nie mogło.

Ala na wstępie oświadczyła, że pragnie tylko przenocować i pierwszym pociągiem jechać do Neapolu, lecz gdy nadszedł ranek, „cameriera“ próżno usiłowała ją obudzić.

Młoda kobieta była jak drewno; nie poruszyła nawet głową, pomimo, że włoszka z całej siły targała ją za ramię.

Ta, trochę tem zaniepokojona, poszła po radę do właściciela, on zaś zdecydował, żeby „signora polacca“ spała sobie dalej, skoro jej to widoeznie potrzebne.

Weale się o to nie gniewał, że mu pozostanie dłużej lokatorka, której dał najdroższy pokój.

Tylko, gdy godziny mijały za godzinami, nie przynosząc żadnej zmiany, polecił, by dawano na nią baczenie, bo i jemu ten przeciągający się sen zaczął być dziwnym.

Leez „cameriera“ czyniła to z własnego popędu, ujęta niezwykłą urodą młodej cudzoziemki.

Z tą wrażliwością na piękno, tkwiącą w każdej włoskiej duszy, stawała nad uśpioną, podziwiając nadzwyczajną barwę jej ślicznych włosów i ten profil, jakby z listka białej róży wycięty, o liniach idealnie czystych, a dziewczęco miękkich, tak różny od zmysłowych typów Południa.

— *Che bella! che bella!* — szeptała, wychodząc na palcach drzwiami bez klamki, zamykającemi się automatycznie.

Po południu przyniosła kawę na tacy i, odrzuciwszy fałdy mustikiery, z determinacją przystąpiła do łóżka:

— *Signora! la colazione pronta!*

Ala nie usłyszała, nie zrozumiała; ale zapach posiłku podziałał na jej wycieńczony tyłodniowym brakiem odżywiania organizm.

Na wpół rozbudzona, jak lunatyczka, z zamkniętymi oczyma wypila kawę i zjadła trochę pieczywa, poczem znów osunęła się na poduszki.

Powtarzało się to z każdym innym jedzeniem.

„Cameriera“ krajała jej mięso, nalewała wino, kładła w rękę łyżkę lub widelec, obchodząc się z nią, jak z małym dzieckiem i przemawiając zachęcająco swym śpiewnym akcentem.

Ta śliczna istota, przymieciona tu, jak liść burzą, z jakiegoś cudzego kraju, o którym ona, „cameriera,” nie słyszała nawet, i zdana tak w swem szczególnem obezwładnieniu na łaskę i niełaskę obcego otoczenia, budziła w tej kobiecie z ładu nie tylko zachwyt, lecz jakby litość. Coś jej się zdawało, że ze szczęścia nie śpi się w ten sposób.

Ala zaś musiała to odczuwać tajemniczą mocą sympatycznych prądów, nawiązujących czasem takie dziwaczne łączniki pomiędzy tymi, których wszystko dzieli, i uśmiechała się, bełkocąc niezrozumiałe wyrazy.

Zresztą, wzmocniona snem i pożywieniem, coraz częściej próbowała wydostać się z błędnego koła inercji i niewiada.

Już od wczesnego rana następnego dnia, jakas, jakby po za nią stojąca świadomość, szeptała jej wskroś sennych rojeń, że rzeczywistość czeka, że wracać do niej potrzeba.

Wtedy otwierała nawpół oczy i wodziła niemi dokoła, nie odnajdując nic znajomego.

Kiedy i jak dostała się tutaj? Po co?

— Gdzie ja jestem? — myślała sennie.

Z po za wielkich francuskich okien, których żaluzje były rozchylone, dochodził głuchy, na ciepłych falach osłonecznionego powietrza niesiony, szum miasta.

I Ala raptem przypomiwała sobie:—To Rzym!

Tu chwyciła ją ogromne, niedowierzające zdumienie.

Ona w Rzymie! Kto jej to powiedział? Zkąd o tem wie? Co jest rzymskiego w tym pokoju?

Patrzyła, mrużąc oczyma, ale wnet powieki jej opadały ciężko i usypiała znowu, już tym drobnym wysiłkiem znużona.

Jednak potężny, w samej swej nazwie tkwiący urok wiecznego miasta zostawał nad nią.

Majaczyła jej się Bazylika św. Piotra, której nie widziała nigdy; i jakieś postacie przybrane w białe togi i pookręcane kwiatami słupy, na których płonęły ludzkie ciała... Jakiś głos — jakby „jego“... Adama, mówił do niej: Lygjo!

Ją to ogromnie dziwiło i smuciło. Jak to? Nie poznawał jej?

Więc odpowiadała mu: „Nie jestem Lygja!... Jestem Ala.“

A na to, siedzący na jakichś powywracanych kolumnach Czereza zaczynał się śmiać szalenie i, zgarbiony, uderzając z lekka dłonią o dłoń, wołał:

— Nie! nie! Ty nie jesteś ani Lygja, ani Ala. Ty jesteś... Ryta Szemko.

I pokazywał fotografię.

Ta fotografia to było coś tak potwornego, że Ala rzucała się w tył z krzykiem i budziła.

Ale teraz rozumiała już, że powinna wstać, ubrać się i pójść gdzieś...

Unosiła trochę głowę z poduszek, usiłując sobie przypomnieć...

Gdzie?...

Aha! Do Bazyliki... A potem trzeba będzie dać obrączki do poświęcenia... Ktoś z nią o to się umawiał... Nie Adam... tylko... Zresztą, to nie za-

raz... Teraz jeszcze sobie trochę odpocznie... Jest taka zmęczona, taka okropnie zmęczona...

Westchnienie ulatywało z jej nawpół otwartych ust — zasypiała.

Wieczór już był, gdy w jednym z takich przejściowych rozbudzeń, sięgnęła machinalnie pod poduszkę i palce jej napotkały błękitną kopertę, którą od wyjazdu z Warszawy miała ciągle razem z pieniędzmi przy sobie.

I odrazu, jak gdyby dotknięcie tego sztywnego papieru miało w sobie magnetyczną moc—wróciła jej zupełna przytomność i cały jej ból...

Porwała się za głowę i usiadła na łóżku.

W chwilę potem dzwoniła gwałtownie, aby się dowiedzieć, kiedy odchodził pociąg do Neapolu.

Pozostawało czasu nie więcej nad dobrą godzinę...

— Signora już nie zdąży—przekładała „cameriera,” widząc ją, wyskakującą z łóżka. — Signora zaszkozi sobie tylko takim pośpiechem. Lepiej pozostać do rana.

Ale ona wstrząsała tylko głową, gorączkowo nakładając na siebie ubranie.

Porywał ją szalony, wprost nieproporcjonalny do samego faktu strach, na myśl, że istotnie może się spóźnić, że trzeba będzie wracać tu... na noc.

Czuła, że teraz jużby nie mogła zasnąć, i wszystko wzdrygało się w niej przed możebnością tego przygwożdżenia do miejsca, tych godzin oczekiwania wlokących się w ciszy i samotności nieruchomych ścian...

Nie! nie! Raczej piechotą iść...

Odetchnęła dopiero w wagonie.

Kondaktor, któremu, nauczona doświadczeniem Pontebby, wsunęła w rękę kilka lirów, dał jej osobny przedział, miała więc zapewnioną wygodną podróż.

Ale gdy pociąg minął ostatnie sylwety akwaduktów, majaczące na widnokręgu nakształt tajemniczego pochodu olbrzymów, serce jej się ściśnęło.

Oto niknął za nią ten Rzym, o którym marzyła od dzieciństwa... Mieli go w planie poślubnej podróży, i potem wybierali się parę razy i zawsze coś na przeszkodzie stanęło.

A ona, koniecznie, koniecznie pragnęła być w Rzymie.

Oldaniecki obiecywał jej uroczyście, że będzie.

I była — niezależnie od jego obietnicy — była! i — cóż jej z tego pozostało?

Wspomnienie nieznośnego, dławiącego pośpiechu i wyciągających się do niej rozlicznych dłoni, na które musiała sypać liry.

Była jakaś bolesna urągliwość w takim spełnieniu się jej życzeń!...

Czy to już będzie tak zawsze?... ze wszystkim?...

Od samego wyjazdu z Warszawy towarzyszyło jej nie dające się pochwycić w słowa uczucie niepowrotności.

Ani razu, wyglądając przez okna wagonu, uderzona tą lub inną scenerją, nie pomyślała tego, co

prawie nieodmiennie myśli każdy, jadąc w tak zwaną tamtą stronę: „Zobaczę to jeszcze z powrotem.“

I nie pomyślała tego nawet teraz, gdy ją rozżalił ten Rzym, w którym się znalazła, a którego nie zobaczyła.

Nie! On pozostał za nią tak dobrze stracony, jak gdyby był nie miastem wiecznym, lecz chwilą, która mija, kwiatem, który więdnie, złudzeniem, które pryska...

I, z nagłym rozdarciem duszy, z korowodem jakichś bezwiednych strat przed oczyma, Ala zaczęła płakać, oblewając łzami nie tylko Rzym, lecz wszystkie chwile, kwiaty i złudzenia swojej szczęśliwej przeszłości...

.

Jak malownicze, a brutalne w dziennym świetle dekoracje, migają przed Alą domostwa neapolitańskich przedmieść: zielone, różowe, niebieskie, tłoczące się jedne na drugie w kapryśnych, amfiteatralnych linjach; miejscami ślepe zupełnie, miejscami gęsto podziurawione przez okna krzywe, bezładne, podobne do otworów powystrzeliwanych w murach zbombardowanego miasta.

Tu i owdzie małe, śmieszne balkoniki czepiały się ścian, powiewając szmatami sehnącej bielizny, przybrane w doniczki kwitnących roślin i w różnokolorowe płachty, zastępujące markizy.

Niektóre z tych ruder, popodpierane ze wszystkich stron drągami, waliły się prawie i wyglądały bardziej na gniazda szczurów, niż na siedziby

ludzkie; i w nich to właśnie, o tym wczesnym ranku, najhałaśliwiej budziło się życie.

Wązkie, dziecięce torsy, wieszające się po odrapanych przymurkach, cudne w swej złotawej nagości, przyświeconej młodem słońcem; kobiety, czeszące pod ścianami swe ogromne, czarne włosy; kozy, pędzone ku miastu z nocnych kryjówek, które dzieliły ze swymi właścicielami; drzwi licznych „trattorii,” otwierane z trzaskiem, o wnętrzach ciężkich od zaduchów kwaśnego wina i stęchłej ryby; porajnowane tarasy z napisem „Bella veduta” dla zachęty cudzoziemców; kominy jakichś nie wyrabiających fabryk, obumarłe i bezdymne, sterzące z po za parkanów, oblepionych strzępami afiszów i reklam; wszystko to jawiło się, zasłaniało wzajem i nikło, jak kolorowe pokazy kinematografu w momentalnym zdjęciu wagonowego okna.

A wszędzie, gdzie tylko znalazł się kawał pustej ściany, tam skakał w oczy olbrzymi, z białych, czerwonych lub czarnych liter ułożony napis: „Melé,” w towarzystwie, hojnym pędzlem namalowanej damy lub dwóch dam, w kapeluszach lub bez kapeluszy, w sukniach balowych, w płaszczach podróżnych, w kostiumach spacerowych, istny deszcz żurnali o potwornie jaskrawych barwach i jeszcze potworniejszych, płaskich twarzączkach kobiecych lalek.

— Melé! Melé! — powtarzała machinalnie Ala, myśląc o czem innym.

W Neapolu spotkała ją niemiła przygoda.

Jeden z czterdziestu fakinów, którzy ją przy

wysiadaniu na dworcu obskoczyli, napastując o „grandi bagagli,” wydzierając sobie wzajem jej osobę jak pakunek i już nie wrzeszcząc, a wyjąc nazwy hotelów, ulotnił się z jej walizeczką.

Koledzy twierdzili, że pobiegł zawołać „un cocchiere,” ale gdy się jakoś nie zjawiał, Ala znalazła w sobie tyle energii, aby pójść ze skargą do zawiadowcy stacji.

Ten pan upewnił ją posiekaną na włoszczyznę francuszczyzną, że jak Neapol Neapolem, nie w nim nigdy nie zginęło, że jest to najuczciwsze miasto pod słońcem, a jego personel kolejowy może konkurować o nagrodę enoty i że walizka znajdzie się w swoim czasie.

Czas ów jednak, co do Ali, okazał się wątpliwym: pociąg do Castellamare odchodził za chwilę. Oszołomiona, znękana, nie chcąc go stracić, dała się porwać nie odstępującym ją na krok swoim prześladowcom; ci zaś wspólnymi siłami wsadzili ją do wagonu, za co każdy z osobna kazał sobie zapłacić.

A teraz — jechała znowu, mając w każdym nerwie drganie i hurkot tych wszystkich kół żelaznych, które żelaznym szlakiem przeniosły ją od samej Warszawy, aż po ten kres.

Rozdrażnienie jej doszło do punktu kulminacyjnego.

Żal jej także było walizki, pamiątki drogiej, jak każda bagatelka, pochodząca z najpromienniejszej epoki jej życia.

A przytem, miała tam pasport i niezbędne przybory toaletowe. Obecnie pozostały jej tylko

pieniądze i błękitna koperta, owinięte w jedwabną chusteczkę i schowane za stanikiem.

— Melé!

Mignęła ostatnia rudera z tym napisem, iskrząca się w słońcu ogołoconemi z tynku cegłami, jak inkrustacją z rubinów, i pociąg wypadł na wolną przestrzeń, mając z jednej strony winnice i ogrody podmiejskie, z drugiej — zatokę.

I nagle, z po za pstrokacizny marów buchnęła w oczy Ali bezmierna masa błękitu, uciszona, gładka, niby bajeczna łąka niezapominajek w bezkresnej dali z przestworem w jedno zlana.

Było to jakieś czarodziejskie rozpętanie jednej barwy; jakaś modra apoteoza, w której samo słońce zdawało się być błękitne...

Jak w ogniu pożogi, tak stawał w błękitcie tych roztoczy świat cały. Nie, tylko błękit, błękit, błękit!!!

A w Ali coś, jakby się rozdwoiło w tej chwili.

Ten błękit, cudny, rozkoszny, niezrównany błękit wchodził jej pod powieki, w mózg, w krew, rozlewał się po całym jej fizycznym jestestwie mocą słodkiego, wprost magnetyzującego zachwytu.

I jednocześnie, dusza jej, napięta na najwyższy ton wrażliwości, cofała się przed tym naporem w dreszczu samoistnej, zaświatowej trwogi, w której żaden atom jej ciała nie uczestniczył, cofała się w taką najgłębszą, najniklejszą komórkę istnienia, że prawie zdawała się wychodzić z niej i bić spłoszonymi skrzydłami na skraju ostatecznej rozłąki.

A ciało znużone, oczarowane, nie czyniło nic, aby ją zatrzymać...

Błękit je ciągnął, chłonał, roztopiał; a ono czuło, że w jakiś tajemniczy, złowrogi sposób należy do niego, że musi się z nim złączyć, gdy duch, jakby przez tę nową potęgę, z dotychczasowego swego królestwa wypierany — ulatywał...

Bezwiednie zapatrzona w tę modrość, która ją hipnotyzowała urocznemi oczyma węża, Ala wyciągnęła ramiona i przechyliła się za szerokie okno wagonu.

W głowie miała pustkę zupełną — pustkę błękitnego zamętu—i, bez żadnej woli, nie pojmując, co czyni, wychylała się coraz bardziej, odruchowo zwalczając materialną zaporę tych kilku desek, które stawały pomiędzy nią a tem czemś, nieskończenie błękitnem, czego już była jakby częścią...

Jeszcze sekunda, a straciłaby równowagę.

— Che fate, signorina! — zabrzmiał tuż pod nią szorstki głos konduktora, który przebiegał pociąg z zewnątrz, czepiając się ścian i okien ze zręcznością kota.

Urok prysnął w porę.

Z lekkim okrzykiem, zasłaniając twarz rękoma, Ala cofnęła się w głąb i opadła na aksamitne poduszki siedzenia.

Lodowaty pot pokrył jej czoło, i leżała tak bez ruchu, dysząc ciężko, gdy odbywała się w niej dziwna praca zespalandia rozdwojonych chwilowo pierwiastków jej bytu.

Zwolna wróciła jej przytomność i teraz znowu ogarnął ją przestrah. Tylko ten był już zwykły ludzki... odczuwała go zarówno myślą, jak drżeniem członków i przyśpieszonym biciem serca.

— Co to było? co to było?—szepnęła zbielałemi usty.

Przesiadła się na drugą stronę wagonu, instynktownie unikając spojrzeć nie tylko na zatokę, lecz nawet w niebo.

Wzrok jej trzymał się uparcie zieleni, i ta wegetacja włoska, sama w sobie taka niespokojna, skręcona, jakby w konwulsjach rzucająca się nad ziemią, niosła jej ukojenie.

Boć to była owa Campagna Felice, romantyczna mamka starożytnej Italji, o piersiach wezbranych oliwą i winem; pieszczocha Cezarów; zmysłowemi zapachami migdałowych i pomarańczowych drzew nasiąkła, jak kurtызana, zwiędzona w wawrzyny, jak bohaterka i w mirty, jak oblubienica; zadumana cyprysami, jak marzycielka; igrająca w słońcu u stóp swego strażnika i kata, Wezawjusza, jak igra dziecko, niebaczne a szczęśliwe, nad krawędzią grobu.

To była ona, ta jedyna na świecie, szmaragdowa tarantela przyrody, rozplątana na podminowanem niszczącą potęgą łonie ziemi; wiewająca festonami łańców winniczych, jak taneczniczka fartuszkiem; cała w podskokach swoich karłowatych pni, w przegięciach namiętnie wyciągających się w przestrzeń gałęzi delikatnych i gibkich, jak ramiona młodej dziewczyny.

Ala stopniowo zapominała o tej strasznej, dziwnej chwili, którą przeżyła.

Raz nawet uśmiechnęła się.

Na skraju winnicy zobaczyła potężny słup, z przybitą do niego ogromną tablicą, a na niej

damę i napis: „Melé,“ biegnący jak czarny garni-
runek po jej ponsowej sukni: sztywny, suchy kwiat
reklamy, wetknięty w ten rozbujały, nieopatrny
ogród natury, jako jedyne przypomnienie człowieka
i jego kramarskiej zabiegliwości.

Myśl młodej kobiety znękana, osłabła, udrę-
czona potrzebą jakiegoś punktu oparcia, zaczęła
o ten szczegół.

Zaciekawiło ją, czy go jeszcze zobaczy; a gdy
się to powtórzyło drugi i trzeci raz, zaczęła li-
czyć.

Nie wiedziała jak długo ma jeszcze jechać —
napisy ukazywały się w znacznych odstępach — lecz
ułożyła sobie, że jeżeli naliczy jeszcze dziesięć ta-
kich tablic, nim pociąg stanie w Castellamare, to
będzie dobry znak.

I, gdy doszła do dziewiątej, tak była pochło-
nięta tym rachunkiem, jak gdyby istotnie coś od
jego wyniku zależeć mogło.

— Jeszcze jednak jeszcze jednak — powtarzała,
z rodzajem obawy, żeby świst lokomotywy nie po-
psuł jej dziecinnej wyroczni.

Lecz gdy ta jedna minęła i nastąpiły po niej
jeszcze inne, a pociąg pędził dalej, rozpoczęła no-
wą dziesiątkę, która miała być jeszcze bardziej
rozstrzygająca, niż pierwsza.

Było to wielkie dobrodziejstwo dla jej wytor-
turowanej już po brzegi duszy.

Zajęta czem innym, nie doznawała pożerają-
cej niecierpliwości końcowych stacji — tej gorączki
ostatniej godziny, która zawsze wydaje się dłu-
szą, niż cała podróż — i ani spostrzegła, jak zna-

lazła się w Castellamare, a wstępu do trzeciej serji tablic.]

Zmiana ruchu, słodycz otwartego powietrza i bezpośredni urok przyrody, tłumiony dotychczas ścianami kolejowego pudła, jeszcze zbawienniej wpłynęły na jej nastrój.

Unosił ją teraz powozik—żółty, trzeiniowy kosszyk na niskich czerwonych kołach, zaprzężony w czupurne, górskie konięta; istny ekwipaż lalek, dudniąc głucho i tępo po twardo ubitym gościńcu, jak po sklepieniu.

Miała wciąż po prawej ręce zatokę, z półkołem tylko co przebytej drogi, ukazującem się w morderzej perspektywie fal i, chcąc gdzieś wzrok posłać, musiała na nią patrzeć, bo z drugiej strony gościńca ściana olbrzymich skał Tre Fratelli zasłaniała widnokraj, wisząc prostopadle tuż niemal nad powozem, którego koła zdawały się ocierać o jej białe, chropowate, bluszczami oplątane wypryski, podobne do szkarpów, podtrzymujących mury jakichś odwiecznych zameczysk, i łamiące wciąż linię gościńca w zygzaki fantastycznego gzymsu, ucepionego u tych potężnych flanków przyrody.

Ale teraz Ala nie odnajdowała w sobie nic z tej mistycznej grozy, w jaką wtrąciło ją pierwsze spojrzenie na błękitne tonie Mediteranji.

Wrażenie to, choć tak świeże i silne, zmętniało w jej pamięci i ważyło się w niej niepewnie, niby jedna więcej z owych wół na jawie przesnionych wizji, które zaludniały jej wyobraźnię pod białą mustykjerą pensjonatu Lavigne.

Czar laurowych bezkresów pozostał nad nią; tylko już nie fatalistyczny i chłonący ją w siebie aż do zaniku jej własnej istoty, jak pierwej, lecz łagodny, i jakby podścielający piastuńcze ramiona pod jej daszę.

I cała słoneczność jej natury, zgaszona ostatniemi zdarzeniami, wracała w niej do życia w blaskach tego świetlistego dnia, który z zapłonionego pąkowania rannych godzin wykwitał teraz przejasny i pełny, jak złota róża.

Nie czuła się ani obca, ani sama w tem po raz pierwszy spotykanem otoczeniu; a każdy atom roześmianego eteru zdawał się witać ją w rodzimej mowie szczęścia.

Rzeźwy, morski powiew obmywał jej twarz z gorączkowych wypieków nocnej jazdy, zdejmował ciężkość z powiek i wygładzał zmięte fałdy jej popielatego kostiumu, w którym wdzięczna jej postać, oparta o ponsowe poduszki powozika, rysowała się z miłą biernością odpoczynku, wyszanego zwolna i rozkosznie, jak nektar w wymęczone członki.

Jak rycerz z bajki, odważny a tkliwy, tak ta przyroda potężna a słodka zabiła smoka zwątpień i rozpaczy, trzymającego pod zaklęciem daszę młodej kobiety przez te wszystkie okropne dni, i pocałunkami słońca i błękitu budziła śpiącą w niej królową radości istnienia, szeptała:

— Patrz, jak piękny jest świat! Żyj, Kochaj i bądź szczęśliwa!

A ona, posłuszna temu wezwaniu, patrzyła, coraz więcej promieni nabierając w swe przejrzy-

ste oczy, i stawała się znów tą samą śliczną, zjawiskowo-światlaną Alą, w której rozkochanym a ponurym wzrokiem tonął Czereza, tam nad stawem ogrodu Saskiego.

Tymczasem powóz — zostawiwszy w dole za sobą uroczę Vico Equense — wrzynające się tak głęboko w zatokę, że wygląda jak wianek różnokolorowych kamyków, zielenią przetykany i na jej modrą pierś rzucony, — okrążył skaliste kolano Panty di Scutolo i zaczął staczać się po łagodnej pochyłości ku rozlanej szeroko, jak drugie morze równinie, i jak morze przebijaną roślinnością falującą.

Górzysty mur rozstąpił się nagle, cofając gdzieś na najdalsze krańce widnokrzęga, i oko, niczem już nie wstrzymane, mogło błędzić po owem sławnem piano, klejnocie regio felix, z jego gajami oliwek i pomarańczy, i morw, i granatów, i figowców.

Wówczas woźnica obrócił się na koźle i, rękojeścią bata wskazując wdzięczne wgłębienie wybrzeża, ostrym zakończone cyplem, rzekł:

— Ecco Sorrento, signora!

Ala całą postacią podała się naprzód, przycisnąwszy oba rękoma bijące gwałtownie seree.

Nakoniec!

Przez całą tę długą, długą podróż, owo Sorrento migotało w jej wyobraźni, jak błędny ognik, za którym gonilibyśmy, mając jednocześnie świadomość jego niepochwytności... Jechała i nie wiedziała, że dojedzie...

Teraz dopiero!

W jednej chwili ogarnęła ją radosna, uskrzydlająca wszystkie czucia niecierpliwość.

— Prędejl! prędejl! — zaczęła wołać na wóznicę, ciągnąc go za rękaw i wtykając mu w dłoń kilka lirów.

— Aaaa! — zakrzyknął na konie uradowany Włoch, i trzecinowa karjolka pomknęła, jakby i jej przyprawiono skrzydła.

Ala nie odrywała już oczu od wskazanego sobie punktu.

— Sorrento! Sorrento! powtarzała półgłosem, aby się upewnić, że nie jest znów igraszką fantasmagorji. Było coś tak nie realnego w tem wszystkim, co ją od kilku dni spotkało.

... Bo i teraz... Gdzież ten ból szalonego postanowienia, które ją aż tu przypędziło—gdzież on?

Zniknął; rozwłókł się tumanem po tej białej drodze, która z pod wartkich kół powozika znika w łukowatą dal, migocąc złocistą oprzędzią pyłu, jak z czarodziejskiego wrzeciona przestrzeni wysnuta.

A ta okrutna zagadka błękitnej koperty? Co się stało z jej dręczącą władzą?

Gdy Ala decydowała się jechać do męża, była pewną, że stanie przed nim zimna, jak głaz, bez słowa, poda mu ten fatalny papier i będzie czekała... wyjaśnienia. Czego się dowie?—nie myślała o tem.

Jedynym jej celem, jedyną żądzą było — dowiedzieć się...

A potem...

Potem niech będzie, co ma być... W każdym razie zapewne coś niedobrego.

Jakże inaczej przedstawia się jej to teraz, na tle tej jazdy szybkiej i lekkiej, jak wiatr, przez te osłonecznione pola, wskroś tych lazurów, i kiedy on... ten nad wszystko ukochany, jest już tak blizki, że gdyby była obznajmiona z miejscowością, mogłaby wzrokiem odnaleźć położenie owej willi „Rosa di Monte,” w której zamieszkał.

Teraz dopiero pojmuje, że ujrzawszy go, nie potrafi o niczem pamiętać, tylko o tem, że go widzi, nie potrafi nic innego uczynić, tylko paść mu na piersi, ramionami jego szyję opleść i jego najdroższe imię w pocałunku na ustach mu wyszeptać.

Widzi też jego ogromne zdumienie; słyszy jego głos, — ten głos, jakiego drugiego na świecie niema, wołający:

— Dziecius! Ty tutaj?...

Sama tak drży ze szczęścia w wyobrażeniu tej chwili, że nawet przez myśl jej nie przychodzi, aby on mógł czuć inaczej... Przecież go zna... przecież wie, jak ją kocha!...

Inna rzecz, że mógł być nieusposobiony do listów, a inna rzecz, kiedy ją zobaczy tak niespodzianie, pod tem niebem uroczem.

Oczywiście, będzie ją pytał, jakim cudem odgadła, że on w Sorrento, zkad się tu wzięła?

Nie powie mu odrazu... nie.

Wprzód napatrzy się na niego, nacieszy... nadroczy z jego ciekawością.

Zacznie od tego, że złoży wszystko na... piąty paluszek! Ten piąty paluszek jest w ich mał-

żeńskich pastotach dobrze znanym wścibskim i wszystko wie... Tak już było od samego początku.

Tu Ala mimowoli płoni się i uśmiecha marząco na wspomnienie różnych jego rewelacji.

Piąty paluszek! Rzecz prosta, on się tem nie da zbyć; będzie nalegał. Wtedy—tak... wtedy...

Blednie i uczuwa w sereu dziwne, chłodne ukłócie.

Błękitna koperta!...

Więc ukryje twarz na jego piersi i powie bardzo cicho:

— Ja to znalazłam, Adamie. Nie mogłam zrozumieć... i byłam bardzo nieszczęśliwa... Dlatego tu przyjechałam. Nie gniewaj się, mój jedyny... Widzisz; nie otworzyłam tego listu... Ale ty mi go pokaż... albo nie pokazuj... wytłómacz tylko! Gdybyś wiedział!...

On w pierwszej chwili podniesie brwi — tym ruchem, który jej przypomina tyle rzeczy — rozewnie kopertę i...

Ala jest tak wzruszona, przeczuwając naprzód w ten sposób to, co ma nastąpić, że zaczyna dygotać febrycznie i niemal dusi się z braku oddechu.

Chwyta ją znowu szczególny błękitny lęk, i choć to jest niewypowiedzianie dziwne, ona wyraźnie, jakimś szóstym zmysłem wyczuwa wrogość tego błękitu w nagle lodowaciejących żyłach.

Leez to trwa nie dłużej, niż jedno mgnienie oka i, raz jeszcze żywiołowa siła szczęścia, która dotychczas rządziła jej życiem — zwycięża.

Nie! nie!... Wszak będzie z nim!

I czegoż miałyby się obawiać przy jego boku, od niego?...

Oto już widzi, jak przeczytawszy ów list nie-szczęśny, podaje go jej z uśmiechem i mówi żartobliwie łającym tonem:

— Oj! dziecuiś! dziecuiś! Co po tej głowince się roi! Masz, czytaj!...

I ona nawet nie będzie czytała.

To jego oczy miłośnie na nią patrzące, te słowa tklive i wesołe powiedzą jej lepiej, niż wszelkie pisane dowody, że się myliła, że była naprawdę niemądrą, rozpieszczoną przez los dzieckiem, które się złąkło—bańki mydlanej!...

Więc się tylko zawstydzi ogromnie, ale nie pożałuje niczego: ani swych śmiesznych przywidzeń, ani swej rzeczywistej męki, ani tych nocy bezsennych, okropnych, o nie! Bo inaczej nie byłoby Sorrenta!...

A oni będą teraz tacy szczęśliwi! tacy szczęśliwi w tem Sorrento!

— Aaaa!—pokrzykuje wciąż woźnica na konie, jakby przekomarzając się z niemi, i nie używa barta, za co Ala chciałaby mu prawie dziękować... Miała zawsze bardzo wrażliwe serce na cudze cierpienia, a w tej chwili zdaje jej się, że poprostu nie zniosłaby nieczyjego bólu dokoła siebie. Nieczyjego! bodaj najlichszej muszki.

Tymczasem włosch, zachęcany jej hojnością, coraz częściej obraca się na koźle i rozpoczyna gawędę.

„Signora“ nie umie po włosku; to go jednak nie zraża.

— Jutro zrobimy wycieczkę do Pompei—mówi z wyrazem przyjacielskiego porozumienia na swej młodej, smagłej twarzy.— Bene, signora? Dziesięć lirów. Nikt tak tanio nie pojedzie. A pojutrze do Massa Lubrense. Albo lepiej do Amalfi. Ach! Amalfi, come bello! Dwadzieścia pięć lirów. Na trzeci dzień będziemy z powrotem. Signora nie się nie zmęczy. Moja vettura poprostu kołyska. Żadna tak nie niesie. I na Deserto musimy być koniecznie. Najpiękniejszy widok na świecie. I tak jak za darmo. Cztery liry. Volete, signora, Volete?

— Si, si—odpowiada Ala, uśmiechnięta, domyślając się, o co chodzi.

Nie mówi tego na wiatr, aby się pozbyć naręta! Dlaczegożby nie? Będą robili te wycieczki.. we dwoje!

Boże! jak cudowną rzeczą jest żyć i kochać!

— Aaaa!—woła z entuzjazmem vetturino, zwracając się do swoich koni, aby im tę dobrą dla siebie, a dla nich złą nowinę zwiastować, i podniecony nadzieją świetnego zarobku pędzi jak strzała.

Minęli Metę z jej przydrożnym kościołkiem i długie a proste jak drut Carotto i malowniczo pstre Agnello.

Równina się zwęża, wzgórze zdają się gonić za nimi i dopędzają ich coraz ciasniejszym półkręgiem.

Jeszcze kilkanaście minut, a powozik wpada pomiędzy pierwsze ogrody Sorrento; jeszcze kilka— a turkoce po jego piazzecie, poczem skręca w dłu-

gą wąską szyję pomiędzy dwoma wysokimi parkanami, z poza których, jak z ukrytych kadzielnic buchają odorzające wonie, wreszcie wjeżdża w otwartą bramę zakończoną w górze ażurowym z zielonych metalowych liter napisem: „Rosa di Monte,“ okrąża śliczny, akwiecony dziedzińczyk i staje przed portykiem zgrabnej, różowej, podobnej do jakiegoś cacka z cakra willi.

Ala wysiada.

Woznica dzwoni jak na alarm, choć drzwi przedsionka otwarte są na roścież, i prawie w tej samej chwili zjawia się na progu padrone, wysoki, otyły włoch w pantoflach i aksamitnej kamizelce, której guziki dopina z pośpiechem, kłaniając się ze specjalną, węższą gracją hotelarzy.

Zdaje się mieć oczy atkwione tylko w nowo przybyłym gościu i czekać na jego rozkazy; widzi jednak doskonale, że gość jest bez pakunków i wstrzymuje się w połowie drugiego ukłonu. Nie warto.

Ala otwiera usta i literalnie nie może wydobyć głosu z piersi.

Ma gardło jak zasznurowane, a serce bije jej tak głośno, że lęka się, czy padrone tego nie słyszy.

Może być spokojna. Gdyby coś najdelikatniej, poprostu zefirowo zabrzęczało w jej kieszeni, usłyszałaby z pewnością; ale uderzenia sereal...

— Co jest na usługi signory? — mówi z okrągłym zapraszającym do wnętrza gestem.

Z pakunkiem, czy bez pakunku każda zdo-
bycz jest pożądana.

Ala płaci swego vetturino, który odjeżdża wrzeszcząc na cały głos: „A domani, signora, a domani! Per Pompeii“ — i wchodzi do sieni, bliźniaczo przypominającej przedsionek pensjonatu Lavigne.

Ten sam klomb krzewów pośrodku, te same kanapki trzeźnowe; te same, jaskrawe anonse na ścianach, ta sama majolikowa posadzka. Niewiadomo dlaczego widok ten wraca jej odrazu przytomność i panowanie nad sobą.

— Tu mieszka pan Oldaniecki z Warszawy? — zapytuje po francusku.

— Oui, Madame! Mamy zaszczyt gościć Monsieur Oldani pod naszym dachem—odpowiada padrone w hotelowym wolapiku. — Przykro mi jednak oświadczyć, że Monsieur Oldani jest na tę chwilę nieobecny.

— Zaczekam—szepta Ala, rumieniając się pod badawczym wzrokiem włocho.

— Oh, Madame! to byłoby za długo. Monsieur Oldani wyjechał do Neapolu. Wróci dopiero wieczorem.

— Do Neapolu! — powtarza młoda kobieta, zmrożona tą nieprzewidzianą zwłoką.—Mój Boże! Stoi niepewna, a padrone patrzy na nią z widoczną chęcią pozbycia się jej jaknajprędzej.

Lecz Ala podnosi nagle głowę.

— Zaczekam w każdym razie. Proszę mnie zaprowadzić do mieszkania pana Oldanieckiego. Przyjeżdżam umyślnie do niego z Warszawy. Jestem...

Padrone nie daje jej dokończyć i zgięty w najwdzięczniejszym ukłonie, woła:

— Oh! la signora da Varsavia? Mon Dieu! Ależ Monsieur Oldani pojechał na spotkanie Madame. Co za nieporozumienie! Widocznie zaszła pomyłka co do pociągu. Ach, te telegrafy! Zawsze coś pobródzą! Monsieur Oldani był pewny, że Madame przyjeżdża pociągiem popołudniowym. Sam to do mnie mówił. O! Dio! Dio! Monsieur Oldani będzie niepokieszony.

Ala chce przemówić, lecz teraz już ust nawet otworzyć nie może.

Zdaje jej się, że uderzono ją czymś twardem, jak kamień i jak lód zimnem między oczy.

Stoi w milezeniu, najzupełniej spokojna na pozór; a włosy trzepie dalej:

— Szczęściem, wszystko już gotowe na przyjęcie Madame! Właśnie kończyliśmy dekorację sypialni. Monsieur Oldani chciał widzieć przed wyjazdem, jak to będzie wyglądało. Ma foi! sam nawet pomagał! Proszę, proszę na górę, Madame! A gdzie bagaże? Idą zapewne drugą vetturą? Madame nie chciała swojej obciążać. Bardzo słusznie. O wiele przyjemniej się jedzie. Proszę Madame, proszę. Wszysey tu jesteśmy na usługi Madame.

I znowu, tym samym zagarniającym gestem człowieka, którego życie jest jednym ciągiem łapaniem, wskazuje schody, wołając w głąb: „Raffaele, Assanta! Raffaele!“ i poprzedza Alę krokiem cofającego się z proscenjum baletnika; a ona idzie

bez oporu, jakby ta tłusta ręka włocho była drogowskazem, wiodącym ją ku nieuniknionemu przeznaczeniu.

I nie rozumie nic... nie zgoła; tylko zdaje jej się, że to wszystko już dawniej było, że się powtarza i usiłuje przypomnieć sobie, co teraz powinno nastąpić.

Te schody... stanowczo szła po nich i po tym wązkim ponsowym dywanie, z pod którego wyglądają po bokach biało-zielone tafelki fajansowe. Suknia jej tak samo zaczepiała o stojące na stopniach doniezki czerwonych pelargonji i białych werwen.

Na pierwszym przęśle zjawia się *cameriere*; blada piękna głowa o dumnych linjach, rzymskiego imeratora, wychylająca się w służalczym ukłonie z lokajskiego fraka.

— *Ecco la Signora da Varsavia, Raffaele!*— objaśnia *padrone*, rzucając mu ponad popielatym kapeluszem młodej kobiety szybkie, porozumiewające spojrzenie.

Potomek Cezarów uśmiecha się nieznacznie pod czarnym, krótkim, kędzierzawym wąsem; uśmiecha się w sposób dziwnie sprzeczny z ruchem bezdenne go uszanowania, z jakim odbiera od Ali jej pled i parasolkę, poczem idzie za nią o dwa stopnie niżej, gdy *padrone* idzie przed nią o dwa stopnie wyżej, i wiodą ją tak pomiędzy sobą w tryumfie, jak bierną, nie mogącą wymknąć się już im zdobycz.

Padronowi nie zamykają się usta. Prze-

kręcony połową postaci ku Ali, jakby był ludzkim korkociągiem, mówi ubolewająco:

— Ach, prawdzi! Monsieur Oldani nie miał dobrego przeczucia! Gdyby był pojechał końmi, byłby spotkał Madame w drodze do Castellamare. Ale wolał popłynąć „Najadą.“ Niema półgodziny, jak Edoardo zawiózł go na pokład. A teraz, gdy popołudniowy pociąg nadejdzie, nie będzie wiedział co czynić. I niema sposobu dać mu znać *En voilà du guignon!* Monsieur Oldani gotów czekać do wieczornego pociągu i niepokoić się. Ach! ach! ach! co za fatalność!

W westybulu pierwszego piętra, przyozdobionym w krzewy, aksamitny, ponsowy okrągłak, z jedną ścianą całą szklaną, przez którą leją się potoki, zaróżowionego od ponsowych lambrekinów światła, oczekuje cameriera: krępa, śniada dziewczyna, w białej, muślinowej kokardzie na utrefionych, matowo czarnych włosach.

— *Ecco la Signora da Varsavia, Assunta!* — powtarza padrone, i znowu ponad kapeluszem Ali krzyżują się spojrzenia trzech par oczu, w których błyska ta sama drwiąca, bezczelna a nieuchwytna myśl.

Dziewczyna dyga nisko, aż jej czarna spódnica zatacza koło na chłodnych taflach posadzki, i odbiera camerierowi parasolkę, nie mogąc inaczej objawić swojej żarliwej gotowości do usług.

Teraz wszystko troje obstępają Alę półkręgiem, a jej zdaje się, że ci ludzie nieznani, których obecność raczej odczuwa niż widzi — bo wzrok ma wciąż uparcie w ziemię utkwiony — wiążą ją,

obezwładniają, aby za chwilę rzucić ją w gorejący stos, lub strącić gdzieś w przepaść.

Chełaby się im wyrwać, krzyknąć, uciec od tego, co ją ma spotkać—ale nie może.

Tymczasem padrone otwiera jedne z kilkorga drzwi bielejących w nagich, lakierowanych na różowo ścianach westybulu i mówi:

— Oto apartament Madame. Są to najpiękniejsze pokoje w całej willi, a śmiem wątpić, czy po tem, jak je urządziliśmy teraz, w całym Sorrento znalazłoby się coś podobego. Mam nadzieję, że Madame będzie zadowolona. Apartament jest sam w sobie. Tamte drzwi z prawej strony prowadzą do mieszkania Monsieur Oidani. Komunikacja wewnętrzna zniesiona, wszelako...

Porywa go dyskretny kaszelek; nie kończy; i z nowym, możliwie wdzięczniejszym od poprzednich ukłonem zapraszał Alę do wejścia.

A w niej raz jeszcze budzi się instynkt samoobrony, ciągnący ją wstecz.

Coś w głębi jej oniemiałej duszy poczyna wolać głucho, jak w bezmiernej pustce:

„Wróć się! wróć!”

I wbrew wszystkiemu postęchałaby tego głosu; znalazłaby w sobie dość siły, do roztrącenia tych ludzi, zastępujących jej drogę, gdyby jej wskazano dokąd wracać.

Ale poza nią niema nic... nic zgoła; cały świat zapadł gdzieś w otchłań, wraz z całą jej przeszłością; więc przysłania tylko jeszcze bardziej oczy

drgającymi z lekka powiekami i ze schyloną głową — wchodzi.

Na nie nie patrząc, mija jakąś niewielką przestrzeń, będącą zapewne przedpokojem — stopy jej toną w puszystym dywanie, owiewa ją rozkoszny zapach kwiatów; błękitny blask wdziera się pod jej spuszczone rzęsy i przenika ją nieopisanem, dziwniejszem nad wszystko poczuciem kresu.

Tak; nie stąpi już ani kroku dalej.

— Voilà, Madame—mówił padrone, trochę niezadowolony z milczącego zachowania się nowo przybyłej—uczyniliśmy wszystko, co było w naszej mocy. Teraz pozostaje mi tylko prosić, aby Madame raczyła się rozgościć i polecić jej swoje pokorne służby. Venga, Raffaele! Assanta niech będzie do pomocy Signory.

Kłania się raz jeszcze, leez ode drzwi zawra-
i dodaje:

— Mam zaszczyt oznajmić, że lunch u nas punktualnie o pierwszej, a obiad punktualnie o siódmej. Ale może Madame zechciałaby przedtem ozeźwić się czemkolwiek? Kawa, herbata, wszystko jest do dyspozycji.

Ala czuje, że musi, za wszelką cenę musi przemówić.

Wciąż ze spuszczoneymi oczyma, jakby w tem tkwił talizman zachowania pozorów wobec tych ludzi, odpowiada przyciszonym, ale zupełnie spokojnym głosem:

— Dziękuję. Nie potrzeba mi niczego. Jestem bardzo zmęczona... Pragnę pozostać sama.

Wychodzą więc wszyscy; piękny cameriere na końcu.

Urzekły go blado-złociste włosy Signory.

Z pod swych imperatorskich brwi rzuciła jej ostatnie spojrzenie, które zdaje się mówić:

— Co za szczęśliwa bestja ten cudzoziemiec!

I dyskretnie, prawdziwie po lokajsku, przymyka drzwi za sobą.

Nie zmieniając postawy, nie odrywając od sukni zwieszonych bezwładnie rąk, Ala z wolna unosi powieki i stopniowo zaczyna spostrzegać otaczającą ją przedmioty.

Stoi pośrodku ładnego saloniku o dwóch wielkich, francuskich oknach, wprost jakby w morze wprawionych.

Okna te są otwarte i lekka bryza kołysze sennie koronkowemi firankami, po których biegną długie gałęzie pnących róż, osypane delikatnem kwieciem.

W głębi, wysunięte bokiem na pokój piękne pianino pod wielką palmą. Dalej ślicznie rzeźbione stalugi z oliwnego drzewa, a na nich naciągnięty płótnem blejtram i paleta.

Dalej biurko na złoconych kolumenkach; dalej leżanka obrzucona bogatą, haftowaną draperją; dalej jakieś pufiki, jakieś etażerki, tworzące złota-we plamy na tle dywanu, o barwach nikłych, jakby spłókanych; a wszędzie kwiaty, kwiaty, kwiaty!

Zapach ich krąży w gorącym omdleniu tej przedpołudniowej godziny, jak leniwie labieżna pie-szczota.

Przez otwarte drzwi drugiego pokoju widać

wielkie trumena, a w niem ukośne odbicie śnieżnych fałd mustykjery, zasianych pękami róż i żonkili; dyskretna wizja tajemnych szczegółów życia.

I wogóle całe to wewnątrz pachnące, wyrafinowanie eleganckie, z przewagą tonów gorących, z lekka przyémionych, technie jakąś przyeczajoną, jakby mgłą oczekiwania i zadumy przesłonioną namiętnością.

Żaden szczegół nie uchodzi uwagi stojącej pośrodku nieruchomo kobiety.

Jak ona tu poznaje, jak wprost wyczuwa kapryśną myśl „jego,“ jak mogłaby wskazać, czego dotykała się ta nerwowa, ukochana dłoń...

— To dla tamtej... dla tamtej... dla tamtej, po którą pojechał! Czy to być może?

Zaplata kurezowo ręce, i przechylając się w tył, podnosi oczy w górę, jakby spodziewając się ztamtąd jakiegoś zaprzeczenia tej potwornej prawdy.

Ale żadne zaprzeczenie nie przychodzi. Natomiast Ala zpostrzegła, że nie wszystko jeszcze widziała.

Od ściany do ściany, w rodzaju jakby tryumfalnego łuku, biegnie sztucznie przerzucona w powietrzu girlanda, z ciemnych liści i białych kwiatów uwita.

Pierwszy rzut oka daje jej wrażenie tylko jakichś kwiatowych zygzaków, czy festonów, ale przy bliższem wpatrzeniu się, poznaje, że te zygzaki układają się w litery.

Przeciera oczy.

Tak, to napis!

Jeszcze jedna... jeszcze jedna... jeszcze jedna chwileczka!... nim ta ostatnia kropla spadnie.

Stało się!

Już przeczytała, już wie, i już żadna potęga na świecie nie dokaże tego, żeby mogła napowrót... nie wiedzieć.

Takie dwa krótkie wyrazy:

„Ave Rita!“

I już żadna potęga na świecie — —

„Ave Rita!“

I już do ostatniego tchnienia — —

„Ave Rita!“

Myśli jej płaczą się, kłębią, rozsadzają mózg.

I nie rozpacz w nich góruje, nie ból, nie gniew, tylko zdumienie, srogie, obłądne zdumienie.

Jakto! Przecież wiedziała o tem już od dawna...

W tym zmroku liljowym czerwcowego wieczora, kiedy akacje pachniały tak silnie... wiedziała o tem!

W różanej gorzeli łuny zachodniej, kiedy, idąc ulicą, znalazła błękitną kopertę... wiedziała o tem!

W czerności bezsennej noocy, kiedy włóczyła się, jak widmo, wśród cichych ścian swojej sypialni... wiedziała o tem!

W szaleństwie swego postanowienia, w churkocie kół żelaznych, w gorączce tej jazdy bez przerwy, bez odpoczynku, w mirażach rzymskiego letargu, w błękitnem przerażeniu zatoczonyj wizji—wiedziała o tem!...

To był jej ból... to była jej męka... to była jej trwoga... tylko nie umiała tego nazwać.

A to się nazywa:

„Ave Rita!”

Niel... niel... Inaczej...

To się nazywa kłamstwo, zdrada, podeptanie wszystkiego, zmiżdżenie wszystkiego, koniec wszystkiemu!

Koniec...

I to ją zdumiewa najbardziej; tego w żaden sposób zmaconym umysłem, podartą na strzępy duszą ogarnąć nie może.

Koniec — i coś jeszcze trwa?

Zapadła się pod nią ziemia — a ona stoi?

Światło wszelkie zagasło, a ona widzi?...

Jakże to być może?

Koniec?

A przecież coś jeszcze uczynić trzeba; gdzieś pójść... przecież tu zostać nie może.

Ale dokąd pójdzie? co uczynić?... Kiedy już — po wszystkim i nie już dla niej niema.

Nagle — przybiera postawę nad słuchającą.

Teraz dopiero uderza ją, że w ciszy, wypełniającej to wonne, złocisto-błękitne wnętrze, coś mówi.

Wyraźnie coś mówi: głębokim, uroczystym, potężnym szeptem mówi.

Dziwny szept!

Jest w nim majestat opowiadania o rzeczach bez początku i końca.

Jest w nim groza namowy do czynów ostatecznych...

Jest w nim słodycz obietnic niezawodnych...

Jest otchłanna pogarda dla tego, co przemija...

Jest podbijająca moc wiecznego trwania...

A ponad tem wszystkim taki ból... taki ogromny ból

Ala słucha.

To morze... to morze tak szepee po przez słoneczny sen południowego wezasu.

Ala zwraca się twarzą ku leżącej za oknami roztoczy i wyciąga błagalnie ręce, jak ku żywej istocie, którą chciałaby o coś prosić.

O co? sama nie wie, bo myśli jej i czucia są jak zerwane struny; lecz zdaje jej się, że doznałaby ogromnej ulgi, gdyby mogła wytkłómaczyć morzu, co się w niej dzieje i gdyby ono opowiedziało to kiedyś... je m u, takim właśnie szeptem...

I słucha znowu.

Raz jeszcze spogląda w górę, na tryumfujący nad jej głową napis.

Z oczyma utkwionemi weń, dobywa z za stánika błękitną kopertę i zwolna, ostrożnie, jakby to była jakaś trudna, wielkiego skupienia wymagająca praca, drze ją na drobne, coraz drobniejsze kawałki, przytrzymując w konwulsyjnie zaciskających się palcach.

Poczem obie dłonie daleko przed siebie wyciąga i otwiera je raptownie. |

Przez chwilę unoszone bryzą strzępki wirują dokoła niej, jak rój drobnych, błękitnych motyli-ków i cichym kręgiem kładą się u jej stóp na dywan.

Wtedy Ala odwraca się, przestępując ten krąg i wychodzi.

W westybulu staje i rozgląda się trwożliwie.

Niema nikogo.

Willa musi być mało zamieszkana w tym czasie, bo panuje w niej cisza pustki.

Wzrok młodej kobiety zatrzymuje się na drzwiach, które p a d r o n e wskazał jej, jako wiodące do mieszkania Oldanieckiego.

Przez chwilę zdaje się wahać, walczyć z sobą, wreszcie zbliża się ku drzwiom i kładzie rękę na klamce.

Jest coś nieopisanego w tym ruchu.

Jakaś rozdzierająca pieśczęta śmiertelnie zranionej miłości; jakieś bezgraniczne przebaczenie umierającego serca; jakieś pożegnanie ostatnie... na zawszel

Dwie grube łzy wypływają z pod jej spaszczonych powiek; ręka powoli zsłaba się z klamki i opada sztywno na suknię.

.

W przedsionku, na trzeininowym fotelu, z rozpiętą znów kamizelką, siedzi p a d r o n e.

Ujrzawszy Alę, zrywa się, zasłaniając szerokiemi dłońmi kłopotliwą wentylację.

— M a d a m e wychodzi? — pyta ze słodkim uśmiechem, zdziwiony trochę. — A l e ż l a n c h — —

Ona odwraca głowę, instynktownie czując, że jest coś takiego w jej twarzy, czego ten człowiek, nie powinien widzieć; i odpowiada bardzo cicho lecz wyraźnie:

— Tak... Omyliłam się... Szukałam kogo innego... Przepraszam.

I nim padrone ma czas opamiętać się, przechodzi mimo; spokojnym, równym krokiem, kierując się ku bramie.

— Per Baccio! — wykrzykuje włoch — warjacja, czy złodziejka? Piękna historia, jeżeli tam co skradła w apartamentach donny Signora Oldani! Jak nie mogła ściągnąć draperję z szesłaga, która sama warta sto lirów. A może to jaka miłosna veudetta? Chi lo sa? Signor Oldani taki piękny mężczyzna. Jeszcze mi gotowa całą wilę wysadzić w powietrze! A cóż! w tej epoce dynamitu! Ah! diavolo! diavolo!

Przeskakując po kilka stopni na raz, z elastycznością zdumiewającą przy jego tuszy, w rozwianej kamizelce, pędzi na górę.

Jeden rzut wprawno oka wystarcza, aby się przekonać, że wszystko w porządku, to jest, że przynajmniej nie nie ubyło.

Ale mogło coś przybyć, coś w rodzaju maleńkiej bomby lub tem podobnej, niewinnej pamiątki.

Ta Signora wyglądała po prostu, jak anioł, ze swą liljową twarzą i blademi włosami, a padrone jest człowiekiem doświadczonego i wie, że takie anielskie blondynki są najniebezpieczniejsze.

Skrupulatnie obchodzi wszystkie kąty, zagląda pod każdy sprzęt, przyczem łóżko staje się przedmiotem najściślejszego badania.

Niel chwala Boga, niema nie podejrzanego. Może omyliła się istotnie?

Lecz widok błękitnych strzępków listu na dywanie daje mu znowu do myślenia.

Przykłęka z trudem i zaczyna je zbierać od-

dzielnie, koniuszeczkaami swoich tłustych paleców, z taką nadzwyczajną ostrożnością, jakby każdy był dowcipnie obmyślaną petardą.

— Hm! hm!—mruczy—omyłka czy nie omyłka, nie głupim wspominać o tem Signorowi Oldani. I tamtym zapowiem, żeby trzymali język za zębami... Mógłby mieć do mnie słuszną pretensję, żem tak lekkomyślnie wpuścił nieznaną osobę do mieszkania, i to jeszcze do — un nido di amore! Ale, bo też... szczególny zbieg okoliczności—bardzo szczególny! Ufi ufi co za nieprzyjemna agitacja w taki upał.

W westybulu szklana ściana otwiera się na obszerny, krzewami zastawiony taras, obejmujący willę kamiennem półkolem.

Padrone, pozbierawszy strzępki, z których zrobił ścisłą, przepoconą kulkę, wychodzi tu zacerpnąć powietrza po doznanych wzruszeniach.

Widok z tego tarasu rozciąga się na miasto i na góry.

W prawo i w lewo biegnie wielkim łukiem ów wązki przesmyk pomiędzy parkanami, w którego najgłębszem zagięciu stoi „Rosa di Monte.“

Środkiem tego wąwozu idzie Ala.

Idzie nie z powrotem do miasta, lecz dalej, w lewo ku skałom nadbrzeżnym, które w końcu daleko jeszcze ciągnących się parkanów ukażą się jej oczom.

Idzie bardzo powoli z pochyloną głową i opuszczonemi wzdłuż ciała rękoma.

Zanurzona w głęboki, szaro-zielonawy cień, który pada od tych ogrodowych murów na wązka

drożynę, postać jej popielatemi fałdami opłynięta, przybiera w oddaleniu jakieś nikłe, rozwiewne kształty, dziwnie zestrojone z jej zadumanym, jakby bezielowym chodem.

Za nią i nad nią słońce leje potoki światła ze swej złocistej kadzi; płoną jak żagwie śpiczaste, czerwone dachy miasta i żarzą się, jak rozpalone do białości żelazo, kamienne tarasy; lśnią szklistą zielonością pomarańczowe sady i jak krople zastygłych ametystów migocą gęsto dojrzałe grona winnie; wszystko śmieje się weselem i płodnością życia, a ona sama, rzucona, jak szary melancholijny refleks na to kolorowe tło, zasuwa się w coraz głębszy, piwniczny mrok parkanów, aż ginie w cieniu ostatecznie z przed oczu poglądującego za nią padrone.

Człowiek ten nie może oprzeć się jakiemuś tajemniczemu wzruszeniu, które w jego duszy hotelarza jest wprost fenomenalnym zjawiskiem.

Przysiągłby, że ta kobieta, roztapiająca się jak smutny, mgławcy cień, w szarości nagich murów, nie wie sama, dokąd idzie, że błędzić tak będzie bez celu, aż zajdzie tam, gdzie ją zawiedzie los, czy przypadek, nie wspólnego z jej myślą ani wolą nie mający.

I padrone nie myli się.

Życie—uderzyło całą pięścią w harfę szklaną...

.

CZĘŚĆ DRUGA.

I.

— Stanowczo wolę tamtą — rzekł piękny Raffaele do krępej Assunty, gdy po zniesieniu ostatniego pudełka z wettury, znaleźli się sami w przed-sionku willi. Ten cudzoziemiec nie ma gustu. Tak czarna!...

— Och—westchnęła Assunta, której „ten cudzoziemiec“ podobał się skrycie.— Signor Oldani musi ją bardzo kochać! Ile on za same kwiaty naszymu padrone zapłaci? Niektóre kobiety mają szczęście!

— Do kwiatów?—rzucił pogardliwie Raffaele.— Co za głupstwo!

I rozeszli się do swoich zajęć.

Na górze, w tem samym miejscu, gdzie przed kilku godzinami Ala darła błękitną kopertę, stoi Ryta Szemko.

Stoi, jak weszła, z maleńką torebką w jednej ręce i z pękiem ponsowych róż w drugiej, w białym canotierze na ogromnych włosach, które podróżą i wiatrem morskim rozrzucone, wydają się jeszcze ogromniejsze, i po prostu topią w swych luźnych skrętach jej twarz dziwną, żarłoczną, skupioną, o cerze żółtawej, jakby chorobliwej, pośród której rażąca plama kładzie się lekko spalona, ciemna wiśniowość jej warg.

Postać jej wysoka, o liniach nadzwyczaj silnych, a okrągłych, zdaje się być wsuniętą, jak w pochwę, w białą suknię z ostrego serżu, która mając nieuchwytną świeżość pierwszy raz włożonego stroju, jest zarazem tak opylona, że sprawia wrażenie; jakby ją przez ekscentryczność umyślnie czarnym pudrem przesypano.

Paszyste strusie boa zsunęło się jej z ramion i leży u jej stóp czarnym, przyczajonym tajemniczo wężem.

Przez boczne okno wpada promień zachodzącego słońca i rozstrzępia się za jej plecami w olbrzymi fantastyczny wachlarz, utkany ze złotych i purpurowych nitek.

Naprzeciwko niej, jeszcze w jasnym, podróżnym palcie, z kapeluszem w ręku, zatrzymał się Oldaniecki i patrzy na nią w milezeniu.

Jest on niezwykle pięknym mężczyzną.

Czereza utrzymywał, że na prywatnego śmiertelnika uroda taka jest po prostu kompromitująca; i to jaskrawe określenie miało w sobie coś z prawdy, tak ta nadzwyczajna rzeźbiona regularność rysów, delikatnych a męskością tehnących; i ta wspa-

niała oprawa oczu; kasztanowatych, bujnych włosów i prześlicznie stonowana karnacja; i jakiś marzycielski wdzięk ruchów i postawy zdawały się być stworzone jedynie do jakichś sytuacji romantycznych.

— Gdybyś był tenorem lub estradowcem, to byś powinien płacić Panu Bogu procent od takiej twarzy—mówił Czereza—bo to byłaby połowa powodzenia. Ale taki

I wzruszał ramionami.

W tej chwili jednak, piękność Oldanieckiego na tle tego ukwieconego pokoju i tej atmosfery, dyszącej wonią i jakby miłosnem oczekiwaniem, jest zupełnie na miejscu.

Ten sam słoneczny wachlarz, który płonie za plecami Ryty, zapala w jego mocno błękitnych oczach dziwne, rdzawe ogniki.

— Ave Rita! — odzywa się Oldaniecki.

Ona uśmiechnięta kącikami ust, wodzi dokoła wzrokiem, w którym, obok wesołego zadowolenia, czai się ledwo uchwytna ironja.

— Wita mnie pan, jak przystoi witać aktorkę: wieńcami i dekoracją — powiada po chwili.

Jej sposób mówienia jest szczególnie.

Czuć w nim tłumione bogactwo przepojonego metalem głosu, którego zdaje się oszczędzać, jakby przy markowaniu roli, skubiąc litery końcami warg, ale to skubanie ma niezrównaną wyrazistość i wdzięk.

— Witam panią, jak przystoi witać spełnienie marzenia: łukiem tryumfu.

— Ach—tak? Czy to tryumf mój, czy pana?

— Nasz.

Ryta uśmiecha się znowu.

— Powiada pan: marzenia. Alboż pan marzy o mnie kiedykolwiek? To wszystko — powiodła ręką wokoło—to są śliczne dowody myśli... ale tylko myśli. Marzenie nie stroi się w szaty realne, nawet z samych róż... Niech pan się przyzna, że pan o mnie nigdy nie marzył, ale za to wiele... wiele myślał?

— A pani coby wołała?

— Ja?...

Zawahała się i jeszcze misterniejszy uśmiech wygina jej ciemno-czerwone, do przejrzałej poziomki podobne usta.

— Ja... dziękuję tymczasem za myślenie.

I wyciąga do niego rękę dużą, śniadą, o błyszczącej, jak oliwkowy atlas, skórze.

Oldaniecki bierze ją w obie dłonie i na chwilę łączy ich ten uścisk, w którym niema ani krzty miłości, ni żądz, lecz za to wiele wzajemnego badania się i podnieconego zaciekawienia.

— A ja podziękę przyjmuję, choć się na ścisłość pani klasyfikacji nie zgadzam. W każdym razie w tej chwili czuję dokładnie, że teraz nie marzę, lecz myślę o pani, bo zdaję sobie trzeźwo sprawę z tego, że pani musi być zmęczona podróżą, że pani chciałaby zostać sama. Prawda?

— Tak... trochę. Ale nie na długo. Muszę się przebrać.

Oldaniecki spogląda na zegarek.

— Za półtorej godziny obiad. Jeżeli pani po-

zwoli, przyjdę tu pokazać pani drogę do sali stołowej.

— Bardzo proszę.

Zostawszy sama, Ryta siada na szeslongu, rzuca kapelusz i przeczesuje wszystkimi palcami swoje dzikie skłębione włosy, które pod tym pierwotnym grzebieniem układają się w grube, niesforne pakuły.

Czas jakiś siedzi tak nieruchoma, z wyrazem głębokiego, a zniechęconego namysłu w całej postawie.

Wreszcie ziewa i uważnie ogląda sobie ręce.

— Mam obrzydliwie brudne paznokcie—mówi półgłosem, w subtelny sposób, jakby sama przed sobą zaznaczyć chciała, że te słowa są tylko zamaskowaniem innych myśli, które mają być cicho.

Zwolna obchodzi pokój, takim samym subtelnym, nieokreślonym spojrzeniem lastrując każdy drobiazg.

W sypialni opięte różami łóżko sprowadza na jej usta krótki, cynicznie szyderski uśmiezek. Wnet jednak spędza go wstrząśnieniem głowy.

— Istna wyobraźnia kokoty—myśli z niesmakiem: Biedny Oldaniecki!... Bo to jednak wszystko bardzo delikatnie i ładnie pomyślane. Tylko... takie banalne!... Gdybym zastała cztery gołe ściany i musiała przypomnieć, że potrzebuję siennika do spania, zaimponowałby mi naprawdę. Swoją drogą jesteś niewdzięczna, lube dziecię. Bo będzie ci bardzo przyjemnie spać, wśród tych atlasów, koronek i zapachów. *Avanti!*

Wechodzi Assunta z ciepłą wodą i ofiarowują

się pomódz signorze w rozpakowaniu rzeczy. Ale Ryta odprawia ją, zapewniając płynną włoszczyznę, że sama sobie wystarczy.

— Wierzę—myśli Assunta, wychodząc — On jej pomoże.

I wzdycha.

Jakoż Rita z wielką wprawą i zręcznością zagospodarowuje się w nowym mieszkaniu.

Wypróżnia kufer, chowa do szafy i szuflad suknie, bieliznę — wszystko białe lub czarne — i na gotowalni, na wielkiem, weneckiem lustrze, rozstawia przybory toaletowe.

Jest ich zadziwiająco mało, nietylko na aktorkę, ale na przeciętną elegantkę.

Żadnych kosmetyków, nawet pudru — żadnych rurek, maszynek, nie prócz dwóch wielkich flach czystej wody kolońskiej, oraz szczotek, grzebieni i innych narzędzi, jedynie do utrzymania idealnej czystości ciała służących.

Za to wszystkie te przedmioty są ostatniem słowem wytworności i artystycznego smaku. Płowy ich szyldkret, złotem nabijany lub w złoto oprawny, ślicznie zlewa się z żółtawym tonem gipiury, na podkładzie blado-seledynowego atłasu, przystrajającej toaletę.

Uwolniwszy się z pyłu kolejowego, Ryta przywdziewa inną suknię, tym samym krojem zrobioną, bez żadnych ozdób, lecz znacznie lżejszą, powłóczęstą i z małym u szyi wycięciem.

We włosy, które, choć wyszczotkowane silnie, pozostają zupełnie matowe, jak chmura gradowa, zatyka ponsową różę, wyjętą z wiązanki, podarow-

wanej jej na dworcu neapolitańskim przez Oldanieckiego i jest gotowa.

Pozostaje jej jeszcze pół godziny do obiadu, więc wraca do saloniku i, oparta o balustradę okna, patrzy na zatokę.

Słońce już znikło zupełnie za szczytami Capodi Monte i jest to owa chwila przednočna, jeszcze widna, a już nie świetlna; chwila jakiegoś ogólnego drżenia tej południowej przyrody, która po tak intensywnie pulsującym dziennym życiu, zdaje się przeciągać i wstrząsać, nim ją spokój snu ułoży.

Drżą więc ostatnie żyłki różowej jasności na niebie bladawem, wymęczonem kilkunastogodzinną spiekotą; drży smuga wczesnego księżyca, utkwiona w modrej piersi zatoki, jak złoty grot; drżą liście drzew nadbrzeżnych; drżą fale drobne, pokurezone, do tego brzegu idące; drży każdy skalny kształt w liljowem roztarciu swych zarysów; drży nawet Wezuwjusz, rozplaszczając zlekka swoją potężną masę, nad którą kiść dymu mieni się opalowo od iskier, prześwitujących już coraz wyraźniej w poczynającym się zmierzchu.

Nie nie odda rozmarzonej łubieżności tego drżenia i jego oddziaływania na pewne nerwowo artystyczne organizacje, których zmysłowość tkwi cała w wyobraźni.

Ryta jest jedną z takich; i ona, która nigdy dotychczas na Południu nie była, przeżywa przy tem oknie pierwsze silne wrażenie rozkosznego zespołu swej fizyczności z naturą; fizyczności wyjątkowo bujnej, gorącej, prawie pierwotnej, przy-

padkiem w szarzyznę naszego klimatu zabłąkanej i trawionej w nim bezwiedną nostalgią słońca, jaskrawych barw i tentniącej płodnością ziemi.

Jak narkotyk wpływa w rozszerzone nozdrza Ryty i jej wół otwarte usta rzeźwa słoność morskigo oddechu, zmieszana ze słodyczą pomarańczowych woni, które bez tej domieszki byłyby aż duszące i za ekliwe; jak narkotyk rozechodzi się po jej żyłach, napełniając ją dziwnie zaostrzonym, wprost doskonałem uświadomieniem młodości i zdrowia jej ciała.

I nagle przypomina jej się własne dzieciństwo, wtłoczone w tępą nudę galicyjskiego miasteczka; jałowe dzieciństwo jedynaczki w domu miernych potrzeb i miernych zabiegów.

Przypomina jej się ojciec, głucho rozgoryczona postać c.-k. urzędnika, który szalony wybryk młodości, małżeństwo z przechrzconą żydówką, okupił zwiecznięciem kariery i zawodem niedobranego pożycia.

Przypomina jej się klasztor w Tarnowie, gdzie ją oddano dla „dokończenia edukacji,” a także dla „utemperowania,” jak mówił ojciec, jej trudnego charakteru, z którym w domu nie umiano sobie dać rady.

Przypominają jej się zwłaszcza rozpaczliwe, niemożliwe tęsknoty jej czternastu lat, opadające ją najczęściej podczas przedwieczornych spacerów po klasztornym ogródku; tęsknoty tak potężne, że przyprawiały ją nieraz o utratę tehu i przytomności, tęsknoty do czegoś, czego nazwać nie umiała; bo szły odtąd ciągle za nią, a co musiało być po-

trzebą kochania życia dla samego życia, dlatego tylko, że się odrycha, widzi, słyszy, dla niczego więcej.

Większość ludzi kocha życie dlatego, co ono daje lub dać może: dla sławy, dla nadziei, dla bogactwa, dla wygód; są przecież jednostki łaknące owego czystego absolutu kochania, jak najwyższego szczęścia; jednostki rzadkie, którym w największych upojeniach głos jakiś szepee: to nie to, to jeszcze nie to, i Ryta jest jedną z takich.

Ale aby to zrozumieć i odczuć, potrzebowała przyjechać tutaj, stanąć przy tem oknie, nad tą najcudniejszą na świecie zatoką i zadrzeć dressczem pełnego, tryumfującego bytu.

— Włochy! Włochy! — szepee Ryta i wdzięczny, miękki uśmiech łagodzi jej drapieżne rysy.

Zapomina zupełnie w tej chwili, że w pobliżu, przez ścianę, znajduje się człowiek, który ma niejakie prawo myśleć, że ona jest tu dla niego, zapomina, że projekt tej podróży do Włoch zawdzięcza jemu, że ułożyli go, ogadali wiosną we Lwowie, w jej hotelowym saloniku, podczas jednego z owych dziwnych sam na sam, w których tych dwoje ludzi, przedtem sobie nieznanym, badało się i zmagalo wzajemnie w pętach jakiegoś, namiętnie rozciekawionego pociągu, o którym wiedzieli do brze, że nie był ani miłością, ani nawet zmysłowem pożądaniem.

A przecież dążyli ku sobie wbrew wszystkiemu, szukając i pragnąc nie siebie, lecz czegoś po za sobą, czegoś, co im z tego zetknięcia się ich dwóch indywidualności przyjsć miało.

— Włochy! — powtarzała wciąż Ryta.

Cała naprzód podana, rozsuwa obu rękoma firanki, aby temu czarowi z zewnątrz jak najszerwszy dostęp otworzyć i w tem poruszeniu na biały rękaw jej sukni spada, uwikłany w koronkowych fałdach, mały strzępek błękitnego papieru.

Ocalał od pościgu przezornego padrone i teraz drży na ramieniu Ryty takim samym motylkiem, jakich rój otaczał Alę, gdy w spełnieniu swych kruchych jak szkło przeznaczeń, wychodziła po za ów krąg fatalny, do stóp jej przypadły.

Machinalnie Ryta zdejmuje strzępek końcami palców; machinalnie spogląda na niego i nagle błysk ironicznej, podrażnionej wesołości pojawia się w jej oczach.

Poznaje swój gruby błękitny papier i swój biały atrament.

— Proszę! Przezorny małżonek drze zawczasu moje listy, a ja... znajduję corpus delicti. Zabawne! Czy to także owacja na mój przyjazd?... Ta z pewnością po za programował

Z temi słowy kładzie strzępek na dłoni i zaczyna mu się przypatrywać.

Ma on kształt nieregularnego trójkąta i jest przedarty w ten sposób, że znajdują się na nim oddzielne wyrazy lub ich części, wyrwane z kilku zapisanych pod sobą linji.

...o ja koleżank... —

...w Londynie...

...ść, będę mog...

...d astra..."

...ięc... czyta głośno, a po każdym

z tych bezładnych urywków brwi jej ściągają się coraz silniejszym natężeniem, a szyderski uśmiešek zmienia się w wyraz wielkiego zdumienia i niepewności.

— Co to jest?... Co to znaczy?...—mówi, przyciskając palcami czoło i powieki—nigdy przedtem nie pisałam mu o Londynie... tylko ten jeden raz... Pamiętam doskonale. I to *ad astra* użyte w ostatnim liście!... Widzę dokładnie te dwa wyrazy, jeden pod drugim, przegrodzone innemi... jak tutaj... A przecież to absolutnie niemożliwe...

Odwraca strzępek na drugą stronę. Jest pusty.

— To niemożliwe — powtarza uparcie.— A jednak... ten ostatni list miał także ostatnią stronę niezapisaną... Może było więcej takich... tylko ten Londyn... I to „*ad astra*“ pod nim... Kiedy ja tego mogłam użyć... i w takim zestawieniu?... Ależ!... nie! nie!... to frazes mego ostatniego listu... to nie ulega żadnej wątpliwości... Więc... jakim sposobem?... On go przecież otrzymać nie mógł... chyba...

Lekkie pukanie.

Ryta szybko zawija strzępek w chusteczkę i chowa do kieszeni.

To on.

Oldaniecki przebrał się do tego pierwszego obiadu na sposób angielski we frak i biały krawat, i ten strój galowy uwydatnia jeszcze bardziej całą „estradowość“ jego urody.

Brak mu tylko skrzypców w ręku i kobiet mdlejących z zachwytu w natłoczonej publiczności sali.

— Pani gotowa?

— Dawno już. Patrzyłam.

Wskazuje ręką ku oknu i ma gest tak wymowny, że nie zastąpiłyby go tuziny entazjastycznych wykrzykników.

Jej nadzwyczajny talent aktorski wychyla się z tego gestu jak kwiat.

— Prawda?—mówi Oldaniecki, zrozumiałwszy to wszystko niedopowiedziane.—Więc pani nie żałuje, że tu przyjechała?

— Choćby nawet było czego, nie mogłabym. Uczucie żalu jest mi zupełnie nieznane.

— Ach! tak... Wiem. To pani właściwość... błogosławiona i straszliwa.

— Straszliwa?... Dla kogo?... Chyba nie dla mnie...

— Oczywiście, że nie dla pani.

— Więc niby dla tych, którzy mają ze mną do czynienia?...

— Takby się zdawało.

Patrzą na siebie przez chwilę w ametystowym zmierzchu, który wchodzi przez okna wonny, cichy, ciepły, jak spokojna pieszczota.

On patrzy z natężonem zajęciem mężczyzny, dla którego w danym momencie nie istnieje nic prócz interesującej go kobiety, ale bez śladu oniesmielenia, w jakie popada ów mężczyzna, gdy jest przytem naprawdę zakochany; ona z przekornem upodobaniem. I jest im z tem bardzo dobrze.

— Takby się zdawało — powtarza Ryta. — To względne. Bo, niech pan tylko pomyśli, że człowiek nie znajdujący żalu, nie ma tem samem ża-

dnych pretensji do nikogo, nie czyni nigdy wyrzutów...

— Ale ich i nie przyjmuje, a co gorsza nie rozumie. A wie pani? Łatwiej czyjś wyrzut wysłuchać, niż swój zamileżeć!

Głuchy klekot, dochodzący z dziedzińca willi, wpada mu w mowę.

— „Gong“ na obiad—objaśnia Oldaniecki.— Służę pani.

Otwiera drzwi i przez oświetlony już elektrycznymi różami westybul, dostają się na schody.

Ponsowy dywan tłumi ich kroki i po za szeslestem, jaki sprawia saknia Ryty, ocierając się o ustawione na stopniach doniczki, nie słyhać żadnego innego szmeru.

— Jak tu pusto i nastrojowo — mówi Ryta.— Mam wrażenie, że jesteśmy w zaczarowanym pałacu, w którym usługiwać nam będą niewidzialne ręce. I pan tu był sam dotychczas?

— Sam... ze swoim oczekiwaniem na panią. Ryta parska nagle śmiechem.

Oldaniecki podnosi na nią lekko urażone oczy.

— Z czego się pani śmieje?

— Z ochoty do śmiechu. Nie wiem, z kąd przypomniało mi się jedno zabawne francuskie określenie: *Pour bien manger une dinde truffée il faut être deux: la dinde et celui qui la mange.*

Oldaniecki nie podziela wesołości Ryty.

— W tym przypadku, indyczką było moje oczekiwanie, czy tak? — pyta sucho.

— Coś koło tego. Pan się obraził?

— Ależ bynajmniej.

Z wyszukaną grzecznością otwiera przed nią drzwi do sali stołowej, lecz ręka mu drży szalonym zdenerwowaniem, które go nagle opadło.

Nie jest obrażony, tylko zły; bo śmiech Ryty i ten koncept francuski popsują mu harmonję wrażenia, z jakim szedł z nią przez te milczące, skąpane w świetle korytarze, mijając te wszystkie pozamykane drzwi gościnnych pokojów: pastę gniazda turystowskich ptaków, z których jeszcze żaden nie nadleciał.

W jadalni, bardzo dużej i trochę nagiej, oprócz wielkiego, środkowego stołu, połyskującego tanim platerem i jeszcze tańszą porcelaną, przygotowano z boku stolik na dwie osoby i obstawiono go w półkole wysokimi roślinami, co tworzy rodzaj altanki.

Naprzeciwno, przy ogromnym bufecie, spiętrzonym stosami talerzy, z serwetą, zarzuconą na ramię i platerowanym czerpakiem w dłoni, stoi wspaniały Rafael, mając obok wazkę dymiącej zupy i prostuje się z taką godnością, jakby trzymał straż nad urną z popiołami swych imperatorskich przodków.

Składa głęboki ukłon wchodzącym i przeprowadza Rytę tym specjalnym wzrokiem kelnera, który w każdej kobiecie, obiadującej z obcym mężczyzną, widzi jego kochankę, jedzącą ten obiad na koszt towarzysza.

— Myślałem, że będziemy mogli jadać w saloniku, po drugiej stronie — mówi Oldaniecki, gdy

usiedli,—tam o wiele przyjemniej. Ale padrone wytlómaczył mi, że potrawy stygłyby przez drogę.

— I tu jest bardzo miło — odpowiada Ryta z uśmiechem, czując, że należy załagodzić czemś poprzedni dysonans.

Nadzwyczajny czar czegoś rzadkiego i niespodziewanego udziela się jej urodzie Brunhildy od tego uśmiechu.

Oldaniecki daje mu się pociągnąć bezwiednie i pogodnieje.

— Technie tu zanadto restauracją—mówi swobodniej—i to jak pani widzi, restauracją na urlopie.

— Może; ale czemu ten stół nakryty na tyle osób, skoro nikogo niema?

— Zapewne dla tej samej przyczyny, dla której państwo utrzymują zbrojny pokój: „Rosa di Monte“ pragnie być zawsze w pogotowiu.

Rozmawiają dalej w ten sposób: lekko, obojętnie, jakby to nie był ten pierwszy obiad we dwoje, na dalekiej obczyźnie, [w tajemniczem ukryciu, zdobyty, zwłaszcza ze strony Oldanieckiego, kosztem stawki tak ryzykownej, że on sam nawet zastanowić się nad nią nie chce.

Woli patrzeć na jedzącą z wielkim apetytem Rytę, i myśleć, że ta kobieta ma w sobie kopalnię indywidualizmu, że nawet jej sposób używania noża i widelca jest jakiś odrębny i, co cenniejsze, artystyczny.

A pod przeciwległą ścianą, wyprostowany, nieruchomo, poprawiając co jakiś czas na ramieniu serwetę szczętkowym ruchem augustjana, drapują-

cego toge, śledzi ich Rafael, zgorszony i zbity z tropu jednocześnie.

Przed zupą Oldaniecki kazał podać koniaku— najlepszą markę — i pili oboje, a Signora dwa razy więcej, niż on; z drugiej strony, ani ich oczy, ani ręce, ani łokcie, ani nawet nogi nie szukały owych ukradkowych spotkań, tak dobrze znanych kelnerskiej obserwacji Rafaela.

Jedno i drugie nie może mu się poładzić w głowie; wie tylko, że ta „czarna“ cudzoziemka, czarniejsza od jego rodaczek, jest mu wstrętna, i ma do niej zdecydowaną pretensję, że zastąpiła tamtą, której złocistym włosom przyglądałby się z taką lubością, skracając sobie nudę pilnowania zmiany talerzy.

I tak się dziwnie składa, że wobec tego męża, który z rozmysłem wytrąca ją za nawias swego obecnego życia, i tej artystki, która nie widzi najmniejszego powodu do zaprzątania sobie głowy wziętą w ów nawias żoną, postać Ali snuje się niewidzialna, przywołana, jak duch, wspomnieniem człowieka w lokajskim fraku.

— Pójdźmy na taras — proponuje Oldaniecki przy deserze. — Tam nam podadzą kawę, i jeżeli pani pozwoli, jakiego spumante. Zobaczy pani, jak się ślicznie siedzi, pijąc *Laerima Christi* i patrząc na jego ojezyznę. Obstałowałem przytem taki piękny księżyc...

Wychodzą.

Taras willi „Rosa di Monte“ tak głęboko wsuwa się w morze na swych skalnych fundamentach,

że strząśnięty przez balustradę popiół z papierosa Oldanieckiego leci prosto w wodę.

Jak uśpiona księżniczka leży w dole zatoka w poświęcą księżycową spowita i przez sen cichym szmerem fal z sobą gwarząca; a nad nią strażnik-smok: Wezuwjust zije purpurową parą oddechu i parska śliną iskier ku przejrzystemu niebu, które zdaje się spoglądać na wściekłe miotanie się ziemskiego mocarza z pogodną słodyczą nieskończenie większej siły.

A u stóp gorejącej góry, gigantycznym półkolem usiadły światła Neapolu, Posilipo, Portici, niby milionowe stado smoczego ludu, migotliwe mrowie ukrytych w pomroce potworków, których otwarte drobne paszcze leją strugi ognia w bezdenną amforę toni.

I cała ta orgia płomieni, gdzieś z głęбини morza, aż pod strop niebieski bijąca, tryumfuje nad przesłonią srebrnym tumanem panoramą Sorrenta i wypełnia senny przestwór boską apoteozą prometeuszowego daru.

Ryta i Oldaniecki mileżą czas jakiś; ona zapatrzona w nowe dla niej zjawisko, on nieco chmurny i niekontent.

Przyjechała [wreszcie, siedzi na tym tarasie pod delikatnym krzewem japońskiego jaśminu; siedzi tak, jak ona to jedna potrafi, żeby ten zwrot postaci był skończonym poematem linii; jest prawie piękna, bo księżyc wybielił szpecząc ją w dzień niezdrową żółtość cery i zatarł nieco dziwaczne zmiętoszenie rysów, podkreślając orientalny czar długich, ciemnowych powiek i płamę ust, leżącą,

jak pieczęć duszy na tej, tak bajecznie charakterystycznej twarzy; co więcej jest taką, jaką przypuszczał, że będzie; co najwięcej sam nie chciałby, żeby była inną, a przecież...

W swym przesubtelnym, nawykłym do ciągłej kontroli wrażeń mózgu powieściopisarza, wyczuwa cieniuchną drzazgę jakiegoś nieokreślonego zawodu i wie, że ten zawód idzie mu [nie od tej nocy księżycowej, tak czarodziejsko świetlanej, nie od tej zatoki zalanej srebrem, nie od tej ociekłej ogniem góry, nie od tej kobiety tak doskonale artystycznej w swej prostej, białej sukni, lecz jedynie od niego samego...

To go drażni, a nadewszystko niepokoi.

Bo to jest, jakby struna napięta, na której spodziewał się grać, a która nie chce dźwięczeć.

Nagle Ryta odrywa wzrok od Wezuwjusza i zwraca się ku niemu.

— Wczoraj... co pan robił o tej porze?

Oldaniecki wzdryga się lekko, tak to pytanie wkracza intuicyjnie w krąg jego myślenia.

— Wczoraj... siedziałem tu, na tem miejscu co pani, sam—przepraszam—ze swoją indyczką.

— Niechże pan już zostawi tego brzydkiego ptaka w spokoju.

— Kiedy to był mój najwierniejszy towarzysz od chwili przybycia do Sorrento. Trudno mi o nim zapomnieć.

Czarne, wydłużone oczy aktorki zatapiają się z badawczym spokojem w nerwowej twarzy oparłego o kamienną balustradę mężczyzny.

— Pan tak wygląda, jakby ten towarzysz i teraz jeszcze pana nie opuścił.

Oldanieckiego przenika znów dreszcz szczególny: chłód lancetu, dotykającego chore miejsce.

— Może... — odpowiada z wolna, wytrzymując wzrok Ryty, w zamyśleniu. — Może...

— W takim razie niech mu pan da jakieś estetyczniejsze upierzenie... Wypraszam sobie atmosferę kurnika.

— Raczy pani zauważyć, że nie ja ją urezyserowałem. Ale chętnie. Zgadza się pani na albatrosa?

— Albatrosa? Jaką pan ma rozległą wiedzę ornitologiczną! Nie słyszałam nigdy o takim ptaku.

— To ptak żeglarzy, ptak szczęścia. Nie wolno go ani zranić ani zabić pod grozą zatraty dla całego okrętu, któremu towarzyszy.

— Dobrze więc. Płynmy... z albatrosem! Nie rańmy i nie zabijajmy naszych... oczekiwania. Tylko — musimy się porozumieć. Czy, według pana, oczekiwanie spełnione jest tem samem zabite!

— Nie, pani. Zabite jest wtedy, gdy się przekonamy, że nie było czego oczekiwać.

— Achl... tak!

Jak dziwnie, jak dziwnie brzmi ta szermierka słów wzajem na siebie polających w tem wonnym, namiętnie rozmarzonym uciszeniu sorrentyńskiej nocy!...

Oliwne i pomarańczowe drzewa pod tarasem, od strony ogrodu rosnące, zaglądną nad balustradę i na widok tych dwojga ludzi młodych, pięknych, z przyzwoitego oddalenia piłkami frazesów na sie-

bie rzucających, zdaje się chwiać osrebrzonymi wierzchołkami z wielkiego zdziwienia.

One nawykły w taką noc widywać usta ust drugich szukające, i ramiona zarzucone na szyję kochaną, i piersi do piersi przytulone; one nawykły w taką noc słyszeć szept miłosny, pocałunkami przerywany, i cichy śmiech szczęścia, i westchnienia zaspokojonych pragnień.

Do tego one nawykły, te oliwne i pomarańczowe drzewa...

Nawykł do tego i piękny Rafael i zdejmaje go wprost lekceważenie dla tej pary cudzoziemców, gdy wchodząc bardzo delikatnie z tacą na wren-dę, widzi, że odległość pomiędzy ręką Signory nie powiększyła się ani na milimetr za jego wejściem.

— Po co oni się tu zjechali?—myśli.—To naprawdę szkoda czasu.

A że jest wynudzony śmiertelnie oczekiwaniem sezonu, gości i napiwków, postanawia dla rozrywki śledzić tych dwoje bardzo skrupulatnie dniem i nocą, i nie traci nadziei dostrzedz coś takiego, co go przekona, że „wszystko jest w porządku.“

Płomyk spirytusowy pod maszynką, świece w kolorowych kaptarkach, dyskretny puk korka spumante wprowadzają odrazu w ten romantyczny kącik włoskiego tarasu atmosferę, zgodniejszą z nastrojem Ryty i Oldanieckiego.

Przypomina się im Lwów, poznanie na raucie w Filharmonji po koncercie, na którym deklamowała Ryta, długie godziny w gabinetach restauracyjnych, spędzane jeszcze w gorączce wieczornego

występu, i te tysięczne nici wzajemnych podniet, których płatanina zawiodła ich aż tutaj — do Sorrento.

Zapach mocnej kawy rozpędza mdłe, pomarańczowe wonie; Oldaniecki nalewa doskonałe *Lacrima Christi* z wprawą *noceura*.

Ryta lubi pić; upija się nawet czasem, zresztą bardzo estetycznie; Oldaniecki zaś, choć sam bardzo umiarkowany w trunkach, lubi nadzwyczajnie towarzystwo pijących z artyzmem, lubi to coś nieopatrznego, uskrzydlającego odczucie życia, co się wytwarza dokoła butelek o złoconych korkach: i teraz to wino chłodne, musujące, sączone na świeżem powietrzu, staje się dla nich obojga, jakby magnesem, ciągnącym ku sobie pokrewne pierwiastki ich natur.

Zaczyna im być znów z sobą bardzo dobrze.

Ryta, wglębiona w cień drżącego nad nią krzewu, z wysmukłą szklanką w ręce, opartą na poręczy trzeźnowego fotela, słucha opowiadania Oldanieckiego o jego pobycie w Szwajearji, a zwłaszcza o tych kilku dniach, spędzonych tu, przed jej przyjazdem.

Słucha i patrzy z tem czysto artystycznym upodobaniem, jakie od początku budziła w niej jego nadzwyczajna uroda.

— Wie pan—odzywa się nagle—gdybym była panem, to ja, która niczego nie żałuję, żałowałabym dla jednej rzeczy, że nie jestem kobietą.

Oldaniecki przyzwyczajony już jest do jej takich niespodzianych wyskoków myśli, więc bez zdziwienia podnosi tylko na nią pytający wzrok

swych błękitnych oczu, w których łamią się i płaczą zmieszane światła księżyca, świece i spirytusu.

— Żałowałabym dla tej nadzwyczajnej pana piękności — mówi Ryta zupełnie serjo. — Bo to jest w rękach pana prawie martwy kapitał. Nieprawda? Mężczyzna, forsujący nutę swojej piękności, bardzo łatwo może się stać śmiesznym. Tymczasem kobietal... Naprzykład ja!... Co jabym z takiego materiału uczyniła! Pan widzi, jak ja swoją brzydotę umiem wyzyskać. A to przecież o wiele trudniej.

— Rzeczywiście — potwierdza Oldaniecki.

Ryta odpląca mu się jednym z tych swoich rzadkich, miękkich uśmiechów, jakby z wdzięcznością, że jej płaskim komplementem nie zaprzeczył.

— Jaka to jednak cudna musi być rzecz ta świadomość własnej piękności — mówi powoli w zamysleniu. — Pamiętam, że jedną z najcięższych chmur mego dzieciństwa, które weale nie obito wało w słońce, była moja brzydota. Wyobraź pan sobie małą, chudą, żółtą, kałmucką twarzyczkę, z odstającymi uszami, wielkie, niezgrabne ręce i nogi, i plecy, chylące się pod wybujałym nad wiek wzrostem. Mój ojciec poprostu patrzeć się na mnie nie mógł. I niewiadomo, po kim to wzięłam, bo moja matka była bardzo ładna i tylko jej semicki typ tak się dziwnie we mnie wykoszlawił. I wszyscy tak się do mnie zwracali. Każda moja dziecięca psota urastała do rozmiarów występku pod mikroskopem tej nieszczęsnej brzydoty. A ja, jako nadzwyczaj wrażliwa natura, czułam to wrogie usposobienie swego otoczenia i stawałam się

jeszcze dziksza, jeszcze bardziej w swoich wadach zamknięta. Ach! jaka ja byłam szkaradna, niezdolna, odpychająca i... taka biedna!

Milknie na chwilę i niesie do ust spieniony płyn.

Zdaje się, że te wspomnienia sprawiają jej szczególną przyjemność.

Twarz jej, wychylona z ciemni promienieje wyrazem tryumfu; ta sama nuta brzmi w głosie; i bije od niej ta śliczna dama ludzi, którzy własnymi siłami dobiwszy się majątku i znaczenia, opowiadają o nędzy, z jakiej wyszli.

— Niech pani mówi dalej—prosi Oldaniecki.

— Tak... tak... to wszystko tak mi wraca! Jak doskonale, na przykład, pamiętam chwilę — miałam wtedy lat szesnaście — kiedy po raz pierwszy oko w oko zmierzyłam się ze swoją brzydota, jak z żywym wrogiem i wypowiedziałam jej walkę... Postanowiłam zgnieść ją, opanować, uczynić z niej swoją niewolnicę, narzędzie swoich celów. Przyrzekłam sobie, że będę nią podbijała świat, jak inne kobiety podbijają go swoją pięknoscią.

Oldaniecki nie spuszcza z niej oczu. Odnajduje znów w pełni ten niezmożony czar, czar nawskroś intelektualny, jaki go ku niej ogarnął, gdy ta kobieta zaczynała mówić o sobie z taką bezwzględną szczerością, a tak przytem naturalnie i bez szarży.

— I dotrzymała pani sobie słowa! — woła gorąco. — *Salve victoria!*

— Tak, dotrzymałam sobie słowa — powtarza Ryta z przekonaniem. — I powiem panu jeszcze, że

dziś, gdy o tem myślę, błogosławię swojej brzydocie, jako największej swojej dobrodziejce. Bo gdybym się była urodziła ani brzydką ani piękną, tylko taką sobie, średnio przystojną, to może nie drażniona, nie upokarzana ambicja moja nie byłaby buchnęła tym płomieniem, który powołał do życia ukryte dary mojej inteligencji, mego temperamentu, mój talent aktorski wreszcie. Tak; to wszystko budziło się we mnie, męźniało, dojrzewało w tej szalonej pracy nad moją powierzchownością. Gdy sobie przypomnę, jak ja, młodzianka dziewczyna, dniami i nocami zagłębiałam się w czytaniu dzieł, traktujących o estetyce, sztuce, jak starałam się poznać i zrozumieć piękno w jego istocie i w jego objawach. I widzi pan, zrozumiałam, na przykład, że brzydota niepodobna upiększyć; że można ją tylko artystycznie hodować. I ztąd pochodzi, że nie używam pudru, różu i innych dodatków. To żaden purytanizm—ów wstręt do kosmetyków z mojej strony. Gdybym miała cerę białą, próbowałabym umiejętnie dobranymi środkami uczynić ją jeszcze bielszą; gdybym miała świetną karnację, ręczę, że doszłabym do tego, aby przy dyskretnej pomocy sztuki wydawała się jeszcze świetniejszą; ale z moją zdecydowaną żółtością... Niechbym się spróbowała upudrować. Wyglądałabym jak zakurzony garnek gliniany. I tak ze wszystkim. Zrozumiałam, że dużych, grubych ust nie wyidealizuje żadne sztuczne układanie ich, ale że wychodzący z nich bogaty, piękny głos może zakląć w nie stokroć większy czar, niż najkunsztowniejsze wygięcie. I pracowałam nad swoim głosem; deklamowałam

całemi godzinami, łamałam się z surowym, ale podatnym materiałem, brałam z krtani dźwięki, jak malarz farby z palety i próbowałam malować nie mi duszę ludzką, a w tych usiłowaniach kiełkowało pragnienie sceny. I tak jedno wypływało z drugiego: aż stałam się tem, czem jestem: Rytą Szemko! Niech żyje brzydota!

Wyprostowana, olśniewająca doskonałością swoich linii, z pałającymi oczyma, rozchylonemi ustami, na które istotnie pada czar jej głosu, zdającego się być jednocześnie metalem i barwą, podaje szklanekę Oldanieckiemu, który napełnia ją razem ze swoją, wołając:

„Niech żyje Ryta Szemko!“ i oboje wychylają je daszkiem.

Jest to już druga butelka spumante, przyniesiona przez Rafaela, zgorzonego do ostatecznych granic.

Nie widział jeszcze kobiety, któraby tyle piła, prócz chyba jednej starej niemki, baronowej, bardzo bogatej.

Przyjeżdżała tu kilka sezonów z rzędu z panną służącą, papugą i strzelcem, młodym, roslym mężczyzną, pełniącym przy niej nieokreślone bliżej obowiązki.

Ale ta upijała się ukradkiem, chociaż całkiem jawnie wozila swego strzelca, i Rafael był zbudowany taktem podobnego postępowania.

Ryta istotnie pije tego wieczoru z brawurą, która u każdej innej mogłaby być zatrważająca.

Oldaniecki przecież jest zupełnie spokojny: wie, że te stalowe muskuły i te nerwy żonglerskie

potrafią igrać z niebezpieczeństwem i albo je opadają, albo mu w porę umkną.

Pławi się więc bez zastrzeżeń w tej fosforycznej atmosferze, jaką migocze wszystko, co go otacza: i ta topiel na dnie, i ta góra na widnokreśgu, i ta kobieta naprzeciwko niego, z twarzą przeobrażoną, płonąca ogniem wewnętrznego podniecenia, z oczyma jak snopy iskier, z perłami spienionego napoju u drgających, wilgotnych ust.

— Wygląda pani w tej chwili na siostrę Wezwujusza—mówi z uśmiechem.—Położę się u pani stóp i będzie grupa: „Ostatnie dni Pompei.“

— Kiedy pan ze swej strony weale nie wygląda na zagrzebane miasto.

— To też ja nie chcę wyglądać na zagrzebane, tylko na takie, na które dopiero idzie lawą.

Śmieją się oboje, i Oldaniecki nalewa znów wina Rycie.

— Dziwne miasto! Piję za jego ocalenie — odpowiada ona, sięgając do kieszeni po chusteczkę, nagle przypomina jej się znaleziony strzępek listu.

W jednej chwili pierzcha jej podniecona swoboda i dręcząca wątpliwość czepia się jej mózgu.

Ryta zsuwa brwi i koniecznie, koniecznie usiłuje uprzytomnić sobie wszystkie wysłane do Oldanieckiego listy, bo ten... bo ten...

— To niedorzeczność — myśli niecierpliwie — musiało mi się poplątać w głowie. To jest stanowczo urywek z innego listu... Przecież tamten zgubiłam. Ostatecznie mógł ktoś znaleźć i wrzucić do skrzynki... takie rzeczy się zdarzają... Tylko

ta moja późniejsza depesza... Byłby już poruszył tę sprawę...

Spogląda na Oldanieckiego i już otwiera usta, aby go wręcz zapytać, ale coś ją wstrzymuje.

Lacrima Christi jest zdradzieckie: odrzyło ją, jak sądzi ponad miarę, bo oto zdaje jej się, wyraźnie jej się zdaje, że jakaś dłoń, jak lód chłodna kładzie się na jej spalonych wargach, jakby im nakazywała milczenie.

Wrażenie to jest tak silne, że wchodzi już w granice halucynacji i Ryta czuje dziwny dreszcz, przebiegający jej po całym ciele.

— Upiłam się — myśli z niesmakiem.

Oldaniecki spostrzega zmianę, jaka w niej zaszła.

— Co pani jest?

Ryta nie odpowiada zrazu.

Przechylona za balustradę patrzy z natężeniem w morze, które iskrzy się coraz bardziej, w miarę, jak coraz głębsza noc ściele się po niem.

On powtarza zdziwiony.

— Co pani jest?

— Nic... nic... — odrzuca z roztargnieniem — i po chwili, podnosząc na Oldanieckiego oczy zamglone i jakby czegoś szukające, pyta nawzajem:

— Wierzy pan w przeczucia?

Oldaniecki wysącza resztę kawy, stygnącej w filiżance i zapala świeżego papierosa.

— Sam nie wiem. Aby wierzyć w przeczucia, trzeba je miewać.

— A pan ich nie miewa?

— Tak sądzę. Przynajmniej nie mogę odna-

leżeć w pamięci nic, coby się pod tę kategorię — jakby to nazwać?—objawów—podeciągać dało.

— Więc nigdy nie doznawał pan jakiegoś niepokoju, jakichś obaw nieokreślonych, które później znalazłyby swój wyraz w spełniającym się fakcie?

— Owszem, co się tyczy obaw, to tak; tylko, że się one jakoś nigdy nie sprawdzały. Oto, nie dalek jak tu, w Sorrento, opętała mnie formalna trwoga, że pani nie przyjedzie.

Ryta porusza się żywo na fotelu.

— Doprawdy? A pamięta pan dzień kiedy to było?

— Dokładnie. Przyjechałem we wtorek, właśnie dziś tydzień i telegrafowałem pani adres willi, a to było nazajutrz, we środę.

— We środę!...—powtarza Ryta dziwnym głosem.

— Tak... Byłem kompletnie chory z rozdrażnienia. Zdawało mi się, że lada chwila dostanę jakąś wiadomość fatalną... że pani się rozmyśliła, że się coś stało... że wogóle byłoby to za piękne, aby się mogło ziścić... Kilkakrotnie rwałem się telegrafować do pani, błagać... zażegnać to coś, co mi groziło... i wstyd mnie zdejmował, bo właściwie, o co miałem błagać?... co zażegnawać?... Przemęczyłem się więc w ten sposób do następnego dnia i pokazało się, że dobrze uczyniłem, wstrzymując się z niedorzecznymi telegramami, bo nazajutrz otrzymałem depeszę pani, donoszącą... o dniu przybycia. Oto widzi pani, jak wyglądają moje przeczucia!

Ryta mileczy.

Jest jeszcze trochę oszołomiona winem i tem co się stało i głos Oldanieckiego sprawia na niej wrażenie, jakby dochodził ją zdaleka i opowiadał o rzeczach już wiadomych.

Po jakimś czasie odzywa się z uśmiechem i w taki sposób, że może to być równie dobrze pytaniem, jak potwierdzeniem faktu:

— Potem nie odebrał pan już żadnego listu?

— Od pani?

— Tak; odemnie.

— Żadnego; prócz kartki z Wiednia, w której mi pani doniosła, że dla odpoczynku zatrzyma się tam pani przez dzień.

— Oczywiście!

Ryta oddycha głęboko i bezwiednie wypuszcza z dłoni chusteczkę z ukrytym w niej strzępkiem. Przestał już ją interesować.

— Więc jednak pamięć mnie zawiodła — myśli—pisałam to wszystko kiedyindziej.

Oldaniecki przygląda jej się uważnie.

— Pani coś jest, pani ma jakąś ukrytą myśl...

— Nie; ależ nie!

— Rozczarowała panią jałowość moich przeczuć?

Ryta z nagłą determinacją zwraca się ku niemu.

— A więc... powiem panu. Żeby pan nie lekceważył przeczuć... Ja w tę środę pisałam do pana... Pisałam, że nie przyjadę... Pan wie, że się wahałam trochę... Były różne okoliczności... Zresztą, weszły mi w drogę inne plany... Wszak

писаłam panu niegdyś o Londynie, że chcę jechać tam, studjować język angielski...

— Tak, tak — potwierdza Oldaniecki machinalnie, cały zajęty tem, co usłyszy.

— Moja koleżanka z klasztoru, która dziś jest głośną śpiewaczką, została zaangażowana na sezon jesienny do Cowent Garden. Umówiliśmy się, że pojedę wtedy na swoje studia... Tymczasem pojechała znacznie wcześniej... Ma tam jakieś interesy... Doniosła mi o tem i tak mnie ten Londyn nagle opanował, że postanowiłam jechać niezwłocznie.

— Ach — tak!

— I napisałam do pana w tym duchu... Tymczasem...

— Tymczasem?

— Ten list...

Ryta zacina się.

Znowu czuje ten dziwny chłód na ustach; ten jakby ostrzegający znak.

— Ten list, w przypadkowy sposób uległ... zagracie. Nie mogłam go wysłać. A ja... widzi pan, jestem przesadną i fatalistką... To semickie. Więc gdy się to stało, powiedziałam sobie, że przeznaczenie tak chce i... wysyłam do pana ową depeszę, a nazajutrz byłam już w drodze.

— Ach — tak! — powtarza Oldaniecki.

Teraz on mileży i patrzy w morze.

Za nimi, na brzegu, wszystkie ludzkie objawy życia pocichły; spokojne Sorrento dawno już poszło do łóżek; z wnętrza willi nie dochodzi najłżejszy szmer.

Śpi padrone z całą rodziną i ma rozkoszne sny, że wszelakie spumante, w jakie zaopatrzył swoją piwnicę, wypito mu w ciągu jednej nocy, a miejsce pustych butelek zajęły kupki złota; śpi krępa Assunta, upewniwszy się pierwej, że Signora potrzebować jej nie będzie; tylko Rafael czuwa roznegliżowany w swojej mansardce pod dachem, bo padrone zapowiedział mu, żeby światła nie gasił, dopóki cudzoziemcy nie pójdą na górę, choćby do świtu; mają całą willę dla siebie, postawi im się to potem w rachunku.

Więc taka cisza... taka zupełna cisza naokół! Świat cały stoi jak olbrzymia amfora mileczenia, w której jedynie bulgoce i pieni się płynna mowa morza.

Niez mordowanie, burkliwie, z chwilowem zapieraniem oddechu, z chwilowemi wybuchami swady, opowiada ona coś wieczyście zastuchanym skałom, porytym w brzozy od tych opowiadań, od tych frasunków wszechbytu, niesionych im w rozhowerze fal, od tych tajemnic, co bywają tak straszne, że i opoka wzdryga się, gdy je posłyszysz i rozpadlinami ten dreszcz znaezy.

A morze opowiada... opowiada wciąż.

Heni z dala wiatr powiał — przyniósł nowinę, nowinę nocy wszystko wiedzącej i wszystko kryjącej.

Z rozpryskiem i rozszumem pędzą fale do brzegu, pędzą pod ten taras, na którym siedzą Olsdaniecki z Rytą i powtarzają co słyszały...

Żalostnego to coś być musi, bo skała zdaje się wdychać piersią swych szczelin do wiatru otwar-

tych; i warkoczami porostów, któremi zatargała burza, obeiera swe mokre, kamienne oblicze.

Wędrowną chmurka, napędzona powiewem, przesłoniła księżyc i po raptem pociemniałej toni sunie jak widmo jej rudo przyświecający kształt.

W rozkołysanem momentalnie powietrzu płomyki świece poczynają drgać pod osłoną różowych kapturków; japoński jaśmin nad głową Ryty trzęsie się cały i roni delikatne płateczki białego kwiecica na jej ciężkie od morskiej wilgoci włosy, w których więdnąca róża dyszy omdlałą wonią.

A morze opowiada... opowiada ciągle nowinę wiatru.

Wszystko dokoła zdaje się ją słyszeć i rozumieć... prócz tych dwojga, na tarasie siedzących.

Ale i na nich zaczyna działać to nagłe roz-tajemniczenie się i sposępnienie natury, transfigu-racyjną potęgą morza dokonane.

Ryta pierwsza przerywa milezienie.

— Późno już—mówi, wstając.—Chodźmy ztąd. Coś straszego idzie od tego morza.

Oldaniecki nie próbuje jej zatrzymać.

— Ma pani słuszość. Coś idzie od tego morza.

Wchodzą do willi w zupełnem milezieniu i mijają salę stołową, korytarze, schody z takim uczuciem, jakby to coś szło za nimi.

Potoki niebieskawego światła, w jakich pławi się wszystko: ściany głucho i chłodną nagością błyszczące, sprzęty w nieruchomości zastygłe, zamiast osłabiać, potęgują jeszcze wrażenie pustki, niemal wymarcia.

Mała doniczka, potrącona suknią Ryty, wywraca się i, staczając się po majolikowych stopniach, sprawia taki hałas, jakby cała willa padała w grazy.

Padrone budzi się przez pół; odgaduje, że to „cudzoziemcy“ coś stłukli i, pocieszony myślą, iż w dwójnasób za to zapłaca, wnet smaczniej jeszcze usypia; a drzemiący Rafael zrywa się na równe nogi i drzwi swojej mansardki uchyliwszy... nadśledkuje.

— Teraz — albo nigdy.

Ryta mimowoli przysuwa się do Oldanieckiego.

— Złęklam się—szepce.—Niema pan pojęcia, jak mnie zdenerwowało to morze.

On uspokajająco, ale chłodno, bierze ją za rękę i dochodzą w ten sposób na górę.

W „vestibiulu“ zatrzymują się na chwilę i wzrok Ryty błądzi po tych wszystkich milczących, zamkniętych drzwiach, których sztywny szereg otacza ich, jak tyleż tajemnic.

— Nie mogą chyba być ludzie więcej „we dwoje“, niż my tutaj—mówi ona tym swoim dźwięcznym, kunsztownym szeptem aktorki, który rozchodzi się po willi, jak stłumione, mazyeczne tony.

— Bardziej sami—poprawia Oldaniecki.—Ludzie we dwoje są zawsze razem— a my, przecież, rozejdziemy się za chwilę

— To prawda. Dobranoc panu.

— Dobranoc pani.

Nie rozchodzą się jednak i Ryta wciąż rozgląda się dokoła w zamyśleniu.

— Czy pan zauważył to kiedy — odzywa się

znowu, — że w takiej pustce martwe przedmioty zdają się nabierać życia, tętnąc jakimś zupełnie ludzkim wyrazem. Czy nie?

— Owszem, pani; i tłumaczę to tem, że wrodzona człowiekowi towarzyskość tworzy sobie w ten sposób jakieś sztuczne obecności.

— Ja tego weale nie próbuję i nie chcę tłumaczyć; wiem tylko, że było to dla mnie nieraz źródłem bardzo silnych wrażeń. Pamiętam, raz w restauracji, przyszedłszy licznem towarzystwem bardzo późno z jakiegoś rautu na ogólną salę. Nie było już nikogo. Na jednym dużym stole, z którego tylko co sprzątnięto talerze, stała karafka z resztką wody. Stała na pomiętym, zatłuszczo-nym obrusie sama wśród okruchów i plam. Nie umiem panu wypowiedzieć, jakie ona na mnie zrobiła wstrząsające wrażenie opuszczenia, beznadziejności, końca wszystkiego... Widzę ją w tej chwili... Taka zwyczajna karafka z grubego szkła... Patrzyłam i patrzyłam na nią, i takiego coś żałowanego szło od niej ku mnie, że żaden pogrzeb... żadna trumna... Może to był mój własny nastrój, ale poprostu czułam łzy w oczach... a ja nie łatwo płacę. Nigdy nie zapomnę tej karafki...

Mówi to wszystko zwolna, z przystankami, monotonicznie, mając oczy utkwione w jeden punkt.

Oldaniecki jest tak szalenie zdenerwowany, że w tej ciszy ogromnej ten głos stłumiony a wyraźny, ten sposób mówienia miarowy, równy jak kołysanka, te słowa dziwaczne poczynają działać na niego siłą hypnozy.

Automatycznie wzrok jego zwraca się także w stronę, w którą patrzy Ryta.

— Mam panu powiedzieć, czemu mi to się teraz właśnie tak żywo przypomniało?

— Proszę.

— Bo... Niech pan spojrzy na tę klamkę.

— To klamka od moich drzwi — objaśnia Oldaniecki.

Tak — to klamka od jego drzwi; ta sama, z której przed kilkunastu godzinami zsunęła się ręka Ali...

Zsunęła się, jak rozzierająca pieszczoła śmiertelnie zranionej miłości, jak bezgraniczne przebaczenie umierającego serca, jak pożegnanie ostatecznie... na zawsze.

A teraz oni: „on“ i „tamta,“ stoją i patrzą na ten podłużny kawałek różowego, rzniętego szkła, w błyszczącej mosiądź oprawiony, w którym zostało to wszystko...

Stoją i patrzą.

— Widzi pan, — mówi Ryta dalej — jak ona się dziwnie zwiesza. Pan powie może, że tak samo, jak tamte inne, ale niech się pan dobrze wpatrzy, a zobaczy pan, że inaczej. Ona się zwiesza zupełnie ludzkim ruchem... Takim smutnym... Jakby w niej coś płakało... I światło tak się w tym zmatowanym kryształcie odbija drżąc... jakby w oczach, które się od łez mrużą... Widzi pan? Mnie się zdaje, że to jakieś zapłakane oczy na nas spoglądają...

Oldanieckiemu robi się jakoś niemiło.

Ta kobieta nie byłaby taką aktorką-artystką, gdyby nie miała talentu narzucania innym uczuć, które chce wywołać.

A choć w tej chwili nie gra żadnej roli i po prostu żywiołowość własnego wrażenia odtwarza, lecz jej głos, ruch, wyraz twarzy—mają tę nadzwyczajną siłę ekspresji, jaką tylko artystyczne owładnięcie temi środkami dać może.

I Oldaniecki czuje, że go to zaczyna niepokoić, że jeszcze chwila, a uwierzy w niemą skargę i ból tej szklanej rzeczy.

Chee jednak otrząsnąć się, nie być śmiesznym.

— Pani, na Bogal—woła z przymuszoną żartobliwością — pani mnie tak zasugestjonuje, że się będę bał dotknąć tej klamki, i przyjdzie mi chyba nocować na dworze!

Słowa te robią swoje—nawet więcej niż swoje. Jest w nich coś, co nie było w myśli Oldanieckiego, ale co budzi się w kobiecej, przenikliwej myśli Ryty i ostrzega ją, że weszła na niebezpieczny grunt.

A gdyby ten mężczyzna, młody, piękny, stojący obok niej w bezbrzeżnej ciszy i samotności nocy, z nerwami napiętymi jak struny, upity niezwykłością sytuacji jak trunkiem, dopatrywał się w jej dziwnym fantazjowaniu na temat klamki u drzwi właśnie do jego pokoju wiodących, jakiej cynicznej zachęty?...

Wszak już wysłał balon próbny tym noclegiem na dworze...

A gdyby zamiast tego powiedział:

— Chyba, że mi pani użyje gościnności?...

Co uczyniłaby wtedy?

Albo zatrzasnęłaby mu drzwi przed nosem i wyjechała nazajutrz, albo...

Ryta zna życie; Ryta wie, że nieraz czyny człowieka są po za nim, po za jego pojęciem, po za jego naturą i są „cudze;“ Ryta wie, że wszystko niemal zależy od sposobu i od chwili.

Więc albo... i także wyjechałaby nazajutrz.

I jedno, i drugie popsułoby jej i Oldanieckiego i Włochy, a ona tego nie chce.

Podnosi zatem głowę i zaczyna się śmiać.

— To prawda! Odczyniam urok... I teraz już — na serjo dobranoc.

W tej chwili dopiero spostrzega, że przez cały ten czas Oldaniecki trzymał jej rękę w swoich dłoniach, i—jakby na potwierdzenie możliwości jej poprzednich przypuszczeń lekki, zmysłowy dreszcz wstrząsa jej młodem ciałem.

Zirytowana na samą siebie, chce szybko usunąć rękę, ale Oldaniecki przytrzymuje ją i niesie do ust z pewną ceremonialnością.

— Dobranoc pani.

Coś ironicznego przewija mu się po wargach, coś, co zdaje się mówić:

„Powabna twierdzo! nie wytaczaj armat, bo ja do ataku nie idę.“

Ale jest to tak niesłychanie subtelny odcień męskiej pychy, że Ryta pomimo całej swej bystrości nie dostrzega go.

Uspokojona zachowaniem się Oldanieckiego, już we drzwiach odwraca się ku niemu i obrzuca

go przeciągłem spojrzeniem swych wielkich, wschodnich oczu:

— Ta pana „Rosa di Monte“ jest naprawdę bardzo nastrojowa... Dziękuję panu za jej wybór i — za wieczór dzisiejszy...

Oldaniecki wytrzymuje jej wzrok, stojąc już także na progu swego pokoju.

— I jabym dziękował, gdyby nie...

— Co takiego?

— Powiem pani jutro. Proszę dobrze spać.

Kłania się z przyjaznym uśmiechem, który niewiadomo czemu wywiera na Rycie wrażenie jakiegoś upokorzenia i czeka dworsko, aby drzwi zamknęły się za nią.

W chwilę potem niema już w westybulu nikogo.

Jednocześnie, szybko, cicho z ogarkiem w ręku, zbiega z wyższego piętra Raffaele.

Groteskowy, jak każdy mężczyzna w bieliźnie awija się po willi, wnosząc wszędzie z sobą ciemność na podobieństwo złośliwego ducha.

Jeszcze minuta, a w oblanej dotychczas strugami światła „Rosa di Monte“ miga już tylko jego ogarek i przybrudzone skarpetki. Ogarek ten i skarpetki zatrzymują się wreszcie za ścianą westybulu pierwszego piętra, a umieszczona nad nimi głowa o profilu rzymskiego imperatora wyciąga szyję i śle swój kelnerski słuch, wyćwiczony w ocenianiu różnych odgłosów na zwiady.

— Nic — cisza.

A po pewnym czasie zgrzyt klucza, obracającego się w zamku od wewnątrz.

I znowu cisza.

A po pewnym czasie drugi taki sam wewnętrzny zgrzyt klucza w drugim zamku.

— Tfu!—sława Raffaele, tak nieostrożnie, że ogarek mu gaśnie, a on sam śapie omackiem na swój stryszek, unosząc w duszy najgłębszą pogardę dla tych „cudzoziemców“ młodych, zdrowych, którzy zjechali się tu z końca świata, aby zamykać się przed sobą jak dwoje mnichów.

Tymczasem Oldaniecki, znalazłszy się sam, chodzi długo po swoim pokoju.

Powtarza sobie, że wszystko jest, jak się spodziewał, jak chciał, a przecież — drzazga zawodu coraz dotkliwiej w mózg mu się wbija.

Brak w nim, w nim samym czegoś, co było niegdyś, co raz skryształizowało się w takim potężnym, twórczym rozmachu, który wywiódł go z szaryzny, przeciętności na pełne światło sławy; to coś, czego on już od lat całych napróżno od siebie żąda, czego inni od niego żądają, a co—zdawało mu się, że przy poznaniu z Rytą we Lwowie, jakby znów słabą iskierką na dnie duszy zabłysło, i co go ku niej tak wprost rozpacznie pociągnęło.

Wezoraj jeszcze o tej porze... w samotności oczekiwania miał takie chwile... takie chwile piękne... takie, jakby wzlot rozpowijającego z martwo-ty twórczego pragnienia, tak czuł i rozumiał, że czeka na nią, nie jak kochanek na kochankę, tem mniej, nie jak banalny mąż, urządzający za plecami żony eskapadę potajemnej miłości, lecz jak artysta sztuką swą i pięknem pochłonięty, żądzą wypowiedzenia się trawiony, a w jałowe pęta nie-

mocy uwikłany, czeka na podniecie, na natchnienie, na to coś boskie, dlaczego jedynie jeszcze żyć warto...

A dziś... nie, nie z tego w piersiach niema!

Zwyczajnie, po salonowemu gawędził z dowcipną kobietą przy blasku księżycy; było mu chwilami przyjemnie, chwilami mniej przyjemnie, a teraz pójdzie spać, aby jutro napić się najohydniejszej pod słońcem kawy i posmarować trupie, sorrentyńskie pieczywo najlepszem pod słońcem masłem...

A potem pójdą na spacer... elegancko... miło, a potem lunch, a potem siesta, a potem obiad i znowu pogadanka przy księżycu.

Niel! niel! to nie to!...

Jest tak rozgoryczony, że z umysłu przesadza i popospolita je to, co niedawno jeszcze w wyobraźni przedstawiało mu się, jak czarowny sen z bajki...

A przecież ten sen składał się właśnie z takich spacerów, lunchów, obiadów, księżycowych sam na sam...

Z drugiej strony, nie był tak naiwny, aby się spodziewał, że równo z przyjazdem Ryty otworzą mu się upusty pisarskie, że, oto zaraz, w tej chwili siądzie i machnie z pół tomu powieści...

Więc co?... czego chce?... o co mu chodzi?

I niedość na tem.

Przyplątał mu się jakiś niepokój, jakaś dręcząca potrzeba usprawiedliwienia się przed samym sobą, od czego—w poczuciu swej faktycznej bezwiny—przypuszczał, że wolnym będzie zupełnie.

To także wynik tego braku, tego niedociągnięcia struny.

Ludził się, że to Sorrento z Rytą będzie czemś zupełnie dla siebie, czemś po za wszystkim; że to będzie takie nowe, silne, tak go ogarnie, pochłonie, tak mu nie [da myśleć o niezem... o niezem innym.

A tymczasem — już tego pierwszego wieczora... i w taki dziwny, dziwny sposób..

Raz, gdy patrzył w morze, pociemniałe raptem i skłócone, a potem, gdy Ryta mówiła o tej kłamce...

Tak mu mignęło przez duszę, jak chłodny wiew...

Kilkakrotnie, w gorączkowej swej wędrówce po pokoju. Oldaniecki zbliża się do biurka i patrzy na szufladę, w której zamknięta od przyjazdu tutaj spoczywa fotografia Ali.

Jakieś uczucie delikatności względem tej żony, która mu była tak bardzo droga, kazała mu ją schować.

I nie chciał... nie chciał sobie przypominać.

A teraz coś go wyraźnie ciągnie, aby spojrzeć w te śliczne rysy, i jednocześnie czuje, owładający nim jakiś lęk.

— Cóż znowu — myśli zniecierpliwiony — nie jestem przecież starą histeryczką.

I wyjmuje fotografię.

Jasna, delikatna twarzączka uśmiecha się do niego słodko z pod szkła bogatej, empirowej ramki.

Pokój Oldanieckiego sąsiaduje z sypialnią Ryty i posiada nawet drzwi wewnętrznej komunikacji, zastawione obecnie z obu stron szafami.

Przez cienką, jak papier ścianę, słyhać subtelne chrzęsty jedwabi i batystów, towarzyszące układaniu się do snu wytwornej kobiety.

Ale Oldaniecki nie zwraca na to uwagi.

Zapatrzył się w śliczne rysy Ali, i poraz pierwszy z taką siłą uprzytomnia sobie, że z podobnym wyrazem doskonałego, ufnego szczęścia nie spotkał się dotychczas w żadnej innej twarzy.

Serce wzbiera mu wielką, rozrzewnioną miłością.

— Dzieciś mój—szepce—śliczny dzieciś; ty będziesz zawsze szczęśliwa.

I, jakby rad, że się może usprawiedliwić, dodaje:

— Przecież ja ciebie nie zdradzam.

II.

Po krętych, w skalnem rozłupiu wykutych stopniach Ryta i Oldaniecki schodzą nad morze.

Jest to prywatna droga willi, i mieszkańcy „Rosa di Monte“ nie potrzebują odbywać długiej wędrowki przez rynek i boczne uliczki miasteczka, lecz odrazu z pośród pomarańcz, oliwek i migdałów ogródka mogą w ciągu kilkunastu minut znaleźć się na brzegu.

Trochę to strome, trochę ślizkie, ale bardzo ładne schodzenie.

Aksamitne płaty mechów ścielą się po skalnych

zakosach; z wysokich ścian parowu, jak szmaragdowe strumyki, sączy się delikatna zieleń porostów; żyłki zaskórnej wody błyszczą srebrzyście pomiędzy głazami.

I chłodno tu i cienisto nawet w największy upał.

Dlatego też, pomimo że dzień zapowiada się wyjątkowo skwarnie Oldaniecki mógł zaproponować Rycie taką przedpołudniową wycieczkę.

Jest to zatem ów programowy „spacer,” o jakim we wczorajszym swym rozgoryczeniu myślał prawie z niechęcią.

Ale dziś wszystko ma się inaczej przedstawia.

Obudził się z jakąś nową ochotą czerpania pełnemi dłońmi z tego, co dzień przyniesie.

A dzień zwykle przynosi coś tym, którzy go w ten sposób witają.

Bo fala zdarzeń jest zawsze jak woda: zabarwia ją to, co się w niej odbije; zabarwia ją nasze własne odczucie.

Oldaniecki ma dziś przedewszystkiem ogromną wiarę w siebie; cudowny stan, znany w całej pełni tylko tym, którzy przez srogą chłostę zwątpień do niego dochodzą.

Zdaje mu się, że obręcz letargu, zaciśnięta dokoła jego twórczości, pęka nareszcie.

Nie tej twórczości, którą ma na zawołanie wydawców, potrzebujących „firmowej” powieści, lecz tej prawdziwej, szczerzej, nad którą oddawna już w tajnej rozpaczyci duszy stał z załamaniem rękoma, jak nad umarłą.

Z otwarciem powiek, z pierwszym spojrze-

niem na rozbłękitnione za oknami morze coś wstąpiło w niego i każe mu się czuć takim silnym, nowym, na wielkie rzeczy ważyć się mogącym.

Gdy się ubierał i pił kawę, mózg jego zatrudniał się chaosem mglistych obrazów, z których każdy był jakby widmem jakiegoś pomysłu.

Dusza każdego artysty ma takie korowody mar, ciągnące i znikające dniami, tygodniami, miesiącami całymi, aż nadejdzie godzina cada, w której z dnia jestestwa wytryśnie prąd twórczy, uderzy w jedną z nich, zatrzyma i powie jej: „Żyj!”

Oldaniecki nie śmie jeszcze przypuszczać, że jego godzina nadeszła, ale to, co odezuwa, co nim wstrząsa, jest jakby jej zapowiedzią, i to mu już na razie wystarcza.

Oczywiście szczęśliwy ten nastrój przypisuje Rycie; temu fermentowi wewnętrznemu, który się w nim przez obcowanie z nią wytwarza; i to go napełnia taką dla niej wdzięcznością, że gdy po śniadania spotykają się na tarasie, ma ochotę porwać ją za ręce i przyciągnąć do piersi, jak cenny skarb.

Nie czyni jednak tego; tylko patrzy na nią tym wzrokiem oczarowania, mającym specjalną własność dostrzeżenia w kobiecie w ten sposób oglądanej takich uroków, jakich żadne inne oczy nigdy w niej nie zobaczą.

Ryta wyczuwa to natychmiast, i mimowoli pochlebia jej ten zachwyt, chociaż jej próżność aktorska, stępiona już na awielbieniach jednostek, łaknie przede wszystkim poklasku tłama.

Ale Oldaniecki jest zbyt wybitną osobistością i zbyt jej się podoba, aby nie miał stanowić wyjątku.

Schodzą więc nad morze w jaknajlepszym usposobieniu.

Idący przodem, Oldaniecki odwraca się ciągle uśmiechnięty i czujny na każdy krok Ryty.

Ona przecież stąpa lekko i pewnie po wilgotnych głazach. Jej silna, biała postać przewija się wśród szarych zakrętów skały jak smuga światła.

Morza nie widać, wogóle nie widać prócz wysokich ścian rozpadliny i paska błękitu nad niebem; tylko z dołu podnosi się coraz wyraźniejszy szum i zabiega drogę idącym.

Jeden gwałtowny skręt; skała kończy się jak ucięta prostopadłym wiszorem i jakby przez otwarte raptem na rozścież drzwi ukazuje się zatoka, podpływając prawie pod stopy Ryty i Oldanieckiego.

Już tylko kilka kroków dalej po piasku postąpić mogą.

Z prawej strony skalny obryw wchodzi wprost w morze i zatarasowuje zupełnie drogę; ale na lewo skała cofa się coraz dalej w łód, odsłaniając długi, popielaty język mola; a za nim szeroką ławicę piasku i wyciągnięte na niej rzędami łodzie rybackie i sieci suszące się na słońcu.

— Życzy pani sobie pójść dalej brzegiem? — pyta Oldaniecki, wskazując w tym kierunku.

— Tymczasem nie. Za gorąco. Gdyby tak gdzie usiąść...

— Służę pani.

Oldaniecki podaje rękę Rycie i po oślizgłych głazach, na które co chwila skacze woda, wprowadza ją pod obryw.

Tworzy się rodzaj „koleby,” a w jej zagłębieniu wykuto małą ławeczkę, jak raz na dwie osoby.

— Ależ tu ślicznie! — woła Ryta, siadając. — Będziemy jak w skalnym potrzasku.

Zdejmuje kapelusz i opiera głowę o ścianę.

Bujne jej włosy czepiają się kredowych chropowatości skały i pełzną po ich trupiej bieli jak czarne węże.

Wysoko w górze, na samej krawędzi obrywu, pochylona ku morzu, sterczy samotna oliwka, i przez sito swej bladej zieleni, sieje blaski słoneczne do wnętrza koleby, która wygląda jak ul, złotymi pszczołami napełniony.

— Jak ja dziś Kocham życie! — woła Ryta, wyciągając przed siebie pocentkowane niemi ramiona.

— A ja Kocham przyjazd pani... Od rana czyham na sposobność, żeby to pani powiedzieć.

— Na to potrzeba sposobności?

— Potrzeba. Takie słowo w niestosownej chwili to — to wyznanie.

— A gdyby nawet?...

— Ślicznie dziękuję. Wyśmiałyby mnie pani z miejsca.

— Nie wyśmiałabym, bo nie uwierzyłabym... wyznaniu. Za to wierzę w zadowolenie z mego przyjazdu... bo to widzę... I cieszę się, gdyż wczoraj zdawało mi się przeciwnie.

— Proszę panią, nie mówmy o wczoraj.

— Dlaczego? Co ja panu właściwie zawiniłam?

— Pani? Nie... To ja sam sobie. Ale po za tem, nie przeczę, zrobiła mi pani przykrość...

— Jakim sposobem?

— Mówiąc, że o przyjeździe pani do Sorrento rozstrzygnął... przypadek. Nie potrzebuje się pani ironicznie uśmiechać i krzywdzić mnie podejrzeniem, że jak płytki zarozumialec uczułem się dotknięty w swojej próżności. Bynajmniej. Poprostu popsuło mi to obraz pani... Taka kobieta... ulegająca przesądom... „Jadę, [nie jadę... Zająć przeleciał przez drogę...” Pani Ryto! Czy to na panią podobne?... Ja tu czekam... roję... powiedziałbym, z przeproszeniem—tęsknię, i raptem dowiaduję się, że ten wyśniony, upragniony przyjazd pani zawdzięczam... takiemu zającowi!

— Wolałby pan zawdzięczać go, dajmy na to, obecności tutaj kogoś trzeciego, w kim byłabym szalenie zakochana?

— Bezwarunkowo. Byłaby to przynajmniej wiele ciekawa sytuacja.

Ryta śmieje się.

— Jaki z pana wszędzie i zawsze powieściopisarzu!

— Być może — odpowiada Oldaniecki, posępniejąc nagle. — Być może... Dajmy temu lepiej pokój.

— Zapewne. Tak, czy inaczej, jestem tutaj i sama czuję się uradowana, że jestem. Dobrze mi ze słońcem... z Włochami... z panem... Ostatnie występy w Warszawie zmęczyły mnie bardzo. A tu taki spokój... nie nudny, nie martwy, tylko taki śliczny. Tak tu wszystko żyje, a tak się nie dzieje.

Gdy to mówi, od strony Neapolu ukazuje się szybko płynący parowiec.

Jednocześnie dokoła mola powstaje ruch.

Kilkanaście łódek odrywa się od brzegu i wygładzona przed chwilą roztoez zakwita, jak łąka różnobarwnymi postaciami wiosłarzy.

Błyszczą w słońcu ich pstre, pasiaste katanki i workowate czapki, a wiosła migają nad wodą jak skrzydła białych mew.

Przeraźliwy gwizd syreny rozdziera powietrze.

Parowiec staje; łódki obskakują go jak stado wyjćów osaczonego zwierza.

— „Co-cu-me-laaa!“

— „Qui-si-sa-naaa!“

— „Lo-re-leyyy!“

— „Grrrande-Brrrétagne!“ — drą się jeden przez drugiego żarłoczne głosy, wykrzykując nazwy willi i hoteli.

Widać ramiona rozmachane w pełnych zachęty gestach, wyciągnięte jak macki polipów ku kilku postaciom, kołyszącym się na portowych schodkach.

W mgnieniu oka postacie te są zabrane, rozchwywane, a gdyby się dało, byłyby i porozdzierane, aby nikomu nie stała się krzywda; łodzie rozpraszają się, szybko uwożąc swój łup, a parowiec zwolna, majestatycznie wykonywa kilka obrotów i dąży znów ku zachodowi, gdzie na szafirowej linii widnokręgu mającą lekkie zarzysy Ischii.

Jeszcze chwil kilka, a zatoka wygładza się, pustoszeje i popada w poprzednie, senne odrętwienie godziny przedpołudniowej.

Wszędzie bezruch i cisza.

Tylko u brzegu morze chodzi wciąż tam i napowrót, tam i napowrót białemi ławami fal.

— Stopy Ahaswerusa — mówi Oldaniecki, goniąc oczyma ustępującą i następującą wodę.— Wodna legenda Żyda Wiecznego Tułacza... Chciałbym wiedzieć co ona pani mówi? Pani po raz pierwszy jest nad morzem?

— Tak.

— I żadnej podróży morskiej nie odbywała pani dotychczas?

— Nie... Dopiero ztąd pojedę do Londynu przez Marsylję.

— Czemu nie przez Gibraltar? Wolałbym na tę chwilę nie myśleć, że pani ztąd wogóle gdziekolwiek pojedzie; ale skoro o tem mowa, czemu nie przez Gibraltar?

Ryta zaczyna się śmiać.

— Równie dobrze, czemu nie przez kanał Sueski? Niebym w tem nadzwyczajnego nie widział. Pani niezależna... artystka, żyjąca tylko dla sztuki, może sobie na każdą ekscentryczność pozwolić. A taka ekscentryczność dałaby pani niezapomniane nigdy wrażenia... Ja sam odbyłem kilka dalszych podróży po oceanie i dotychczas się okrucami ich wspomnień żywię... Pozwoli pani?

Zapałił papierosa i ciągnie dalej:

— Ach! to takie dwie różne rzeczy być na morzu i nad morzem!... Morze, gdy się z niem ma do czynienia, gdy się na niem żyje, to czasem wróg niebezpieczny, ale stokroć częściej: towarzysz, który nigdy nie znuży; mistrz, od którego się ciągle

czegoś uczyć można; przyjaciel, któremu tylko trzeba wiedzieć, jak się zwierzyć, a zrozumie nas, ukoj, wzmocni, jak żaden... Ale morze, na które się tylko z lądu patrzy, to zawsze sfinks... chwilkami, aż do okrucieństwa, niepokojący sfinks. Zwłaszcza u brzegu... zwłaszcza u brzegu... Ta jego brzegowa, nieustająca praca.

Milnie i czas jakiś śledzą oboje jednostajny napór i cofanie się tajemniczego żywiołu.

Oldaniecki pierwszy odwraca oczy i przeciąga ręką po czole.

— Nie; nie mogę długo patrzeć w ten sposób... To mnie zanadto rozstraja... Czy może być okropniejsza tragedia ruchu?... Tak bez początku, bez przerwy, bez mety...

— Bez mety, — powtarza Ryta z cicha — bez początku...

— Czuje to pani? Całą srogość takiej nieśmiertelności... Przekłeta dola... Nieszczęsne fale...

— Fale... fale... — powtarza Ryta i zaczyna zwolna, rytmicznie kołysać całą swoją postacią. — Fale...

— I to, że one nieustannie mówią — ciągnie dalej Oldaniecki, jakby sam do siebie.—Nieraz zastanawiałem się nad tem, jakby to było, gdyby tak chodziły nieme zupełnie... Fala za falą, fala za falą, naprzód i wstecz, naprzód i wstecz—i w milczeniu! Myślę, że to byłoby jeszcze okropniejsze... Niktby już wogóle patrzeć na to nie mógł. I pani niech już zaniecha.

— Nie, nie; mnie to ciągnie — odpowiada Ryta, nie przestając się kołysać. — Pan zaczął... Ja

mam to wszystko w sobie w tej chwili... jakby jakąś melodię. Fale... fale...

— Wyśpiewaj ją pani!

Ryta zdaje się nie słyszeć. Patrzy uparcie w morze.

Jest bardzo blada; ciemne jej wargi drżą z lekka, jakby ptak myśli trzepotał się w nich, niezdolny jeszcze skrzydeł słów rozwinąć.

Oldaniecki kładzie zwolna dłoń na jej rękę i czuje, że pomimo upału ręka ta zupełnie jest zimna.

— Wyśpiewaj ją pani — powtarza zniżonym głosem.—Ja wiem... Ja panią już raz taką we Lwowie widziałem. I to było takie cudne potem... Mów pani... Pani Ryto — mów!

W swojej nadzwyczajnej wrażliwości zaczyna sam drżeć nerwowo i rękę Ryty zwolna ku swej piersi przyciąga.

— Ach — mów!

Jakby zahypnotyzowana jego głosem, nie cofając mu ręki, ale się ku niemu nie zwracając, wciąż zapatrzona w idące pod jej stopy i uciekające z pod nich fale,¹Ryta zaczyna deklamować.

Deklamuje powoli, z przestankami, z wielką prostotą i tą plastyką intonacji tak skończenie doskonałą, że każdy jej wyraz jest nie tylko dźwiękiem, lecz zarazem kształtem i barwą:

Siedzimy, milcząc, w cienistej rozpadlinie,
Przed nami morze pieszczotą słońca płonie;
Cisza południa półsennym żarem płynie,
Po przez powietrzne, rozblękitnione tonie.

Piętrzą się brzegu załamy i urwiska,
Oliwne drzewa wieńczą je w zieleń bladą;
Kąpią mdłe bluszcze, kredowa skała błyska,
A tam... na piaskul... śpi drobnych łódek stado.

Byt ścichnął... błogą spoczynku zasłonę,
Rozwłókł po ziemi, aż pod obłoczne stropy;
A tylko chodzą... chodzą wciąż niestrudzone
Fale... wodnego Ahaswerusa stopy...

Oldaniecki porusza się mimowoli, usłyszawszy
swe własne porównanie, lecz nie przerywa, tylko
silniej zimną rękę Ryty do piersi swej przyciska...

Ryta mówi dalej:

Chodzą bez przerwy, początku i bez mety,
A każda niesie tragedję ruchu własną...

— Ach! — wyrywa się bezwiednie z ust Olda-
nieckiego.

Jakaś wielka, czysto intelektualna rozkosz
ogarnia całe jestestwo.

Jest mu, jakby słuchał cudnej muzyki, podło-
żonej pod jego własne słowa.

Ryta lekko odciąga mu swoją dłoń od piersi
razem z jego ręką i trzymając ją tak ku morzu,
deklamuje:

Patrz na te fale... patrz, jak zjeżają grzbiety,
Jak kwitną pianą i srebrnym pyłem gasną.

A w ślad za nimi nowe szeregi suną,
Dziwną udręką roznamiętnione... chyże...
Żądza z nich bucha—seledynową łuną,
I kąsa skałę i mokry piasek liże.

Och! one czują swą nieśmiertelność sroga,
Jak kłatwę bytu wiszącą ponad nimi;

Ochl one czują, że same zostać mogą,
Gdy wszystko zniknie i gdy im zbraknie ziemi.

Patrz na te fale!... O patrz na ich katusze;
Patrz jak piekielnie trwa ich daremna praca...

Urywa i poraz pierwszy zwraca się twarzą ku
Oldanieckiemu.

Jej wielkie płomienne źrenice zapadają w ma-
rzydzielski błękit jego oczu, jak żar.

I gdy patrzą na siebie w ten sposób, czując
wzajemny dreszcz, przebiegający ich ciała, ona
kończy, wolniej jeszcze i z dziwną zmianą w głosie:

Tak czasem dusza o drugą bije duszę,
I cofa się... i znów — odparta — wraca...

.

Milczenie...

Ręce ich rozplatają się, opadając, każda
z osobna, jakby w jakimś wyczerpaniu na kamien-
ną krawędź ławki.

Ryta opiera znów głowę o skałę i przymyka
oczy.

— To pani wiersz — przemawia po długiej
chwili Oldaniecki, bardzo cicho.

Zaprzecza mu leciuchnem poruszeniem.

— Nie: to pana, przecież to były wszystko
myśli pana, słowa nawet, porównania... resztę mi
dała ta zatoka... ta cisza... i ja to wszystko popro-
siu rymami pokleiłam, do czego, jak pan wie, na-
pada mnie czasem szczególna łatwość.

Uśmiecha się lekceważąco, a lekceważenie to
jest zupełnie szczere, i dorzuca:

— Ludzie szumnych określeń nazwaliby to darem improwizacji, nieprawdaż?

— Bo też to jest dar improwizacji—odpowiada Oldaniecki z przyeiskiem.—Nieraz już byłem przykro zdziwiony tą pogardą, z jaką pani traktuje swój talent poetycki. Pani powinna pisać.

Ryta otwiera oczy szeroko.

— Ja?... Żartuje pan chyba... Ja pisać?... Ależ ja nie mam żadnego talentu...

— Wybacz pani... Pochlebiam sobie, że się na tem znam trochę.

— I znawcy mogą się mylić... Zdolności tak niekiedy w pewnem oświetleniu przybierają pozory talentu. To się samemu najlepiej czuje... Jeżeli się ma dosyć po temu inteligencji. A znowa ja sobie pochlebiam, że jestem inteligentna, nawet bardzo inteligentna, i dlatego wiem, że nie mam krzty... krzty twórczości w niczem, prócz może w dyceji, w interpretacji scenicznej... W tej może — tak... w tej, czuję, że czasem daję coś nowego, coś zupełnie swego. Ale poza tem, tak w muzyce, jak w malarstwie, jak w poezji — skoro pan to tak chcesz nazwać — jestem tylko sprytną, szalenie artystycznie sprytną.

Przerywa sobie i po chwili z zupełną naturalnością dodaje:

— Uprawiam to wszystko, bo to są bardzo estetyczne środki reklamy; bardzo korzystne arriere fond dla mojej sylwetki aktorskiej... Nie, nigdy nie drukowałam, nie nie wystawiałam, ale moi... znajomi słyszeli, widzieli i... roznieśli to po świecie... Ryta Szemko gra! Ryta Szemko impro-

wizuje! Ryta Szemko ma!aje! Taka prywatna s!awa cz!esto lepiej dzia!a, ni!z publiczna.

— Pani! — przerywa Oldaniecki z odcieniem wyrzutu.

— Ale!z tak. Dlaczego nie mam nazwa!c rzeczy po imieniu? Ja przedewszystkiem jestem aktork!a i aktork!a chce! pozosta!c. T!e sztuk!e kocham, i wszystko co we mnie jest jej s!u!y!c musi. A kocham j!a, bo w niej jedynie ca!a wypowiedzie!c si!e mog!e; bo ona mi daje najwi!eksz!a sum!e wra!e!n i rozkoszy dora!znych. Dora!zno!c — to moje b!ostwo! Wol!e jeden wiecz!r z nape!nion!a widowni!a, w kt!orej wszystkie oczy b!e!d!a we mnie utkwione, wszystkie serca na moich ustach zawisn!a i w takt moich wzrusze!n bi!e b!e!d!a, ni!z najuroczystsza pewno!c, !e za lat sto panny po pensjach b!e!d!a ku!y z podr!e!cznik!w dat!e moich urodzin i !mierci. Bo — ile to s!aw po!miertnych na to schodzi! Nikt o nich nie pami!eta, pr!o!cz podr!e!cznik!w. Cz!esto o tem my!s!a!am w klasztorze i to mi je tak obrzydzi!o...

Rzuca przelotne spojrzenie na Oldanieckiego i m!owi mi!ekszym g!osem:

— Wiem, !e s!a arty!sci, kt!o!rzy sztuce swojej s!u!z!a w m!e!ce, w zw!atpieniach, w rozpinaniu na krzy!u w!asnego ja...

— Tak; s!a... — potwierdza Oldaniecki i bia!e jego czo!o zasnuwa si!e mg!!a jakiej!s gorzkiej my!li.

— Jabym nie potrafi!a... Znienawidzi!abym j!a odrazu. Jestem na to za wielk!a sybarytk!a !y!cia... Lubi!e moje skrzypee, moje p!e!dzle, mo!a zdolno!c rytmicznego obrazowania my!li... gdy!z

w tem wszystkim doszłam tylko tam, gdzie mi dojść było łatwo, i co jakiś czas, chętnie po tych płaskowzgórzach artyzmu spaceruję. Teraz, na przykład, miałam niesłychanie błogą chwilę, gdy mnie pan tak do tego wiersza nastroił... ale niechby mi kazano piąć się wyżej, wyżej do utraty tchu, kaleczyć ręce, nogi!... nie! nie!

Podnosi oczy i ramiona w górę i woła:

— Nigdy! Wołę być jak ta oliwka, wołę przesiewać przez siebie słońce cudzego geniuszu! Wołę być aktorką!

.

W ten pierwszy dzień pobytu Rytę i Oldaniecki nie rozłączają się prawie.

Raffaele wyszpiegował, że po lunchu „czarna“ przybrana w lekkie maślany, grała kilka godzin na skrzypcach, a „cudzoziemiec“ akompanjował jej na pianinie; i to wprowadza go w nowe zdumienie.

Stanowczo ci ludzie są dla niego szeregiem fizjologicznych niespodzianek.

Non fan l'amore i... nie trawią!

Jego wąty żołądek włocho nie jest w stanie zrozumieć, jak po zjedzeniu kilku kawałków mięsa można być zdolnym do czegokolwiek innego, niż do siesty.

Około piątej, gdy już natężenie upału osłabło, Oldaniecki wyciąga Rytę na nowy „spacer.“

Chee jej pokazać zachód słońca z Capo di Monte; chee jej pokazać fantasmagorję skał sorrentyńskich: miraż topazów, szmaragdów i rubinów,

występujący z błękitu morza pod tę czarodziejską chwilę.

— Jak tu wszędzie pusto — mówi Ryta, idąc pomiędzy parkanami, gdzie tylko róże i pomarańcze patrzają na nich z po za wysokich murów.

Na piazzecie za to ruch, gwar, śmiech i wszystkie spojrzenia kierują się ku nim z wesołą, życzliwą ciekawością.

Sorrento jest tak małe i tak pod tę porę wydłunione z cudzoziemców, że choć Oldaniecki przebywa tu dopiero tydzień wszyscy znają go doskonale; wiedzą, gdzie mieszka, z kąd się wziął i jakich zarobków można się po nim spodziewać.

— Ecco il Signor Polacco, ecco la sua Signora — mówią pomiędzy sobą, ujrzawszy Ryte.

Wśród weturinów, czatujących przy swoich karjolkach na obcych przybyszów, znajduje się ów smagły, ładny chłopak, który wczoraj wioził Alę z Castellamare.

Z samego rana zgłaszał się do willi i tam się dowiedział, że cudzoziemka, tak pełna obietnic, znikła bez śladu.

To go rozgoryczyło ogromnie.

Widok Ryty i Oldanieckiego napełnia go żądzą odbicia sobie na nich doznanego zawodu; rzuci się więc ku nim z większą jeszcze furją, niż jego koledzy i wrzeszczy najgłośniej:

— Leit Leit Pojedziemy na Deserto? Najpiękniejszy widok na świecie! Cztery liry. Jak za darmo. A jutro do Pompei. Dziesięć lirów. Nikt tak tanio nie pojedzie. Albo do Amalfi! Ah! Amalfi! com'è bello! Dwadzieścia pięć lirów.

Na trzeci dzień będziemy z powrotem. Moja watura jak kołyska... Voletè Signore? Voletè Signorina? Voletè!!

Te same słowa... te same zupełnie słowa.

— D o m a n i ! — opędza się Oldaniecki natrętom — D o m a n i !

Ten wyraz magiczny wpływ na nich wywiera.

Jest coś rozbrajająco pogodnego i dziecięcego w tych cheiwych, na wszystko gotowych naturach włoskiego ludu.

Zrobili swoje: nawrzeszczeli się, nanaprzyszczali, a gdy im się nie powiodło, puszczają swoją ofiarę, przyjaźnie uśmiechnięci i kiwający głowami.

— D o m a n i ! — powtarza każdy z taką miną, jakby nie tylko wierzył, ale już zadatek trzymał w ręku.

W głównej ulicy Ryta zatrzymuje się przed wystawą szyldkretów.

— Niech pana nie niecierpliwi ta kobieca słabostka. Mnie wogóle sklepy nie przygważdżają co krok do trotuaru. Ale w szyldkretach, to się poprostu kocham. A tu są rzeczy prześliczne. Czuję, że mnie zrujniają.

Właścicielka sklepu, wysoka, tęga włoszka, z ukarbowanymi wspaniale włosami i ocienieniem górnej wargi, kwalifikującym się zupełnie do nazwy wąsa, kłania się nadzwyczaj uprzejmie.

— B u o n a s e r a , S i g n o r e ! A h ! l a S i g n o r a c h ' è v e n u t a ? S t à b e n e ?

Przed kilku dniami Oldaniecki, idąc tędy, zo-

baczył w wystawie śliczny wachlarz z blond szyldkretu.

Delikatny wyrób i cudna barwa tak go zachwyciły, że kupił to cacko dla Ali, nie zważając na bajeczną cenę.

Teraz szyldkreciarka, ujrzawszy go w towarzystwie Ryty, nie wątpi, że ma przed sobą szczęśliwą posiadaczkę kosztownego sprawunku.

— E come Signora? — pyta z przymile niem—podała się wachlarz?... Ach! nie mógł się nie podobać. Prześliczny, prawda? Nie równie pięknego nie znalazłaby Signora w całym Neapolu. Signor nawet się nie targował, tylko kupił. Tak zawsze bywa, gdy się żonę bardzo kocha.

Ryta z początku słucha ze zdumieniem, ale orientuje się natychmiast.

Rzucił nieokreślone spojrzenie na Oldanieckiego, który stoi jakby zmieszany i niekontent, i zaczyna się śmiać.

— O! tak; mąż mój ogromnie mnie psuje.

— Gia lo vedo, gia lo vedo!—przywtarza włoszka i usuwając się z proga, zaprasza przekonującym ruchem do wnętrza.

— Wejdźcie, państwo, wejdźcie. Nie wątpię, że Signora znajdzie jeszcze nie jedno co jej do gustu przypadnie. Tak dobry mąż niczego swojej Signorze nie odmówi!

Niedobre, przekorne światełko zapala się w czarnych oczach Ryty.

— O! bezwątpienia — odpowiada wesoło. — Wejdźmy!

Oldaniecki przygryza nieznacznie usta, ale

czuje, rozumie, że wprowadzono go na nader ślizki grunt, i że jeden niezręczny krok może go bezpowrotnie ośmieszyć.

Zdasza więc w sobie uczucie przykrości i niesmaku i z wielką kurtuazją i swobodą pośpiesza za Rytą.

Uszczęśliwiona szyldkreciarka rozplywa się w uprzejmościach. Podsawa taborety, przewraca cały sklep, wyciąga najcenniejsze okazy.

Z przesadnemi wykrzyknikami zachwytu wpi-
na w krucze kędziory Ryty topazowo-płowe szpilki, grzebyki, dobiera do cery lornetki, odwołując się wciąż do sądu i pochwał Oldanieckiego.

— Ach! jak pięknie!... Nieprawdaż?... Co za włosy... Signora powiada, że się tak naturalnie kręca? Ach! mój Boże! Signore jest bardzo szczęśliwy! Mieć taką piękną żonę.

Wreszcie Ryta wybrawszy kilka drobiazgów, uznaje, że ma dosyć — nietylko szyldkretu.

— Paga, mio caro — mówi zwracając się z małżeńską poufałością do Oldanieckiego i chce podać adres, ale włoszka przerywa skwapliwie.

— Wiem, wiem. Signora Oldani, Rosa di Montel. Wiem.

Oldaniecki płaci tak właśnie, jak powinien płacić mąż uradowany, że zrobił żonie przyjemność.

Wychodzą.

Czas jakiś idą w zupełnem milezeniu.

Oldaniecki ma urazę do Ryty za jej chęć ubawienia się jego kosztem, którą wyczuł, i wściekły jest na siebie, że do tego dopuścił.

Bo rozumie, że gdyby był sam od razu po-

stawił rzecz na żartobliwej stopie i Ryta zachowała się inaczej.

Zdaje się, że nie było nic łatwiejszego, jak tak właśnie postąpić, a przecież — nie mógł...

Czuje jeszcze to skrępowanie... to zesznarowanie gardła, jakiego doznał i pojąć nie może dlaczego się tak stało...

To go niewypowiedzianie dziwi i drażni.

Dlaczego?...

Jakim sposobem ta rzecz, która miała być, która jest tak po za wszystkim, tak niczego nie zmienia, niczemu nie przeszkadza, już po raz drugi w krótkim przeciągu czasu wikła się i wplątuje w swe koło uczucia i stosunki, które nie a nie z nią wspólnego nie mają?

Choćby ten drobny fackik...

Znalazł się — jeżeli nie na zewnątrz, to we własnym przekonaniu — jak złapany na gorącym uczynku smarkacz.

Ze swojej strony Ryta jest także chmurna i niezadowolona, i równie nie może pojąć, z kąd jej się to bierze.

W pierwszej chwili widziała tylko zabawną stronę sytuacji i wyzyskała ją z właściwą jej naturze przekorą — ot tak dla sportu — ale teraz czuje się, jakby dotknięta.

O tem, że Oldaniecki jest żonaty wiedziała i nie jej to nie obchodziło.

W przekonaniu swym nie czyniła żadnego zamachu na spokój jego domowego ogniska. Nie była nawet ciekawa dowiedzieć się jaką jest ta żona; ładna, brzydka, głupia, mądra?

Oldaniecki nigdy o niej nie wspominał.

Jednak kobiecym instynktem odgadywała, że w niesłychanie złożonej, pełnej różnych niedociągnięć duszy tego człowieka ona i „tamta“ idą równolegle, wzajem się nie zasłaniając i w niczem to jej próżności nie drażniło.

Owszem; gdyby raptem Oldaniecki padł jej do nóg i oświadczył, że chce rzucić żonę i pójść z nią choćby na koniec świata, byłaby odskoczyła od niego z nieudanym przestraczem i byłaby się starała wyperswadować mu to wszelkimi sposobami.

To też jest wprost zdumiona tem czemś, tak bardzo podobnem do zazdrości, co się w jej sercu budzi.

Zkąd? Dlaczego? Przecież go nie kocha... przecież nawet nie chce, żeby on ją kochał..

A mimo to zaczyna nartować nią pragnienie jakiejś wyłączności, choćby chwilowej; i ta myśl o „żonie“ tu w Sorrento, ten podarunek dla niej kupiony wydają jej się jakby wykroczeniem przeciw niej samej.

Że jej nie ofiarował tego wachlarza, zrobił mądrze, bo byłaby go nie przyjęła — nie przyjmowała dotychczas od niego nic, prócz kwiatów i szampana — ale nie powinien był, nie powinien... nie miał prawa.

Tu chwyta się sama na nielogiczność swoich uroszczeń.

Prawa nie miał? W imię jakich zobowiązań?...

I po raz pierwszy uderza ją cała nikłość i dziwaczność ich stosunku.

Dlaczego tu są razem, czego wzajem chcą od siebie? Co ich wiąże?...

Ogarnia ją jakaś nuda i czezość...

Co ją zawstydzą, gniewa i, jak Oldaniecki do niej, tak ona do niego ma urazę, że w niej te uczucia wywołał...

Tylko ona idzie dalej w swoim żalu, i wzajem kobiecym próbuje go sobie obrzydzić i poniżyć we własnych oczach.

— Filister! — myśli — cały podszyty filistrem. Drze moje listy i skupuje dla żony gościńce z podróży. Może teraz kupi jej pasiastej materji na suknię, i mnie poprosi, abym mu gustu dodała. A potem wróci obładowany jak wielbłąd domowy: „Masz duszko wachlarz!“ „Masz aniołku suknię!“ „Widzisz jak o tobie myślałem!“ Jakie to płaskie...

Spogląda na niego z pod oka i musi przyznać, że jak na „płaskiego filistra“ człowiek ten przedstawia się nieprawdopodobnie zajmująco.

Z tą posępną zadumą, której już teraz nie stara się ukrywać, jak szlachetnie i odrębnie wygląda!

To spostrzeżenie irytuje ją jeszcze bardziej...

I idą tak, trwając w milczeniu, raptem sobie obcy i niezyczliwi; a cień Ali, myślami ich wywołany, idzie pomiędzy nimi, nikły nieuchwytny cień silniej, jak przeznaczenie rozgrody.

Nagle Ryta zatrzymuje się.

— Nie jestem usposobiona do chodzenia. Odłóżmy ten spacer na inny raz. Wrócę do willi.

Oldaniecki nie protestuje.

— Pozwoli pani odprowadzić się?—pyta grze-
ecznie.

— Nie. Dziękuję. Miewam czasem ataki sa-
motności. Spotkamy się na obiedzie. Do widze-
nia panu.

Podaje mu rękę bez żadnego zadąsania.

Zachowanie się jej jest tak naturalne, jak sło-
wa. Znać, że naprawdę chodzi jej tylko o to, aby
się nie przymuszać, aby wyjść z sytuacji, która
z tych lub innych powodów stała się dla niej mę-
czącą i czyni to bez wybiegów, bez zjawiającego
się zwykle w takich razach, jak na zawołanie, bólu
głowy.

Oldaniecki przyjmuje to w podobny sposób.

Ściska delikatnie podaną sobie rękę, składa
pełen galanterji ukłon i rozechodzą się: ona z po-
wrotem ku miastu, on dalej pod górę.

Odejscie Ryty nie sprawiło mu przykrości.

Jeżeli odeszła z jego powodu, to tem lepiej.

Uważa, iż należy mu się, aby nie był pionkiem
na szachownicy jej wrażeń, aby tak lub inaczey
oddziaływał na stan jej duszy.

Zresztą i on woli być sam w tej chwili.

Nie zmienia marszruty; idzie, jak był zamiar
na „Capo di Monte.“

Ten dziwnie uroczy zakątek Sorrenta nęci go
nad wszystkie inne.

W połowie drogi, na małym skalnym wzgó-
rku, tuż nad samym gościńcem rośnie osobliwość:
kwitnąca agawa.

Potężna, jak smukły, gładki pień strzela wy-

oko łodyga, uwieczona w górze olbrzymim kłosem delikatnych, blado-żółtawych kwiatów.

Wiele, wiele lat—legenda mówi, że sto—ssały korzenie oporną, twardą ziemię i ciągnęły z niej soki; sto lat krążyły one po siwych, brzydkich, kolezastych liściach; sto lat mięśnie tych liści oddawały najlepszą swą krew sercu rośliny, aby z niego poczęło się i wybłysło to życie kwiatowe, które trwanie swe na dni liczyć miało.

A teraz stuletnia macierz zaczyna konać u stóp dziecka, któremu śmierć weześniej jeszcze pisana. Na obumierające w dole liście lecą już pierwsze płatki więdnących w górze kielichów.

A liście nianczą te smutne, nikłe trupki i to jest ich ostatnia, przedśmiertna czynność.

Oldaniecki przechodził już tędy kilka razy i zawsze stawał i — patrzył.

Teraz także staje i patrzy.

Jest coś w tragicznym tryumfie tej rośliny, co przykuwa i w dziwny sposób o najwrażliwsze struny jego duszy trąca.

Nieszczęsna, na śmierć skazana, a tak zadości godna agawa!

Całe pokolenia mijały ją obojętnie; całe pokolenia obchodziły ją zdaleka: ją brzydką, odpychającą; niemiłą oku, przykrą w dotknięciu.

Aż nadeszła chwila.

I oto każdy zatrzymuje się w podziwieniu; każdy spieszy oglądać; chlubią się nią ci, na których ziemi wzrosła.

Gdy Oldaniecki pierwszy raz szedł na „Capo di Monte“ i pytał o drogę, wołano za nim:

— Signore, Signore, scorga l'agava fiorentel

Nie zachwalano mu Wezuwjusza; nie zachwalano mu morza; zachwalano mu agawę!

Tę, o którą nikt przedtem nie dbał...

A ona — zaczynała umierać.

W koronie mistycznego niemal kwiecia, w apoteozie spełnionego przeznaczenia umierała niedość prędko, aby nie przeżyć własnej chwały, na którą nielubiana i zapomniana czekała wiek...

Oldaniecki przecież nie lituje się nad nią.

Myśli, że i on podstałby ohotnie całe swe życie dzieła, które wyrosłoby z niego wysoko i niedośćigle, jak ten kwiat rzadki.

Myśli, że szczęściem jest czuć roztapianie się własnego jestestwa w czemś wielkiem, pięknem, gorzącem jak pochodnia nad powszedniością bytu!

Jakaś nieokreślona żądza i tęsknota rozpięra mu mózg. Wyobraźnia jego poczyną wzdymać się i falować, jak rozkołysana wiatrem tafla jeziora i ranny korowód mar przeciąga po niej w płasach widmowych kształtów.

Oldaniecki wpatruje się w nie chciwie, jakby się spodziewał, że wybłyśnie z pośród nich jego kwiat agawy.

O Rycie zapomina zupełnie i, cały pograżony w tych wół przytomnych widzeniach wół-myślach dochodzi na szczyt.

Tam siada machinalnie na kamieniu, mając nad sobą wdzięczną pinię i duma dalej.

Od strony Capri niebo zaczyna już zaciągać się purpurą i błękit zatoki, porysowany wężownicą

smug ciemnych, blednie w omdleniu światła skoncentrowanego na jeden punkt widnokręgu.

Gdzieniegdzie ciepłe, różane odblaski rozpalają toń i niosą się po niej, jak skrzydła niewidzialnych flamingów.

Wezwuwysz dymi leciuchno w wianku delikatnie zapłonionych obłoczków.

Nagle cyple wschodnich skał stają w ogniu i gorzeją jak żuzle, a woda pod nimi robi się jeszcze bardziej wygładzona, i cicha, i bezdena...

Okna Neapolu i sąsiednich miasteczek występują z mgły oddalenia purpurowym łukiem drobnych pożarów.

Pali się... pali się świat! jak w barkaroli.

I ta jaskrawa, płomienna rzeczywistość poczyna kłóć rozmarzone oczy Oldanieckiego i stopniowo wywodzi go z zaświatów jego rojeń...

Przypomina mu się „Rosa di Monte,“ niedaleka już godzina obiadowa i — Ryta.

Ryta na ostatku. Ale za to niepodzielnie.

W jednej chwili, jak ten przestwór łuną zachodnią, tak całe jego jestestwo nasycę się myślą o niej, i jak żagiew paląca wpada mu w mózg przypuszczenie, że przyszedłszy—może jej już nie zastać.

Mogła wrócić do willi, spakować rzeczy, zapłacić rachunek i — wyjechać.

To na nią zupełnie podobne. Czasu było dosyć.

Może w tej chwili właśnie, kiedy on tu siedzi, Raffaele sprowadza dla niej „vetturkę.“

Oldanieckiemu poczyna serce gwałtownie bić; nie rusza się przecież z miejsca.

Doznaje takiego wrażenia, jakby się lękał coś spłoszyć... coś, co rozechodzi mu się po żyłach, jak podniecający trunk, i napełnia szczególnie silną percepcją wrażeń!

Myśli ciągle o Rycie, o jej możliwym wyjeździe, obawia się go, czuje, że sprawiłby mu ogromną przykrość, nie czyni jednak nic, żeby mu, jeżeli się dało, przeszkodzić, lub przynajmniej wyjść z niepewności która nim owładnęła.

Przeciwnie, zdaje się w niej poprostu lubować.

Powtarza sobie: „Mogę jej już nie zastać;“ powtarza ze szczerym niepokojem, a jednocześnie patrzy na otaczającą go panoramę zachodu i czuje, że patrzy inaczej, niż pierwej, intensywniej, wszechstronniej, że cały ten obraz osadza mu się niejako pod czaszką i już tam pozostanie.

Zdaje mu się, że gdyby go chciał teraz z siebie słowami wydobyć, znalazłby określenia tak trafne, tak malarskie, tak nowe, jakich napróżno szukałby w innej chwili.

Przed oczyma jego wyobraźni zjawia się, ni by posąg przejrzysty, wizja jego własnego niepokoją...

Jest tak wstrząsająca i silna, że Oldaniecki wyciąga ku niej ręce w porywie zachwytu.

Acht taką, taką oddać ją światu, ukazać ją innym daszom dręczonym przez tę hydrę ku przyziemieniu i ukojeniu ich bólu...

— Może wyjechała; może już jej niema — świdruje mu jednocześnie w mózgu.

Oldaniecki zrywa się z kamienia.

Majak artysty blednie i rozwiewa się pod naporem żywej obawy człowieka.

Oldaniecki już nie schodzi, lecz zbiega z góry.

Na piazzecie musi przyzwać ku pomocy całą siłę woli, aby iść zwykłym krokiem.

Nie może sobie darować, że tak długo na „Capo di Monte“ pozostawał...

Bo, jeżeli przyszedłszy do willi, dowie się, że Ryta przed kwadransem, przed kilku minutami wyjechała?...

To co?

Absolutnie nie wie, co uczyni wtedy: czy puści się za nią w pogoń, czy zostanie na miejscu?

Uczucia jego dla niej są tak nieokreślone, stosunek tak dziwaczny, że impuls wewnętrzny nie mu nie mówi.

Wiedziała by, gdyby był jej kochankiem; gdyby była dla niego zwykłą przygodną znajomością, wiedziała by także.

Ale tak — nie wiel i ta nieświadomość, niezależnie od całego zaniepokojenia poczyna go zaciekawiać czysto po literacku.

Jest z nim tak, jakby miał w sobie dwóch ludzi, z których jeden stoi na boku i czeka, co tamten drugi, śpieszący z powrotem zrobi.

I prawie... prawie chciałby, żeby...

Wbiega szybko do sieni i natyka się na wychodzącego z jadalnej sali Raffaela.

— Signora u siebie? — pyta lekko zdyszczanym głosem.

Raffaele jest bardzo uroczystry.

— Si, Signore, Signora, nie zeszła jeszcze.

Odniosłem zapę do kuchni. Signor wybacz, jeżeli obiad będzie niedobry.

Oldaniecki spogląda machinalnie na zegar, wiszący nade drzwiami, i widzi, że spóźnił się o całe dwadzieścia minut.

I robi mu się bardzo niemiło. Dał czekać kobiecie, i...

Sam przed sobą przyznać tego nie chce, ale gdy idzie na górę zastukać do pokoju Ryty i przeprosić ją, jest jakby rozczarowany.

Oczywiście, cieszy go bardzo, że nie wyjechała; nedorzecznoscia—myśli—byłoby sądzić inaczej; mimo to nie może oprzeć się wrażeniu, że coś go zawiodło...

Raffaele, rozgoryczony opóźnieniem obiadu, patrzy za nim niechętnym wzrokiem.

— Pokłócili się — mruczy. — Znana historia: w dzień kłótnia, w nocy zgoda.

III.

U skalnego obrywu, przy zejściu z „Rosa di Monte“ buja się wdzięczna „Pavoneella,“ a w niej, od niechętnia wiosłem fale poklepując, czeka Eduardo.

Pasiastą, trzykolorową, o długim lejku czapkę, na tył głowy zsunął, odstaniając swą krótką, kędzierzawą czuprynę; włożył katankę o najbardziej rzymskich kolorach; okręcił ją ponsowym pasem, spadającym zalotną kokardą na szafirowe

spodnie, podwinięte wysoko i ukazujące białe pończochy i czarne pranelowe ciżmy, i tak ustrojony ma minę niesłychanie pewną siebie.

Nawet sposób, w jaki wiośłem fale poklepuje, jest protekcyjony.

Zupełnie, jakby prawil zatoce:

— No, no, stara, nie bój się. Nie zrobię ci krzywdy.

Ma to swoje pewne racje.

Eduardo uchodzi za najsprawniejszego przewoźnika z całego Sorrenta, tak, jak „Pavoncella“ za najszybszą łódkę.

W sezonie anglicy licytują sobie formalnie tę dwójkę, bo Eduardo jest w dodatku bardzo ładnym, inteligentnym chłopcem; ma prześliczny głos, umie moc pieśni i posiada niewyczerpany zasób opowieści i anegdot, na użytek tych, którzy jego gwarę rozumieją.

Oldaniecki upodobał go sobie odrazu, gdy tu „Najadą“ z Neapolu przybył, tak ten zgrabny, wesoły raga z z o t t o wyróżniał się wśród innych przewoźników, obkakujących statki, i tak jego słodki, melodyjny baryton brzmiał zniewalająco przy wykrzykiwaniu dźwięcznej nazwy: „Rosa di Monte.“

Bo właśnie tego dnia padrone, zrozpaczony zupełnym brakiem gości obiecał mu sutą nagrodę, jeżeli kogo na „Najadzie“ złowi.

I złowił mu — taką grubą rybę w dodatku.

Padrone, ilekroć o tem myśli, zaciera ręce i powtarza:

— Ach ten łotr Eduardo! Ten łotr Eduardo!

Stasznie też Eduardo uważa się za Benjamin-

ka Sorrenta i nawzajem kocha je całą siłą swej młodej, świeżej duszy.

Fakt, że jest sorrentczykiem, wydaje mu się dostatecznym powodem, aby traktować z góry tych wszystkich, którzy się porodzili gdzieindziej.

Cudzoziemców toleruje o tyle tylko, o ile przyjeżdżają do Sorrenta.

Ta protekcyjność Eduarda byłaby u każdego innego arogancka i odpychająca; u niego zaś jest tylko zabawna, a nawet sympatyczna.

Trudno nie lubić tego ładnego chłopca, który jeżeli się nie śmieje, to śpiewa.

Teraz także w oczekiwaniu na swoich pasażerów śmieje się i ma czego.

Pomimo martwego sezonu wie dzie mu się znakomicie.

Codziennie prawie obwozi Oldanieckiego i Rytę po zatoce, a po każdej takiej wycieczce kieszenie jego szafirowych spodni pobrzękują lirami, jak kastaniety.

Eduardo bardzo polubił tę parę.

Nietylko dla hojności Signora, ale dlatego również, że oboje umieją po włosku, że im dobrze w Sorrento, i że chętnie słuchają jego piosenek i opowieści.

Raczy być z nimi poufałym i przyjacielskim, co Rytę bawi ogromnie, zwłaszcza gdy Eduardo, na którego czułe nader ucho podziałała wspaniałość jej głosu, chwali go pobłażliwie i zachęca ją, aby go odpowiednio kształciła.

— Signora mogłaby śpiewać bardzo pięknie— powiedział jej raz.—Wszystcy cudzoziemcy przyjeź-

dżają do Włoch na naukę śpiewu. Ecco. Do Medjolanu. Ja gdybym chciał, wstąpiłbym do opery. Niejeden impresarjo namawiał mnie i obiecywał złote góry. Ale ja nie chciałem.

— Dlaczego? — zapytała Ryta, zdziwiona tą obojętnością na zysk w kimś tak cheiwym, jak włos. — Zarabiałbyś piękne pieniądze.

Eduardo pogardliwie ramionami wzruszył.

— Co mnie po pieniądzach, Signora? I tak mam ich więcej, niż potrzebuję. A moja „Pavoncella“ więcej też dla mnie warta, niż królewska scena. Bo ja w niej pan i król. Ecco!

I wiosłem szeroki łuk w przestrzeni zatoczył, jakby ukazując rozległe obszary swęgo państwa, a potem tak silnem pchnięciem fale rozgarnął, że „Pavoncella“ pomknęła jak prawdziwa czajka.

Ryta zwróciła się do Oldanieckiego.

— On ma może słuszność — rzekła po polsku.

I oboje, jakby jedna myśl przeleciała przez ich mózgi, patrzyli w zadumanem milczeniu na to upostaciowanie zaspokojonej ambicji żywiołowej, której nie zatarło niezdrowe współzawodnictwo ani fatalniejsza jeszcze od współzawodnictwa — paląca żądza niedościgłych, siły przenoszących tryumfów.

A Eduardo przeginał z ręcznie swą gibką postać, i z odrzuconą w tył głową śmiał się swobodnie, porywająco, szczęśliwym śmiechem człowieka, który jest tem, czem chce być.

Ramiona jego, muskularne, silne, jakby w jedno z wiosłem zlane, zdawały się naprawdę panować błękitnemu żywiołowi, który podbiegał pod nie

i odpowiadał ulegle, sprawnie ich rytmicznym uderzeniom, jak klawisze palcom mistrza.

— Ecco! Ecco! — powtarzał Eduardo, rwąc przestrzeń, jak rumak stepem, a tamci dwoje patrzyli wciąż na niego ze skargą własnych aspiracji i tęsknot w duszach.

Pewnego dnia młody przewoźnik rzucił myśl, aby, jak wszyscy turyści statkiem, popłynęli na Capri jego „Pavoncellą.“

Ryta i Oldaniecki z wielką chęcią zgodzili się na ten projekt.

Zmieniał on szablonową, niejako obowiązkową wycieczkę — bo któż, będąc w zatoce Neapolitańskiej pominie Capri? — na rodzaj małej ekspedycji.

Należało wstać bardzo rano, aby uniknąć skwaru na otwartym morzu w nieosłoniętej łodzi; a i o powrocie tego samego dnia nie mogło być mowy.

Wprawdzie Eduardo zaręczał, że jak nie i Grotę zwiedzą, i na noc do Sorrento zdążą, ale Oldaniecki nie chciał narażać Ryty na tak wielkie zmęczenie.

Zresztą — czego się mieli śpieszyć?

Sorrento poczynało ich już trochę nużyć swą jednostajnością.

Byli tu już razem przeszło tydzień, i Oldanieckiemu parę razy przemknęło przez myśl: jak i kiedy się to skończy?

Nie dlatego, żeby się chciał pozbyć Ryty, przeciwnie — była mu ciągle niesłychanie miłą, zajmującą, podniecającą wyobraźnię towarzyszką — tylko

co jakiś czas chwyciło go jakieś szczególne, wewnętrzne zmęczenie i coraz dotkliwsze odczucie jakiegoś braku.

Rybie na odwrót coraz więcej zaczynało się tu podobać.

Po raz pierwszy w życiu znalazła się tak gdzieś zdaleka od ludzi, w takim zakątku wielkiego piękna i wielkiej ciszy, i nerwy szarpane dotychczas walką wybiecia się na wierzch, gorączką występów, męką trzymanej w ciągłym naprężeniu próżności, po raz pierwszy zapoznawały się ze słodyczą spokoju i wytchnienia.

A przytem czar osoby Oldanieckiego działał na nią.

Był tak naprawdę inny niż ci wszyscy mężczyźni, którzy się do niej zbliżali; inny zwłaszcza w postępowaniu z nią samą.

Bo jako aktorka, kobieta wolna, miała niejednokrotnie sposobność przekonywać się, co w gruncie leży na dnie tych rzekomo intelektualnych pobratymstw ducha, wysyłanych jak balon próbny przy zawiązywaniu znajomości.

U Oldanieckiego zaś ten intelektualizm jego stosunku do niej był nawskroś szczery, nie obliczony na żaden efekt, do żadnego celu ukradkiem nie dążący.

I to pochlebiało Rybie, zniewalało ją ku niemu, chociaż i drażniło chwilami.

— To jednak ciekawe— myślała wtedy, — dlaczego się on we mnie tak nie a nie nie kocha? — i to przekorne pragnienie stania się czemś więcej— może czemś mniej — które zbudziło się w niej po

raz pierwszy z powodu historii z wachlarzem, wracało coraz silniejsze, nurtując jej zdziwioną kobiecość.

Popłynęli tedy „Pavoncellą“ na Capri.

Padrone był wiele z tego konceptu Eduarda nie zadowolony.

Niechby sobie byli, jak Bóg przykazał, wsiedli na „Najadę,“ zwiedzili Grotę, i basta!

A tak — lękał się, że mając więcej czasu do rozpatrzenia się w pięknościach wyspy, mogą tam na dłuższy pobyt zostać.

Wyszafował więc całą obfitość swej wymowy i gestów, aby im to odradzić:

— Ochi Tramontano! Ochi Podwodne rafy!...

Słuchając go, mogło się zdawać, że chodzi o ekspedycję do bieguna Południowego.

Próżne to były trudy, i już następny wschód słońca oświecił zrozpaczone oblicze zanego hotelarza, jak, stojąc na tarasie, poglądał pełen najgorszych przeczuć na odjazd wędrownych ptaków, na których pozostało tyle jeszcze nieskubanego, złotego pierza.

Ha! niechby nie wrócili: miałby się z pyszna Eduardo!

A Eduardo, za nie sobie mając pogrózki padrona, których mu ten na osobności nie poskąpił—tryumfował.

Śmiech i piosenki nie schodziły mu z ust.

Płynęli wciąż blisko brzegów, nie tracąc nic z ich piękności.

Coraz nowe profile skał zstępowały ku nim

twardą, zastygłą kaskadą śpiczastych, pozębionych i falistych linii.

Rozróżniali dokładnie liszaje porostów, plamiących ciemnym szmaragdem rażącą białość kretowych formacji.

Rysy rozpadlin znaczyły się czarne, posępne, jakby sączące strugę wiekowych tajemnic poprzez te skalne ciała, skamieniałe w konwulsji prabytowego bólu.

Gdzieniedzie, czerwony zrab granitu, jak kawał odartego ze skóry żywego mięsa przeblyskiwał poprzez tańczące po nim, nieopatrzone bluszcze.

I tak defilował ponad niemi ten górny świat potężnych, zaklętych w wieczną nieruchomość kształtów; tak przerażająco strupieszały, a tak cudownie młody milionami rozradzających się na nim istnień roślinnych: od lotnej jak pyłek egzystencji powoju do prawie tak twardego i szarego, jak skała, życia aloesów.

Defilował, a wzdłuż niego, odbijając się o jego niewzruszone podstawy, drżał, błyszczał, szumił ten drugi płynny świat bezdennej głębi, tak samo zarojony jeszcze bajeczniejszą mnogością życiowych ustrojów, lecz na przeciwieństwo tamtemu zazdrośnie je w sobie kryjący.

I była to orgja światów, sprzecznych, pokrewnych, wrogich, wzajem się dopełniających, wzajem się dławiących, a nad niemi unosił się król wszechbytu Eter, i nurzał je w nieważkich błękitach swego bezkresu.

— E e e o! E e e o!—powtarzał raz po raz Edu-

ardo z taką dumą, jakby to wszystko, na co patrzyli, jego było dziełem.

Wreszcie z po za cyplu przylądka wysunęła się, a raczej zastąpiła im drogę cudna sylweta Capri ze swą niesłychaną architekturą szczytów i zawrotną prostopadłością boków.

„Pavoncella,“ wyruszywszy weześnie z Sorrento, przybyła prawie razem ze statkiem, i taras hotelu, do którego zaprowadzono Rytę i Oldanieckiego, natłoczony był turystami.

Na wstępie mieli dość kłopotliwą chwilę, bo właściciel hotelu gwałtem chciał ich zapakować do camera a due letti, twierdząc, że wszystkie oddzielne pokoje ma zajęte.

Pierwszy raz dwuznaczność ich położenia tak jaskrawo rzuciła im się w oczy, i Ryta mimowoli przypomniawszy sobie pewne spojrzenia Raffaele, a także Assanty, gdy ta krępa dziewczyna wchodziła rano do jej sypialni z ciepłą wodą.

I nie tylko ją, lecz i Oldanieckiego ogarnęło jakieś zmieszanie i przez pewien czas unikali wzajem swego wzroku, znajdując w tem dziwnie delikatnie zmysłowy urok.

A w dodatku na tarasie wpadli w taki gwar i zamęt, że po bezwzględnej ciszy „Rosa di Monte“ oszołomiło ich to zupełnie.

Cała zbiorowa wycieczka Niemców zajęła najlepsze miejsca ze śmiechem, krzykiem i łajaniem, dopominając się o jadło i pośpiech.

Kelnerzy biegali jak opętani; półmiski cotolette alla Milanese i spaghetti tylko migają w powietrzu; przekupki tanich koralików kręciły się

pomiędzy stolikami, natrętnie ofiarowując swój towar, a trzech muzykantów, rzępoląc na ochrypłych gitarach wyśpiewywało postrzępionemi, jak ich odzież głosami marsza Bersagliarów.

Większość turystów miała oprócz lornetek i Baedekerów, te specjalne miny ludzi, którzy wnet po zjedzeniu makaronu, pojedą oglądać jeden z największych i najbardziej spopolitowanych cudów natury: Lazurową Grotę.

To im dodawało znaczenia w ich własnych oczach, i to się czuło w sposobie, w jaki trzymali widelec.

A tam, w oddali, za szlakiem koralowych raf, owa grotka czekała zrezygnowana na wtargnięcie bezmyślniej czeready w mistycyzm jej lazurowego zadumania; na trajkot banalnych wykrzykników zachwytu, powtarzanych we wszystkich językach świata, ustami ledwo obtartemi ze wszechświatowej restauracyjnej frytury.

Biedna, sprofanowana Lazurowa grotka!

Nie chcąc sobie psuć wrażenia tym hałaśliwym tłumem, Ryta i Oldaniecki odłożyli zwiedzanie groty do następnego ranka, a przez resztę dnia włóczyli się po wyspie.

Po tysiącznych wykutych w skale schodach wdrapali się na Anacapri; Eduardo powiódł ich zobaczyć skałę, z której Tyberjusz strącał swoje ofiary; oglądali zachód słońca z Punta Tragara, przyczem pokazano im przynajmniej dziesięć autentycznych domów, w których miał się urodzić Garibaldi.

Był to ich najbardziej męczący, najbardziej turystowski i najbanalniejszy dzień we Włoszech.

Zwiedzali to wszystko niejako urzędownie, z uczuciem, że się to widzieć musi, i właśnie dziś, a nie jutro, i mieli tem popsute wrażenie.

Nieraz w Sorrento, jakiś kątek, gdzie zaszli tak, od niecheenia, jakieś nie: kilka drzew, kawałek skały, skrawek morza ukazujący się przez szczelinę, ujrzone w pewnem oświetleniu, dawało im bez porównania silniejszy nastrój, niż cuda tej wyspy, która przecież równej sobie nie ma.

Padrone mógł spać spokojnie.

— Wolę nasze Sorrento — powiedziała raz Ryta, i powiedziawszy to nasze, zaczerwieniła się.

Było to u niej czemś tak niezwykłym, że Oldaniecki, ujrzawszy tę martwą chorowitą cerę, płonącą nagle jak ciemna róża, doznał jakby olśnienia.

Ona zwolna odwróciła twarz i przez chwilę pozostała, mileżąca z pochyłą nieco głową, jakby jej ten ramieniec zaciężył; poczem wyprostowała się i, patrząc w oczy Oldanieckiemu z własną jej wyzywającą przekorą, poczęła się śmiać.

Wykwintna natura Oldanieckiego wolną była zupełnie od płaskiej próżności przeciętnych zdobywców serc; i ramieniec Ryty dał mu tylko delikatną przyjemność, jakiejś subtelnej, zaciekawiającej niespodzianki.

Nie budował na nim żadnych dalej sięgających domysłów, tem mniej planów.

Ale był jej w nieokreślony sposób wdzięczny za tę daninę pomieszania, której źródła nie chciał dociekać.

I pozostało to dla nich obojga najmilszą pamiątką i najsilniejszym wrażeniem, jakie wywieźli z Capri.

Silniejszym nawet, niż Lazurowa Grota.

Zresztą ta zawiodła potrosze ich oczekiwania.

Była stanowczo za mało lazuruwa na swoją opinię.

Eduardo, który oczekiwał przed Grotą, bo „Pavoncella“ nie mogła się dostać przez niski, ciasny otwór do wnętrza, i musieli się przesiadać do miejscowej, specjalnej łódki, spostrzegł zaraz, że jego pasażerowie nie są zachwyceni.

— E, che? — rzekł, śmiejąc się. — Państwo chcieliście zobaczyć—powiozłem was. Dlaczego by nie! Ale tak daleko nie trzeba było szukać. My w Sorrento mamy takie same, och! gdzie piękniejsze grotty, i nie jedną—ale aż trzy... Ecco.—Ale to się wie. Cudzoziemcy zawsze lubią wiatr po świecie gonić!

A ponieważ ani Ryta, ani Oldaniecki, zajęci własnymi myślami, nie odpowiadali mu, podchwycił z żywością:

— Państwo może mi nie wierzą, że mamy piękniejsze grotty od kaprijskiej. Otóż to — tak zawsze z cudzoziemcami bywa. Ale ja państwa zawiozę i przekonam. To nawet niedaleko. Dziś sobie na obiad do Sorrento wrócimy, a jutro w południe „Pavoncella“ będzie czekała pod willą. Te grotty najlepiej oglądać w południe. To są prawdziwe cuda...

I już przez resztę drogi tak do tego przedmiotu powracał, i przymilał się, i zapraszał, że po-

stawił na swoim, a teraz buja się u obrywa uszczęśliwiony, nietyle spodziewanym zarobkiem, ile nadzieją, że swemi grotami sławę tamtej zaćmi.

Jakżeby! Co Sorrento to nie Capri!

— Spóźniają się — myśli, patrząc w niebo. — Teraz słońce najlepsze. Z cudzoziemcami zawsze tak. O niczem nie mają pojęcia.

Ale już w skalnym rozłupiu słysząc głosy i, w chwilę potem, Ryta i Oldaniecki ukazują się na owych trzech kwadratowych łokciach piasku, które padrone szumnie swoją plażą nazywa.

— Buon giorno, Signora! Buon giorno, Signore! — woła Eduardo i podnosi w górę swe ciemne, muskularne ramiona, aby Rycie do wejścia w Łódź dopomódz. — Dzień mamy jak zamówiony! Co za słońce!

— Trochę za gorąco—robi uwagę Oldaniecki.

Istotnie z oślepiającego blaskiem nieba żywy żar zdaje się lecieć!

Powietrze jest duszne i, pomimo braku wiatru, jakimś szczególnym niepokojem nasyczone.

W dali, na horyzoncie, z po za Ischii wysuwają się raz po raz drobne chmurki i wnet giną, jakby zdmuchnięte, palącym tehem słońca.

Wezrwusz kurzy się brudno, a kiść jego dymu, zamiast strzelać wysoko w górę, rozpląszcza się potwornie i pełźnie długimi odnogami wskroś błękitu, jakby go niewidzialny ciężar przygniatał.

Jest w tem coś złowrogiego; zwłaszcza w zestawieniu z jarzącem natężeniem promieni słonecznych.

Zdaje się, że jakieś dwie siły potężne zaczy-

nają się zmagać w przestrzeni; że posępny duch straszliwej góry wychodzi z niej i rozpościera się nad tą uśmiechniętą okolicą, jak zwiastun nieszczęścia i zagłady.

Morze również jest jakieś inne.

Miejscami na jego mocno turkusowej powierzchni zbiegły się kępki białej piany, kotłując w kółko, jak wrzątek, poczynający się gotować od spodu; miejscami pękają, niby race mleczne, tworząc chwilowe wgłębienia w rodzaju jeziorok o rudzielonem zabarwieniu.

U brzegów zjeżone fale biją wysoko o skały, odskakując miliardami tęczyowych rozprysków daleko ku środkowi.

A jednocześnie w rozprażonem powietrzu cisza leży zupełna, dławiąca, przykra.

— Rzeczywiście — przywłarza Ryta — jest tak parno, że trudno oddychać! Może lepiej odłożyć do jutra tę wycieczkę?

— Oh, che mai, Signora! — wykrzykuje Eduardo z oburzeniem. — Taki dzień dla grot jedy-ny. To jest światło, jak na obstalanki! Zobaczycie państwo, co się tam w grotach będzie działo. A zresztą; pogoda łatwo się zmienić może... Ja przecież znam się na tem. To tramontano idzie. W nocy, jutro najdalej, będziemy mieli wielką burzę.

I, aby przeciąć dalsze wątpliwości, szybko odbija od brzegu.

— Ecco! Popłyniemy prędko i zaraz zrobi się chłodniej. Gdzie można, będę się trzymał jak najbliżej skał. Będziemy w cieniu. Ah! I a grot-

ta azzurra di Capri! Wielka rzecz. Państwo dopiero teraz zobaczą.

Ma minę tak napuszoną i pewną siebie, że tamci dwoje mimowoli uśmiechają się.

— Mio caro Eduardo—mówi Oldaniecki.— Czy cię, aby stronność nie zaślepia? Bo gdyby te twoje grotty były takimi cudami, to przecież świat wiedziałby o nich cośkolwiek.

Eduardo rzuca mu jedno ze swoich protekcyjnalnych spojrzeń.

— Otóż to! Cudzoziemcy zawsze tak powierzchownie sądzą. Nasze grotty byłyby jeszcze sławniejsze, niż Caprijska... Ach! Boże! gdzież nawet porównanie... tylko... Ech! niema potrzeby naprzód mówić.

Urywa i zaczyna śpiewać:

„Io parto per Ferrara.
Addio cara,
Ti scrivero...”

Płyną ku wschodowi—w stronę Castellammare.

Jest to najbardziej dzika, a zarazem najfantastyczniejsza część sorrentyjskiego wybrzeża.

Skały wysokie, straszliwie poszarpane, miejscami prostopadłe, lub zgoła wklęsłe, w kształcie pieczar głębokich, z których kaskadami leje się splątana, bujająca roślinność, mają linję szczytów ubraną w śliczne wille i pałace.

Są to przeważnie prywatne siedziby bogatych neapolitańczyków, zjeżdżających tu na letnie miesiące.

Teraz pałace te i wille stoją pustkami i zie-

lone ich, pozamykane żaluzje odcinają się rażąco na tle jasnych ścian, niby oczy oślepte, nieruchomo w przestrzeń wyteżone.

Białe tarasy, w kunsztownych załamach spadają ku morzu, świecąc marmurami swych balustrad i posągów.

Eduardo ma o każdym z tych siedlisk coś do powiedzenia.

Słuchając go, możnaby sądzić, że ludzie przyjeżdżają do Sorrento specjalnie po to, aby się tu rozgrywały dramaty ich życia.

W tej oto willi—według niego—mąż otruł niewierną żonę—była bardzo piękna i zawsze smutna—i tak desperował, ach! tak desperował; sprawił jej taki wspaniały pogrzeb.

Sorrento nigdy podobnego nie widziało i nikt się niezego nie domyślał. Aż w kilka lat później wydało się.

Ale sądy przysięgłych uniewinniły go.

On zaś ożenił się po raz drugi, o! jeszcze przed awięzieniem

A teraz mieszka tu latem po dawnemu z tą drugą żoną. Mają dwoje dzieci. Są bardzo szczęśliwi!

Tam znów, w tym pysznym pałacu, z tą podwójną aleją cyprysów, karabinierzy znaleźli sławnego na obie zatoki przemytnika, który był zarazem kochankiem ogromnie bogatej contessy. Znaleźli go ukrytego w jej własnym łóżku pod materacami. Contessa była cudzoziemką, ale z miłości dla przemytnika kupiła ten pałac i co rok spędzała w nim po kilka miesięcy. Dopóki się tak nieszczę-

śliwie nie złożyło... Ach! biedna contessa! Przemysłnik był też chłop, jakich szukać... prawdziwy gentiluomo!

Oldaniecki rad jest gadatliwości Eduarda. Może sam swobodnie milczeć.

Od powrotu z Capri opanował go stan oczekiwania tak intensywnego, jakby lada chwila coś się koniecznie stać miało.

Nie jest to żadne ani złe, ani dobre przecucie, nie lęka się i nie spodziewa niczego, tylko poprostu ma jakby świadomość jakiejś nadechodzącej zmiany.

Może w jego stosunku z Rytą... może w czem innym.

Przedewszystkiem zdaje sobie sprawę z tego, że w nim samym dokonywa się jakiś przewrót.

Wczoraj, gdy rozeszli się weześniej, bo Ryta chciała wypocząć, całą prawie noc nad tem przedumał.

Ryta jest pierwszą, jedyłą istotą, z którą rozmawiał o sobie, jako o artyście twórcy i w tem może tkwi jej główny urok dla niego, lub na odwrót to wypływa z uroku, jaki ona niesie.

Bądź co bądź, rzecz się tak ma.

Dotychczas jego szarpania się wewnętrzne, niepewności, porywy zuchwałe, apatje tak okrutne, że nazywał w nich całą swą literacką działalność, prócz tych pierwszych „Zarzewi,“ które go sławnym uczyniły—przepisywaniem z pamięci cudzych myśli—wszystko to przetrawiało się w nim tylko, dusiło i potęgowało nagromadzeniem.

Przed Rytą dopiero zaczynał chwilami wy-

wnętrzać się; a czynił to zawsze z dziwną mieszaniną wstydu i pychy; jakby pokazywał jej jednocześnie swój trąd i ranę spartanina.

Zdarzało się to zresztą nader rzadko.

Raz, kiedyś w Warszawie, podczas gościnnych występów Ryty, kiedy Ala na wsi u rodziców bawiła; kilka razy tu w Sorrento; ale nigdy w takim stopniu, jak na Capri, owego jedyne go wieczora, jaki tam spędzili.

Był to, jakby bezwiedny odwet za ten ramieniec Ryty, który stanowił także rodzaj uchylenia zasłony, kryjącej najtajniejszą głąb' duszy tej kobiety, głąb', z którą ona, tak zuchwale szczera, nie zdradziła się nigdy.

Oldaniecki wiedział o niej wszystko, co zdawało się, że do wiedzenia było.

Wiedział więc, że młoda dziewczyna, wbrew woli rodziców poślubiła znacznie starszego od siebie dyrektora trupy prowincjonalnej, i że na jego scenie rozpoczęła swój zawód aktorski, i że to był skandal, na którym rodzinne jej miasteczko zerowało przez kilka miesięcy.

Wiedział, że znosiła zwykłą tańczkę, ponieważ i nędzę takiego życia.

Wiedział, że mąż ten w kilka lat po ślubie skończył tragicznie, rzuciwszy się pod koła pociągu kurjerskiego, że śmierć tę przypisywano powszechnie nieszczęśliwemu pożyciu z żoną, jej wybrykom, jej romansom, i że to był drugi skandal, na którym rodzinne jej miasteczko zerowało przez drugich kilka miesięcy.

W rzeczywistości zaś nie było w tem krzty

prawdy, gdyż mąż Ryty odebrał sobie życie z powodu zupełnej ruiny finansowej i pod wpływem alkoholu.

Wiedział i to, że z małżeństwa tego pozostała jej córeczka, która również wkrótce potem umarła. I to, że owdowiawszy, Ryta opuściła scenę na czas dłuższy i pracowała żarliwie nad własnym wykształceniem, utrzymując się z dawania tanich lekcji.

I to, że uzbierawszy trochę grosza, wyjechała do Paryża i tam walcząc z wielu trudnościami, a często i niedostatkiem, starała się wstąpić do Théâtre Libre Antoine'a, co jej się wreszcie powiodło.

I to, że w owej epoce zawiązała stosunek z pewnym malarzem, który później na jej portretach dorobił się sławy i majątku.

I to, że w kilka lat później wróciła do kraju, dostała się na scenę lwowską i zabłysnęła od razu, jako pierwszorzędną gwiazdą.

Wiedział to wszystko ze źródeł ubocznych i od niej samej.

Wiedział i rzeczy daleko ważniejsze, bo dotyczące nie faktów jej życia, lecz jej pojęć, jej charakteru, jej celów i dążeń.

O jednym tylko nie mógł wiedzieć: czy kogo kiedykolwiek kochała?

I to nie tylko w znaczeniu specjalnie erotycznym, ale w najszerszym — ludzkim.

Ryta wspominała o swoich rodzicach, mężu, córce, o owym malarzu nawet, z którym prze-

cież coś połączyć ją musiało, w taki sposób, że nigdy nie zdradziła uczuć, jakie dla nich żywiła.

Był w tem jakiś obiektywizm wprost nienaturalny.

I dopiero ten rumieniec i to odwrócenie głowy!

Wtem po raz pierwszy objawiła mu się kobieta, czemś bezwiednie, miękko przenikniętą, i jakby tem pomieszaną czy zawstydzoną.

I dlatego to tak nim targnęło i wywołało to odwzajemnienie się z nawiązką, po którym, gdy ten wieczór zwierzeń na czarodziejskiej wyspie minął, Oldaniecki obudził się w stanie dziwnego napięcia nerwów i już się z niego otrząsnąć nie mógł.

Czuł, jakby ubytek czegoś zachwaszczającego mu duszę, jakąś lekkość, a jednocześnie miał wrażenie, że się w niewolę czyjejs świadomości zaprzedał.

I był zły na siebie, że za jeden rumieniec, który równie dobrze mógł być wynikiem zmęczenia, z taką królewską hojnością zapłacił; i zły na Rytę, że ona to wszystko teraz o nim wie.

— Choćby mu to nawet dobrze zrobiło—myślał—nie powinien uleść porywowi chwili. Nie był przecież dzieckiem, ani babą, i nie po to ściągnął ją tu do Włoch, żeby się przed nią skarżyć i po ciechy u niej szukać.

I jego męska duma cierpiała szalenie.

— Gdybym ją kochał—mówił sobie—gdybym ją posiadał; nie piekłoby mnie to... Ale ja jej nie kocham, ja jej posiadać nie chcę... Więc czego chcę?... Czego?... Czego?...

Zadawał sobie to pytanie, wsłuchując się we własną duszę, z jakimś patologicznym natężeniem.

A odpowiedź nie przychodziła.

— I co teraz dalej będzie — myślał znowu. — Bo jeżeli ona jednym drgnieniem powieki da mi odczuć swoją przewagę nade mną—wszystko skończone! Niech mi poda na dzień dobry rękę w sposób, który mi bezsłownie powie: „Mój biedny niedołęgo, jak mi ciebie żal,“ a za godzinę już mnie w Sorrento nie będzie.

Ale obawy jego były płonne.

Ryta w niczem nie zmieniła swego postępowania; być może również, iż artystyczne wynurzenia Oldanieckiego nie miały w jej oczach tej wagi, jaką on w nadmiernej swej drażliwości do nich przykładał.

Spostrzegła tylko, że jest jakiś inny, lecz zachowała to spostrzeżenie dla siebie.

Teraz jednak, gdy tak płyną już od półgodziny w tej łodzi, a Eduardo trzepie, jak najęty, a on siedzi milezący i zadumany, Ryta zlekka kładzie mu dłoń na rękę i zapytuje z uśmiechem:

— O czym?

Oldaniecki spogląda na nią z mimowolną podejrziwością; to niewinne pytanie brzmi mu, jak zaznaczenie prawa, jakie jej dał do buszowania w jego myślach; ale wyraz twarzy Ryty jest tak nieinkwizytorski, że go to uspokaja.

— Nie o grotach — odpowiada wymijająco.

Tam, w górze, pałace i wille stają się coraz rzadsze; Eduardo wyczerpał już swój zasób opowieści o nich i znowu śpiewa:

„Io parto per la Pisa
Addio Lisa...
...Ti scriverò!..“

Jest to już piętnaste miasto włoskie, które rymuje w ten sposób z pozbieranemi z całego kalendarza imionami.

Nagle milknie, a zarazem „Pavoncella“ zwalnia biegu.

Z półkola brzegowej ściany występuje i głęboko wrzyna się w morze grupa trzech skał, nagich, siwych, o szczytach przytalonych do siebie i jakby w jedną, poszarpaną kopułę zlanych, w dole zaś rozstępujących się w kształcie gigantycznego trójzęba, o płtykch zaokrąglonych wgięciach.

W środku tych wgięć, kłębią się wodne wiry, chwilami wytryskując wysoko w górę tęczowemi fontannami, po przez które surowe, granitowe łomy, przebłyskują, jakby złagodzone mgłą zadumy oblicze; to znów kładą się u ich stóp na podobieństwo wielkich, mlecznych cystern, i wtedy, w pierwszym od brzegu wgięciu, pomiędzy ruchliwą linią fali, a nieruchomą linią skały, widać jakby przerwę, jakby jamę czarną, przepastną, w niski łuk zatoczoną.

Ani Oldanieckiemu, ani Rycie nie przychodzi nawet na myśl, żeby to miały być owe groty, tak to wszystko razem wzięte dziko i nieprzystępnie wygląda; bo wiry bulgocą nietylko we wgięciach, ale i u kończyn trójzęba; widzą jednak, że Eduardo skierowyywa zwolna „Pavoncellę“ w tę stronę.

— Co robisz, Eduardo?—zapytuje Ryta z pewnem zaniepokojeniem.

Śmiały chłopak uśmiecha się wesoło.

— Wpływam do grot, Signora!

— Tataj? To żarty chyba? Panie Adamie, patrz pan.

Lecz już „Pavoncella“ znajduje się we wgłębieniu, wzięta niejako we dwa pazury skalne; mając właśnie tyle miejsca, żeby się w kotłujący w środku wir nie dostać.

— Zwarjowałeś, Eduardo! — woła gniewnie Oldaniecki.— Cheesz nas chyba potopić! Dla twojej fantazji nie myślę narażać Signory. Zawracaj natychmiast.

Eduardo z protekcyjną wyrozumiałością wzrusza ramionami.

— Choćbym chciał, teraz nie mogę. Signore sam przecież widzi. Albo bym wpadł na skałę albo w wir.

— A tak chcesz wpaść i na skałę i w wir. Co ty zamierzasz, szaleńcze?

— Ma state tranquillo, Signore! Wszystko pójdzie dobrze. Ręczę głową za wasze bezpieczeństwo. Przechylicie się tylko oboje... Albo lepiej, niech Signora położy się zupełnie na dno łodzi. Tam sucho. A Signore obok. I proszę się nie ruszać. Cała rzecz w tem, żeby schwycić właściwą chwilę.

Oldaniecki widzi, że niema innej rady i odzykuje natychmiast całą zimną krew, głównie ze względu na Rytę, chociaż w duszy posyła Eduarda razem z grotami na dno piekieł.

Ale Ryta, ochłonawszy z pierwszego zdziwienia, jest tylko zaciekawiona przygodą, a po za tem zupełnie spokojna.

— Pojąć nie mogę, którądy on tu chce wpływać — mówi, zsuwając się z ławeczki, tak jednak, aby mózdz widzieć to, co nastąpi.— Przecież to się wydaje czystem niepodobieństwem!

Oldaniecki jest także tego zdania.

— Ochl da on sobie radę—mówi lekko.—Pozwoli pani?

Podkłada jej ramię pod głowę, aby ją twarde drzewo nie uciskało, a ona dziękuje mu uśmiechem, i leżą tak obok siebie, twarz przy twarzy, wpatrzeni w groźny, skalny mur i kłębiącą się pod nim z głuchym mamrotem wodę.

Nastaje milczenie.

„Pavoncella,“ osadzona na miejscu, drży jakby oczekiwaniem.

Eduardo nie śpiewa.

Cały naprzód poddany, tak zgięty, że tylko jego kędzierzawa, mocno w stronę morza przekręcona głowa wystaje ponad barciem, obie ręce nieruchomo wyciągnięte na włosach trzyma.

Z pod zsuniętych silnie brwi czarne jego oczy zdają się śledzić każde poruszenie fali i czyhać na coś.

Oldaniecki i Ryta, wtuleni w głąb' łodzi, widzą rozpostarte nad sobą te ręce, których jedno niezręczne drgnięcie może spowodować ich śmierć.

— Eduardo—odzywa się Ryta z trochę robioną żartobliwością — czy wiesz, że wiesziesz dwie sławy i ich losy?...

— State zitta, Signora—odpowiada Eduardo prawie szorstko.

Z zewnątrz od morza toczy się olbrzymi bałwan, podgarniając pod siebie mniejsze fale.

Zdaje się, przez chwilę, że potwór ten o mlecznej grzywie rozbije się, jak tyle innych o wystający zrab skały.

Ale nie—przeskakuje go, wpada z szumem do wgięcia i w mgnieniu oka Eduardo jednym potężnym pchnięciem wiosła pakuje mu na grzbiet „Pavoncellę“ zupełnie, jakby dosiadł w biegu rozhułkanego ramaka.

Bałwan unosi łódkę wysoko w górę, jak piórko, i pędzi z nią wprost na ów otwór skalny, po przez srebrne opary wodne czerniejący.

— Achl — wrywa się mimowoli z ust Ryty, a w tej samej chwili, również odruchowo ramię Oldanieckiego obejmuje ją i przytula do jego piersi.

Zaczem wpadają, jakby w chmurę drobniutkich pyłów; wilgoć pokrywa im twarze; czują, że przepaść jakaś otwiera się pod nimi, i że „Pavoncella“ leci w tę przepaść; ogarnia ich ciemność zupełna; głuchy szum napełnia uszy i nagle wszystko to ustaje; łódź wydzwiguje się na gładką powierzchnię, a oni, unosząc głowy i przymknięte mimowoli powieki, widzą, że znajdują się jakby we wnętrzu wydrążonego przeolbrzymiego szafiru.

Jest to przejście tak raptowne i wrażenie tak nadzwyczajne, że na razie słowa wymówić nie mogą.

Dokoła nich sklepią się dość nisko ściany, w głębokie brózdy poryte i tak światłem nasycone,

że wydają się, jakby przezroczyste, jakby z ruchomych warstw układane.

Miejscami sączy się z nich woda, a krople jej do roztopionego srebra podobne kapią z głębokim, tajemniczym szelestem.

Gdzie niegdzie z jakiejś szczeliny bucha snop jasności bledszej, niezapominajkowej i wkręca się w toń drgającą metalicznie śrubą.

Grota jest niewielka, znacznie mniejsza, niż Caprejska, i to ją czyni tem podobniejszą do wnętrza drogiego kamienia.

Wiry i szумы zostały na zewnątrz; tu po zmarszczonej lekko fali ściele się cisza i „Pavoncella“ ledwo dygoce, jak ptak zmęczony, piersią do ziemi przypadły.

— Eeeo! — wykrzykuje z niewysłowionym tryumfem Eduardo.

Szybki jak błyskawica, ściąga z siebie katankę, obnażając się do pasa, a jego doskonale kształtny tors zapływa barwą niebiesko-srebrną, i zdaje się sam świecić, jak ciało astralne.

Ryta, która dotychczas leżała na dnie łodzi, chce się podnieść, ale ramie Oldanieckiego przytrzymuje ją łagodnie, a głos jego szepece:

— Zostań tak pani jeszcze... zostań!

I Ryta zostaje.

Jest jej dobrze w tej wodnej kołysee, z tem ramieniem, oplatającem ją miękko i drżącym nieznacznie pod deszczem jej czarnych kędziorów; z tą przedziwnie piękną twarzą mężczyzny, pochyloną nad nią tak blisko, że włosy ich i oddechy mieszają się z sobą.

Jest jej dobrze.

Łódź krąży powoli, sanie, z miarowym pluskiem wiosła, dźwięczącym o sklepienie, jak szklany instrument.

„Sul mare lucida...”

zaczyna nucić z cicha Eduardo, i stara osłuchana nuta piosenki rozplywa się w tej skalnej muszli, jakby jej własny tajemniczy szmer.

Ryta i Oldaniecki leżą w milczeniu, nieruchomo, wyczuwając każde wewnętrzne drgnienie swoich ciał młodych, po raz pierwszy tak do siebie zbliżonych.

A dokoła nie, tylko szafir, szafir, i to odgrozdzenie od reszty świata opoką, która zdaje się wciąż rozwiewać, a jednocześnie trwać; i tych dwoje ramion nagich, świecących, jak ramiona ducha, i ta dziwna woda, w której za każdym zanurzeniem białe drzewo wiosła przemienia się w drogoceenne, brylantami sadzone klejnoty.

Po kilku zwrotach „Pavoncella” wpływa w rodzaj korytarza, otwierającego się w najdalszym wgłębieniu groty, i w taki sposób, że trzeba na niego najechać, aby się jego istnienia domyślić.

Światło tu inne, nikłe, zielonawo-rude, niemile, a ciasno tak, że słychać, jak wiosła pionowo prawie zanurzone w wodę, trą o skałę, przepychając łódź ostrożnie i powoli.

Wprędce jednak ściany wąwozu rozstępują się w nowe sklepienie wnętrza, znacznie od pierwszego obszerniejsze i tą samą cudną błękitnością nalane.

Środkiem potężny słup granitu wbija się w wodę, a rozezponiony arkadowo w górze dzieli całość na dwie, jakby wzajem na siebie otwarte pieczary.

Eduardo poczyna go wkoło opływać.

— Oto są nasze groty—mówi z dumą.—Teraz państwo rozumiecie, dlaczego nie cały świat o nich wie. W Caprijską gardziel lada partacz każdą łupinę wprowadzi, kiedy tu... O! co się chwalił Signora sama widziała. Signore także. W całym Sorrento nie znajdzie się przewoźnik, któryby się na to ważył, prócz mnie. Był jeden, ale już nie żyje. On mnie nauczył te wiry podchodzić. To był mój stryj. I cóż?... Skłamał Eduardo?... Nie piękniejsze nasze groty od capryjskich?

Oni tymczasem podnieśli się i siedzą na dawnych miejscach, mrugając zlekka powiekami, jak ludzie ze snu zbudzeni.

Chełpliwe słowa Eduarda przywołały ich do rzeczywistości.

— Tak, tak, mój chłopcze—potwierdza Oldaniecki.—Tylko muszę ci powiedzieć, że z ciebie za ryzykowny cicerone. Jak nie, mogliśmy roztrzaskać głowy o twoje groty. Należało nas uprzedzić, jaka stawka w grę wchodzi.

Eduardo ma znów jeden ze swych protekcyjnalnych uśmiechów, tym razem przecież z odcieniem pobłażliwego uznania.

— Ochi wiedziałem kogo wiozę. Groty nie są dla każdego. Wiedziałem, że ani Signore ani Signora nie stehórzą. A tu o to tylko chodzi. Morze nie robi nic złego tym, którzy się go nie boją. Morze takich lubi i szanuje.

Poklepał wiosłem iskrzącą, szafirową toń
i uśmiecha się do niej z kolei z tą samą wyrozumiałością dobrego pana!

— Ecco!

Jest tak zabawny, że Oldaniecki rozchmurza się mimowolnie.

Bo Oldaniecki był chmurny.

W chwili, kiedy, na dnie „Pavonecelli“ trzymał Rytę w objęciach, kiedy wyczuwał utajone prądy, które przebiegając jej silne, świeże członki wibrowały w jego własnych żyłach, kiedy i lekkie kołysanie się łodzi, i cicha melodia ślicznym głosem Eduarda nucona, i szklany plusk wiosła, i ten szafir roziskrzony, kiedy to wszystko brało go niejako w siebie, rozpierało jego jestestwo na skrzydłach swego czaru, on wtedy schwytał się sam na gorącym uczynku notowania tych wrażeń w pamięci...

Tych wrażeń tak subtelných, tak nie do dotknięcia jak pyłki kwiatowych barw...

I po raz pierwszy w życiu porwało go obrzydzenie do jego zawodu.

Bo wiedział, że gdyby był zwyczajnym człowiekiem, toby taką chwilę poprostu przeżywał, nie więcej od niej żądając, do żadnego rachunku w przyszłości jej nie powołując.

Była taka śliczna i taka tylko dla siebie i przez siebie!

On tymczasem wybrał się łowić ją w siatkę obserwacji; jak spekulant, chciał ją wypożyczyć mózgowi, aby ją kiedyś z lichwiarskim procentem literackiego zużytkowania odebrał...

A ironją tego było, że skoro tylko uczynić to

spróbował, wnet poznał, że ją sobie niepotrzebnie popsuł, i że z niej nie takiego mieć nie będzie.

Tak dziwnie zamarło w nim ostre, męczące przecucie istnienia, taka go zdjęła rozkoszna omdlałość wszystkiego, gdy szepnął Rycie: „Zostań,“ a ona została i deszcz jej czarnych włosów osypał mu rękę...

I stracił to — czujnością analizatora spłoszył czar, a teraz cierpi w nim człowiek, obrabowany z jednej pięknej chwili życia, i wstydzi się artysta, że jej bezpłodnie zginąć pozwolił.

— To cudnie — mówi Ryta niskim, sennym głosem.

Ona za to wygląda jak ten, kto nie zostawił nic na dnie czary, którą podano.

Jej żarłoczna, skupiona twarz ma wyraz nie pojawiającego się na niej nigdy ukojenia — słodyczy prawie.

Błękitne oświetlenie grotty wyidealizowało jej gliniastą cerę i uczyniło ją momentalnie piękną, piękniejszą jeszcze, niż była w ów pierwszy księżycowy wieczór, kiedy siedzieli na tarasie i pili spumante.

Piękniejszą, a zwłaszcza jakąś inną.

Inną w wyrazie oczu, w złożeniu ust, nawet w leniwym ruchu jakim puszcza przez palce zwichrzone włosy, z których kapelusz zsunął się na spód łodzi.

Jest w niej jakby świt nowego uroku, któremu ta stalowa bantownicza natura poddaje się zdziwiona, w jakimś dobrem, wdzięcznym odrętwieniu swych wojowniczych instynktów.

— Cudnie tu—powtarza, przeciągając nieznacznie swą sprężystą postać—i tak dobrze!

Głos jej tak wzbiera rozmarzeniem, jak tylko oczy umieją wzbierać łzami, i ma plastykę takiego załzawionego spojrzenia.

Wtem spotyka utkwiony w siebie wzrok Oldanieckiego, i różowieje znova, jak na Capri.

— Tak, tak!—woła zupełnie innym tonem, widocznie chcąc ukryć pomieszanie, co jest u niej także rzeczą nową, bo dotychczas nie zadawała sobie nigdy trudu krycia swych wrażeń—cudnie tu, dobrze—ale... którędy my się ztąd wydostaniemy?

Istotnie, grota zdaje się nie mieć żadnego wyjścia.

Zewsząd szczelnie, łom na łomie, kładą się warstwy skalne, rudemi smugami na zrębach przeświecające; z powyginanego w arkady sklepienia, jak z okropnej rany, wyszarpanej jakimś antydułowialnemi pazurami, zwisają wielkie sople stalaktytów, niby strzępy mięsa i krwi zastygłej.

Gdyby nie ta woda bajeczna, wprost musująca szafirem i ten nieopisany czar światła, które niewiadomo z kąd się bierze, wewnątrz to sprawiałoby wrażenie zamurowanego na wieczność grobowca.

Pozostaje oczywiście droga, którą się tu dostali, ale najmniej doświadczone oko rozeznać to może, iż dla powrotu jest ona absolutnie niemożliwa.

Do środka wepchnął ich bałwan i mieli rozpęd przestrzeni; tu zaś jest tylko ta gładka tafła wody, i ta cembrowina skalna, i ten niski otwór, zatarasowany od zewnątrz wirem.

Mimo to Ryta zapytuje machinalnie:

— Czy wrócimy tą samą drogą?

Eduardo przywdziewa znów swoją katanę, uśmiechając się tajemniczo.

— Nie, Signora, sam djabeł nie wy dostałby się tamtędy.

— Więc którędy?

Młody przewoźnik szybkimi uderzeniami wiosła przecina w poprzek pieczarę i po chwili zestosowyywa „Pavoncellę,” ze ścianą sklepienia.

W miejscu tem skała cofa się w głąb, jakby tarasami, wydłużającemi się w miarę, jak się ku górze podnoszą.

Eduardo jedną stopę opiera na boczcie, drugą na skale i podaje rękę Rycie.

— Proszę wysiadać, Signora!

— Tutaj?

— Tak, tutaj.

Ryta zaczyna się śmiać.

— On tak nami dyryguje, jak kapelmistrz orkiestrą—mówi do Oldanieckiego, i pyta po włosku:

— A co z tego będzie dalej?

— Dalej państwo pójdziecie tędy w górę. Trochę stromo, ale to się niezadługo skończy. Tam, na lewo jest takie kolano w skale. Państwo to kolano obejdą, a potem trzeba się spuścić na dół. Signore poda rękę Signorze, gdzie gorzej. Zresztą tam się łatwo schodzi. I potem zaraz piasek i wybrzeże. Ja już tam będąc czekał z „Pavoncellą.”

— Ale ty, Eduardo, którędy ty się z barką wy-

dostaniesz? — zapytuje Oldaniecki, rozglądając się dokoła.

— O! To już moja sprawa. Jak państwo obejdziecie skałę, to mnie zobaczycie. Addio!

— *Ti scriverò!* — woła za nim Ryta, na nutę jego piosenki.

Eduardo, który już zaczął wiosłować, zrywa swą trzykolorową czapkę i powiewając nią, z jakimś szelmowskim, a pełnym wdzięku wyrazem w oczach, odśpiewuje:

— *Col qual chier' mariner mi lascia,
Col qual chier', col qual chier'...*

Za chwilę tracą go z oczu, niknąc sami w zagłębieniu skały.

Ledwo wspieli się kilka kroków w górę, zmuszeni są pochylić się i wsunąć w długą, wązką szycę.

Ciemno, tu mokro i bardzo spadzisto.

Ciężkie, jakimiś gazami przesycone powietrze aż dusi.

Miejscami jest tak nisko, że pełzną na czworakach.

Raz poraz, skalna jaszczureczka ucieka wystraszona z jakiejś szpary, prześlizgując im się pod palcami, które omackiem czepiają się głazów, co ze względu na zupełną ciemność, w jakiej są pogrążeni, sprawia bardzo niemiłe wrażenie.

Niemają przytem najlżejszego pojęcia, jak długo tak się będą czołgali?

Pięć minut czy godzinę?

Rycie płacze się suknia i co chwila, zaczepiwszy o coś, rozdziera.

Oldaniecki popełznął przodem i ostrzega Rytę o karkołomniejszych przejściach.

Czasem odwraca się ku niej i podaje jej rękę, i wtedy czują ciepło swych oddechów, owiewające im twarze, a splecione ich dłonie przebiega dreszcz.

Gdzieś z doła dolatują ich urywane, co głósniejsze, nuty śpiewu Eduarda i brzmia dziwnie, jakby szły wskroś skały z samego wnętrza ziemi.

Poza tem cisza najgłębsza i ciemności nie przeniknione.

Oni jednakże, niewiadomo dlaczego, wpadają w doskonałe humory.

Ryta zaczyna deklamować:

Eduarowi się podobało,
Zamknąć nas społem pod skałami;
I otośmy na wieczność całą,
Wiecznie sami!

— Wieczność twa, krótko trwa, o pani!—woła Oldaniecki — bo oto już się kończy!

Gdy to mówi, jego niewidzialna dotychczas, zgięta we dwoje sylwetka zarysowawa się na tle rozszerzającego się nagle i zielonawem światłem zachodzącego wydrążenia.

Ryta parska śmiechem.

— Jak pan wygląda! Ten, estetyczny w każdym calu sławny Oldaniecki!... Gdyby tak pana mogli zobaczyć pana czytelnicy!

— Przestaliby się dziwić, że piszę marne po-

wieści. Autor, który jeszcze pełza na czworakach zasługuje na pobłażanie... Ale ty, Ofeljo, zamiast iść do klasztoru, ty, Noro, zamiast porzucić męża, ty, Balladyno, zamiast mordować siostrę — co ty tu robisz?

Tak żartując wynurzają się na rodzaj dosyć wązkiego ganku, okrążającego, silnie wystający zrzęb skały: owe kolano, o którym wspominał Eduardo.

Znajdują się na dość znacznej wysokości, mając nad głowami, szczyty dwóch skał, tak do siebie przytulone, że wyglądają jak jedno sklepienie tu i owdzie wielkimi szczelinami poprzerywane i skąpo światło dzienne przepuszczające.

Ściany tych skał tworzą dokoła „kolana“ obszerną framugę, dołem zaś zbiegają się znowu w ciasny parów z wylotem na morze i spienioną na dnie wstęgą wody.

— O! spojrzysz pani, Eduardo! — mówi Oldaniecki.—Co to za zręczny chłopak!

I widzą go, pod swemi stopami, jak, skacząc po głazach, przepycha wzdłuż wąwozu „Pavoncelle“ tak mocno na bok przechyloną, że jednym borem prawie na wodzie leży.

Zresztą miga im tylko; skała zasłania go natychmiast; oni też mają co innego do roboty, niż podziwiać jego zręczność.

Zejsście, wbrew zapewnieniom Eduarda, weale nie jest łatwe i, gdyby nie to, że oboje doskonale chodzą po górach, znaleźliby się chwilami w dosyć kłopotliwym położeniu, mając z jednej strony przepaść, a z drugiej strome urwisko.

Udaje im się jednak spuścić bez szwanku na dół, gdzie już czeka na nich Eduardo, blaszanym czerpakiem wybierając wodę z dna „Pavoncelli.“

— Nareszcie!—mówi Oldaniecki, podrapanemi rękoma pomagając Rycie wnieść do łodzi resztki jej eleganckiej, batystowej sakni.

Oboje mrugają oczyma, nie mogąc się jeszcze oswoić z rażącym światłem słońca, które po tych wszystkich błękitnościach i ciemnicach wydaje im się jakieś srogie i dziwnie obce.

Upał wzrósł jeszcze, cielsko dymu, gniecione obłokami zrzędniało od spodu i przewala się po skłonach Wezuwjusza zakopconym oparem, w którym czyste do niedawna zarysy góry topnieją i stają się podobne do widziadła.

Brzegowe mewy krążą nisko i napełniają powietrze urywanym wystraszonym krzykiem.

— Będzie burza, będzie niewątpliwie burza—zapewnia Eduardo tonem obietnicy.

— Właściwie tego tylko brakuje — śmieje się Oldaniecki, oglądając swoje podrapane piękne ręce o długich, nerwowych palcach z wykwinłą starannością utrzymanych.—Przyznaj się, Eduardo, ty opłaciłeś premja za nas w jakimś Towarzystwie asekuracyjnym i od rana dybiesz na nasze życie. Naprzód wiry i skały, potem ciemności i przepaście; teraz burza na pełnym morzu. Bo, jak uważam, wypływasz na pełne morze?

— Tak, Signore. Chcę państwu pokazać groty z daleka, bo tak się najlepiej prezentują. Jest się czemu przypatrzeć. Woziłem tu jednego

anglika, który cały świat zjeździł, tak, Signora, cały świat; a i ten usta otwierał i mówił: Oaah!

— Eduardo! tyś formalnie zakochany w swoich grotach! — śmie się Ryta.

— Bo mam w czem, Signora. Pan Bóg tylko takie jedne stworzył. To też je sobie naznaczył...

— Jakto — naznaczył?

Eduardo przybiera bardzo tajemniczą minę.

— Oh, Signora! Dużoby o tem było mówić. I nie każdemu można.

— Ale nam chyba można?

— Państwu? Zapewne. Choć ręcę, że państwo nie tak to wezmą, jak potrzeba. Bo są rzeczy, w które się wierzy, dopiero kiedy się je zobaczy. Ja, także, kiedy mi mój stryj nieboszezyk opowiadał, to tak sobie na dwoje myślałem, aż dopiero sam...

Eduardo zawiesza głos i żegna się pobożnie.

— Cóż takiego?

— Tu, Signora, na jednym cyplu tych skał pokazuje się duch. Odkąd najstarsi ludzie zapamiętają, pokazuje się. O! powiedziałem, że tak będzie, Signora już się uśmiecha. A przecież to taka prawda, jak ja w tej łodzi siedzę.

— Upewniam cię, Eduardo, że słucham poważnie. Ludzie, którzy w nie nie wierzą, wierzą we wszystko.

— Jakto, Signora?

— Nic... nic... Nie uważaj. Więc ten duch?

— O, Signora! To cała historia. A teraz niech państwo spojrzą.

Znajdują się właśnie nawprost tego trójzęba, który dotychczas tylko z profilu widzieli, a zajęci czem innym nie zwracali na niego uwagi. Tymczasem, jest to grupa skał istotnie nadzwyczajna...

Cała malowniczość wybrzeża błędnie wobec fantastyczności tych niebywałych kształtów.

Niby ruiny jakiegoś zameczyska, z ocalałymi gdzieniegdzie wieżami i flankami; niby postacie ludzkie, sterzące po zrębach; niby zwierzęce turlowie o wyraźnych, jakby dłutem wykutych mordach.

Szczególina formacja tych skał mieni się wszystkimi kolorami tęczy; lecz barwa ametystowa przeważa i zdaje się być żalobnym welonem, na krasę weselnego stroju rzuconym.

Kępy białego kwiecia wytryskują wszędzie ze szczelin, niby fontanny śniegu.

I nad tem wszystkim cudne, niezrównane niebo włoskie, a w dole mleczny wieniec wirów na tle granatowej fali.

Oldaniecki czuje się w jakiś niewytłómaczony sposób pociągnięty tym widokiem.

Coś przykuwa jego wzrok do tych dziwnych szczytów i do tego chaosu głębi pod nimi; coś będącego czemś więcej, niż samem artystycznym wrażeniem.

Patrzy i mileży, ale Ryta zaciekawiona nalega.

— Tak. Eduardo; te skały są prześliczne. Mnie jednak bardziej zajmuje twoja legenda. Opowiedz-że ją raz.

— To nie legenda, Signora; to święta prawda, i każdy w Sorrento potwierdzić to może. A więc

było tak: Przed jakimi stu laty, a może więcej, żyła tu w mieście dziewczyna pewna — Carmelina jej było na imię — i była taka piękna, że aż za piękna. Mówią, że nie mogła się nigdzie pokazać. Wyszła na ulicę, to ludzie idą za nią, jak za procesją; poszła do kościoła na mszę, nikt nie patrzy na ołtarz, tylko tam, gdzie ona klęczy; zaproszą ją na tańce — wszystkie dziewczęta siedzą, a do niej mężczyźni jeden przez drugiego się cisną, i do oczu sobie skaczą, a co zapaleczywszy, to na noże! I żeby na tem był koniec. Ale to było jakieś opętanie. Mężowie porzucali żony; kochankowie odchodzili od kochanek; przyjaciel przyjacielowi wrogiem się stawał, a wszystko dlatego, żeby od Carmeliny chociaż jedno miłe spojrzenie, jeden uśmiech otrzymać. Kobiety ją przeklinały, a ona nawet wcale w tem winy nie miała, bo ani bałamuciła, ani ciągnęła. Nieraz, owszem, tłumaczy tym opętańcom, że przecie dla stu życzliwą być nie może, tylko dla jednego, a taki się jeszcze nie znalazł — nie nie pomagało. Sława o niej tak się po całej zatoce rozeszła, że cudzoziemcy zjeżdżali się do Sorrento, gdzie gęściej niż teraz, byle ją zobaczyć. I co raz, co raz, to jakiś anglik pali sobie w łeb, z miłości dla niej. Aż doszło do tego, że burmistrz zabronił jej pokazywać się na ulicach bez zastłony*); księża ją egzorcyzmowali i gwałtem na nią, żeby do klasztoru wstąpiła! Ale ona żadnego powołania nie miała, a że była dziewczyną bardzo dobrego serca, tak sobie rzekła pewnego dnia: „Co mają

*) Autentyczne.

przeze mnie ludzie dusze zatracać, i żony na mnie płakać, i tyle nieszczęścia ma się dzieć!... lepiej niech ja zginę!“ I poszła na te skały i—ot, z tego cypla, gdzie Signor teraz patrzy. Widzi Signora—z tego cypla rzuciła się do morza. A że to za nią zawsze ten i ów się włóczył, więc skończyło kilka łodzi na ratunek; ale już napróżno; tyle, że trupa wyciągnęli; co i tak dziw był, bo kto w te wiry wpadnie—to już go ani żywego, ani martwego oko ludzkie nie zobaczy. Ją wszelako wyciągnęli i podobno po śmierci jeszcze piękniejsza była, niż za życia. Byli tacy, którzy z rozpaczki pomieszania zmysłów dostali. Ecco! Tak, potem, jako taką, która sobie sama śmierć zadała, pochowano ją na niepoświęconem miejscu. Ale, proszę tylko posłuchać, Signora! Miała ona siostrę chorą na konwulsje od urodzenia, która po kilka razy na dzień padała w ataku. Ta poszła pomodlić się na jej grobie i tam padła, a jak ją ocucili, tak ozdrowiała od tego czasu. Inne różne cuda zaczęły się dzieć. Księża tedy pomiarkowali, że pobłdzili w tem, i że Pan Bóg jej takiej śmierci za grzech nie poczynał; i zaraz pismo do Papieża poszło; i wydobyli ją z wielką pobożnością na ementaru pogrzebali. Odtąd wszystko ustało; tylko co jakiś czas duch jej pokazywał się na tych skałach i pokazuje się po dzisiejsze dni.

Eduardo żegna się znowu.

Jest tak przejęty swoim opowiadaniem, że przestał wiosłować, i „Pavoncella“ kołysze się wciąż na jednym miejscu, wprost owych skał, na które—

związana z niemi naiwna legenda — zdaje się rzucać poetyczny urok.

— To ładne — mówi Ryta w zamyśleniu. — I mówisz, że byli tacy, którzy widzieli ducha tej biednej dziewczyny?

— Jakże, Signora! Mój stryj nieboszczyk pierwszy. Raz nocą płynął tędy z Castellamare. Burza go straszna chwyciła. Już Boga duszę polecał, bo wiatr go pędził prosto na wiry. Ciemno było, choć oko wyjmij. Wtem stryj mój patrzy — Carmelinal... Z cypla do wody skacze, cała w bieli, aż się jasno zrobiło, wiry sobą zasłania i łódź na morze odpycha. I wielu rybakom pokazywała się w ten sposób, a zawsze w chwili wielkiego niebezpieczeństwa, kiedy już mieli iść z łodzią na dno. I zawsze się wtedy wyratowali. Dlatego też nikt się tego ducha nie boi, nawet małe dziecko... Owszem, my to wszyscy w Sorrento uważamy za dobrą wróżbę, bo już tak jest, że kto Carmelinę zobaczy, temu się weześniej lub później jakaś pomyslność zdarzy.

Eduardo milknie.

Jego zawsze uśmiechnięta, lekkomyślna twarz powleka się wyrazem uroczystej powagi.

Po chwili niższym głosem dodaje:

— Ja ją także widziałem, Signora!

Oldaniecki mimowolnie bystro na niego spo-gląda.

Wogóle nie lubi kwestji spirytystycznych: drażnią go zarówno ich wyznawcy, jak i przeciwnicy; ale opowieść młodego sorrentyjskiego zainteresowała go bardziej, niż to chce po sobie pokazać.

Ryta za to jest otwarcie zaciekawiona.

— Doprawdy? Aeh! Jakże to było, Eduardo? Dawno?

Nie, Signora. To było tego dnia, kiedy Signore jeździł po Signore do Neapolu, a ja go na „Najadę“ wozilem.

— Jaktó, w biały dzień?

— To jest właśnie najosobliwsze. Ja, Signora, miałem interes do Vico Equense, i popłynąłem tam prosto z „Najady.“ Wracalem o samym zachodzie słońca, ale jeszcze było widno zupełnie, i te skały były całe fioletowe. Już zdaleka spostrzegłem, że coś na nich rusza. Podpływam trochę i widzę, że to jakaś kobieta. Twarzy rozróżnić nie mogłem, bo jeszcze było za daleko i blask prosto na nią padał, ale to dostrzegłem, że była szczupła, wysoka, a głowa jej się świeciła, jako jakiej świętej. A trzeba państwu wiedzieć, że Carmelina słynęła przedewszystkiem ze swoich włosów, które były jak czyste złoto i sięgały jej poniżej kolan. Jakoś mnie to zastanowiło, więc zatrzymałem łódź w odległości i patrzę. A ta postać snuje się po skałach, snuje, to przystaje, to znów chodzi jak błędna. Strach mnie jakiś zaczął zdejmować, ale jeszcze o Carmelinie nie pomyślałem... Jakże! w biały dzień. I byłbym przysiągł, że to nie żaden dach tylko żywa kobieta. Nagle widzę, staje na tym cyplu, na cyplu Carmeliny, o! tam, na samym brzeżku, podnosi ręce w górę — o! tak i skacze do wody. Prosto w wir! Santa Maria immacolata! Tylko mi się jej głowa mignęła, jak złoty ptak... W tem zachodzącym słońcu za-

błysła i znikła... I wtedy dopiero, Signora, otwo-
rzyły mi się oczy zaślepione... Wtedy dopiero zro-
zumiałem, że ta Carmelina mi się pokazała i za-
cząłem się modlić, a byłem tak zdrętwiarty, że wio-
sła mi w dłoniach stanęły jak kołki. Ecco!

Oldaniecki wzrusza ramionami w przystępie
nagłego, jemu samemu niezrozumiałego rozdra-
żnienia.

— Otóż to!—mówi szorstko.—Jakaś nieszczę-
śliwa topi się tema idjocie na oczach, a on za-
miast śpieszyć na ratunek, baśnie kamoszek roz-
pamiętywa.

Ryta spogląda na niego z pewnem zdziwie-
niem, Eduardo z głęboką urazą.

— Naprzód, Signore, ja nie jestem idjotą i to
nie jest żadna baśń. Po drugie, ani w Sorrento,
ani w okolicy kobiety z takimi włosami niema;
a gdyby nawet była i utopiła się, toby też już do
tej pory wiadomo było, bo człowiek nie szpilka
i tak niepostrzeżenie nie ginie. Ale z cudzoziem-
cami zawsze tak...

— Sam mówiłeś, Eduardo, — wtrąca Ryta,
uspokajająco,—że kto w te wiry wpadnie...

— To prawda, Signora—przerywa Eduardo,
wiąż mocno w swojej ambicji dotknięty. — Mówi-
łem, i tak jest. Pójdzie jak z kamieniem do dna
i tam już na wieki zostanie. Ale przecież ludzie
na świecie będą wiedzieli, że go niema, że się
gdzieś podział. A u nas, Bogu dzięki, nikogo nie
brak. Wszystkie kobiety, jak były, tak są. I w oko-
licy także. Jużby się to dzisiaj rozniosło. Ale cu-
dzoziemcy zawsze skorzy do przygany i...

A może to właśnie była cudzoziemka — przerywa z kolei Ryta.

— Tak; może to była cudzoziemka — powtarza echowo Oldaniecki.

Rozdrażnienie jego, jak przeszło niespodzianie, tak równie nagle pierzechnęło, pozostawiając go w stanie melancholijnej zadumy.

Mąż Ali patrzy uparcie na skałę, na cypel Carmeliny i widzi obraz:

Młoda, piękna cudzoziemka—zapewne Angielka, Angielki są najeczęściej złotowłose—przyjechała tu po słońce, po błękit, po uśmiechy życia, po wszystko—tylko nie po śmierć. Włochy nie są krajem importowanych samobójców.

A tymczasem jedno niebaczne stąpienie, jeden zawrót głowy i znalazła tę rzecz nieszukaną, ostateczną...

Oldaniecki uprzytomnia sobie jej ramiona wyciągnięte w przestrzeń, błagające o pomoc, która znikąd nie nadejdzie.

Najtragiczniejszym jednak wydaje mu się nie śmierć sama, lecz okoliczność, że na ten fakt, tak nawszkroś ludzki, patrzył beczynn timer człowiek, jak na zjawisko nadprzyrodzone, że kiedy ta kobieta żyła jeszcze, kiedy—kto wie—mogła jeszcze być uratowana, czyjeś oczy już jej powiedziały:

„Nie jesteś z tego świata...”

I Oldanieckiemu zdaje się, że widzi na tle fioletowego zboezca skały jej jasnowłosą głowę, lecącą w dół, jak złoty ptak, gdy Eduardo żegna się pobożnie, szepeząc zabobonn timer usty:

„Carmelina...”

I ogarnia go smutek, niezdrowy smutek, życia, który, jak trujący kwiat z moczaru, wyrasta z dna tego dziwnego trzęsawiska, jakim jest odwieczny, niezbadany łańcuch przyczyn, skuwający z sobą najdalsze, najoderwańsze na pozór skutki.

Gdyby nie legenda o Carmelinie, Eduardo byłby zapewne pośpieszył na ratunek tonącej; byłby ją może ocalił — on taki zręczny i odważny; ale ona—ta obca, musiała zginąć bez pomocy dlatego, że tu, w Sorrento, przed stu laty jakaś dziewczyna rzuciła się z tej skały do morza...

Zdawałoby się, że pomiędzy temi dwoma zdarzeniami nie mógł istnieć absolutnie żaden łącznik, a przecież istniał, i w tem tkwi dla Oldanieckiego ich największa groza.

Eduardo jest przez chwilę jakby zaskoczony przypuszczeniem swoich pasażerów; wnet jednak protestuje energicznie:

— Cudzoziemka? Oh! che mai, Signora! che mai, Signore! My cudzoziemców znamy lepiej, niż swoich. Zwłaszcza teraz — w martwym sezonie... I taka cudzoziemka nie mogła tu przyjechać i prosto z vettury, albo z parowca pójść na te skały! Ktośby ją widział... Nie! Nie! A resztą ta postać wydawała się kobietą, ale nie mogła być żywą kobietą... Była wyższa i cała jakby przezroczysta, jakby z szarej mgły... Nawet powiem Signorze, że, wyraźnie to widziałem tylko tę świecąca się głowę, a reszta rozwiewała mi się w oczach. A gdy skoczyła i ręce w górę podniosła, to te ręce wydawały się jak skrzydła... Nie!...

gotów jestem przysiąc, że to był duch... duch Carmeliny!

— Albo raczej jego własne przywidzenie — odzywa się Ryta po polsku.

Oldaniecki podnosi głowę, jak zbudzony ze snu.

— Sądzi pani?

— Niewątpliwie. „Ducha“ chyba oboje wyłączamy, a nie można zaprzeczyć, że jego racje, zbliżające możliwość utopienia się jakiejś kobiety, są bardzo logiczne.

— Tak. Chociaż taka halucynacja w biały dzień. Ha! może był nietrzeźwy.

Eduardo spogląda na nich nieufnie i badawczo, jakby z wyrazu ich twarzy odgadnąć chciał, co mówią.

Widać, że mu jest bardzo markotno. Czas jakiś wiośtuje wściekle, wreszcie odzywa się z gorącością:

— Trzeba mi było milczeć. Po dziś dzień nikomu o tem słowa nie pisałem—nikomu—i nie wiem, co mnie podkusiło. Już jak raz o Carmelinie zacząłem, tak dalej samo przyszło. Trzeba mi było milczeć. I mam nagrodę: Signora mi nie wierzy; Signore mi ubliżył i w dodatku swoją pomyślność stracę...

— Mój dobry Eduardo—mówił Oldaniecki ze swym ujmującym uśmiechem—bardzo cię przepraszam za swoją szorstkość. Ale nie rozumiem, co ty wskutek tego możesz stracić?

— Z pewnością, że mogę — odpowiada już udobruchany Eduardo.—Widzi Signore, jeżeli się

zobaczy Carmelinę, nie trzeba się z tem chwalić, dopóki się co pomyślnego nie zdarzy, bo to od-biera szczęście. To mi mój stryj nieboszczyk nie-rasz powtarzał. I dlatego ja nawet własnej matce o tem nie wspominałem, a teraz. To Signora tak mnie pociągnęła za język i rozpaplałem się, jak ostatni głupiec.

— Uspokój się, Eduardo — pociesza go Ryta — może ta pomyślność, której się spodziewasz, już cię spotkała, tylko o tem nie wiesz.

— Jakżeby to mogło być, Signora?

— Widzisz, pomyślnością jest nietylko to, co się stało, ale i to, co się nie stało.

— Nie rozumiem.

— Weź przykład ze swego stryja. Sam mówisz, że duch Carmeliny uratował go od śmierci?

— No — tak!

— Więc jego pomyślność była w tem, że nie utonął, czyli, że mu się nie stało. Tak samo ty, Eduardo. Gdyby nie to widzenie Carmeliny, może byłbyś razem z nami i „Pavoncellą“ roz-trzaskał się dziś o skały, przy wejściu do grot. Różne inne złe przygody, które cię nie spotkały, mogły cię były spotkać. Pomyśl nad tem.

Eduardo jest wciąż zafrasowany.

— Signora to bardzo uczenie tłumaczy — mówi z powątpiewaniem — ale to nie to. Lepiej mi zawsze było milczeć.

— Zresztą — dodaje Ryta, na której szczera naiwność tego dwudziestokilkoletniego, weale nie-głupiego chłopca sprawia jakieś orzeźwiające wra-

żenie—zresztą to może dotyczyć tatejszych, a my jesteśmy cudzoziemcy.

Argument ten trafia odrazu do przekonania Eduarda. Jego smagła twarz rozpromienia się zwykłym mu wesołym uśmiechem.

— To prawda!—przytakuje z cudowną dobroduszością.—Signora ma zupełną słuszność. Cudzoziemcy się nie liczą.

IV.

— Przepraszam Signorę. Czy ta parasolka należy do Signory?

— Jaka parasolka?

Ryta odwraca się od lustra, przed którym siedząc, szetkuje włosy na nos i z pewnem zdziwieniem spogląda na Assuntę.

Ta, jak zwykle przyniosła jej ciepłą wodę, a teraz rozbiera łóżko.

Już drugi wieczór z rzędu rozechodzą się wcześniej z Oldanieckim.

Dziś, po powrocie z grot, byli wzajemnie jak spętani swoją obecnością. Było to może w skutek wrażeń przebytych i zmęczenia, a może nagromadzonej w powietrzu elektryczności.

Bo choć zapowiadana przez Eduarda burza nie nadeszła jeszcze, niemniej jej denerwujący przedsmak objawiał się w całej przyrodzie.

Gdy, po obiedzie, codziennym zwyczajem, sie-

dzieli na tarasie, zrywał się chwilami szczególnie pomruk, ze środka zatoki idący, i zdawał się otwierać jej głąb, jak ziewanie otwiera paszczę budzącego się lwa.

Było to dziwnie złowrogie i posępne; a potem wnet zapadała jeszcze bardziej złowroga i posępna cisza.

— Jaka parasolka?—powtarza Ryta.

Assunta wydobywa z za szafy elegancki jedwabny *en tout cas* ze srebrną oksydowaną rączką.

— Ta do usług Signory.

Ryta rzuca okiem na podawany sobie przedmiot.

— To nie moja parasolka.

— A co!—woła Assunta—Ja sobie zaraz pomyślałam; widząc, że jej Signora nie używa, że to tamta Signora zostawiła. Tylko zawsze zapominałam zapytać.

— Jaka Signora?

Ryta stawia to pytanie machinalnie, myśląc o czym innym.

Ale Assunta z widoczną chęcią zwrócenia jej uwagi zasłania sobie usta obu rękoma.

— Ah! infelice ragazzo! Co ja zrobiłam? Padrone tak surowo zabronił wspominać o tem! Ah! Boże!

Ryta odwraca się znowu do lustra i porządkuje coś na gotowalni.

— Pocóż zatem wspominasz?—mówi sucho.

Nie lubi tej dziewczyny, której przesadna uni-

żoność, a impertynenckie spojrzenia budzą w niej odrazę.

Następuje mileżenie.

Assunta stoi i zdaje się namyślać; wreszcie pyta z przymileniem:

— To ja mogę zabrać tę parasolkę?

— Oczywiście. Zarazem możesz odejść. Nie jesteś mi już potrzebna.

Ale Assunta nie odchodzi.

Ogląda parasolkę na wszystkie strony i kiwa swoją pracowicie utrefioną głową, na której biała kokarda chwieje się, jak nastawiony żagiel.

— Tak... tak...—mruczy niby do siebie—to ta. Sama ją przecież za tamtą Signorą przyniosłam do pokoju... A potem niezadługo Signora przyjechała i wywietrzało mi to z głowy w tym zamięcie. A potem znów zobaczyłam ją na krześle, sprzątajac, ale myślałam, że to Signory i postawiłam za szafą... I tak zostało... Ale teraz poznaję... To tamta Signora przez zapomnienie zostawiła.

Spogląda na Rytę z ukosa, czekając zachęty do dalszego opowiadania, ale zachęta nie przychodzi.

Assunta jednak nie daje za wygraną.

Zbyt długo koreił ją ten zakaz, aby go w końcu nie miała przekroczyć.

Nabiera więc oddechu, prostuje swoją przysadkowatą postać i zaczyna na nowo:

— Nie wiem, doprawdy, czego się nasz padrone tak obawia... Nie mówić i nie mówić; Boże broń, nie mówić... Przecież każdy omylić się

może... Myśmy się także omylili. Bo myśleliśmy wszyscy, że ona to jest Signora. Przyjechała tak samo z Warszawy...

Ryta porusza się mimowoli.

— Jak to z Warszawy? Kto? Co ty mówisz?

Assunta, uszczęśliwiona, że na koniec dopięła swego, zbliża się poufnie.

— A tak, Signora. Z Warszawy. Raffaele mówi, że słyszał, jak to powiedziała naszemu padrone. Ale, ach! niech-że Signora przypadkiem nie zdradzi mnie przed padrone, bo mogłabym miejsce stracić... A to jest przecież głupstwo. Padrone się boi, że Signor Oldani gniewałby się okropnie, gdyby wiedział, że on ją tu na górę zaprowadził. Jakże nie miał zaprowadzić, kiedy myślał, że to jest sama Signora... Bo uważa Signora, tak się złożyło, że kiedy Signor Oldani po Signorę do Neapolu pojechał, to ona właśnie wtedy przyjechała. Padrone był pewny, że się państwo w drodze rozminęli. Dopiero ona, jak tu chwilę pobyła tak się spostrzegła, że się także omyliła, i poszła sobie. I to cała historia. Wielka rzecz!... Ale Signora swoją drogą i Signorowi nie powie! Dobrze? Bo jakby się padrone dowiedział. Ach! Boże! Wypędziłby mnie jak nie. To taki niegodziwy człowiek.

— Nie, nie. Bądź spokojna. I odejdz już.

— Dobranoc, Signora.

Ale już z ręką na klamce zatrzymuje się.

W jej czarnych, głupich oczach migocze ta złośliwa radość, jaką kobieta na każdym stopniu cy-

wilizacji odczuwa, gdy ma powiedzieć coś, czem, jak miema, dokuczyć drugiej kobiecie.

— Ocht—mówi, obejmując Rytę nieprzychylnem spojrzeniem. — Tamta Signora była bardzo piękna! Włosy miała jasne... jasne, jak złoto. Nie widziałam nigdy tak pięknej Signory.

I wypuściwszy tę strzałę Parta, cicho, układnie drzwi za sobą zamyka.

Ryta pozostaje sama i długą chwilę siedzi bez ruchu, w głębokiej zadumie pogrążona.

Opowiadanie Assanty napełniło ją szerególnym niepokojem, którego całą bezpodstawność rozumie wybornie i dlatego właśnie tem bardziej się nim rozdrażnia.

Cóż ją może obchodzić pomyłka jakiejś nieznanomej, choćby nawet ta nieznanoma była polką? A przecież, obchodzi ją...

Doznaje takiego wrażenia, jakby jej podawano pęk pociętych nici, których końce tkwią gdzieś... w jej własnym mózgu.

I natęża myśli i męczy się napróżno, aby je powiązać.

Wreszcie wrusza niecierpliwie ramionami.

— Prześladają mnie dziś te jasnowłose kobiety — myśli z jakimś, zgoła mętnem, w sferę współświadomości czającym się przypuszczeniem, że skoro wszystko na świecie jest możliwe, to i między opowieścią Eduarda a wynurzeniami Assanty mógłby istnieć pewien związek. Mógłby, ale najprawdopodobniej go niema.

Nie zatrzymuje się jednak długo nad tą myślą. Odpędza ją, jak przykrą zmorę.

— Co mnie to obchodzi? — powtarza, aby się uspokoić.

Jest jej duszno, i machinalnie zbliża się do okna.

Ale okna, ze względu na Moskity, dokuczliwsze dziś, niż kiedykolwiek, są zamknięte, żaluzje pozasuwane i story szczelnie zapuszczone.

Nie zgoła nie widać, co się za temi potrójnymi zaporami dzieje; tylko głuchy, tępy łomot fal, rozbijających się o skały napętnia pokój.

Chwilami z łomotu tego wydobywa się przeciągły świst, jakby oddech zdyszanej piersi wielkoluda i milknie raptem; chwilami jakieś bulgotanie, jakieś wrzenie groźne wchłaniania w siebie tamte miarowe odgłosy, i wtedy nad słuchającej Rycie zdaje się, że cała zatoka zaczyna kipieć i występować z brzegów.

I zdaje jej się także, że z tamtej strony okna snuje się jakaś postać w szatach chmur, w wieńcu błyskawic na mokrych, rozpuszczonych jak strugi deszczowe włosach — może widmo tej burzy, która wybuchnąć nie chce — i że, gdyby odsłoniła storę i żaluzje, ujrzałaby jej fantastyczną, nieprawdopodobną twarz, przyklejoną do czarnej tafli szyb.

Ryta nie boi się burzy, owszem przyzywa ją niemal, ale wie, że zlekłaby się tego widma i odstępuje od okna.

Zdenerwowana wychodzi do drugiego pokoju, do tego saloniku, który zawsze tonie w kwiatkach, choć girlandy powitalne dawno już powiędły.

Na stalugach stoi narzucony przez nią krajobraz: widok Wezuwiusza i zatoki z tarasu willi.

Dziś, po powrocie z grot, kończyła go, gdy Oldaniecki, siedząc w pobliżu, czytał książkę.

Uważała na niego i przypomina sobie, że w ciągu pół godziny raz tylko przewrócił stronicę.

O czym myślał?

Ryta jest niemal pewna, że wie.

Książka ta zawierała dramatyczne utwory wierszem jednego, z poetów najmłodszego pokolenia, które pojawiły się dopiero przed rokiem, ale o których zdążono już napisać pokaźną biblioteczkę studjów, krytyk i polemik.

Rozmawiali o tem między innymi w ów wieczór na Capri z Rytą, gorącą wielbicielką młodego wieszera.

Oldaniecki nie miał w sobie cienia niskiej zawodowej zazdrości; owszem, cieszył się zawsze szczerze z każdej przybywającej literaturze siły, w tym przypadku jednak zajął stanowisko wręcz odporne.

Ten wielki, uznawany przez najpierwsze powagi, talent nie mówił mu nic...

I teraz pod wpływem tej rozmowy, postanowił raz jeszcze zgłębić te arcydzieła, które dla niego były stkiem niedorzeczności.

Ryta wiedziała całą dobrą wolę, z jaką zabierał się do tego, i widziała chmurę goryczy, osiadającą mu stopniowo na czole i odgadywała, że myślał o tej dziwnej, niezbadanej przepaści, jaka w ostatnich latach otwarła się nagle pomiędzy tymi, którzy jeszcze w pół drogi nie doszli i pełni byli sił nieużytych, zapału i wiary, a tymi, którzy dopiero iść zaczęli i poglądali na tamtych z dru-

giego brzegu, jak na wędrowników skończonych, nie mogących jednego kroku dalej postąpić.

A że się nie myliła, to o tem przekonały ją słowa, z jakimi Oldaniecki zamknął wreszcie książkę.

— Widzę, że jestem już bardzo stary—rzekł— i nie będę czytał dalej, bo mógłbym dojść do przekonania, że nie tylko jestem stary, ale że mnie już dawno pochowano.

I oparłszy się o balustradę, długi czas patrzył w morze, unikając wzroku Ryty.

A ona czuła, że do jej serca puka obcy tam dotychczas gość: wzruszenie.

Brała ją chęć—ją, która nawet dziecku własnemu nie potrafiła nigdy dać pieszczoty—brała ją chęć zbliżyć się do niego i tę piękną, szlachetną, bolesnymi myślami nurtowaną głowę do swojej piersi przytulić.

Bo to, co byłoby może zraziło inną kobietę, ją pociągało ku niemu w magnetyczny sposób.

Ją, tak silną i środków swych i celów tak trzeźwo świadomą, pociągała ta niemoc duchowa, tak w swoim szarpaniu się potężna, ta bezowocna męka artysty; nawet to samolubne czepianie się jej w rozpaczliwej pogoni za zapładniającą iskrą wrażenia.

A przytem — on jest tak niepospolicie piękny i ma taki swój własny, podbijający czar.

Rytę, gdy stanęła na środku saloniku, otacza kołem wspomnienie tych wszystkich dni, jakie od jej przyjazdu upłynęły.

Dziwne, piękne, czyste, niemądre dni!

I jak niemądre!

Czy ktokolwiek uwierzyłby, że oni spędzili je tak właśnie, jak je spędzili?

Młodzi, sami, z tą dyszącą zmysłowemi podnietami naturą.

Ryta, myśląc o tem, chce się uśmiechnąć nie-dbale i szydersko, a zamiast tego uśmiecha się tkliwie. Niemądre, Kochane dni!

Niktby też nie uwierzył i chyba tylko te sprzęty mogłyby dać świadectwo tak śmiesznej prawdzieli

Ryta wodzi po nich oczyma i nagle opanowująca ją ta szczególna sugestja, o jakiej w pierwszy wieczór mówiła Oldanieckiemu.

Zdaje jej się, że wobec zaciszości tych czterech ścian i tego czegoś, co się po za niemi tak wrzawliwie przygotowuje, wszystkie te martwe przedmioty nabierają ludzkiego wyrazu, i że tym wyrazem jest jakaś tajemnicza chęć do zwierzeń.

Jeden zwłaszcza, wysunięty ku środkowi, mały pufik ma taką minę, jakby — wysforowawszy się naprzód—lada chwila miał otworzyć swe atlasowe, wypikowane usta i coś jej koniecznie powiedzieć...

Co? Może coś o tej jasnowłosej nieznajomej, która się omyliła...

A za oknami, wśród coraz groźniejszego łomotu fal coś jęczy przeciągle, coś się skrada i zdaje się z szelestem ocierać o czarne szyby.

Może to legenda tej zatoki... duch Carmeliny?

Może w tej chwili jaki rybak walczy ze śmiercią tam koło skalnych wirów i ma widzenie skaczącej do morza dziewczyny?

Ryta spogląda na tajemniczo mrugający atla-

sowemi refleksami pafik, spogląda na tajemniczo pozasłaniane okna, jakieś dwa świetlane punkty zaczynają migać przed jej oczyma, rosnąc i zlewać się w kształt jednej złotowłosej głowy—i raptem porywa ją tak wielki lęk, że, zakrywszy twarz rękoma, ucieka, drżąc cała, do sypialni.

.

Jest dobrze po północy, gdy Ryta budzi się.

Wpół śnie jeszcze ma wrażenie jakiejś znikającej, niebieskawej światłości i jakby chwiania się całej willi w połączeniu ze strasliwym hakiem.

Siada na łóżku i zaczyna się orientować.

Po tym wielkim blasku, który ukłótł jej otwierające się oczy, ciemność zalegająca pokój, wydaje się jeszcze głębszą, a piekielna wrzawa, która ją wypełnia, jeszcze piekielniejsza.

Tylko—rzekłby kto—czekać, a cienkie, dygocące ściany willi pękną i do wnętrza wpadną te tabuny stepowych koni, które zdają się wyprawiać dokoła niej jakieś wściekłe harc i bić w nią rozszalałemi kopytami.

A z orgją tych tępych tupotów miesza się druga orgja; ryków, charchotów, pisków, wycia, jakby całe stada dzikich zwierząt pędziły w tę stronę na oślepie, gryząc się po drodze.

— Burza! — myśli Ryta.

Zrywa się z pościeli, podbiega do okna i szybko je odsłania.

Gdy to czyni, ogromna błyskawica z krańca w kraniec rozdziera widnokrąg i w swem silnem świetle ukazuje jej zatokę, brudno-zieloną, wzdętą,

jak balon, zrywający się do wzlotu, czarny kształt Wezuwjusza, przewiercony czerwonym słupem ognia, i jakby wspartą na nim jeszcze czarniejszą chmurę, i łuk światła u podnóża, rozlany, w przestępnioną mokrym tumanem, rzekę.

Wszystko to zdaje się drgać, skakać przed olśnionymi oczyma Ryty na podobieństwo pokazów kinematografu, i wnet znika, jakby zmyte z powierzchni ziemi potokami lejącego gwałtownie deszczu.

A wślad za tem następuje nowy huk tak straszny i wstrząsający, że Ryta wyczuwa wewnętrzne falowanie posadzki, na której stoi.

Jest coś niewysłowienie królewskiego w tym huku, gdy poprzedzony zygzakiem pioruna, jak heroldem, przetacza się majestatycznie nad zatoką, chłonąc w siebie i dławiąc wszystkie inne odgłosy, tratując rozwścieczone bałwany, depeąc smagane wiehrem głowy skał, nawet tę, ziejącą ogniem górę, pracę wskroś nawały deszczowej, jakby on jeden miał panowanie nad światem.

Ryta rozbudza się nim do reszty.

Przytem burza widocznie dopiero się zaczęła i natężenie jej rośnie z każdą chwilą.

Usnąć w takich warunkach byłoby niepodobieństwem dla każdego, a tem bardziej dla Ryty, która tę burzę ma w każdym nerwie i po raz pierwszy w życiu słyszy jak się morze gniewa.

Myśl jej biegnie do Oldanieckiego.

I on chyba musiał się także obudzić; będą więc czuwali razem.

Ryta nakłada pośpiesznie białą muślinową blu-

zę, bo nawałnica nie ochłodziła jeszcze powietrza, i każdy ubiór wydaje się za ciężki w tej duszności; wsuwa bosc nogi w oszyte puszkim białe, atłasowe pantofle, przemywa oczy i zwykłym jej ruchem dziesięciu palców doprowadza do porządku swe rozwichrzone pukle.

Następnie ze świecą w ręku wychodzi na ciemny westybul i sztuka do drzwi Oldanieckiego.

— Panie Adamie!

Z wewnątrz odpowiada jej głos całkowicie rozbudzony:

— To pani? Co się stało?

— Nic. Zupełnie nic. Może pan wejść do mnie?

— Służę pani!

Drzwi otwierają się i, na tle oświetlonego pokoju, Oldaniecki staje w progu zupełnie tak ubrany, jak kiedy mówili sobie dobranoc.

Widocznie nie kładł się wcale.

Twarz jego wydaje się zmęczoną i bardzo bladą, a oczy, w których świeca trzymana przez Rytę drga złotawymi ognikami, mają wyraz spłószzonego nagle smutku i tęsknoty.

Wyraz ten rozwiewa się w uśmiechu przyjemnego zdziwienia, nie dość szybko jednak, aby Ryta nie spostrzegła jego ucieczki.

— Złękła się pani barzy? — zapytuje Oldaniecki.

Głos jego jest miękki, jak nigdy.

Bo też nigdy Ryta nie wydała mu się tak bardzo kobiecą, jak w tych muślinach, narzuconych wprost na bieliznę, w tych rannych pantoflach na

stopach, których nagość dostrzegł natychmiast, w tem ciepłe snu, bijącym jeszcze od jej ciała; a zwłaszcza w tem, jakby garnięciu się pod jego opiekę.

Była dla niego zawsze podniecająca, urocza, zjawiskowa; w tej chwili po raz pierwszy jest mu droga.

— Złękło się burzy biedactwo? — powtarza tkliwie i ujmuje jej rękę.

Rykie dech zamiera w piersiach na chwilę.

Zaznała już wszystkiego w życiu: uwielbień, namiętności, pocałunków palących; tylko z taką serdeczną pieśzotliwością nikt się do niej jeszcze nie odzywał.

A wrażenie jest tem silniejsze, że ta rzecz nowa przychodzi jej właśnie od Oldanieckiego tego jedyne go człowieka, na myśl o którym taka niespodziewana fala tklivości zalała przed kilku godzinami jej własne serce.

Powściąga się jednak całą siłą i wzrusza ramionami.

— Oh! che mal! — jakby powiedział Eduardo. — Zobaczyłam przez okno, że burza taka piękna, usłyszałam, jak huczy grom nad zatoką, i zażądało mi się patrzeć na to i słuchać tego razem z panem. Może pan przejść do mego pokoju?

Czar pryska.

Oldaniecki puszcza rękę Ryty i odpowiada dworsko:

— Pani! Z największą przyjemnością!

Z tej strony willi jest znacznie zaciszniej. Ta-

rasowe okno wystybulu wychodzi na ogród, i drzewa tłumią ryk szalejących bałwanów.

Za to ulewa tętni gwałtownie po kamiennych płytach i raz po raz w ciemnej głębi ukazuje się, wywołane błyskawicą, sine widmo szyb.

W chwili, gdy Oldaniecki, zamknąwszy drzwi swego pokoju idzie za Rytą, na schodach za ścianą daje się słyszeć jakiś szelest, który, gdyby nie szum deszczu, byłby wyraźnem dudnieniem bosych nóg i wnet u progu westybulu wychyla się z za portjery Raffaele z ogarkiem w ręku w brudniejszych, niż kiedykolwiek skarpetkach.

Ujrzawszy „cudzoziemców,“ a raczej ujrzawszy, że oni go spostrzegli, chce się cofnąć w przesadnie dyskretny sposób, ale Oldaniecki przywołuje go spokojnie.

— O! Raffaele! To dobrze, że tu jesteś. Miałem cię właśnie iść budzić. Przyniesiesz nam do pokoju Signory najlepszego, jakie macie, spumante.

— I czarnej kawy—dorzucą Ryta przez ramię.

— Słyszałeś? I maszynkę czarnej kawy. Pośpiesz się, przyjacielu.

Raffaele spogląda za nimi z takim wyrazem uznania, z jakim przodkowie jego musieli spoglądać ongi z cesarskiej łoży na wyjątkowo zręcznych gladjatorów.

Zaczynają mu się podobać ci cudzoziemcy; podoba mu się zwłaszcza ich tupet, z jakim, przydybani na gorącym uczynku, obrócili rzecz całą ku pożytkowi piwnicy padrone'a.

— Nareszcie!—myśli z odsapnięciem ulgi—no,

nareszcie! Wiedziałem, że na tem się skończy. I, per Bacco, gdyby mnie innych noce pioruny budziły, byłbym się może wcześniej o tem dowiedział.

W saloniku Ryta pociska gazik elektryczności i spogląda na stojącego pośrodku Oldanieckiego z przekornym uśmiechem.

Zauważyła doskonale zmianę, jaka w nim zaszła.

— Jacy mężczyźni są dziwni! — mówi od niechcienia.

— Tak — hurtem?

— Tak, hurtem. Naprzykład pan.

— Naprzykład ja?

— Bez wątpienia. Przecież pan prawie obraził się na mnie, że nie wystąpiłam w roli spłoszonej gołąbki, chroniącej się pod skrzydło orła!

— Przeciw obrazie protestuję. Ale raczy pani przyznać, że nieco kłopotliwe jest położenie „orła” — (aby przedłużyć porównanie) — jeżeli w owe roztaczające się opiekuńczo skrzydła dadzą mu raptem prztyczka.

— To po co je roztacza?

— Achi! Z takiego stanowiska pani to bierze?

— A tak. Przypuśćmy, że to pan zapukał do mego pokoju. Jakby się to panu podobało, gdybym tak zapytała: „Zląkłeś się pan burzy?”

— O! to zupełnie co innego!

— Czemu co innego? Czemu kobieta młoda, zdrowa, silna, jak ja, ma pod tym samym dachem, osłonią temi samemi ścianami, lękać się bardziej niż pan? Przecież burza nie jest kodeksem Na-

poleona, a elektryczność ma jednakowe prawa dla obojej płci.

— Zkąd u pani ten ton feministyczny?

— To weale nie ton feministyczny, tylko mnie to czasem gniewa. Dlaczego koniecznie, jeżeli kobieta ku wam się zwróci, wyciągać do niej, albo miłośniczo, albo protekcyjnie zaokrąglone ramię? Dlaczego nie przypuścić, że ona chciałaby czasem mieć podaną sobie prosto, serdecznie bratnią dłoń? Dlaczego nawet pan...

— Litość zawitała do serca pani i wydobyła z niego owo „nawet.“

— Po co ten frazes? Pan wie doskonale, że pana wyróżniam na całej linji. I tem bardziej mnie to oburza, że nawet pan byłbyś wołał, żebym samolubnie zawołała do ciebie: „Broń mnie! osłaniaj!” niż żem, jak równy duch, przyszła podzielić z panem wrażenia piękna!

Oldaniecki nie odpowiada.

Patrzy na nią badawczo, widzi jej wspaniałe oczy, jakąś mgłą przesłonięte, i zmarszczkę wewnętrznej rozterki na czole, i usta drżące lekko, jakby coś tłumiły.

I znowu, choć słowa jej świadczą przeciwnie, wydaje mu się taką nawskroś kobiecą i bezwiednie owego „zaokrąglonego ramienia“ mężczyzny łaknącą.

Więc zbliża się do niej i ujmuje obie jej ręce, których mu nie broni.

— A jednak— mówi, zwolna, nie spuszczając z niej oczu — a jednak, gdym panią nazwał biedactwem, zrobiło to pani szaloną przyjemność.

Może dlatego właśnie, że pani taka silna, i wielka, i świadoma siebie, i że nikomu nie przyszło dotychczas na myśl, że mimo tego wszystkiego pani może czasem czuć się biedactwem? Cóż? zaprzeczy mi pani? — powtarza, przytrzymując jej rękę, bo Ryta, gdy tylko zaczął mówić, próbowała mu je odebrać.

Ale Oldaniecki przestał być dworskim.

Przytrzymuje te wrywające się ręce, nie z galanterji, ale poprostu, bo tego chce, i całą uczciwą przewagą swej męskiej siły.

I Ryta musi mu uleść.

Więc tylko patrzy wyzywająco w jego błękitne oczy, tak piękne, że nawet teraz, gdy je hardem, buntowniczym spojrzeniem chce przeprzeć, czuje w całym swym jestestwie ich obezwładniającą moc.

Nie odwraca jednak głowy.

Nigdy on tego od niej nie usłyszy, jak dalece w duszy przyznaje mu słuszność.

— Zaprzeczy mi pani? — powtarza z uporem Oldaniecki.

— Zaprze...

Huk tak straszliwy, że zdaje się drzeć cały przestwór na szmaty, rozdziera i ten wyraz na jej ustach.

Oboje są szarpnięci tą ogłuszającą siłą kano-nady, pod stopami ich wytwarza się jakby chwilo-wa próżnia, tak zawrotna, że Ryta mimowoli cze-pia się silniej rąk Oldanieckiego i widzą wyraźnie krótki, falisty ruch otaczających ich ścian.

Jest coś niewysłowienie złowrogiego w takim ugięciu się rzeczy zasadniczo nieruchomej, zwa-

szeza, gdy się to dzieje w sąsiedztwie nadzianej siarką góry, która pod swemi wstrząśnieniami grzebała całe miasta.

Piorun padł tak nadzwyczajnie blisko, że w pierwszej chwili sądzą oboje, iż uderzył w willę.

I jakby na potwierdzenie tego daje się jednocześnie słyszeć za drzwiami krzyk i brzęk tłuczonego szkła.

Oldaniecki wybiega z pokoju i widzi Raffaela, już we fraku, bladego jak chusta, stojącego nad szczytkami tacy z zastawą kawy i wina, którą, przerażony błyskiem i hukem, z rąk wypuścił.

Grom warczy jeszcze i napełnia sobą cały westybul, oświetlony jedynie stojącym na ziemi ogarkiem; i lokajski tragizm tej gospodarskiej katastrofy w zestawieniu z majestatem tamtej, światem trzęsącej, potęgi, jest tak zabawny, że Oldaniecki nie może się wstrzymać od śmiechu.

— To nie nie szkodzi, Raffaelu—mówi wesoło. — Wypiłem jedną więcej butelkę spumante i stłukłem te wszystkie naczynia. Postawisz mi to w rachunku. A teraz idź śpiesznie po inne.

Wróciwszy do pokoju, zastaje Rytę, otwierającą żaluzje okien.

— I cóż! — woła: — samo niebo nie pozwoliło pani dać fałszywego świadectwa prawdzie.

Ale ona uśmiecha się tylko i mówi:

— Patrzmy na burzę!

— Pani chce otworzyć okno?

— Naturalnie. Cóż znaczy burza, oglądana przez szyby?

— Dobrze. Poczekajmy tylko, aż Raffaele

przyniesie nam drugą edycję stłaczonej tacy. Wtedy zgasimy światło i użyjemy widowiska w całej pełni. Nie potrzebujemy się obawiać, że kurtyna wcześniej zapadnie. To się zaniosło na długo. Słyszysz pani tę orkiestrę bałwanów?

— Słyszę. Wspaniała!

— O! Znowu piorun. Przewiduję trzecią edycję tacy.

Ale druga edycja zjawia się niewzruszona.

Raffaele, ustawiając ją na stole, przygląda się ukradkiem obnażonym stopom Ryty, która usiadła przy oknie i czeka niecierpliwie, aby sobie poszedł.

Jego tymczasem intryguje ich ciemna połyskliwa skóra, mająca w białym obramowaniu puszka jakiś dziwny, nie europejski koloryt.

— To musi być przebrana murzynka — myśli, owijając serwetą główkę butelki, i przekonanie to unosi z pokoju.

Oldaniecki zamyka za nim drzwi na klucz.

Sam nie wie dlaczego to czyni i, spotkawszy zdziwiony wzrok Ryty, miesza się trochę.

Nie był to przecież machinalny odruch z jego strony; chciał mieć tę pewność, że tu nikt nie wejdzie.

Ale Ryta nie czyni żadnej uwagi.

Oldaniecki pokręca elektryczną sprężynkę i salonik pogrąża się w ciemności.

Tylko języzek lampki spirytusowej płonie sino, oświetlając od spodu najbliższe przedmioty.

Zresztą nicustające falowanie błyskawic wlewa się do wnętrza, jakby jakiś fantastyczny, gdzieś

z zaświatowych źródeł nieskończonej jasności płynący, chwilowymi tamami przerywany nurt.

Burza wciąż rośnie.

Bałwany już nie ryczą, ale grzmia i wala w skałę, na której stoi „Rosa di Monte,“ jakby były kilofami tytanów, którzyby sobie postanowili zmienić kształt skorupy ziemskiej.

Gdy Oldaniecki otwiera okno, słone płaty piany morskiej, strzelające w górę, jak wodne fajerwerki padają im na usta.

Wicher jest tak gwałtowny, że gdyby połacie nie otwierały się do wewnątrz wyrwałyby je natychmiast.

Okno to, jak wogóle wszystkie takie okna równe z posadzką, posiada maleńki, wąziutki balkonik, a raczej trochę tylko wystającą balustradę.

Można się jednak na niej pomieścić, weisnąwszy się między futrynę a barjerę.

— Ach wyjdźmy!—woła Ryta.—Patrz pan, co za widoki!

Otula się rotundą z kapturem, rzucąc Oldanieckiemu swój pled nieprzemakalny i zamknąwszy za sobą szklane połacie, dla zabezpieczenia się od zbytniego przeciągu, stają oboje oko w oko z burzą.

Zrazu nawałnica oślepia ich i ogłusza.

Przyczepieni przezroczyście klamrą żelaza do muru, który zdaje się sam drżeć i chwiać, doznają wrażenia, jakby lada chwila mieli być porwani w wir i chaos.

Oldaniecki jedną ręką chwyta za balustradę, a drugą obejmuje Rytę i tak przytuleni do siebie odzyskują potrosze dech i wzrok.

Siła wichru maści nawet miarowe tempo ulewy, i miota strugami deszczu, jakby kto z góry wiadrem chlustał.

Gdy między jednym a drugim takim chłusnięciem rozjaśnia się nieco i oślepiający pęd powietrza, jakby wolnieje, Oldaniecki i Ryta widzą przed sobą już nie zatokę, lecz jakąś krainę niezgłębionych dolin i dziwacznych wzgórz, wzajem się po sobie przewalających.

Raz po raz wał takich potwornych kształtów rusza ze środka ku brzegowi i jest w tym jego przerażającym pochodzie jakaś, jakby uświadomiona determinacja niszczącej żądy; a piana, zabielająca jego rozwartą paszczę, wygląda, jak rząd kłów, zdolnych rozgryźć skałę, w którą zatopić się mają.

I gdy ta masa wody, odparta cofa się z niedającym się wyrazić harkotem wściekłości, zostawia po sobie na chwilę próżnię tak straszną, jakby naprawdę wkopała się aż gdzieś w posady ziemi, gdy rozbite jej szczątki zbiegają się z zajądłym pośpiechem, aby utworzyć nowy, jeszcze potworniejszy kształt.

W dali za Ischią na horyzoncie kształty te wyglądają jak wieże i gmachy jakiegoś fantastycznego miasta, które wciąż podnosi się z otchłani i zapada w nią na tle nieustających błyskawic.

A pośród tej grozy i dzikości — Wezuwjusz — jakby szal morza rozbudził i jego srogość — blazga ogniem i krwawymi tumanami, i zdaje się pęcznieć nadmiarem kotłujących się w nim wybuchowych sił.

Głęboka czarność nieba rzędzie dokoła niego szerokiem koliskiem i widać pędzące po niem w oslepłym popłochu kłęby chmur, jakby poblądłe z przerażenia od widoku, jaki we wnętrzu tej strasznej góry ujrzały.

Na brzegu ciche zazwyczaj Sorrento trzęsie się całe i trzeszczy.

Wskroś ryku i łomotu bałwanów lądowe te odgłosy odzywają się jak słabe kwilenie niemowlęcia w bojowych okrzykach mężów.

Słychać jednak chrzęst łamanych gałęzi w ogrodzie willi, szum szarpanej roślinności, kłopotanie okien i drzwi i świsty, dobywające się z kominów.

Tu i owdzie, w stronie mola, na plaży, gdzie śpią ciemne już zawsze w tej porze domki rybackie, widać migania światełek i raz po raz czarne cienie majaczące na piasku w blaskach błyskawic.

To rodziny rybaków, którzy tej nocy nie wrócili z połowu, w trwodze i męce patrzą na srogie morze, jak na wroga, z którym waleczyć jest niepodobieństwem.

Chwilami zdaje się Rycie i Oldanieckiemu, że w tej wyuzdanej wrzawie przyrody słyszą płacz i jęki ludzkie, ale zapewne jest to tylko złudzenie.

Nagle przypominają sobie opowiadanie Eduarda i myślą, że w taką noc klęski niejednemu z tych zabłąkanych na morzu rybaków, i niejednej z tych żon rozpaczających na brzegu musi budzić się w duszy pragnienie wywołania zbawczej wizji pięknej Carmeliny.

I oczarowywa ich wielka poezja tej dobrowolnej śmierci, zdobywającej bohaterskiej dziewczynie tak osobliwszą chwałę wśród swoich, tych swoich, wśród których za życia nie było dla niej miejsca.

Jak zapach niewidzialnego storeczyka napełnia sobą ekwatorjalny busz, tak dla artystycznych wyobraźni tych dwojga, woń tej sorrentyńskiej legendy przepaja całą burzę i staje się w niej dominującą nutą.

Po przez tumany deszczu, po nad szatańskimi harcami bałwanów, nianeczona na ognistych ramionach piorunów płynie złotowłosa postać, uśmiechnięta słodko, z wyciągniętymi jak do błogosławieństwa dłońmi.

Białe fałdy przejrzystej odzieży spokojnie owijają jej stopy; ani jeden włoszek nie porusza się u jej jasnego czoła, choć wkoło niej świat zdaje się wywracać.

Jest uosobieniem ciszy i dobroci w tem wszechrozwścieczeniu żywiołów.

Carmelina!...

Ona, która była za piękna, aby żyć na tej ziemi!...

Nie sobie wzajem nie mówiąc, oboje wiedzą doskonale, że myślą o tem samym, że, wpatrzeni w burzę, widzą w niej ten sam obraz, tylko dla Ryty twarz tej wizji jest poprostu piękną; bez żadnego określonego typu piękności, gdy fantazja Oldanieckiego nadaje jej w zdecydowany sposób rysy Ali!

Może dlatego, że ta jego złotowłosa żona jest także prawie za piękna na ten świat; może dlatego

go, że myślał o niej tyle dni wieczorem, siedząc przy biurku, w którym fotografia jej spoczywa zamknięta, że tęsknił za nią tak bardzo.

Tak — tęsknił.

On, który mając ją przy sobie w Warszawie, tygodniami wyteęzał myśl na stworzenie dzisiejszej sytuacji, na zdobycie sobie tych kilku tygodni bezwzględnego rozbratu!

A teraz—w samej pełni osiągniętego celu, pomimo, że niema w nim ani przesytu, ani wyrzutów samienia, pomimo pewności, że, skoro tylko zechce, wróci do żony, i tej drugiej pewności, że nie zgoła, ani w nim samym, ani z zewnątrz wzajemnego ich stosunku nie zepsuło, zatęsknił do niej, i to tak, jak się tęskni za czemś utraconem na zawsze.

I bezwiednie prawie, ulegając, jakby innej w sobie woli wziął pióro, aby do niej pisać.

Nie zdawał sobie nawet sprawy z tego, czy list ten wyśle; choć wiedział przecież, że obecnie musiała już być z jego matką w Meranie, i znał adres willi, w której były zamówione pokoje dla nich, i mógł to uczynić, skoroby tylko zechciał.

Ale on o tem nie myślał — czuł jedynie potrzebę pisania do niej.

Nigdy — nawet w czasach narzeczeństwa nie otrzymała od niego Ala listu tak pełnego miłości.

Poprostu wylewało mu się serce na papier w jakichś niespodzianych połączeniach wyrazów, pieszczących samem swem brzmieniem, jak pocałunki.

Było z nim tak, jakby błędził po łące tkliwości, i jakby zrywał nowe, cudne, nieznane mu do-

tychczas kwiaty uczucia, wyrastające tam co krok pod technieniem tej jego nagłej, bezmiernej tęsknoty...

A jednak, gdyby Ala mogła była list ten otrzymać i jednocześnie wiedzieć, w jakich warunkach był pisany, byłaby oszalała z bólu nad potworną przewrotnością swego męża i żadna siła ludzka nie byłaby nigdy przekonała o tej prawdzie, że on to wszystko pisał szczerze, że on to wszystko w danej chwili czuł, pomimo Sorrenta i pomimo Ryty Szemko.

Bo to jest tragedją większości życiowych zakwiałów, że zdradą i kłamstwem zdają się być czyny, które w gruncie rzeczy są jedynie żywiołowymi objawami złożonej i sprzecznych tajemnic pełnej natury człowieka.

Ale tego nie zrozumie nigdy żadne kochające serce, i ztąd, póki świat będzie istniał, dzieć się będą krzywdy, w których krzywdzący będzie równie niewinny jak pokrzywdzony.

I ztąd też Oldaniecki mógł z całą dobrą wiarą pisać swój list, a w kilka minut potem z taką samą dobrą wiarą mówić do Ryty miękko: „Złękło się burzy biedactwo“ i teraz obejmować ją wpół na tym balkoniku i czuć spotęgowany burzą i nocą zmysłowy powab tego objęcia i jednocześnie nie znajdować dla upostaciowania sobie „największej piękności“ innej twarzy, prócz twarzy swej żony.

Wszystko to było w nim, jest, nie przeszkadza sobie, — jest życiem.

Burza trwa.

Pioruny biją jeden po drugim, dając płomien-

nego nurka w morze; huk ich podawany od skały do skały krąży dokoła ryczącej zatoki, jak lew obiegający stado szakali.

Powietrze jest wciąż parne i pomimo wichru duszne, a słoność jego aż szczypie.

— Nie mogę oddychać—mówi Ryta, odrzucając kaptur—i pić mi się chce.

Oldaniecki przynosi wino z pokoju i pod osłoną pledu napełnia szklanki.

Ich słone opierzehłe usta z rozkoszą zanurzają się w chłodzącym napoju.

Nigdy żadne wino nie miało tak wybornego smaku, jak to spumante, które piją do taktu piorunom.

Niezadługo pasta batelka leci w morze.

— Pierścień Polikratesa! — śmieje się Ryta.

Oldaniecki śmieje się także.

— Biedny ze mnie Polikrates! Najcenniejszym klejnotem w moim skarbcu jest — według pani — pasta batelka.

— A co jest najcenniejszym klejnotem w skarbcu pana? — zapytuje Ryta nagle.

Patrzy mu bystro w oczy, i choć pytanie rzucone jest żartobliwie, w głosie jej dźwięczy jakaś namiętna nuta.

Jego to zastanawia.

Nie pierwszy to już raz miga przed nim błyskawiczny rys czegoś nowego w indywidualności tej kobiety, którą, zdawało mu się, że poznał dobrze, i napełnia mu żyły szczególnym dreszczem.

Nie może dobrze widzieć w tej chwili jej

twarży, ale jest prawie pewny, że zarumieniła się tak, jak na Capri i w grotach.

Odpowiada jej wszakże z taką samą pozorną żartobliwością:

— Pani bardzo ciekawa?

— Bardzo.

— Ale czego? Czy tego, co w moim skarbcu najbardziej kochem, czy tego, co w nim jest najwięcej warte?

— Co pan najbardziej kocha.

— Pani wie... a przynajmniej powinna pani wiedzieć.

— A... więc swoją sztukę?...

— Tak! Moją sztukę—odpowiada Oldaniecki poważnie.

Ryta zwraca się z wolna twarzą ku morzu.

Coś nieznacznie podnosi jej pierś, jakby westchnienie ulgi.

On zgaduje, że lękała się, aby jej nie odpowiedział: „Kobietę“ i że myślała o jego żonie.

Zdarza się to po raz drugi dopiero, odkąd są razem w Sorrento, wogóle odkąd się znają.

Tylko owa, jakby zazdrość, którą okazała z przyczyny wachlarza, była raczej przekorą podrażnionej próżności, a teraz—jest to zupełnie co innego.

Czyżby zatem?... Czyżby?...

Nie jest pewny; tem bardziej, że nie jest popolitym łowcą miłosnych awanturek; nie byłby jednak mężczyzną, gdyby go nie zdjęła ciekawość zajrzenia w to kobiece serce o którym wie, że było dotychczas zamknięte na wszystkie rygle,

a które, jak mu się zdaje, otwiera się teraz... dla niego.

Więc, stojąc za Rytą, obejmuje ją znów i zlekka, bez jednego słowa, do siebie przyciąga.

I musi być coś odmiennego w tym ruchu, bo ona, która przed niedawną chwilą pozwalała, aby ją trzymał w podobny sposób, wyrywa mu się teraz gwałtownie i wbiega do pokoju.

— Mam dosyć burzy!—woła, rzucając na dywan mokrą rotundę. — Niech pan zamknie okno. Mam jej dosyć!

Osuwa się na szeslong i ręce nad głową zakłada.

Maszynka dawno zgasła od przeciągu. Oldaniecki zapala ją ponownie, i widzi twarz Ryty, bardzo bladą i dziwnie w tem niskiem oświetleniu skurezoną, jej czoło cofnięte w cień i oczy płonące nienaturalnym ogniem.

Widzi przytem, że usta ma spieczone i drży na całym ciele.

— Pani przemokła? — mówi, pochylając się nad nią.

Dotyka ręką lekkich muslinów i czuje przez nie wibrujący żar jej atłasowych ramion.

— Nie! Nie!

Odpycha go prawie, wzdrygnąwszy się pod jego dotknięciem, jakby ją sparzyło.

Oldaniecki chce odkręcić elektryczność, ale ona wstrzymuje go niecierpliwem: „Nie chcę“ i pozostają w zmroku, zdani na łaskę spirytusowego płomyka i coraz radszych błyskawic.

Za oknami ulewa ustaje; wicher za to i bałwany szaleją z niezmordowaną wściekłością.

Ryta patrzy w milczeniu, jak Oldaniecki krząta się koło przyrządzenia kawy.

Śledzenie jego ruchów sprawia jej zawsze ogromną przyjemność; są tak szlachetne i pełne ciągnącego oczu wdzięku.

Więc po części dlatego, że wilgoć ją istotnie przejęła i, mimo zewnętrznego rozpalania, drży w niej utajonym chłodem, a po części dlatego, że by on jej nalewał i podawał, Ryta wypija jedną filiżankę kawy po drugiej.

Oldaniecki nie zostaje w tyle i maszynka wypróżnia się szybko, chociaż jest to naczynie rodzinne, potężne, którego zawartość mogłaby znarkotyzować kirasjera o nerwach tak hartownych, jak jego pancerz.

Oni zaś są przy tem jakby zaczadzeni burzą, której odorzających wyziewów nałykali się na balkonie; w żyłach szumi im jeszcze cheiwie wypite, chłodne jak lód, wino, i ta głęboka noc, i to przedłużające się czuwanie, i to wszystko razem wzięte sprawia, że sami nawet nie oceniają, jak dalece—zachowując całą samowiedzę swych słów i czynów—stracili wszelką nad nimi kontrolę.

Popadli w stan, w którym pobudliwość wrażliwości wyrafinowyywa się kosztem zupełnego stępienia na wszystko, co nie jest chwilą obecną, i w którym prawdziwe ja człowieka, krępowane zazwyczaj tysięcznemi względami, bierze odwet za swoją niewolę i żyje bujnie.

W takich chwilach artysta tworzy z natchnie-

nia, bohater się poświęca, uciemieźony sięga po zemstę, zdobywca zwycięża; w takich chwilach także niewinna dziewczyna upada, gdy kocha...

Jakiegokolwiek zaś są następstwa chwil takich; błogosławione czy przeklęte, one same są zawsze piękne, jako bezpośredni, szczerzy objaw życia, i cześć im się należy.

.

Spirytus pod maszynką gaśnie: Oldaniecki zapala świecę i stawia ją na stoliku w kącie, sam zaś siada na dywanie u stóp Ryty, opierając łokcie o brzeg szeslonga, na którym ona wespół leży z palcami zatopionymi we włosach.

Druga jej ręka kryje się w fałdach muslinów.

Oldaniecki wyszukuje ją delikatnie i położywszy sobie na dłoni, przygląda się w milczeniu jej dużej, kształtnej sylwetce.

Ryta patrzy w sufit i zdaje się tego nie uważać, tylko usta jej drżą coraz silniej.

— Ręka pani tak wygląda, jakby chciała coś powiedzieć—zaczyna po długiej chwili Oldaniecki.— Od całej istoty pani idzie do mnie to wrażenie... Zupełnie, jak kiedy patrzałem na sfinksy nad Nilem. Bo... to nadzwyczajne, ile pani ma w sobie egipskiego... Zwłaszcza tak, widziana z dołu, w tem skróceniu...

Ryta uśmiecha się.

— To wcale nie dziwne... Przecież moi przodkowie macierzyści byli tak długo w niewoli u egipcjan... Może która z moich prapraszczurek ko-

chała się w sfinksie i atom tej miłości krąży w moich żyłach.

— Co za genealogia. Ale ona dla pani bardzo stosowna. Gdyby Heine żył, napisałby do pani wiersz: „Jam jest ta z rodu sfinksów...“ Achl tak mi się żąda w tej chwili muzyki słowa... Czemu pani milczy? czemu pani nie improwizuje, kiedy to w pani drży, jak ów atom sfinksowej miłości?...

— Zkąd pan to wie?

— Widzę... wyczuwam. Pani cała pulsuje melodją myśli. Pani ta burza weszła w mózg; każdy z tych piorunów uderzał w śpiewną wyobraźnię pani jak męski rym... uderza w tej chwili... Słyszysz pani?

Przeciągły huk, słabszy od poprzednich, jak okrzyk wypadający ze zmęczonej już wołaniem piersi, rozlega się w pokoju.

Oldaniecki zmienia postawę siedzącą na klęczką i zarzuca jedno ramię w poprzek szesłaga na jego poręcz, przygważdżając w ten sposób Rytę do miejsca.

Gorący jego oddech muska przez lekką tkaninę jej śniade piersi.

Ona zwolna odrywa wzrok od safitu i zdaje się gonić nim milknące echo groma.

Usta jej poruszają się kilkakrotnie i widać przez chwilę, jakby wewnętrzne namiętne pasowanie się całej jej istoty.

Nagle oddycha głęboko, oczy jej zatapiają się w pięknej, rozmarzonej twarzy Oldanieckiego i przy akompaniamencie ostatnich pomruków grzmotu poezyna mówić:

Słyszysz ten grom?... Żywiółów wrogie moce
Zacięty bój, jak toczą za oknami?...
Jak wichur dmie, i morze jak łomocę
I wulkan wre... a my wśród tego samit!...

— Samit — powtarza Oldaniecki.

Ramię jego zsłusza się z poręczy szeslonga
i opasuje leżącą postać Ryty.

Ją przebiega znów dziwny, niemal spazmatyczny dreszcz pod tem dotknięciem; nie odpycha go jednak tym razem.

Ryta mówi dalej:

Czujesz ten czar, płynący z dusz rozkwitu,
Jak złoci nam doczesne, znojne czoła;
Jak w górny lot rozpina skrzydła bytu
I woła: „żyj“ i „kochaj! kochaj!“ woła.

Ach! mija czas; rozstania przyjdzie pora
I skończy się, to krótkie życia święto;
To dziwne dziś, bez jutra i bez wczora,
Pamiętać chciej! pamiętać chciej Sorrento!

Głos jej łamie się, mięknie i perli się słodyczą,
jak kwiat poranną rosą.

Nigdy, nawet na scenie, gdy przedzierzgała się
w najtkliwiej szepczące kochanki, Oldaniecki nie
słyszał u niej takiego głosu.

Upojony, klęczy przed nią, coraz ciałniej oplatając
ramieniem jej ciało, które zdaje się samo
bezwiednie garnąć w ten uścisk.

— Mów! mów dalej — wybiega mu z ust prosząco. — Powiedz wszystko!

— Wszystko! — powtarza Ryta. — Wszystko?

Unosi się do połowy na szeslongu i opiera
obie ręce na ramionach Oldanieckiego.

I przez wargi jej, bardziej niż kiedykolwiek do spalonego słońcem owocu podobne, płyną słowa ciche, pieściwe, wonne, niby róże polne, sypiące się z dziko rosnącego krzewu:

Więc powiem ci: To tylko prośba mała,
Niosę ci ją w wyznaniu moc zaklętą;
Pamiętać chciej, żem ciebie tu kochała,
W tę gromów noc... w czarownem tem Sorrento!

— Ryto! — wykrzykuje głucho Oldaniecki.

Inny na jego miejscu, usłyszawszy takie wyznanie od takiej kobiety, zapłonąłby tryumfem, a mając ją tak blisko w ramionach, bierną i niemal zdającą mu się na wolę, byłby pocałunkami święcił zwycięstwo swoje na tych zawsze szyderskich, hardych ustach.

Jego przecież to tylko oszałamia, a nawet wprost przygnębia.

Ta, niespodzianie ujawniona, miłość nie budzi oddźwięku, ani w jego sercu, ani w jego wyobraźni, ani nawet w jego zmysłach.

Przeciwnie.

Jak płomień nagle zdmuchnięty, tak gaśnie w nim namiętna żądza „dowiedzenia się,” która paliła go jeszcze przed chwilą, gdy klęcząc u stóp Ryty, szeptał błagalnie: „Mów! powiedz wszystko.”

Teraz zaś, gdy przemówiła, gdy powiedziała „wszystko,” spada na niego jakby ciężar odpowiedzialności za te wymuszone na niej słowa.

A przytem — one padły tak dziwnie!

Wszak nie rzekła mu wręcz „kocham.”

Kazała mu tylko pamiętać, gdy „minie czas,”
że go kochała.

Więc sama niejako odsądziła tę miłość swoją
od wszelkich praw terażniejszości, sama ubrała ją
w chłodne ementalne barwy kwiatu, wyrastającego
na mogile wspomnień.

Takich kwiatów się nie zrywa, na takie kwiaty
można tylko patrzeć w ciełej kontemplacyjnej za-
dumie.

Wysubtelizowana wrażliwość Oldanieckiego
chwyta w lot tę różnicę i zastyga natychmiast.

Głowa jego chyli się w milezeniu i opada
ciężko no kolana Ryty.

Ona siedzi nieruchoma, nie zdejmując rąk z je-
go ramion, z ustami w półotwartymi, na których
ten ostatni wyraz „Sorrento“ zdaje się drzeć je-
szcze konającą, echową nutą.

Patrzy na tę piękną, dumnie zarysowaną gło-
wę, przywartą do swoich kolan, i przez delikatną
tkaninę czuje chłód skamieniałych warg, dotykają-
cych martwo jej pałającego ciała.

Z czucia, w jakim oboje są zanurzeni, twarz
jej wychyla się blada, jakby jakimś wewnętrznym
światłem przepojona, i ma szczególny wyraz: szczę-
śliwego bólu.

Zdaje się cierpieć, a jednocześnie promienieje.

Zwolna jedna z jej rąk podnosi się i zaczyna
przesuwać po falistych włosach klęczącego męż-
czyzny.

Jest jakaś automatyczność w tej pozornej
pieszczocie; coś, co przypomina ruchy rąk po koł-

drze, jakimi umierający zdają się żegnać całe swe minione życie, zapadające w nicłość...

I stopniowo, bez jednego słowa, bez jednego poruszenia, nic, tylko z tej machinalnej wędrówki jej dłoni po jego włosach, zstępuje na nich wrazenie końca i spowija ich swym fatalistycznym całunem.

Wiedzą, wiedzą tak dobrze, jakby wszystko, co by się dało o tem rzec, sobie rzekli, że się rozstaną, że się rozstać muszą, że w tej samej chwili, kiedy on wstanie z klęczek, a ona z szeslonga, i spojrzą na siebie, pęknie ta dziwna nieujęta nić, która ich jeszcze wiąże, i że będzie po wszystkim...

I rzeczywiście, cóż mogłoby być pomiędzy tą kobietą, która o swojej miłości mówi, jak o czemś, co było, do mężczyzny, o którym wie, że jej nie kocha, że jej nie kochał nigdy; a tym mężczyzną, który jest zanadto artystą, aby, nie mogąc takiego wyznania odwzajemnić sereem, płacić za nie zmysłami, i który... kocha inną!

— Ja rano wyjadę—mówi wreszcie Ryta spokojnie.

Oldaniecki nie podnosi głowy, nie okazuje żadnego zdziwienia, ani chęci protestowania.

— Rano—powtarza tylko głosem stłumionym przez fałdy jej szlafroka.

— Tak. Kiedyś zawsze musiałam jechać.

Zdejmuje dłoń z jego głowy; przykłada ją na chwilę do ust i głęboko wciąga w piersi powietrze, a razem z niem subtelny, orzechowy zapach jego włosów.

To jest wszystko..

— Pożegnamy się teraz—mówi znów, tym samym spokojnym głosem.

Oldaniecki wstał i patrzy na nią.

Stanowczo wydaje mu się inną, zupełnie inną...

— Nie pozwoli się pani odprowadzić?

— Gdzie? Dokąd? — zapytuje Ryta.

Jest w jej tonie dawna, nieco drwiąca nuta, ale jest przytem wiele objawiającego się otwarcie smutku.

On przeciąga ręką po czole.

— To prawda. Powiedziałem niedorzeczność. Przepraszam panią.

— Niech pan nie przeprasza... Zupełna „dorzeczność“ ze strony pana w tej chwili byłaby mi może przykra...

Innal... Zupełnie innal

Podniosła się także i stoi przed nim, doskonale harmonijna w linii jak zawsze, ale stalowa sprężystość jej kształtów jakby stopniała w jakimś miękkim, słodkim obezwładnieniu.

W słabem półświetle coś błyszczy na jej długich rzęsach; coś widocznie ciężkiego, bo jej ciemne powieki opuszczają się ku dołowi.

Oldanieckiemu żywo przypomina się ta pierwsza chwila przyjazdu, kiedy stali tak naprzeciwko siebie, na tem samym miejscu, i milczeli jak teraz.

Tylko wtedy po za nią rozpinał się złoty wachlarz zachodzących promieni słońca i była wonna, upajająca cisza w powietrzu, i to był początek; a teraz po za nią ściele się czarny mrok, i hulają rozwyrzone żywioły i — to jest koniec!

Rozpaczliwy, niemęski żal zesnurował mu gardło.

Dlaczego — koniec?

Dlaczego biernie opuszcza ręce? dlaczego pozwala, aby zgasła ta iskra, która padła przed nim, zamiast silnem tehniem rozdmuchać z niej pochodnię nowego świta?

Wszak jeszcze przed niedawną chwilą to było w jego moey... wszak to tylko zależało od tego, co w nim mogło zawrzeć, a nie zawrzało!...

Ale chwila ta minęła i teraz już... koniec!

Raz jeszcze — dlaczego?...

Jest-że to u niego ta sama anemja twórcza w życiu jak w sztuce, ta hydra przeklęta, która dotychczas żarła jego duszę artysty, a teraz poczyną żłopać jego ciepłą krew człowieka?

Tymczasem Ryla podnosi oczy, z których spadło owo „coś ciężkiego“ i lśni teraz na jej policzkach; i patrzy na niego ze skupioną uwagą, jak ktoś odczytujący cenną i drogą treść.

Widocznie odczytuje wszystko, widocznie nie jej nie jest skryte, ani nie rozumiało z tego, co krąży pod czaszką i miota się w duszy stojącego przed nią tak martwo mężczyzny.

Po chwili sama zbliża się ku niemu, bierze jego rękę w obie dłonie i przyciąga do piersi.

Oldaniecki czuje, jak serce jej bije mocno, mocno — i prędko, zdaje mu się, że go te uderzenia piętnują.

A ona — zaczyna mówić.

Głos jej znów perli się słodyczą, smutną i spo-

kojną, która jest w niej czemś tak zupełnie nowem i czyni ją tak zupełnie obcą:

— Musiało się tak stać, jak jest. Daliśmy sobie wszystko, cośmy sobie dać mogli. Umiejmy rozzejść się w porę. To jest także artyzm. Nie sądź pan, że jestem zawiedziona, lub że mam żal do ciebie. Przeciwnie... Ja tylko właśnie tak... i tylko takiego właśnie jak... ty!...

Urywa.

Jeszcze prędzej, jeszcze mocniej bije jej serce pod dłońią Oldanieckiego.

I mówi dalej:

— Może to zostanie... Może kiedyś stworzysz pan piękną książkę, a ja, czytając ją, powiem sobie, słusznie lub niesłusznie: To kwiat Sorrenta! Może kiedyś ujrzysz mnie na scenie i usłyszawszy w głosie moim nowe akcenty, dostrzegłszy w mych oczach nowe blaski, powiesz sobie: To Sorrento w niej żyje. Może... Jakkolwiek bądź na tej już tylko drodze szukać się i odnaleźć możemy. Po za tem... ja tu ciebie żegnam na zawsze!... Ach!

Głos jej łamie się ostro, namiętnie; twarz kureczy się nagle, dawny żarłoczny wyraz przebiega po niej jak płomień, którego upał owiewa blade czoło Oldanieckiego.

Palce jej cisną jego rękę z taką siłą, jakby wtłoczyć ją chciały w to serce, tak niespodzianie zbudzone.

Przez jeden moment zdaje się stać cała w atmosferze jakiegoś ognia, płonąć jakąś szaloną, nad wszystkiem tryumfującą żądzą.

Wnet jednak, wpraw nim ten żar jego zdą-

żył przeniknąć, dłonie jej rozplatają się, opadając wśród fałdów szlafroka.

— Odejdź już—mówi spokojnie i stanowczo.—
Odejdź.

I on — bez jednego słowa — odchodzi.

Za oknami burza oddala się warezając jeszcze głucho, jak zły pies, który nie może kąsać.

Taką jest noc miłosnego wyznania Ryty Szemko.

.

V.

Po wyjściu od Ryty, Oldaniecki zatrzymuje się chwilę w westybulu.

Ma wrażenie, że minęły lata, kiedy stał na tem samym miejscu.

Jest zbolaty i dygocący fizyczną i duchową nadształtością.

Jakiś nieprzewyciężony wstręt odpycha go od przestąpienia progu własnego pokoju.

Zdaje mu się, że te cztery, milezące ściany czyhają tam na niego, i skoro tylko znajdzie się wśród nich, zacisną mu się dokoła szyi jak obroża i zdławią.

Rozsadza go szalona potrzeba przestrzeni i ruchu.

Myśli, że nie przyniosłoby mu takiej ulgi, jak otwarcie się przed nim jakiegoś szerokiego, równego gościńca, którym danoby mu było iść, iść bez końca.

W instynktownem poszukiwaniu tej algii, zbiega po ciemku na dół.

W willi wszysey, oswoiwszy się z burzą, posnęli znowu; chwilowo zalega względna cisza.

Ale gdy Oldaniecki odmyka drzwi wchodowe, omackiem na klucz w zamku natrafiwszy, uchodząca nawałnica, jakby odwróciła się nagle i uderza w niego jak taranem falą rozkottłowanego powietrza, obalając go prawie.

Oszołomiony, bez tchu w piersiach, chwytając za oddrzwia i nie może się zorientować w miejscowości.

Ten śliczny, wesoły dziedzińczyk „Rosa di Monte,” zalany wysoko wodą, łyska na niego w pomroce, jak bezdeń złowroga.

Sylwety otaczających go drzew szamocą się w drgawkach, które nadają im jakieś ludzkie i zwierzęce kształty:

Jednym wieher wykręca gałęzie niby podniesione ku niebu rozpacznie, długie ramiona, innym przygina je ku ziemi na podobieństwo skrzydeł rozjuszonego ptaka.

Strzaskana przez piorun oliwka położyła się wpoprzek podjazdu i zagradza drogę, jak trup nieruchomo sterczący.

A tam w dole niewidzialne morze zdaje się ześrodkować całą swą prawnieczną nienawiść lądu na ten kawałek skały, z takim impetem prą w niego bałwany, opluwając go płatomianian, które fruują wśród drzew, jak zbłąkane mewy.

Przygnana nawrotem burzy chmura rozplywa się nową, gwałtowną ulewą.

Nie sposób nawet zamarzyć o wyjściu.

Z uczuciem ściganego zwierzęcia, któremu nagle przecięto dalszą ucieczkę, Oldaniecki cofa się do przedsionka i ciężko wstępuje na schody.

Znalazłszy się w swoim pokoju, zaczyna prędko i nieustannie chodzić, aż do zupełnego zawrotu głowy.

Wtedy upada na krzesło i pozostaje tak czas jakiś w stanie martwego niewiadu.

Zwolna jednak powraca mu świadomość, i natężenie jej kieruje się na ścianę, przedzielającą go od sypialni Ryty.

Cisza — nie słyszeć żadnego, najlżejszego szmeru.

— Musi być w tamtym pokoju — myśli Oldaniecki. — nie ruszyła się z miejsca.

Wyobraża ją sobie leżącą na szezlongu, jak wtedy, gdy klęczał przed nią, wpatrzony w jej skurczoną twarz sfinksa.

Co ona czuje teraz?

Jakie słowa krążą po za temi zamkniętymi ustami, które mu powiedziały: „Odejdź!”

Coby rzekły teraz, gdyby się znowu otwały?

— Dlaczego tam tak cicho? — powtarza sobie Oldaniecki. — A jeżeli zemdląca? Jeżeli chora?

Cheiałby pójść, dowiedzieć się; rozumie jednak, że troskliwość jego w tym przypadku łatwo mogłaby okazać się niewczesną i raniącą.

Zresztą w tej samej chwili dolatuje jego uszu lekkie stuknięcie klamki i stłumiony odgłos kroków po dywanie.

Zrywa się z krzesła i zaczyna nadśłuchywać.

Zrazu szelesty, które łowi, nie ma nie mówią; wnet jednak znaczenie ich staje mu się jasnym.

Słyszy otwieranie szafad, przesuwanie sprzętów, skrzyp drzwi w szafie, chrzęst jedwabi i bibułek.

— Składa rzeczy — myśli z nagłym, dziwnym chłodem pod czaszką.— Pakuje się.

W tej chwili dopiero to wszystko, co się stało, nabiera dla niego jaskrawej mocy faktu.

I podnosi się w nim gwałtowny protest i jakaś wprost paniczna odraza do dnia, który ma nastąpić po tej nocy.

Nie umie sobie wyobrazić, jak go przebędzie, jak nie umie sobie wyobrazić Sorrenta bez Ryty.

Ono jest z nią tak ściśle związane, tak wszystko w niem do niej się zwracało, począwszy od tej pierwszej chwili, kiedy tu przyjechał, kiedy wynajmował pokoje w „Rosa di Monte“ i stroił je na jej przyjazd, że chcąc rozdzielić te dwa pojęcia, doznaje literalnie fizycznego bólu, jakby się w nim coś darło.

O! jak płasko, jak marnie płaczą się nieraz najdelikatniejsze odcienie naszego duchowego bytu z wymaganiem egzystencji materialnej!

Oldaniecki czuje, że oddałby rok życia, gdyby mógł w tej chwili, jak stoi, uciec ztąd, nie zobaczyć już nigdy tej jadalni, tego tarasu, Raffaela, Assantyl

W tę burzę, w tę wichurę, w tę ciemność, piechotąby uciekał, byle tylko nie zostać tu, gdy jej już nie będzie.

Ale on tego uczynić nie może: on, człowiek

niby wolny, takiego drobnego czynu spełnić, gdy chce, nie może!

On musi, z kipiącą duszą, doczekać się dnia, aby załatwić rachunki z padronem i rozdzielić napiwki pomiędzy służbę.

Rachunki! Napiwkil

Jakie to wstrętne i nędzne!... a jakie mocne w swej odrażającej rzeczywistości!

Za ścianą coś upadło.

Tępy brzęk szkła, rozbijającego się przez dywan o kamienne tafle, wstrząsa nerwami Oldanieckiego i znów go ku drzwiom popycha.

Może słabo jej się zrobiło; chciała napić się wody, i szklanka z rąk jej wypadła, a teraz ona sama leży tam bez czucia i bez ratunku.

Nie! ależ nie!

Śmieszny jest ze swemi obawami.

Oto znowu słyhać jej kroki.

Jak spokojnie i pewno stąpa!

Przekręca jakiś klucz w zamku...

Prawdopodobnie zamknęła kufer, wypakowany porządnie poskładanemi rzeczami.

Teraz zapewne spojrzy na zegarek i zobaczywszy, że ma jeszcze kilka godzin czasu, wyśpi się przed drogą.

Po raz pierwszy w stosunku do Ryty odzywa się w Oldanieckim próżność męska.

Gdyby mdlała i robiła sceny, wydałaby mu się niesmaczną i niewątpliwie zraziłaby go do siebie. Rzadko kiedy zachwyty mężczyzny, cucącego zemdloną kobietę, wychodzą z tej czynności obronną ręką: coś z nich ulatednia się zawsze razem z trzeź-

więcami solami. Swoją drogą, Oldaniecki ma do Ryty jakby rodzaj urazy, że tak spokojnie i praktycznie załatwia się z sytuacją.

Ale — wszak ona sama ją stworzyła.

To, co się dzieje, dzieje się tak, jak ona chce, nie on.

Ona powiedziała mu: „Rozejdźmy się;“ ona jest stroną narzucającą, a on znoszącą.

I to jest drugi cierń...

Coś go kusi odwrócić ten upokarzający porządek rzeczy.

Coś go kusi wpaść tam, do jej sypialni, pomiędzy te przygotowania do odjazdu, porwać ją w objęcia i zawołać: „Zostań!“

Wie, że gdyby to uczynił żywiłowo, szczerze; gdyby to: „Zostań!“ było krzykiem jego serca — zostałaby!

Pamięta łzę, która spadła z jej oczu; pamięta jej skupione spojrzenie, jakim zdawała się szukać na jego ustach tego wyrazu.

On wtedy stał przed nią, jakby skostniały w biernym, fatalistycznym przejmowaniu idącej na niego konieczności, i — chwila minęła.

Ale może wrócić!

Fałszem jest, że chwila minioną nie wraca.

Zależy to jedynie od wskrzeszającej potęgi naszego ducha.

I znowu słyszy szelest...

Tym razem zdaje mu się, że kroki podeszły tuż pod ścianę jego pokoju.

A więc myśli o nim; nadśłuchuje także...

Może walczy z sobą; może, podobnie jak

w nim, okrzyk: „Zostań!” tak w niej nartuje w tej chwili okrzyk: „Wróć!”

W dwóch cichych skokach Oldaniecki jest przy ścianie, i przykładą głowę do cienkiego przepiczenia.

Serce tłucze mu się gwałtownie w piersiach; krew zalewa oczy.

Coś idzie od tej ściany, po za którą odgaduje postać Ryty — coś jakby ciepło jej śniadego ciała, jakby woń jej dzikich włosów, jakby falowanie jej wół obnażonych piersi.

Potężny, zmysłowy prąd sączy się przez te martwe deski w jego żyły.

Po raz pierwszy brutalne, fizyczne pożądanie tej kobiety ogarnia, jak pożar, całą jego istotę.

Przed godziną miał ją w objęciach, taką właśnie, jaką ją sobie wyobraża teraz — i zwierzę spało w nim nieczułe, aż nagle... nie poznaje sam siebie.

Szyderskim, mefistofelowskim zgrzytem przewija się przed nim wspomnienie tych kilkunasta dni, spędzonych z nią pod jednym dachem, w nie-tykalności dzielącej ich przegrody.

Ta ściana!

Patrzy na nią, i zdaje mu się, że ta jej papierowa cienkość, którą niemal uderzeniem pięści możnaby przedziurawić, natrzęsa się z niego:

— Głupił głupił

Postępował z nią jak z dziewczeczką, będącą w fazie obrywania listków stokrotki, w celu dowiedzenia się: czy lubi kocha, czy nie kocha?...

Z nią! Rytą Szemko, aktorką, w której żyłach
płynie gorąca, semieka krew!

Nie dziwnego, że odjeżdża.

Każda kobieta zbrzydziłaby sobie takiego
idjotę.

Ale on jej tak nie puści!

Dla siebie i dla niej samej nie puści jej tak.

Wszak wie, że go kocha.

Wszak czuł war, jakim oblewały się jej atłasowe ramiona pod dotknięciem jego dłoni! Wszak widział drżenie jej głodnych ust, łaknących pocałunków.

A więc... a więc!

Ambicja męska i żądza rozpętały się w nim, jakby biorąc odwet za tak długie lekceważenie swoich praw.

Mgła czerwona kłębi mu się przed oczyma... wszystko znika, pochłonięte przez zmysłową wizję upojenia w objęciach tej kobiety.

Raz jeden, raz jedyny ogarnąć uściskiem te stalowe kształty, siłą namiętności przemienić je w giętkie narzędzie rozkoszy, na tych zawsze utajonych ogniem spalonych ustach własny żar ugasić, zapamiętać się w szale i mieć choć tę jedną purpurową chwilę, w której z nich będą nie jak dotychczas, jakieś filozoficzne małże, lecz dwie żywe, w słońcu życia pławiące się istoty.

A potem?

Ach! przez z tą ślamazarną, nędzną zmorą, z tem głupiem straszylłem każdej piękniejszej terazniejszości.

Wszakże i tak nie miało być żadnego „potem.“

A więc, z wolą jej, czy bez woli, niech będzie jakieś „teraz!”

Oldaniecki już zupełnie sobą nie władnie.

Jest straszny.

Silnem pehnięciem odsuwa szafę, zastawiającą drzwi wewnętrznego połączenia.

Są zamknięte, klucz tkwi po tamtej stronie.

To drobnostka; jeżeli Ryta nie zechce ich otworzyć, to je wywali.

Przychodzą na niego takie chwile, w których nie cofa się przed niczem.

Próbuje jednak naprzód zawołać:

— Ryto! — Głos wychodzi mu z gardła zdławionym świstem. — Ryto! Otw...

Urywa, i z ręką na klamce staje jak wryty.

Co to?...

Po tamtej stronie rozmawiają.

Czy go słuch nie myli?

Nie; najwyraźniej Ryta mówi do kogoś; mówi spokojnie, miarowo, jakby coś objaśniała.

Odpowiada jej zaspany głos Assanty.

Ten drobny fakeik — to jedno nie — jak kubeł zimnej wody, wylany na głowę, otrzeźwia momentalnie Oldanieckiego.

Ha! Ha!...

Rzecz tak piekielnie ironiczna, a przecież tak prosta.

On tu płonął, szalał; wolno mu było.

A ona?

Ona — rozsądna kobieta — zadzwoniła na służącą i wydaje jej stosowne rozporządzenia co do swego wczesnego wyjazdu.

Ha! ha! Czemu i on nie miałby pójść za jej przykładem?

Zbudzi Raffaella, zbudzi padrona, zapłaci co się należy, za jaką bądź cenę każe sobie natychmiast sprowadzić powóz, i—do Castellamare!

Ze zdwojoną siłą wraca mu chęć wyrwania się ztąd, ubiegnięcia Ryty w opuszczeniu tego, raptem znieawidzonego, miejsca.

Już trzyma palec na gaziku elektrycznym — i ręka mu opada.

Niel on tego uczynić nie może.

Jemu nie wolno kompromitować kobiety, choćby tylko w oczach włoskiego hotelarza i jego służby.

Jej za to służy prawo ośmieszyć go.

Oldaniecki ściska lekceważąc ramionami.

Następuje w nim gwałtowna reakcja.

Jest mu wszystko jedno.

Czuje tylko nieprawdopodobne znażenie i raptowną pustkę w mózgu.

Chwiejąc się na nogach, jak człowiek chory, dowleka się do łóżka, rzuca się na nie w ubraniu i w jednej chwili zapada w sen głęboki, jak przepaść.

.

Szare, przykre światło sączy się leniwie przez niedomknięte żaluzje i napełnia pokój jakby chmurą rozpylonego popiołu.

Oldaniecki otwiera niechętnie oczy i unosi ociężałą głowę z poduszek.

Machinalnie spogląda na zegarek: jest dziesiąta.

Nigdy jeszcze w Sorrento nie spał tak długo i nigdy nie czuł się tak znudzonym.

Jest mu tak, jak po nocy, spędzonej w przepelnionym wagonie.

Spogląda na swoje pogniecione mankiety, które mu się powrzymały w ciało, dotyka ręką obolałej od sztywnego kołnierzyka szyi i nie pojmuje, co go skłoniło spać w tak niewygodnych warunkach.

Zaczyna też zwracać jego uwagę ogromna, rozwleczonej dokoła niego cisza.

W „Rosa di Monte“ jest zawsze cicho, dziś jednak ma to w sobie coś wyjątkowego.

Może ucho pełne jeszcze ech wczorajszej burzy stało się wrażliwsze na ten ogromny spokój, w którym zdają się błąkać martwota i opuszczenie.

Nic... nie... żadnego szelestu; tylko za oknami zduszony, ciężki szum fal, także jakby obumarłych.

I Oldaniecki przypomina sobie.

Tam — przez ścianę była zawsze ona... Ryta Szemko; a teraz jej niema.

Wyjechała—i to brak jej niewidzialnej obecności napełnia tę ciszę taką melancholją i pustką.

Oldaniecki otwiera szybko żaluzje.

Niema zatoki, niema krasnego pasa Neapolu i wdzięcznych miasteczek — niema Ischii dalekiej; niema nic; jest tylko bezbrzeżny, szaro-żółty step wodny, ciężką płachtą mgły zaciągnięty, po przez którą widmowo majaczą zmalale, rozlane kształty Wezwajusza.

Prawie tuż pod willą dziwny widok.

Gniazdo ptasie, zapewne burzą z nadbrzeżnego drzewa oderwane, płynie wolniutko ze sterującą jak nastawiony żagiel gałązką, a nad niem, wrzeszcząc rozpaczliwie, krąży biało brzuszna czajka.

Gdy ruch fali przechyla je w stronę okna, widać na dnie bielące się jajka.

Oldanieckiemu robi się żal tej matki-czajki i tych pisklących skrzydełek, sformowanych już może pod skorupką, które nigdy nie rozwiną się do lotu.

I to wszystko dokoła takie ponure, brzydkie, smutne, ołowiem spadające na duszę.

Zniechęcony odstępuje od okna i zaczyna się szybko przebierać; poezem dzwoni na Assantę.

Dziewczyna zwykle na ten znak przynosi mu ciepłą wodę i śniadanie; dziś jednak zjawia się z pustemi rękoma.

— La colazione, Signore? — pyta, jakby wąpiącym głosem, wierząc go swemi chytremi oczkami.

— Ma sì! — odpowiada jej zniecierpliwiony.

Assunta wraca w lot z tacą i jak wezoraj u Ryty, zaczyna się kręcić po pokoju, niby coś porządkując, przyezem raz po raz zerka nieznacznie na „pięknego cudzoziemca.“

Wprawne jej oko bada zarówno jego twarz jak pościel.

— Nie rozbierał się wcale — myśli, chowając do szafy nocną koszulę i poznając te same, nie-
tknięte składy, w jakie ją wezoraj na poduszkach ułożyła. — Povero!

Nie miałyby nic przeciwko temu, aby u niej

pociechy poszukał i drażni ją jego obojętna postawa.

— Raffaele i ja kłopotaliśmy się bardzo, że Signore dziś tak źle spał—zaczyna po chwili.— W nocy burza! ah Santa Madre! jaka burza... A rano znów tyle hałasu z wynoszeniem rzeczy Signory. Signora bardzo wcześnie wyjechała...

Oldaniecki smaruje chleb masłem.

— Nie nie słyszałem—odpowiada spokojnie.— Spałem bardzo dobrze.

Ale kawa gorzknie mu w ustach.

Teraz dopiero poznaje, że wbrew wszystkiemu miał jakąś wątpliwość, i że ta wątpliwość stopniała w piołun zawodu.

Uczucie to nie opuszcza go, gdy po śniadaniu decyduje się wreszcie wyjść po za próg swego pokoju.

Wyjechała — tak! wyjechała. Niema jej.

Jak pasto na tym westybulu! Jak niewypowiedzianie pasto i głucho!

Pokoje Ryty są już sprzątnięte i drzwi od nich stoją otworem.

Po chwili wahania Oldaniecki wchodzi do środka.

Z saloniku skrzętna ręka padrona usunęła już wszystko, co stanowiło jego nadetatową elegancję; znikły też owe drobiazgi, nadające życie i charakter zamieszkanemu wnętrzu; jakaś książka, jakiś wazonik; został tylko bezduszny, jałowy wygląd sezonowego pokoju do najęcia.

I taki chłód! taka martwota! jakby przed chwilą wyniesiono ztąd jakąś trumnę.

Oldaniecki wchodzi do sypialni i z tym samym co wczoraj mefistofelowskim sarkazmem myśli, że raz tylko przestępował ten próg, gdy stroił różami mustykjerę nad łóżkiem Ryty.

Teraz niema róż, a mustykjera zmięta, przybrudzona, zwiesza się niedbale, osłaniając śmieszne małe poduszeczki i szkaradne pikowe kołdry.

Więc tylko raz, gdy jej jeszcze nie było; a dziś po raz drugi, gdy jej już niema!

Ha! ha!... I znowu ta cienka ścianka, oddzielająca jego pokój, zdaje się, jak wczoraj, trząść z utajonego śmiechu i powtarzać urągliwie:

— Głupi! głupi!

Na stalagach, które Oldaniecki sam kupił, stoi obrazek: widok Wezawjusza ten sam, który Ryta kończyła wczoraj, w ich ostatnie, wspólne popołudnie.

Czy zapomniała zabrać, czy też zostawiła go z umysłu?... Dla niego?

Jak balsam kładzie się ten drobny szeregół na spaloną żarem samo-ironji daszę Oldanieckiego.

Zabiera obrazek i wychodzi.

Jest mu już tylko dziwnie tęskno, smutno i pusto. Poprostu dasi się samotnością.

Wśród tych cudzych ludzi, na tym dalekim, obcym brzegu, tak zupełnie opuszczony, taki jeden...

On, który jest tak bardzo kochany, za którym zapewne tak ogromnie tęskni jedno czyste i dobre, jak gołąb, serce kobiety...

Po raz pierwszy dopiero męski egoizm Oldanieckiego pozwala mu uprzytomnić sobie jasno, że

ona tam przecież musi tęsknić. Ona... jego żona...
jego śliczna Ala!

Bierze swój list pisany do niej wczoraj w no-
cy i odczytuje.

Nie; nie pośle go; sam jej to wszystko powie.

Jak znużony wędrowiec ożywezej górskiej wo-
dy, tak on pragnie jej widoku, jej miłości, jej pie-
szczoty.

Dość tej rozłąki, w której i tak sercem [był
zawsze przy niej.

Jest szczęśliwy, że będzie mógł śmiało spoj-
rzeć jej w oczy.

Wszak ostatecznie dotrzymał obietnicy danej
jej fotografii w pierwszy wieczór pobytu Ryty w Sor-
rento.

Nie zdradził jej.

Jeżeli jest w tej chwili sam, to dlatego, że nie
umiał powiedzieć innej kobiecie: „Kocham cię.“

Jej za to będzie powtarzał tak szczerze, tak
gorąco, jak nigdy, bo nigdy nie była mu tak droga,
tak potrzebna!

I wynagrodzi jej wszystkie przykre chwile, ja-
kie z jego powodu przez tych parę tygodni mieć
mogła.

Będzie miała ten Rzym, o którym tak zawsze
marzyła.

Ta nowa myśl opanowuje go do takiego stop-
nia, że „Rosa di Monte“ i wszystko, co z nią jest
związane, przestaje dla niego istnieć.

Jak przez sen załatwia rachunki z padro-
nem, który nie może sobie potem wybaczyć, że
nieobliczał na tak wysoką pieniężną nieogłędność

„cudzoziemca“ i obdarł go tylko do drugiej skóry. Ile to różnych „ekstra“ można było wstawić podobnie lekkomyślnemu człowiekowi!

Ale Signora tak skrupulatnie przejrzała swoje conto i tak stanowczo rozstrzygnęła kilka wątpliwych pozycji!

Padrone ma ciężki żal do Ryty za to niezasłużone uszanowanie, jakiego nabrał dla ekonomicznych zdolności dei forestieri di *Var-savia*.

— Dobrze mi tak — myśli — powinienem był pamiętać, że kobiety wszystkich krajów są jednako szezwane.

Jeszcze tego samego wieczoru Oldaniecki wysłał z Neapolu do żony telegram długi, jak list, z najczulszemi słowami tęsknoty i miłości, i prośbą gorącą, aby niezwłocznie przyjeżdżała do Rzymu. On tam na nią będzie czekał w hotelu, którego adres podaje, i spędzą kilka uroczych tygodni w Wiecznym Mieście.

Znając swoją matkę, Oldaniecki przewiduje jej wysokie niezadowolenie z tego projektu; więc, aby ją ułagodzić, śle i do niej depeszę, przepraszając, że ją pozbawia towarzystwa Ali, i obiecując, że wstąpią oboje do Meranu, zabrać ją po skończonej kuracji do Warszawy.

Dokonawszy tego, uspokojony i jakby inny człowiek, błędził późno w noc po ulicach; znajdując szczególną rozkosz w zgiełku i ruchu tego najhałaśliwszego pod słońcem miasta.

Raz tylko, gdy stoi oparty o parapet na „Via Caraciolo“ i patrzy w stronę Sorrenta, jakieś świa-

teńko, migające tam, gdzie wzrok jego odgaduje zarysy „Rosa di Monte,” sprawia mu wrażenie przenikliwe, jak ból.

Momentalnie, z fotograficzną ścisłością widzi te ciche ściany, w których pozostał zakłęty kęs jego życia; widzi te opustoszałe pokoje i myśli, jakie echa, jakie cienie snują się po nich w tej chwili... Miga mu postać Ryty, leżąca na szezlongu, jej skupiona twarz, jej spalone tłumioną żądzą usta...

Wzdryga się i odchodzi prędko.

Jeszcze siedząc w dorożce, która go przed hotel w Rzymie przywiozła, Oldaniecki pyta wychodzącego na jego spotkanie znajomego szwajcara o depeszę do siebie.

Telegrafując z Neapolu, prosił Alę, aby mu natychmiast doniosła, kiedy i jakim pociągiem przyjedzie do Rzymu, i spodziewał się zastać już tę wiadomość.

Tymczasem niema jej, a gdy do następnego rana nie nadchodzi, Oldaniecki wysyła drugi telegram, tym razem „ekspresowy“ i z odpowiedzią zapłaconą.

Jakoż otrzymuje ją, lecz—od właściciela willi.

Skrupulatny tyrolczyk donosi mu, że te panie, do których były adresowane telegramy, nie przyjechały i nie przyjadą, gdyż taką informację nadesłano mu w swoim czasie z Warszawy.

Oldanieckiego dziwi to trochę, ale nie po za tem.

Najlżejszy niepokój nie wkrada się do jego serca.

Przypuszcza, że matka jego zmieniła projekt,

że jakaś podrzędna, a dla kobiety tak drobiazgowej, jak ona, poważna przeszkoda, odwlokła wyjazd.

Telegrafuje więc do Warszawy: jednocześnie na Hożą i na Żórawią, i znów odbiera lakoniczne, przez zarząd telegraficzny podpisane odpowiedzi: „Adresatka wyjechała...” „Adresatka wyjechała.”

Oldaniecki gniecie obie depesze w rękę.

I teraz jeszcze nie przeczuwa nic złego. Zkądżeby? Jest tylko wściekły.

Tak sobie ślicznie ułożył ten Rzym, i oto wszystko niespodziewanie rozbite, a przynajmniej odwleczone.

Oczywiście, winić w tem może tylko siebie, swój powieściowy pomysł zniknięcia dla swoich najbliższych.

Nie daje przecież za wygranę. Musi tę swoją cudną, ukochaną Alę ściągnąć tu; musi koniecznie. Europa nie las.

Przychodzi mu na myśl Czereza. Ten chyba jest w Warszawie i będzie wiedział.

Biegnie więc na Via Mercede, gdzie już zaczyna być popularnym i pisze na blankiecie:

„Donieś mi niezwłocznie, gdzie są moje panie
A d a m.”

Jest godzina ranna jeszcze, gdy wysyła tę depeszę; i nigdy potem, bez jakiegoś dziwnego wstrząśnienia nie może pomyśleć o tym długim dniu, który mu schodzi na oczekiwaniu odpowiedzi; upalnym dniem wyludnionego miasta, ciężkim od nudy i dusznych wyziewów.

Ten dzień ma sterczeć w jego pamięci, jak kopiec graniczny, rozdzielający na zawsze dwie epoki jego życia.

Tę, która się kończy z chwilą, gdy, wróciwszy wieczorem do hotelu, spostrzega zatknięty za swój namer telegram; i tę, która się zaczyna, gdy zerwawszy go czyta w osłupieniu i chwytającej go raptownie szalonej trwodze, te słowa:

„Wracaj natychmiast. Zajeżdżaj prosto do mnie
Michał.“

Przez całą drogę, tę drogę, po której przed dwoma zaledwie tygodniami Ala zbliżała się do swojej Golgoty, Oldaniecki jest w najwyższym stopniu rozgoryczony na Czerezę.

Co się stało? Dlaczego każe mu wracać, skoro jej niema?

Czemu wzywa go w ten dziwaczny, tajemniczy sposób, otwierający pole najdzikszym przypuszczeniom?

Nie było nigdy wielkiej sympatji pomiędzy nimi, bo nigdy nie umieli się wzajemnie zrozumieć.

To też gdy chwilami opanowywa Oldanieckiego taki nadzwyczajny lęk, że ma wrażenie, jakby jechał na spotkanie jakiejś, przechodzącej wszystkie okropności katastrofy, jego uraza do sprawy tych tortur nie ma granic.

— Brutal—myśli zaciskając pięści:—cała jego gruba, drewniana natura jest w tem! Gdyby choć jedno słowo wyjaśniające! Gdyby choć chwila zastanowienia nad tem, co się zemną będzie działo,

gdy taką zagadkę wyczytam!... Co się tam stało?...
Wielki Boże! Co się tam stało?

To znów przypomina sobie, że przecież Ala i jego matka wyjechały gdzieś; że ma to czarne na białem urzędownie zaświadczone i że wobec tego nie się stać nie mogło.

I, wpadając z jednej ostateczności w drugą, uspokaja się zupełnie i dochodzi do przekonania, że Czereza wysłał tę depezę po pijanemu, że ściąga go do Warszawy bez żadnego powodu.

— Bydłę!—myśli zaciskając ponownie pięści—rozprawię się z nim!

Nareszcie, zmęczony, zdenerwowany, wysiada na peron dworca warszawskiego.

Jest ranek; dżdżysty, chmurny i tak chłodny, jak w głębokiej jesieni. Oldaniecki w jednej minucie widzi więcej błota, niż przez cały czas pobytu we Włoszech.

Dławiący, ołowiany smutek wisi nad budzącem się leniwie ze snu miastem.

Nieliczni przechodnie mają zgnębione, niechętnie ruchy wprzęganych do kieratu zwierząt roboczych.

Pożółkłe liście sypią się beznadziejnie pod koła pędzącej Alejami dwukonki Oldanieckiego.

W chwilę potem dorożkarz staje na miejscu.

Zostawiwszy rzeczy na opiece stróża, sadząc po kilka stopni naraz, Oldaniecki wbiega na czwarte piętro i dzwoni gwałtownie.

Otwiera mu Czereza i w milezeniu wprowadza do pokoju.

Czereza wygląda okropnie. Jego chuda, zwy-

kle żółta twarz, jest po prostu szara i pocentkowana sinemi plamami. Oczy ma zaczerwienione i całe opuchłe z bezsenności, czy innej przyczyny.

Nieustanne nerwowe drżenie wstrząsa nim od stóp do głowy.

Oldaniecki nie zwraca na to uwagi, nie wita się prawie.

Powiedz mi nareszcie, co to wszystko znaczy!—woła żywo i gniewnie.—Dlaczego mnie wzywałeś? Gdzie moja żona?

Czereza patrzy na niego przez chwilę, jakby nie rozumiał; poczem odpowiada głucho.

— Nie wiem!

CZEŚĆ TRZECIA.

I.

Wątle, chłodne światło listopadowego dnia pełza posępnie po puszystym dywanie i eleganckich meblach saloniku pani Oldanieckiej.

Ona sama siedzi w fotelu przy oknie, a przed nią na stoliczku piętrzą się stosy mniejszych i większych, mniej lub więcej pożółkłych i postrzępionych kartek, które z wielką uwagą przegląda i gantkuje.

W robocie tej pomaga jej, a przynajmniej chce pomagać, trzydziestokilkoletnia kobieta z twarzą długą, bladą, o inteligentnych, piwnych oczach i nieco ironicznie wykrojonych ustach.

Jej rzadkie, ciemne włosy, gładko z wysokiego czoła zezesane, i skromna, niemodna suknia, świadczą o zupełnem wyrzeczeniu się właściwej jeszcze jej wiekowi chęci wydania się powabną i młodą.

Mimo to ma w sobie coś, co ją czyni sympatyczną.

Jest to zamężna siostra Michała Czerezy, pani Mrońska, która przed kilku dniami przybyła do Warszawy po przedświąteczne sprawunki i u ciotki na jej bardzo wyraźne i stanowcze życzenia zamieszkała.

Pani Oldaniecka zaś dlatego tak bardzo wyraźnie i stanowczo tego sobie życzyła, że jedną z jej zasad jest: nigdy za nie nikomu nie być obowiązaną i skrupulatnie za uprzejmość uprzejmością płacić.

„Odmaglowywa“ więc w ten sposób siostrzenicy gościnę, z jakiej roku poprzedniego w jej domu na wsi przez kilka tygodni korzystała.

Najłżejsza zmiana nie zaszła przez te kilkanaście miesięcy w powierzchowności matki Adama Oldanieckiego.

Jej twarde, wydatne rysy mają ten sam wyraz dystygowanego spokoju, a z ręcznie przyfarbowane włosy układają się w te same staranne karby, dokoła pięknego, gładkiego czoła, na którym nie zarysowała się ani jedna zmarszczka.

Może tylko, jakieś bardzo bystre oko zdołałoby wykryć w kącikach zaciskających się silniej, niż dawniej, ust siedlisko nurtującej, a głęboko tajonej troski...

Prosta, mocno wygorsetowana, szeleści za każdym poruszeniem jedwabiem podszewki ciemnej sukni, poważnej, lecz przystosowanej do ostatnich wskazówek żurnala.

— Uważaj, Zosiu—mówi, odbierając siostrze-

nicy jedną z najbardziej zniszczonych kartek: —
kładziesz kompot z moreli na konserwach.

— Myślałam, ciociu, że to wszystko jedno —
odpowiada siostra Czerezy z uśmiechem, który na
chwilę czyni ją uderzająco do brata podobną.

— Ależ bynajmniej. To należy do działu.
„Słodkie przystawki na prędkie użycie.“ O! widzisz;
to ta kapka. Tu już jest przeszło sto przepisów,
a jeszcze nie wszystko zebrałam. Jadłaś też kie-
dy kompot z rzodkiewek? Pewno nie. Mam na
niego przepis jeszcze po babce mojej świekry. Mówię
ci! coś nadzwyczajnego! Czeka-j-no, Zosia...
muszę to raz jeszcze przejrzeć.

Pani Oldaniecka pogrąża się w swoich kart-
kach, a jej towarzyszka patrzy na nią jakiś czas
uważnie, jakby próbując odgadnąć coś kryjącego
się pod powłoką tych spokojnych, beznamiętnych
rysów.

Wreszcie pyta:

— Zkąd cioci przyszła myśl wydania książki
kucharskie? To przecież ogromna i zmadna pra-
ca, zwłaszcza przeprowadzona tak drobiazgowo
i ściśle, jak to ciocia zamierza.

Po spuszczonych powiekach pani Oldanieckiej
przebiega lekkie drganie, a kąćki ust zaciskają się
głębiej.

Zdawałoby się, że wśród doskonale zrówno-
ważonych strun jej duszy jedna jest silniej napięta,
i że pytanie siostrzenicy w jakiś niewytłómaczony
sposób o nią właśnie potrafiło.

— Jakto zkąd?—odpowiada trochę cierpko,—
A zkąd wszystkim, którzy piszą, przychodzi na

myśl wydawać książki? Nie rozumiem, coś chciała przez to powiedzieć, moja Zosiu?

— Tylko to, co powiedziałam—usprawiedliwia się pani Zofja, i chcąc rzecz obrócić w żart, dodaje:

— Zdziwiło mnie to trochę, bo znając ciocię, nie przypuszczałam nigdy, żeby ciocia chciała kiedykolwiek rywalizować z Adasiem o palmę popularności.

Żart ten jednak jest wpadnięciem z deszczu pod rynnę, i pani Oldaniecka obraża się niezwykownie:

— Cóż znowa! Dziwię ci się bardzo, moja Zosiu, że sama będąc matką, możesz choć na chwilę tolerować w umyśle swoim przypuszczenie jakiegokolwiek rywalizacji rodziców z dziećmi. Ja zaś specjalnie należę do rzędu tych, które nigdy o nie z nikim nie rywalizują, dopieroż z własnym synem!

— Ależ moja ciociu! Po cóż ciocia to zaraz tak poważnie bierze!

— Wszystko trzeba brać poważnie. Ja nie należę do rzędu tych, którzy kpinkami idą przez życie. A co się tyczy Adasia, to mogę cię upewnić, że mu nigdy jego popularności nie zazdrościłam; tembardziej...

Zaciska usta; palec jej z pewną nerwowością przebierają wśród stosu kartek i, po chwili, jakby wbrew woli, wyrzuca z goryczą:

— Tembardziej — teraz!

Pani Zofja milczy.

Zdaje jej się, że już wie, co chciała wiedzieć: Różnemi sposobami różni ludzie otumaniają swe

tajone udreki. Jedni wódką, jak jej brat; inni — choćby układaniem kucharskich książek.

Z cichem współzuciem swych dobrych, mądrych oczu spogląda na ciotkę, która sztywna i wyprostowana w dalszym ciągu porządkuje nagromadzone przed nią stosy.

Za oknami drobne kłaczkki topniejącego wnet śniegu tańczą w szarości, ścielącej się na świat, jakby płachtami od przeciągających po niebie chmur.

Wszystkie widziane po przez tę chłodną zasłonę wydaje się brzydkim, chorem, beznadziejnym.

Pani Oldaniecka pierwsza przerywa milczenie.

— To już chyba skończyłam z sosami — mówi tonem umiarkowanego tryumfu. — Będzie to nadzwyczaj bogaty dział. Myślę, że jak w żadnej dotychczasowej książce. Bo też te wszystkie dotychczasowe książki! Te „Doskonałe Gospodynie,“ te „Praktyczne przepisy,“ a zwłaszcza te „365 obiadów!“ Ach! co tu mówić!... Podzieliłam go na trzy podziały: „Sosy ostre,“ „Sosy słodkie“ i „Sosy neutralne,“ a każdy z nich na „Gorące“ i „Zimne.“ Tym sposobem będzie się można w jednej chwili orjentować, nie tracąc tyle czasu na wyszukiwanie potrzebnego przepisu, jak w tych dotychczasowych, niedołączonych skorowidzach... Przyznasz sama, moja Zosiu, że to jest bardzo dobry pomysł?

— Doskonały.

— Nie chcę się chwalić, ale muszę sobie oddać tę sprawiedliwość, że należę do rzędu tych, którzy nie porywają się na rzeczy dla nich niedostępne, lecz to, co robią, robią dobrze i dokładnie.

Gdyby wszyscy ludzie chcieli to sobie wziąć za dewizę, dopiero byłby na świecie ład, porządek, prawdziwa cywilizacja! Cóż, nie jesteś mego zdania?

Pani Mrońska uśmiecha się mimowoli.

— Owszem, ciociu; z tem jednak zastrzeżeniem, że na tym ucywilizowanym w ten sposób świecie, byłoby jednocześnie szalenie nudno!

— Nudno!—powtarza pani Oldaniecka oburzona.—I ty to mówisz? Ty, żona, matka, kobieta ze wszechmiar przyzwoita! I cóż się tu dziwić, że dzisiaj tylko anarchja, modernizm, brak wszelkich zasad, pomiatanie tradycjami! To, oczywiście, nie jest nudne. I jak to wami owładnęło! Nieraz słucham, patrzę; uszom nie wierzę; oczom nie wierzę. To chyba ludzie z jakiej innej planety pospadali raptem na ziemię, nie nasi synowie, nasze córki... Przecież i ja niegdyś byłam młoda; i za moich czasów byli starzy; a jednak rozumieliśmy się jakoś lepiej. A dziś? Taki naprzykład Adaś, taki Michaś, taka, choćby ty; a ja i wasza matka. Toż to tylko dwa pokolenia i jakby całe wieki, całe rzeki pomiędzy nimi przepłynęły. Czem się to dzieje? Jeszcze wy... było was tyle; moja zacna siostra nie mogła się tak wyłącznie każdemu z was poświęcać, przytem była za słaba, zostawiała wam za wiele samowoli; zawsze jej przepowiadałam, że to na złe wyjdzie—ale ja! Miałam tylko tego jednego chłopca; cała oddałam się jego wychowaniu; czuwałam nad każdym jego postępkim, nad każdą prawie myślą. Bóg widzi, nie zaniedbałam niczego—i jakież z tego zbieram owoce?... Czytałam teraz tę jego ostatnią nowelę w Tygodniku.

— Ach! to prześliczna rzecz — wykrzykuje pani Zofja z zapalem.—Przyznam się cioci, że po „Zarzewiach,” to pierwszy utwór Adasia, który mnie zachwycił. Taki świeży, silny dach z tego wieje.

— Doprawdy? Więc i ty robisz z tego dziwoląga arcydzieło! Winszuję. Ja bo należę do rzędu tych, którzy od literatury chcą przedewszystkiem zdrowego, szlachetnego pokarmu dla ducha. A tam co? Jak ten człowiek myślał jak czuje! co za poglądy jakieś wygłasza... Jakby nigdy nie miał matki!... albo jakąś... anarchistkę!... Oj! moja Zosiu; wielka to boleść patrzeć na takie zaprzeczenie wszystkiemu, co się z takim trudem wpajało; takie obalanie wszystkiego, co się z takim zaparciem samej siebie budowało...

Urywa i nerwowo zaczyna szeleścić kartkami.

Pani Zofja znów na nią ze współczuciem spogląda.

Sama jest matką i odczuwa ten ból, choć jednocześnie rozumie także, ile w nim jest ciasnoty i samolubstwa.

— Moja ciociu! — zaczyna pojednawczo. — Ja w tem nie widzę nic uwłaczającego wychowania cioci, że Adaś, jako twórca, artysta ma swój własny, odrębny światopogląd. A co się tycze przepaści, dzielącej dwa pokolenia, ciocia ma zupełną słuszość. Jest ona bez porównania głębsza i szersza, niż bywało dawniej. Ale to już... znamię czas... Dziś się tak nieprawdopodobnie szybko żyje...

— Co też ty mówisz! — przerywa pani Olda-niecka, wzruszając ramionami.—Dzień miał zawsze

dwadzieścia cztery godziny na dobę i ma, a rok trzysta sześćdziesiąt pięć dni. Nie można żyć ani szybciej, ani wolniej. Powiedz, że się dziś żyje głupio, to się z tobą zgodzę. Ochl jak głupiol... I nietylko głupio, lecz obrzydliwie.

Pani Mrońska uśmiecha się znów w ten ironiczny sposób, który ją czyni tak podobną do brata, lecz nie oponuje ciotce, a ta mówi dalej:

— Zresztą, niechby sobie w literaturze stosował swoje... modernistyczne idee! Ale on się nimi rządzi w życiu, i na to ja, jako matka jedyne-go dziecka, tylko dla jego dobra żyjąca, spokojnie patrzeć nie mogę... Nie na to wszystko poświęciłam, o sobie zapominałam, żeby dziś... Wrażen mu zawsze nowych było potrzeba... niezwykłych sytuacji... Ma teraz. Niezwykłą sytuację!

Urywa znowu i tym razem w głosie jej, tak zawsze suchym i jednostajnym, czuć, jakby całą siłą hamowane łyzy.

Pani Mrońska żywo podnosi głowę.

Pierwszy to raz matka Oldanieckiego dotyka tak wprost tej dziwnej, niepojętej katastrofy, która wpadła w jej spokojne, korytem szablonu troskliwie ocembrowane życie i która, choć go z pozoru nie zmąciła, musiała jednak niewątpliwie żłobić dno jego w głębokie brzozy tajonych zgryzot.

Pani Mrońska pamięta doskonale tę chwilę, kiedy przyszedł na wieś telegram od jej brata, wzywający ciotkę do natychmiastowego powrotu z przyczyny „nagłej choroby Adama.“

Pamięta, jak ta systematyczna kobieta, mając jeszcze kilka godzin do najbliższego pociągu, po-

mimo widocznej, szczerzej trwogi, która nią owładnęła, pakowała się z całą drobiazgowością; jak nie zaniedbywała wytrześć każdą sukni przed złożeniem jej do kufra, jak porównywała każdą sztukę bielizny ze spisem, aby się upewnić, że czego nie brakuje i jak w ciągu tych wszystkich przegotowań narzekała ciągle na Michała Czerecę, że ją wzywa tak sumarycznie, zostawiając na pastwę domysłów.

Widocznie sądzono już było biednemu Czerecy, aby telegramami swemi narażał sobie zarówno syna, jak matkę.

— Nigdy grosza uszanować nie umiał, a tam, gdzie nie potrzeba, to oszczędza—powtarza z gorczyzą, nie krępując się bynajmniej obecnością pani Zofji, której ostry sąd o bracie mógł być niekoniecznie miły.— Ciekawa rzecz, czemu nie zatelegrafował na mój koszt! Byłabym mu z przyjemnością pieniądze zwróciła. Adaś chory... w Warszawie!... Jakim sposobem... A gdzież Alińcia?... Nie tego nie rozumiem!... Achl... Jaki ten Michaś jest niedelikatny i nie subtelny... Alińcia też dziwna!... Żeby tak nie mieć żadnego względu na starą matkę...

I wyjechała ze wszystkimi kuframi i pudełkami, bardziej obrażona, niż niespokojna, a w kilka dni potem do wiejskiego zacisza pani Mrońskiej zaczęły nadlatywać dziwne, niewytłómaczone dosłuchy: W jednym z pism wyczytała o „poważnej chorobie znakomitego powieściopisarza, wywołanej ciężkim zmartwieniem,” drugie napomknęło coś o „tragedji rodzinnej,” wreszcie ktoś z sąsiedztwa

przywiózł upstrzoną mnóstwem najbałamutniejszych dodatków wiadomość o zniknięciu Ali...

Zaniepokojona do najwyższego stopnia, pani Zofja napisała do brata i... nie otrzymała żadnej odpowiedzi.

A że była kobietką energiczną i żywo czującą, więc, niewiele myśląc, wybrała się sama do Warszawy.

Tu — trafiła na rzeczy dziwne.

Czerezy nie było. Wyjechał niewiadomo dokąd, przerwawszy wszystkie lekcje na czas nieograniczony, aczkolwiek lekcje te stanowiły główną podstawę jego bytu; Oldaniecki leżał nieprzytomny w gorączce, a matka pielęgnowała go ze skrupulatnością, charakteryzującą każdą jej czynność.

Ujrawszy siostrzenicę, rzekła do niej na wstępie:

— O nie mi się nie pytaj, moja Zosiu. Nie nie wiem. Nieczego nie rozumiem. Pomóż mi lepiej przygotować to synopizmo.

I od tej pory ani jednym słowem nie wspominała o zaszłych wypadkach. Imię synowej nigdy do nikogo z ust jej nie wyszło, prócz chyba w rozmowach z Oldanieckim, gdy ten wyzdrowiał i oddał się cały namiętnym poszukiwaniom zaginionej.

To też, gdy dziś, czy pod wpływem większego, wewnętrznego rozgoryczenia, czy przeciwnie, wskutek stępionej przez wpływ czasu drażliwości porusza sama ten temat, pani Zofja czepia go się skwapliwie.

Wróciła wtedy na wieś, nieczego się nie dowiedziawszy; i już potem nie była w Warszawie; nie

widziała się z nikim, ktoby ją mógł w czemkolwiek objaśnić; i wszystkie okoliczności, towarzyszące zniknięciu Ali są dla niej równie niewytłómaczone, jak i samo to tajemnicze, wprost nie do wiary będące zniknięcie.

— Moja ciociu — zaczyna oględnie — przecież Adaś chyba nie winien swojemu nieszczęściu.

— Jak to, nie winien? — podchwytuje ostro pani Oldaniecka. — A któż winien? Może ja? Zaręczam ci, że żadnemu normalnemu, rozsądnemu człowiekowi nie podobnego nie byłoby się trafiło. Kto sieje wiatr, zbiera burzę; zawsze to mówiłam. Zachciało mu się jeździć i nocować po Europie; zniknąć jak kamfora... Ma teraz... zniknąć!

Trzęsącą się ręką popycha najbliższy stos kartek, z których jedna leci na ziemię.

Pani Mrońska schyla się i w milezeniu podnosi.

— Przepraszam cię, moja Zosiu — mówi pani Oldaniecka jakby nieco zakłopotana tym niezwykłym u niej brakiem kontroli nad własnymi ruchami — bardzo cię przepraszam. Co to spadło?

Ogląda kartkę i porusza się na krześle z wyrazem nagłego przypomnienia.

— No, patrz, proszę cię, jakie to bywają czasem zbiegi okoliczności!

— ?

Ten przepis.. „Kuropatwy z rynki w sosie jałowcowym“. Właśnie takie kuropatwy kazałam zrobić na obiad, kiedy... ta biedaczka była u mnie po raz ostatni... Pamiętam, jak jej smakowały...

Gdyby mi tak kto był wtedy powiedział, że ja jej już nigdy...

Zakrywa dłonią oczy i siedzi przez chwilę milcząca na pozór, ale pani Zofja widzi, jak suche łkanie wstrząsa jej wygorsetowaną postacią.

Usposabia ją to dla ciotki bardzo serdecznie. Przybliżyła się do niej i obejmuje ją.

— Moja droga ciocia! Kochana, biedna ciocia!

Leecz pani Oldaniecka usuwają ją ruchem dość chłodnym.

Lubi szerzyć skargi, ale nie lubi, aby się nad nią — jak to określa „komizerowano“.

Jest to jedna z jej licznych niekonsekwencji.

— Nie; nie zważaj, moja Zosia; proszę cię. ja należę do rzędu tych, którzy nigdy innych sobą zaprzętać nie chcą. Co najwyżej mogłabym sobie życzyć, aby moi najbliżsi, od których mam prawo tego oczekiwać, liczyli się ze mną... Ale widocznie życzenia moje są zbyt wygórowane. Chociaż... nietylko mnie byłoby z tem dobrze. Nie jestem egoistką i jeżeli się kiedy czego domagam, to z pewnością bardziej ze względu na swoje otoczenie, niż na siebie... Gdyby taki Adaś pamiętał był o tem, że ma przecież matkę, na którą spadają konsekwencje jego czynów, że nie można lekkomyślnie igrać z rzeczą tak świętą, jak spokój starości rodzicielskiej... to!... O! tak! Niema co mówić! Pięknie mi schyłek życia uświetił... Takie nieszczęściel... I gdybyż tylko nieszczęściel... Na nieszczęścia każdy człowiek powinien być przygotowany i umieć je mężnie znosić, gdy na niego z woli Bożej przyjdą... Ale taki... taki... taki skandal!

Ostatni ten wyraz wymawia zdławionym, syczącym głosem, i ciemny rumieniec podbiega na chwilę aż pod jej przyfarbowane nioby.

Przed oczyma pani Zofji staje postać Ali; to świetlane, urocze zjawisko tak obce wszystkiemu, co jest brudne i brzydkie na tym świecie.

Wyrażenie ciotki razi ją, jak plama rzucona na ten czysty obraz.

— Ciociu! — woła z wyrzutem. — Gdzież tu może być mowa o skandalu! Któż byłby tak nikczemny...

Ale wzruszenie pani Oldanieckiej już się przedziło w cierpkość.

— Nie bądź-że naiwna, moja Zosiu! To nie jest skandal, gdy młodemu mężowi ginie młoda żona? Jeżeli to nie jest skandal, to cóż nim będzie? To jest skandal, o jakim świat nie słyszał! Bo rozumiem: Żona komu umrze, to umrze; ucieknie, to ucieknie; otruje się, utopi, albo ja wiem wreszcie. Ale żeby tak, pewnego pięknego poranku ginęła, wpadała jak kamień w wodę, to są rzeczy niebywałe! Tak niebywałe, jak ten mąż, który niby żonę kocha, żyją z sobą jak najlepiej, raptem, ni z tego ni z owego przestaje do niej pisać, otacza się tajemnicami, goni wiatr po świecie...

— Przecież ciocia, będąc u mnie wtedy,—zaczynała nieśmiało pani Zofja—mówiła, że Ala pojechała do Adasia na jego wezwanie... Więc zapewne w drodze jakiś nieszczęśliwy, dotychczas niewykryty przypadek...

Pani Oldaniecka siedzi przez chwilę z mocno zaciśniętymi ustami, jakby wahając się.

Wreszeie decyduje się:

— Moja Zosiu! należysz do rodziny i jesteś dyskretną kobietą. Z nikim dotychczas o tem nie mówiłam; za bolesne to dla mnie; ale tobie powiedzieć mogę. On jej nie wzywał. W liście do mnie upozorowała tem swój wyjazd, ale to była nieprawda. Nie mogła jechać do niego; nie wiedziała, gdzie on jest. Nikt nie wiedział. To się wydało, dopiero, gdy Adaś wrócił do Warszawy. Więc dokąd pojechała? Po co? Do kogo?... To są, widzisz, rzeczy, od których można dostać pomieszania zmysłów!

Pani Zofja spuszcza głowę w milczeniu.

Więc jednak było coś z prawdy w tych potwornych opowieściach, którym nie dawała wiary.

— Ma ciocia słuszność—szepce zgnębiona.—
To niepojęte!

Pani Oldaniecka unosi się stopniowo.

— I na kogo to padło? Kogo to dotyka? Mnie! Mnie, należącą do rzędu tych, którzy największe szczęście kobiety widzą w tem, żeby o niej jaknajmniej mówiono! Zawsze kazaliście mi cieszyć się z tego, że mam sławnego syna: Chłuba kraj! Ozdoba społeczeństwa! Bardzo to było piękne; ale co ja z tego miałam? Stokroć byłabym wolała, żeby o nim nie gadali, żeby się nim nie chlabili, a żebym ja dla siebie samej miała w nim syna bardziej po swojej myśli. Słyszałam ja o takich bohaterach, którzy się poświęcali dla ludzkości, a ich własne dzieci cierpiały głód i poniewierkę. Ślicznie za podobnych filantropów dziękuję. A co się tyczy sławy, to zawsze byłam tego zdania, że

na jedną stronę dodatnią ma dziesięć ujemnych. I pokazało się, że miałam słuszność. Toż się ten skandal po całym kraju rozniósł! Podobno nawet w zagranicznych dziennikach o tem pisano... Co to za pole do komentarzy „komizeracji“, ploteki!... Cóż! każdemu wolno. Sławny pisarz! Własność ogółu!... Nie możesz mieć pojęcia, moja Zosiu, jak mnie to truje, gnębi, upokarza! Ja się poprostu między ludźmi pokazać boję.. Zdaje mi się, że mnie sobie pokazują palcami: „Patrzenie, to matka Oldanieckiego, któremu żona zginęła“. I zaraz dalej: a jak? a dlaczego?—całe legendy.

Wchodzi pokojówka.

— Czego chcesz?—pyta pani Oldaniecka, nie rada, że oczy „płatnego wroga“ mogą dojrzeć ślady wzburzenia na jej twarzy. — A zawsze te gołe ręce.

Dziewczyna spuszcza prędko zawinięte trochę rękawy od bluzki.

— Śpieszyłam się, proszę pani. To list z poczty.

— Z poczty? Daj. O! tyle razy ci mówiłam, że się listy podaje na tacy, albo w ostateczności na talerzu. Od tego mam was dwie, żebym mogła stawiać większe wymagania niż tam, gdzie jest jedna sługa na czternaście osób. Ale kto was kiedy czego nauczył? Podaj mi nożyk. Tam leży na biurczku. Nie ten; ten jest do książek; ten drugi, węższy.

Dziewczyna spełniwszy polecenie, odchodzi natchmurzona, a pani Oldaniecka starannie rozcina kopertę.

— Od Adasia—mówi objaśniająco. Przypom-
r, z siebie nareszcie o matce! Przeczytam głośno,
tego listy są zawsze, jakby do obcych pisane.
Nigdy tam niema wywnętrzenia się, tego podziału
najskrzyszych myśli, jak to powinno być między
dziećmi a rodzicami. Ha! cóż robić! Nie umiałam
widocznie zaskarbić sobie jego zaufania.

Zesznurowywa usta i nieznacznie, przebiegł-
szy wpierw papier oczyma, jakby dla upewnienia
się, czy jednak niema tam nic do jej wiadomości
wyłącznie przeznaczonego, zaczyna czytać:

„Droga Mamo!

„Jestem od czterech dni...”

— Niby gdzie „tu?” Aha! Jest nagłówek:
„Sirmione na jeziorze Garda, 4-go listopada 19...”
Pierwszy raz słyszę o takiej miejscowości. Nie
dziwnego. Nie należę do rzędu tych, którzy prze-
podróżowują życie.

Pani Zofja miałaby ochotę powiedzieć, że ciot-
ka przedewszystkiem nie należy do rzędu tych,
którzyby mieli wzgląd na czyjaś cierpliwość; ale
milezy, a pani Oldaniecka decyduje się wreszcie
czytać dalej.

„Jestem tu od czterech dni, i być może, zo-
„stanę dłużej. Z biura wywiadowczego w Wiedniu
„otrzymałem wskazówki, które pozwalają mi przy-
„puszczać, że nakoniec dane mi będzie trafić na
„jakiś ślad. Oczywiście, w najlepszym razie, bę-
„dzie to dopiero pierwszy krok na drodze długiej
„jeszcze bardzo i niepewnej, ale w tem potwor-
„nem błędnem kole, po którym od tyłu miesięcy

„krążę, jak potępioniec, to już ogromnie wiele
„znaczy.

„Chciałbym cofnąć to, co powiedziałem; chei
„bym przed samym sobą udawać, że nie widzę
„słabiejnej iskierki nadziei, ukazującej mi się
„z daleka, aby nie zgasła. Zrobiłem się przesąd-
„ny jak dziecko lub analfabeta.

„Tymczasem jest mi tu dobrze, tak dobrze,
„że mnie to przeraża. Jakąż niezgłębioną kopal-
„nią odkryć jest dusza ludzka! Nie przypuszcza-
„łem nigdy, żeby ból mógł wyżerać serce, a karmić
„mózgi... Nie przypuszczałem, żeby nieszczęście
„mogło być tak płodne i tak...

„Ale nie o tem chciałem mówić!..“

— Naturalnie — przerywa mu z przekąsem
pani Oldaniecka.—Naturalnie! Matka nie jest zdol-
na zrozumieć, ani odczuć takich szezuytnych zawi-
łości! Dla niej w sam raz zgryzoty, niepokoje,
skandale, ludzka „komizeracja“, obmowa!

— Niepotrzebnie się eioeia rozgorycza—wtrą-
ca pani Zofja. — Jestem pewna, że Adaś...

— Już proszę cię, ja go chyba znam lepiej
i wiem, jak co sobie tłómaczyć. Pozwól-że mi
dokończyć ten list.

„Sirmione jest przecudne. Niewypowiedzianie
„nastrojowe, a takimi prostemi środkami nastro-
„jowe: szare skały; szara zieleń oliwek; szare osy-
„piska zdzieczalego gruntu—nie więcej. Dzień cały
„błąkać się można i błąkać, i nie innego nie wi-
„dzieć... Skały i oliwki! Oliwki i skały — a każde
„drzewo inaczej skręcone, każdy cypel innym kształ-

„tem bodzie przestwór; w dole zaś—kameleon je-
„zior: Garda!

„Jakaś dziwna, krzepiąca moc bije od tego
„wszystkiego. Czuję się też tak dobrze ze zdro-
„wiem, jak od roku nie byłem. Jeżeli rzeczy pój-
„dą tak, jak... nie śmiem się spodziewać, wypadnie
„mi zapewne pojechać dalej... sam jeszcze nie
„wiem dokładnie gdzie; w przeciwnym razie wrócę
„do Warszawy...

„Zatem — oby nie do prędkiego widzenia tym
„razem...

„Serdecznie i z uszanowaniem całuję rączki
„drogiej Mamy.

„Kochający syn

Adam.“

Pani Oldaniecka składa starannie list i wsuwa do koperty, otwiera szufladę biurka, w której poukładane w paczki, z poprzypinanemi do owiązujących je wstążek kartkami leżą listy syna, i włożywszy list w paczkę, opatrzoną datą bieżącego roku, wraca na swoje miejsce.

— Otóż, widzisz. Masz go w tem całego. Żeby choć słowo interesowania się matką: czy zdrowa, czy jej czego nie potrzeba, czy wogóle żyje? Nie. To już tak trwa od roku. Ja tu ciągle sama; a on w rozjazdach po Europie, które przecież nie mają żadnego sensu. Nawet w święta Bożego Narodzenia, pierwsze święta po tem nieszczęściu, byłam jak palec.

-- Ja pisałam do cioci — wtrąca pani Mrońska — prosiłam do nas bardzo serdecznie. Sanna była doskonała, i tych kilka wiorst od kolei...

— Bardzo ci byłam wdzięczna moja Zosiu, ale ja należę do rzędu tych, którzy, gdy nie mogą takich rodzinnych świąt spędzić z najbliższymi — skoro ich mają — wolą nie być nigdzie. Swoją drogą miałam bardzo za złe Adasiowi, że na trzy dni przed wigilią wyjechał, już nie pamiętam do Pesztu czy gdzie, dlatego, że mu agent-wydrwigrosz jakąś brednię zatelegrafował.

Przez pewną chwilę porządkuje znów kartki, jakby się wahała z wypowiedzeniem jakiejś myśli; wreszcie mówi dalej:

— A jakie to bajońskie sumy pochłonęło już i pochłania ciągle!... Oczywiście, Adaś może robić z majątkiem, co mu się podoba. Nie ja mu go dałam — chociaż, gdyby nie mój takt w postępowaniu z rodziną mego męża i to staranne wychowanie Adasia, na które wszyscy patrzyli, zasady, które w niego wpajałam, to kto wie, czy stryj byłby go uczynił swoim spadkobiercą? Mniejsza z tem. Powtarzam, Adaś może robić z pieniędzmi, co mu się podoba, ale ja nie byłabym matką, gdybym patrzyła obojętnie, jak go w najbezpieczelniejszy sposób wyzyskują i jak on się na to łąpie. Zawsze był niepraktyczny, ale teraz!... Kto się już nie podejmował dostarczyć mu „pewnych wiadomości“ o tej biedaczce... skoro się zwiędziano, że on jej szuka i taką wysoką nagrodę za znalezienie, choćby tylko śladu o niej, wyznaczył!... Gdzie jej nie widziano!...

— Niema chyba takiego miasteczka w Królestwie, — mówi pani Oldaniecka w dalszym ciągu, — że nie wspomnę już o zagranicy, takiego miastecz-

ka, w któremby się nie zjawiła taka właśnie pani, kropla w kroplę do rysopisu podobna, nikomu nie znana... oczywiście ona! Co za indywidua z pod ciemnej gwiazdy kolportowały mu te bajki! I on wszędzie jeździł, wszystkim napychał kieszenie... A jak się obraził, gdy mając przecież tylko jego dobro na względzie, pozwoliłam sobie zrobić mu raz uwagę: „Choćbym wszystko miał stracić, jeszcze o żebranym chlebie szukać jej będę“. Tak mi powiedział. Od tej pory milczę. Owszem, niech się zrujnuje; stara matka w razie czego będzie mogła pójść pod kościół.

Pani Mrońska nie jest zdolna powstrzymać się i parska śmiechem:

— Ciociu kochana! Cóż za nieprawdopodobna ostateczność!

— A cóż! Jeżeli tak dalej pójdzie... Słyszałaś sama przed chwilą, że znów się gdzieś na koniec świata wybiera... I po co? pytam. Po co?... Toć w najlepszym razie poszukiwania jego mogą odnieść tylko ten skutek, że będzie miał dowód na to, co dziś już wie bez dowodów.

Oczy pani Mrońskiej zachodzą lekką mgłą.

— A gdyby... — mówi w zamyśleniu — gdyby jednak...

— Odnalazł ją żywą? — kończy pani Oldaniecka. — To jest zupełnie wyłączone. W to on sam chyba ani na jedną chwilę nie wierzy... Ach! mój Boże! Tem się niema co łudzić. Ja, moja Zosia, należę do rzędu tych, którzy nie przez pół robić nie lubią. Więc kiedy raz o tem zaczęłam, mówię

wyczerpująco. Proszę cię tylko, aby to wszystko pomiędzy nami pozostało.

— Ależ, ciocia!..

— Dobrze, moja droga. Wszak już powiedziałam, że ufam twojej dyskrecji; ale ostrożność nigdy nie zawadzi. Otóż moje przekonanie jest takie: Przypuszczając w najlepszym razie, że żaden wypadek, żadne nieszczęście nie przytrafiło się tej biedaczce, że z jakichś niewytlómaczonych powodów, gdzieś się ukrywa, to aby żyć, trzeba przede wszystkim mieć z czego. A ona wyjeżdżając z Warszawy miała całego majątku sześćset rubli. To wiem, bo mi sama mówiła, że ma tyle od męża na Meran. Kosztowności żadnych nie zabrała, prócz zegarka. Więc jakże? Przez czternaście miesięcy jeździ i żyje gdzieś za sześćset rubli? Alińcia, radząca sobie więcej niż przez rok z sześciuset rublami! Chciałabym to widzieć. Nie; to nie ma najmniejszego sensu! To jest tylko niepotrzebne rozmazywanie skandalu! Gdyby Adaś chciał się pogodzić z rolą wdowca, osiadł spokojnie w Warszawie i zajął się czem pożytecznym, to i ludzie zapomnieliby o tem. A tak, tem swoim szukaniem, tem poruszaniem nieba i ziemi dolewa tylko oliwy do ognia..

Pani Zofja znowu z wyrzutem spogląda na ciotkę. Mocno jej się zdaje, że ta kobieta, dla której opinja jest bożyszczem, wolałaby w głębi duszy, aby jej synowa, którą przecież na swój sposób kochała, nie odnalazła się wcale, niż żeby się miała odnaleźć „skandalicznie“.

— Ja się Adasiowi wcale nie dziwię—zaczyna zwolna.—Na jego miejscu poruszyłabym tak samo niebo i ziemię. W takim nieprawdopodobieństwie, tylko z nieprawdopodobieństwami liczyć się można. Bo jeżeli jednak Ala żyje i mogłaby być odnaleziona wbrew jej woli...

Pani Oldaniecka załamuje ręce.

— Otóż jest! Czy nie miałam racji? Przed chwilą tak się niby dziwiłaś i gorszyłaś, gdym to nazwała skandalem, a teraz sama tak mówisz, jakbyś podejrzewała; że... że Alincia uciekła z kochankiem.

Żywo dotknięta siostra Czerezy zrywa się z miejsca.

— O! proszę cioci! Nie mogę pozwolić na taką interpretację słów moich. Znadto drogą mi jest pamięć tej biednej Ali; nad którą czystszej i promienniejszej istoty nie znałam.

— Nie unosz się, moja Zosiu. Ty i Michaś nie umiecie dysputować ze starszymi. Zwracam ci także uwagę, że żona mojego syna nie potrzebuje wobec mnie niczyjej adwokatury. Owszem, to ja miałabym prawo obrazić się, że właśnie wobec mnie w ten sposób możesz o niej mówić.

Majestatyczna postawa pani Oldanieckiej nie sprawia na jej siostrzenicy zamierzonego wrażenia.

— Mogę, — odpowiada prawie szorstko — bo (mimowolnie chce powiedzieć „nie należę do rzędu tych“, ale się poprawia), bo nie mam tego przekonania, że ukrytą sprężyną każdego tajemniczego postępku każdej młodej kobiety jest zawsze... kò-

chanek. Moja wyobraźnia nie jest ani tak ciasna, ani tak brudna.

Pani Oldaniecka czuje się stropioną. Ma w sobie coś z natury niedźwiedzia, który mruczy na drobne gałązki, a całe drzewa przyjmuje ze stoicyzmem.

Ostre wystąpienie siostrzenicy usposabia ją pojednawczo.

— Więc cóż ty przypuszczasz? — pyta sucho, lecz dosyć spokojnie.

Ale pani Mrońska ochłonęła już także i opuszcza się na krzesło.

— Ja nie nie przypuszczam — odpowiada ze smutkiem.—To jest takie dziwne!... takie niepojęte! Wolę jednak myśleć, że Ala w przystępie nagłego rozgoryczenia na męża, spowodowanego jego... oryginalnym postępowaniem...

— Powiedz: bezsensownem — przerywa pani Oldaniecka—sama jej na to zwracałem uwagę.

— Tem bardziej mogła powziąć dziecinny zamiar ukrycia się gdzieś przed nim, a potem...

Wchodzi pokojówka z tacą w rękę.

— Czego? Cóż tam znowu?

— Jakaś pani przyszła.

Pani Oldaniecke bierze z tacki podłużną kartę wizytową.

— „Ryta Szemko“ — odezytuje przeciągle.— Nie znam... Ale to jakieś osłuchane nazwisko. Nie mogę sobie przypomnieć. Kto to może być?

— Jakże, ciociu, to ta sławna artystka. Kurjer przed kilku dniami zapowiadał jej występy.

Pani Oldaniecka ściąga brwi.

— Aktorka? Czegóż ona może ehcieć odemnie? Pewno skarotować mnie na bilety.

Pomimo smutnego nastroju, pani Zofja zaczyna się śmiać.

— Ależ ciociu! Ryta Szemko obchodząca domy z biletami na swoje występy! Czytałam, że już cały teatr wyprzedany na pierwsze przedstawienie.

Zamiast odpowiedzi, matka Oldanieckiego zesznurowywa usta i przez chwilę patrzy w natężeniu na trzymaną w ręku kartę Ryty. Wreszcie kładzie ją z determinacją na stoliku.

— Powiedz tej pani, że mnie niema w domu.

— Ciocia jej nie przyjmie? — woła zdziwiona pani Mrońska. Dlaczego? Skoro przyszła, musi mieć widocznie ważny interes.

Twarde rysy pani Oldanieckiej przybierają wyraz prawdziwie kamienny.

Jakby nie słyszała, zwraca się do służącej:

— Tylko zrób to grzecznie. Powiedz, że myślałaś, że jestem w domu; tymczasem przekonałaś się, że wyszłam. Z nikogo nie trzeba sobie robić wroga. Zrozumiałaś?

— Dobrze, proszę pani.

Po wyjściu pokojówki matka Oldanieckiego spogląda majestatycznie na siostrzeniec.

— Pozwól sobie powiedzieć, moja Zosiu, że postępujesz nietaktownie, czyniąc mi uwagi przy służbach. Już ja wiem co robię. Przeszłam przez życie, nie mając nie wspólnego z aktorkami i tak już zostanie. To z pewnością kobieta niemoralna, okropnego prowadzenia, i ja ją mam przyjmować! Z jakiej racji?

Pani Mrońska jest dziwnie zamyślona.

Z kolei ona zdaje się nie słyszeć słów ciotki.

Te niespodziane odwiedziny Ryty Szemko w jakiś szczególny sposób kojarzą się w jej umyśle z prowadzoną przed chwilą rozmową.

Zdaje sobie sprawę z całej fantastyczności takiego skojarzenia, a jednak...

Pyni Oldaniecka potrąca pogardliwie kartę aktorki.

— Co to za bezczelność tych kobiet! — mówi zalterowana. — Taka dama ośmiela się przyjść do zaanego domu, wnosić swoją zakałą w jego czystą atmosferę, a moja siostrzenica uważa za właściwe dawać mi reprimendy, że nie umiem ocenić zaszczytu, który mnie spotyka. Może miałam wybiedz do przedpokoju na jej przyjęcie?

Ale w coraz głębszą zadumę wpadająca siostra Czerezy nie zwraca uwagi na te uszczypliwe słowa.

— Jabym ją była przyjęła — mówi, jakby do siebie. — Jabym ją była przyjęła. To się źle stało.

Za całą odpowiedź pani Oldaniecka rusza ramionami i sznuruje usta, jakby miała w nich ukrytą gumową ściągaczkę.

II.

Wezesny mrok już zapadł i na mokrych ulicach pozapalano latarnie.

Wskroś zięjącej chłodem i wilgocią mgły, światła ich zataczają mętne żółte koła i rzucają na zziębłe twarze snujących się pod nimi przechodniów przykre, katafalkowe odblaski.

Chłopot kaloszy na chodnikach wtóraję chłopotowi dorożek po braku.

Rozpaczliwa brzydota słotnej jesieni przygniotła miasto, które karczy się pod nią, jak zbity pies.

W Alejach Jerozolimskich surowy powiew od Wisły przeciąga z jękiem, chwiejąc nagiemi sylwetami drzew, rozwiewających się jak cienie w długiej, ku rzece spadającej perspektywie.

Wprost pod ten wiatr, saknię wysoko unosząc, niepewnym trochę krokiem wieśniaczki, do ośli-zgłych flizów nie nawykłej, idzie pani Mrońska.

Idzie, do brata, z którym po przyjeździe tylko przelotnie się widziała, a jest tak zamyślona, że gdyby na chodniku ruch był większy, potrącałoby ją co chwila.

Od rozmowy z ciotką zamyśla się ciągle w ten sposób; a tragiczna historia Ali jest jakby wątkiem, na który dusza jaj nawija nie własnej, nieokreślonej tęsknoty i smutku.

Dzieje się z nią to, co—częściej, niż przypuszczaćby można—dzieje się z wielą inteligentnymi i uczuciowymi kobietami, które wcześniej za męża poszły, mają dobrych mężów, dostatek i dzieci.

Na pozór są one zupełnie szczęśliwe; a przecież gdzieś na samem dnie ich duchowej istoty leży jakaś wielka pustka; jakiś ogromny głód niezaspokojonych pragnień...

Idą z tem przez życie, prawie o tem nie wiedząc, aż jakiś prąd z zewnątrz potrąci o tę strunę i każe jej silnie zadźwięczyć — nieraz ku ich własnemu zdziwieniu.

Wtedy bezwiednie rwą się w ten świat, który na zawsze zamknięty dla nich został: w świat silnych namiętności, gromadzących w swem łonie niezwyčajne zdarzenia, jak chmura gradowa gromadzi pioruny; w świat ideowców lub erotomanów! rwą się ku niemu, a ich dotychczasowa pogodna dola wydaje im się nagle dziwnie szara i jałowa.

I ta niezmożona, niezmożona tęsknota, ta zła-
da tego wszystkiego!!

Siostra Czerezy myśli wciąż, myśli z jakąś dziwaczną zazdrością, z jakimś żywiołowym podziwem o Ali; wyobraża ją sobie w chwili, gdy decydowała się na ten niepojęty, niesłychany czyn: zniknięcia.

Wobec ciotki tłumaczyła go z bagatelizującą trochę trzeźwością; ale sama przed sobą inaczej się na to zapatruje.

Znała ją przecie.

Wie, że żaden niedorzeczny kaprys, tem mniej nizka chęć przekory, czy odwetu, nie mogłyby być czynnikiem.

Więc co?

Co ta kobieta, tak delikatna jak kwiat mimozy, mogła czuć wtedy, kiedy puszczała się w tę awanturniczą wędrówkę; kiedy ona, to uosobienie prawości, zacierała tak umiejętnie ślady za sobą kłamliwym listem do matki męża?

Co ją tak z gruntu w jednej chwili przemieniło?

Jak nadzwyczajne wrażenie musiała przeżyć!
Że sprawcą tego przewrotu mógł być tylko Oldaniecki, to nie ulega dla pani Zofji najlżejszej wątpliwości, i to właśnie napełnia ją tą dziwną zazdrością, tym żywiołowym podziwem, jak przed czemś zgoła dla niej niedostępnem.

Pani Zofja kocha bardzo swego męża; żyją z sobą tak zgodnie! ale napróżno usiłuje wyobrazić sobie sytuację, w której ona, przez niego lub dla niego, byłaby zdolna tak wszystko postawić na kartę!

Nie! nie! nigdy.

Przecież ma dzieci!..

Dzieci są wielkim szczęściem, ale stanowczo wypłaszają z mateczynych serc wszelki romantyzm.

Albo oni!.. jej mąż: ten wzorowy gospodarz, zany obywatel, wstający o czwartej rano, a o dziewiętej wieczorem senny już jak tygodniowy kociak!

Gdyby je go spotkała podobna katastrofa—czy zachowywałby się wobec niej jak Oldaniecki, czy szukałby zaginionej żony aż do ostatniego tchnienia i czy wśród tego nie starałby się, lecz stałby się jeszcze żywotniejszym, jak tamten, który podobno pracuje z zapalem nad nową wielką powieścią, a świeżo napisał tę śliczną nowelę, która ją tak zachwyca?

Pani Zofja mimowoli uśmiecha się i jednocześnie wzdycha.

Nie. Ciotka ma słuszość.

„Normalnym“ ludziom takie rzeczy się nie

trafiają; a jeżeli się trafią, to oni sobie jakoś inaczej z nimi radzą.

Przezornie szpantują niebezpieczne fermenty, aby nie dopuścić wybuchu.

Zwolniła kroku i tęnym wzrokiem wpatruje się w chodnik.

Jak smutno! jak brzydko! I tak okropnie tęskno!...

Dlaczego? Do czego?

Przecież nie do katastrof i nieszczęść, tylko o! tak — do tego czegoś, może do tej tęzowej grudki nadzwyczajności, której w smacznym, maślanym i miodem posmarowanym chlebie jej powszedniego życia — niemal

Miała iść za sprawunkami.

Tyla rzeczy do domu potrzeba: Mężowi ciepłych kaftaników, dzieciom bielizny i obuwia; ścierki się też podarły; a i o podarkach gwiazdkowych pomyśleć trzeba...

Chętnie wszystko to będzie kupowała, tylko nie dziś.

Dziś zadławiłaby się tą flanelą i barchanami, jak się dławi mgłą i oblepiającem jej stopy błotem!

Ach! słońca! lazurów! woni!... i tego czegoś! tego czegoś!

Woli iść do brata.

On jest także człowiekiem „nienormalnym,” a choć się upija i wogóle prowadzi nieporządne życie, to jednak pani Zofja wie, że mało znajdzie się dusz, mających tyle zdolności do czynów ofiarnych i pięknych, jak właśnie dusza Michała Czerezy.

Myśli też nieraz, jakim-by on był, gdyby go tak Ala była kochała i gdyby się z nią ożenił.

Zna oddawna tajemnicę jego serca, choć nigdy o tem wyraźnie z sobą nie mówili.

Biedny Michał! Co się w nim teraz dzieć masi!

Wdrapawszy się na czwarte piętro, pani Zofja długo czeka pode drzwiami, zanim w odpowiedzi na jej dzwonek głos ochrypli i rozdrażniony pyta zewnątrz:

— Kto tam?

— To ja, Michasia. Otwórz!

— Aha! Ty! Dobrze.

W ciemnym przedpokoju witają się uściskiem ręki.

Obojętny zupełnie dla całego swego licznego rodzeństwa Czereza tę jedną siostrę kocha głęboko, i ona odpłaca mu serdecznem przywiązaniem, ale jednym z jego dziwactw jest, że się nigdy z nikim nie całuje.

Naraża tem sobie wszystkie starsze panie, w pierwszym rzędzie ciotkę, która mu jego angielskich *shake-handsów* darować nie może.

Jedną tylko Alę całował w rękę. Ją jedną!

— Nie zdejmaj okrycia — ostrzega, wprowadzając siostrę do pokoju.—Djabelnie tu zimno w tej latarni.

On sam ma na starej marynarce zarzucone zimowe palto i garbi się szkaradnie, aby mu z pleców nie spadło.

Był zawsze bardzo chudy, ale teraz jest w nim coś szkieletowatego.

Twarz wydławiła mu się jeszcze więcej, a kości policzkowe zdają przebijać żółtą, tu i owdzie sinemi żyłkami poentkowaną skórę.

Nad wytartym aksamitem kołnierza łysa jego głowa występuje z ostrością zarysów trupiej czaszki. W podpuchłych oczach tleje jakiś dziwny, niezdrowy blask.

Pani Zofja zbliża się do pieca i dotyka go dłonią.

— Ależ on zimny! Dlaczego tu nie napalono?

— Bo nie napalono — odpowiada Czereza.

— Zaziębisz się i rozechorujesz w takiej lodowni. Przecież tu para z ust idzie!

— Dobrze, dobrze. Siadaj tylko.

Spycha z otomany stos szpargałów, i stare papierzyska padają ciężko, wydobywając kłęby kurzu z siebie i z dawno niezamiatanej podłogi.

Pani Zofja krztusi się, ale nie czyni żadnej uwagi i jak może sadowi się na sterujących sprężynach otomany, a Czereza, odstąpiwszy na środek pokoju, patrzy na nią swoim drwiącym wzrokiem, w którym jednak w tej chwili jest dużo ciepła.

— Mogłabyś śmiało jechać do Indji — mówi niedbale — nie dostałabyś żółtej febry. Zaraza się ciebie nie imal!

Ona podnosi na niego swe piwne oczy, które są tak bardzo do jego oczu podobne i uśmiecha się.

— Mówisz, jakbym przychodziła z jakiego zadżumionego miejsca.

— A oczywiście. Z domu ciotki Oldanieckiej. Tam przecież panuje moralizatorska dżuma; naj-

gorsza ze wszystkich. Tylko czekałem, aż mi palniesz kazanie o hygienie, porządku i innych cnotach. Ale ty jesteś przyjemna kobieta, Zosiu... Z tobą można żyć. A! A! Sacramento! Gdybyś nie była moją siostrą, chciałbym się z tobą żenić.

Jego nieszczera wesołość, zduszony głos i wyniszczona postać przykre wrażenie sprawiają na pani Zofji.

Ze stłumionem westchnieniem odwraca od brata oczy i przenosi je na biurko, na którym pod palącą się nierówno lampą leżą książki, notatki i mokre jeszcze pióro, rzucone na zapisany w połowie arkusz.

— Pracujesz, jak widzę, Michasiu?

— A! pracuję!—odpowiada z nieopisaną ironją.—Ale dobrze, żeś przyszła. Chciałem cię widzieć!

— Tak. Wiem, że do ciotki chodzić nie lubisz.

— A nie lubię.

Przysuwa sobie nogą krzesło, siada i zaczyna podrzucać spadające mu z ramion puste rękawy paltota.

Jakieś pytanie zdaje się krążyć na jego cienkich, białych wargach.

Siostra przychodzi mu z pomocą.

— Był dziś list od Adasia z Sirmione—mówi jakby od niechcienia.

Po twarzy Czerezy przebiega drżenie i ta szczególnie brózdka, zjawiająca się u niego przy

każdem wzruszeniu, zarysowywa mu nad brwiami swój otwarty kwadrat.

— I... cóż?—wykrztusza przez ściśnięte gardło.

— Z Wiednia udzielono mu jakichś ważnych informacji. Pisze, że ma nadzieję trafienia na ślad.

— Trafienia na ślad... On ma nadzieję. — powtarza Czereza.

Ujmaje brodę w kułak i siedzi zgarbiony, patrząc przed siebie z rozdzierającym bólem w oczach i jadowitem szyderstwem na ustach.

— Aj! aj! aj! te wschodnie bajki! — zaczyna po długim milczeniu. — Przypomina mi się jedna. Wiesz... o chłopezyku, który się wybrał w świat z trzema klatkami. W jedną chciał złowić promień słońca, w drugą zapach róży, w trzecią śpiew słowika. Przedsięwzięczy chłopezyk, co? Jak myślisz? Gdyby żył dzisiaj wśród nas, czy nie wziąłby z sobą jeszcze czwartej klatki? S a c r a m e n t o!

Głos Czerezy jest, jak jego spojrzenie, wzbrazy bezdennym bólem i palącym szyderstwem.

Pani Zofji robi się ogromnie smutno. Jakby słuchała dzwonów pogrzebowych.

— Więc i ty także, Michasia... — mówi z wyrzutem — ty także tak bezwzględnie zwątpiłeś? Że ciotka w swojej chłodnej praktyczności może takim trzeźwym łokeiem mierzyć usiłowania Adasia, to jeszcze rozumiem! Ale, ty? Zresztą, to nawet trzeźwe nie jest. Przecież żadna istota ludzka nie może się rozwijać jak cień! Weześniej, czy później coś się o niej usłyszeć musi... Ale opuszczać zaraz ręce... Mnie to doprawdy obarza.

Czereza spogląda na siostrę, jakby jej chciał

dziękować, że tak ujmuje się za tą sprawą; wstrząsa jednak głową.

— Ludzka istota! — powtarza znowu. — Masz słuszość. Ale nie promień słońca, zapach róży i śpiew słowika. A ona — była tem wszystkiem...

Przy wymawianiu tych słów, chyli nizko czoło, jak czeiciel, oddający hołd swemu bóstwu.

— Była — szeptem w zamyśleniu — była! Oti wyraz, jak każdy inny. Cztery litery. Równie dobrze mogłoby być „kiep.“ A jednak... dureń ja taki... Zdawało mi się czystem niepodobieństwem, żebym ja kiedykolwiek w takim zestawieniu mógł go wymówić. To jakby wierzącemu kazano powiedzieć: „Był Bóg.“ Zdawałoby się: język wpierw kołem stanie. A, oti nie staje.

— Michasia!...

Czereza podnosi raptem głowę, jakby się ocknął.

— Eti daj mi pokój — mówi szorstko.

Nastaje długie milczenie.

Czereza zaczyna znów się bawić pustemi rękawami paltota, a pani Zofja myśli o Ali; myśli z dziwnym, samolubnym żalem.

Jak tę kobietę kochano! Tamten jej mąż i ten tutaj!

Obaj ludzie tak wręcz odmienni, a tak niepowszedni.

I czy nie lepiej wziąć od życia tyle szczęścia i tyle poezji i odejść w wieńcu niezwiędłych róż młodości i miłości, niż, doczekawszy się późnego wieku, patryarchalnie pożegnać świat z procesją roztargnionych wnuków, przyprawdzanych do łóżka

po ostatnie błogosławieństwo, i pozostawić po sobie urzędową żałobę najbliższych, których będą przyjaciele pocieszać słowami: Cóż robić?... Taka kolej rzeczy... Nażyła się!...”

Pani Zofja wzdycha mimowoli, jakby słyszała swoje własne epitafjum.

Czereza wstaje i pochyla się nad nią.

Niezgrabnym ruchem człowieka, któremu pieszcota jest obojętne, kładzie rękę na jej ramieniu.

— Oti daruj, Zosiu! Brutal ze mnie był i będzie. Nie gniewaj się!

— Ja? Michasia! Na ciebie?...

Niemówi nic więcej, ale Czereza odgaduje doskonale, ile w tych dwóch wyrazach jest współczucia i zrozumienia tego wszystkiego, co się złożyło na zwiechnięcie i rozgoryczenie jego duszy.

— Tyś jest nadzwyczajnie dobra kobieta — powiada, siadając obok niej.

Zamiast odpowiedzi, siostra bierze jego rękę w obie dłonie i pozostają tak czas jakiś oboje, zadumani i smutni.

— Michasia — pyta nagle pani Zofja. — Czyś ty widział kiedy na scenie Ryte Szemko?

Czereza aż podskakuje na otomanie!

Po raz ostatni słyszał to nazwisko, wymawiane ustami Ali.

Momentalnie widzi przed sobą rojną perspektywę ulicy Marszałkowskiej, po której szedł z nią, także ostatni raz, i słyszy jej najdroższy głos, powtarzający: „Ryta Szemko! Ryta Szemko!...”

I ten zapach akacji, o którym mówiła i którzy, zdawało mu się, że czuł wtedy..

A potem, kiedy przyszedł do niej — znowu ostatni raz! — i przyniósł jej fotografię tej aktorki...

Jak ona się w nią wpatrywała! A była już wtedy zmieniona; taka inna!

Już ją otaczało koło tej potwornej, niezbadanej tajemnicy, w którą zapadła!...

Wszystko to w mgnieniu oka zalewa mu mózg palącą lawą okrutnego wspomnienia.

— Ryta Szemko! — wykrzykuje z taką gwałtownością, że siostra spogląda na niego zdziwiona. — A tobie z kąd do głowy ta wilczyca?

— Było dziś u ciotki!

Teraz Czereza już nie podskakuje, ale zrywa się jak oparzony.

— Co?... Czego chciała?

— Nie wiem. Ciotka jej nie przyjęła.

— Sacramento!

Wywraca zawadzające mu krzesło i zaczyna biegać po pokoju w przystępie niepohamowanego wzburzenia.

Bo znowu, jak wtedy, na ulicy, gdy Ala wspomniła, że Oldaniecki jeździł wiosną do Lwowa, tak teraz, pewne luźne fakty, słowa, spostrzeżenia zbiegają się w jego umyśle, na arkan tajemnych uzupełnień schwywane.

— Przyszła — mruczy sam do siebie — przyszła. Ta... do jego matki!

Ze wzrastającym zdumieniem pani Zofja wodzi za nim swemi dobrymi, rozumnymi oczyma.

Lecz z tym przedziwnym taktem serca, który zawsze najlepszą drogę obiera, nie pyta o nie; nie czyni żadnej uwagi, czeka,

Wreszcie Czereza staje na środku pokoju.

— I powiadasz, że jej nie przyjęła?

— Tak.

— O! baba przekłeta! Aj! aj! aj!

Siostra spogląda mu prosto w oczy.

— I mnie się zdawało, że ciotka źle zrobiła, nie przyjmując jej—mówi dobitnie.

— Co to źle! — wybucha Czereza. — Głupio! Idjotycznie! Wstrętne! Trzeba tylko takiej sparciałej kretynki, jak ten babsztyl, żeby nie zrozumieć, nie odczuć...

Urywa i przeciąga ręką po czole.

Trzęsie się cały, i gdy tak stoi zgarbiony, pod swym zrudziałym paltotem, ze snującymi się po chudej, żółtej twarzy sinemi smugami, przedstawia skończony obraz zjedzonego przez nerwy i abnegację neurastenika.

Pani Zofji łyzy cisną się do gardła, gdy patrzy na niego, ale usiłuje być spokojna, jakby nie widziała jego, niezrozumiałego wzburzenia.

On też stara się je poskromić.

— A! mniejsza z tem — mówi, rzucając się znów na krzesło. — Ostatni osieł ze mnie. Przepracowany jestem, przepity! Lada rzecz mnie denerwuje. I zimno tutaj. Brr!

Po chwili dorzeka:

— To jednak ciekawe, czego ta histrjonka mogła chcieć!

Zwykłym mu ruchem wsuwa łokcie pomiędzy kolana i, podany naprzód, patrzy w ziemię, uderzając z lekka dłonią o dłoń.

— Michasiu!—odzywa się po długim milczeniu pani Zofja.

— A co?

— Jak ci się zdaje? Czy nie było dobrze, gdybyś poszedł do niej?

— Myślałem o tem — odpowiada, nie podnosząc oczu.—Zobaczę.

— W imieniu ciotki?

Czereza wyprostowywa się szybko.

— W żadnem imieniu. Jeżeli nie jest głupia, to się domyśliła, że ciotka jej nie przyjęła i mogłaby mnie wrykoszeta za drzwi wyrzucić. Przyjdę od siebie. Jestem blizkiem krewnym.

— Masz słusność. I, wiesz Michasiu, że gdybyś ty się nie zdecydował, to może ja bym do niej poszła. Bo im więcej się nad tem zastanawiam, tem silniejszego nabieram przekonania, że taka Ryta Szemko nie byłaby się zgłaszała do ciotki bez ważnego powodu. I myślę także, że ten powód... nie jej się dotyczył.

— Może!.. wszystko być może.

Pani Zofja widzi, że brat chciałby sam pozostać, i zaczyna się żegnać.

Czereza wyprowadza ją aż na schody, co jest u niego rzadkiem objawem serdeczności i ścisłkając mocno jej rękę, mówi:

— Dziękuję ci, Zosiu. Bardzo ci dziękuję, Przyjdź pojutrze o tej samej porze.

— Dobrze.

Wkrótce potem stróżka, zjednana datkiem pani Zofji, przychodzi napalić w piecu i przynosi wieczornego Kurjera.

Czereza, który nigdy rubryki teatralnej nie przegląda, rzuca się na nią z cheiwością.

Nie jest w możności myśleć o niczem innem, tylko o Rycie Szemko; pali go taka niecierpliwość, że nie wie, jak doczeka jutra.

Jest jeszcze dosyć weześnie: siódma godzina; postanawia więc, że jeżeli ona dziś występuje, to pójdzie do teatru... Choćby mu podwójną cenę za bilet przyszło zapłacić — pójdzie. Może nawet do jutra zwlekać nie będzie z bytnością u niej.

Po przedstawieniu zaczeka u wyjścia, przedstawi się, poprosi o chwilę rozmowy...

Jest bowiem prawie zupełnie pewny, że ta kobieta odegrała jakąś rolę w zniknięciu Ali..

Nieraz, w bezsennych nocach, gdy pijany trunkiem i rozpaczą, tarzał się po ziemi wśród swoich szpargałów, rwał je zębami i wołał: „Gdzie ty jesteś! Co się z tobą stało?“ — nieraz wtedy, jak mętna halucynacja migała mu dziwna, żarłoczna twarz aktorki, pochyłona jak wampir, nad świetlaną wizją jej ukochania.

A teraz — ta jej bytność u pani Oldanieckiej, nawet ten instynktowny wstręt, jaki da jej czuł od początku, wszystko przemawia za tym domysłem.

Szuka więc w Kurjerze gorączkowo i znajduje:

„Miłośnicy podniosłych wrażeń artystycznych, doczekają się nareszcie uczyt prawdziwej.

„Nagle niedyspozycja, której, jak wiadomo, uległa Ryta Szemko, nazajutrz po przybyciu do naszego miasta, i która prawie o tydzień odwlokła jej z taką niecierpliwością oczekiwane występy, minęła szczęśliwie, i znakomita artystka ukaże się jutro w „Balladynie“ Słowackiego, będącej jedną z jej najwspanialszych kreacji!

„Kto widział na scenie Rytę Szemko, temu zdawać się mogło, że mistrzowska jej gra dosięgała najwyższych szczytów, na jakie interpretacja sceniczna wznieść się może; tymczasem genialna artystka ani na chwilę nie ustaje w pracy nad doskonaleniem własnej doskonałości.

Między innymi, bawiąc zeszłej jesieni w południowych Włoszech studjowała tarantele u miejscowych tancerek specjalnie do roli ibsenowskiej „Nory“, i jak nas zapewniano z dobrze poinformowanego zakulisowego źródła, odtwarza ten taniec z porywającą plastyką i iście południowym temperamentem. „Nora“ projektowana jest na drugi występ.“

Z ustami, wykrzywionemi zjadliwym uśmiechem, odezytuje Czereza te bombastyczną wzmiankę.

— Oti bydło—mruczy—oti reklama! Tfu!

Rzuca Kurjer i rozgląda się po swoim brzydkim, nieprzytulnym pokoju.

Co on tu będzie robił cały ten długi, bezliतोśnie długi wieczór? Żałuje teraz, że pozwolił siostrze odejść.

Pisać, pracować w takim usposobieniu jest czystem niepodobieństwem.

Więc, co pozostaje człowiekowi, w którym każdy nerw wyprawia harce na własny rachunek, który ma dokoła siebie pustkę, a w sobie piekło wspomnień i mękę oczekiwania, co mu pozostaje, jeżeli nie knajpa?

I Czereza idzie do knajpy.

.

III.

Nazajutrz, już o dziewiątej zrana Czereza jest na ulicy.

Wczoraj od kogoś ze znajomych usłyszał, że Ryta Szemko mieszka w „Bristolu“ i postanowił pójść dowiedzieć się naprzód, o jakiej porze najłatwiej zastać ją można.

— Pani Szemko? Na którym piętrze, numer, i kiedy przyjmuje—pyta telegraficznym stylem siedzącego za ladą w przedsiönku i porządkującego ranną pocztę portjera.

Wspaniały ten urzędnik mierzy krytycznym wzrokiem niepozorną postać interpelanta; ale, że jak większość hotelowych portjerów jest dość biegłym fizjognomistą, poznaje przeto natychmiast, że widzi przed sobą kogoś, który tylko dlatego ma na sobie wyrudziałe palto, że o lepsze nie dba; i odpowiada grzecznie:

— Pani Szemko dziś wcale nie przyjmuje.

— Dlaczego?

— Mam zapowiedziane, że w każdy dzień przedstawienia pani Szemko dla wszystkich bez wyjątku jest niewidzialna,

— A w inne dni?

— Między drugą a trzecią.

— Dziękuję.

Więc znowu więcej niż dwadzieścia cztery godziny oczekiwania!

Czereza wychodzi prędko z hotelu, bo czuje, że jeżeli chwilę dłużej pozostanie, zrobi jakąś awanturę.

Wszystko w nim kipi.

Od wczoraj mętne jego przypuszczenia zmieniły się w pewność.

Z krańcowością, właściwą tak manjackiej jak jego naturze, nie tylko jest przekonany, że Ryta Szemko wie coś o losie żony Oldanieckiego, lecz chwilami daje się kołysać najśmielszym, wprost nieprawdopodobnym nadziejom.

Ach! precz ze wschodnią bajką o klatkach bezużytecznych wobec nieuchwytnych uroków!

Ona, Ala, to wcielenie wszystkich uroków, jest, żyje, odzyskana być może.

Tamta—histrjonka, wilezyca, ukryła ją gdzieś, więzi dla siebie tylko wiadomych celów.

I poszła do matki jej męża, wściekła, że mąż ten (jej kochanek zapewne) zamiast tu w Warszawie wieńce jej ślać pod nogi, szuka jednak zaginionej; poszła natrząsać się z niedołążnej starości

cyniczną opowieścią swego czynu; stawiać wymagania...

Tu, Czereza, tym atomem rozwagi, jaki błąka się jeszcze po jego skołatany mózgu wyczuwa bezsensowność swych roideł i, jakby ze snu zbudzony, pomimo że jest na ulicy, przeciera ręką oczy.

Ogarnia go wściekłość na samego siebie, na życie całe, na Rytę, zwłaszcza na Rytę.

Achl jak on ją nienawidził!

Wilczyca!

Czy mogło być coś trafniejszego nad to wrażenie, jakie na nim z fotografii wywarła?

Alboż nie szarpie mu duszy pazurami swej niewidzialności, nie żłopie jego krwi serdecznej?

Ale on ją i tak zobaczy dzisiaj! Pójdzie do teatru.

W dzień może się ona kryć przed całym światem, za to wieczorem, każdy, kto posiada kilka rubli do wyrzucenia, ma prawo ją oglądać.

Marna, płatna lalka, nakręcana sprężyną udawanych namiętności dla zabawy dorosłych dzieci!

Czereza jest takim ignorantem w sprawach teatralnych, że czeka długo przed spuszczeniem okienkiem i dziwi się, jak mało osób zgłasza się w tym samym celu, aż przypadkowo objaśniają go, iż kasa dziś wcale otwartą nie będzie, gdyż już wszystkie bilety od kilku dni wyprzedane.

Ale „Balladyna“ ma być powtórzona; może zatem w kasie zamawiań, postarawszy się weześnie...

Informacji tych udziela mu przekupień o typowej twarzy zgonionego charta.

Nie jest on fizjognomistą, jak portjer z „Bristolu,” i nie przypuszcza, aby jegomość tak lichy odziany i widocznie taki teatralny profan mógł się zdobyć na kupno biletu z drugiej ręki, i to biletu do piątego rzędu krzeseł, to jest takiego, jaki on właśnie ma na zbyciu, o czym od niechcienia wspomina.

Wielkie też jest zdziwienie jego, gdy Czereza wyrywa mu prawie ów bilet z ręki i płaci, nie targując się, żadaną cenę.

Na kwadrans przed rozpoczęciem przedstawienia Czereza siedzi już na swoim krześle.

Zasunięty w głąb, z brodą ujętą w kułak i łokciem opartym o poręcz, nie rozgląda się, nie podnosi nawet oczu, gdy koło niego przeciskają się dążący na swoje miejsce sąsiedzi.

Usuwa im się z jakąś niepojętą nienawiścią i za każdym razem doznaje dziwacznej chętki dania tym nieznanym ludziom potężnej sójki w żołądek.

Po co oni tu przyszli? Po co się cisną i depcą mu po nogach?

Przecież jedna tylko Ala była na świecie, jedna tylko Ala zginęła, i jedna tylko taka lawina niepojętego bólu stoczyła się w pierś czyjąś, w jego pierś!

On tu jest tak samo, jakby był na szczycie góry, na dnie pieczary, w kościele, w lupanarze, wszędzie, gdzieby tylko coś, cień cienia tej potwornej zagadki, dławiącej go od tyłu miesiący dał się odnaleźć...

Ale oni? Cały ten tłum?

Czereza nie widzi go, nie chce widzieć; lecz odgaduje, że wszyscy, począwszy od wydekoltowanych kobiet w łożach; skończywszy na subjeckie korzennego sklepu z paradyzu, wszyscy postrojeni w najlepsze swoje suknie, przyszli tu nasycić wspólny głód, zasiąść do jednej wspólnej misy.

Marny! płaski, niewolniczy tłum!

Ileż tu się tłoczy, może ramię do ramienia, jednostek wrogich sobie! ilu osobistych nieprzyjaciół, którzy woleliby raczej dać przepaść najszlachetniejszej sprawie, niż spółem dla niej iść! ileż dystygowanych wysoko urodzonych dam, które uważałyby sobie za srogą obelgę, gdyby ich szwaczka lub szewcowa powiedziała im kiedy: „czuj razem ze mną!“

A jednak są tu z niemi; przez kilka godzin będą wytrzeszczali oczy w jeden punkt, będą razem klaskali w dłonie, razem śmieli się, razem płakali!

I cada tego dokona jedna handlarka udawanemi namiętnościami, jedna spekulantka na giełdzie nudy i żądzy podnieć, jedna histrjonka — Ryta Szemkol

Czereza już od lat kilku nie był w teatrze, i specjalna atmosfera widowni odurza go jak trunk.

Tłum teatralny jest, bądź co bądź, tłumem wytwornym.

Zamiast potu, czuć go perfumami; nasycenie ciekawości, która go tu przywiodła, ma sobie prawie zapewnione, z góry zapłacone; jakiś legalny sybarytyzm unosi się nad nim.

Czerczę ogarnia wstyd i obrzydzenie, że i on

wciągnięty jest w to koło lubieżne, próżniacze, że i o nim jakiś obserwator mógłby pomyśleć to samo, co i on o całym tym tłumie myśli w tej chwili.

Chełoby prawie wstać i zawołać:

„Umywam od was ręce; ten małpi prąd, który uczynił z was bezmyślnie zrzeszone stado, jest mi obcy!“

Lecz tuż kurtyna idzie w górę.

Kłapanie krzesel, zapadających pod ciężarem ostatnich maruderów, miesza się z melodją słów Kirkora i pustelnika.

Ale nikt na to nie sarka.

Publiczność przyjmuje te pierwsze sceny, i tak reżyserskimi nożycami na strzępy pocięte, jako dobrodziejstwo inwentarza.

Nawet zjawienie się uroczej Goplany, którą gra bardzo lubiona i dużego talentu miejscowa aktorka przechodzi bez wrażenia.

„Ulubienica“ wie, że dziś nie dzień jej żniwa, że publiczność chowa zapasy swoich zachwyków dla przyjezdnej „gwiazdy“, nie zadaje też sobie trudu z wcieleniem się w tę jedną z najpiękniejszych wizji wielkiego poety.

Poprzestała na peruce kasztanowatych włosów, do stóp sięgających, na obfitości traw i kwiatów, rozrzęzionych po blade seledynowych drapekach; na tych wszystkich tanich efektach kostiumu i szminki, które w połączeniu ze snopami oświetlenia bengalskiego, czynią z niej szablonowe zjawisko teatralnego piękna.

Po za tem zna ona swoich Pappenheimerów i scenę z Grabeem traktuje tak, jakby poprzez tę

jutrzenkową pieśń budzącej się do młodości dziewiętej duszy, porozumiewała się z widownią obietnicą: „Na inny raz!”

I publiczność nie protestuje; owszem, zdaje się nawet uznawać „koleżeński takt” swej dramatycznej prymadonny, jakby z umysłu usuwającej się na drugi plan wobec gościa.

A Słowacki?

Któżby się o niego troszczył! Kto tu przyszedł dla niego!

On jest przecież dodatkiem do Ryty Szemko! Czereza czuje to, rozumie; i niechęć instynktowna, którą żywi do Ryty, zamienia się w pogardę.

Mimowoli zaciska swe chude palce.

Oto na co przyszło poezji...

Jakaś Ryta Szemko, która, nim wstąpiła na deski teatralne, sprzątała może umeblowane pokoje, przesłania sobą postać wielkiego Juljusza!

Czerezy zdaje się, że z po za dymu reporterskiej reklamy, z po za rynsztanku sztuczek aktorskich, dostrzega to dumne widmo, uchodzące zwolna i z boleścią od swego sprofanowanego dzieła.

O! jakże chętnie za ukazaniem się nędznej przywłaszczycielki porwałby ją za kark i przygiął w prochu do samych stóp poety, mówiąc: „Tu twoje miejsce.”

Leż o to kurtyna po raz drugi idzie w górę i ukazuje się chata wdowy.

Nareszcie!

Jakby jedno ogromne westchnienie ulgi, wy-

dobywające się z piersi wielkoluda, wstrząsa widownią.

Natężenie oczekiwania i niecierpliwości wydobywa się w ogłuszającym oklasku.

Czerezę aż coś podnosi na fotelu.

Cheiałby krzyknąć: „Mileżeć, hołoto!“ — ale w tej samej chwili oczy jego padają na stojącą nieruchomo w progu postać Balladyny.

Nie! to nie jest ta aktorka, którą się ujrzeć spodziewał, ta Ryta Szemko, przygotowana na to, że tak, a nie inaczej będzie powitana, dziękująca za oklaski.

To jest prawdziwa wiejska dziewczyna, która wchodzi do swojej chaty i na wstępie słyszy jakieś niezrozumiałe, niemile ją rażące odgłosy.

Więc przystanęła z brwią ściągniętą i czeka, aby to minęło.

Jest coś tak nadzwyczaj wymownego w tem jej cofnięciu się aż pod próg chaty, w tem skamienieniu rysów, że publiczność, jakby zrozumiałszy nagle barbarzyństwo swoje, milknie, i wdowa powtarza znów wejściowy frazes, który zagłuszyła była całkowicie powitalna salwa.

Czereza jest trochę ułagodzony i zaczyna patrzeć.

Balladyna nie powiedziała dotychczas ani słowa, a przecież jest już coś nowego, coś zgoła dotychczas niewidzialnego w sposobie, w jaki, postąpiwszy w głąb chaty, krząta się po niej znażonymi trochę ruchami, które zdają się potwierdzać tę całodzienną pracę na zagonie, o której mówi jej matka.

Ma na sobie grubą koszulę, brudną i zmiętą, nieco u śniadej szyi rozchyloną; rękawy zawinięte po łokcie, nogi bose.

Kilka kłosów płacze się naturalnie w jej zwi-
chrzonych, czarnych jak noc włosach.

Gdy weszła, włosy te były ściśle związane ta-
siemką na karku; zapewne, aby jej w pracy nie
przeszkadzały, a teraz rozwiązuje je i pyta siostry
o grzebień...

Ten głos!

Nigdy ze sceny nie słyszał Czereza takiego
głosu!

Poniósł się on po widowni, jak po zroszonej
łące i nawiał na nią, jakby technienie pól i lasów,
jakby dziką woń ziół i swobody.

Magiczna jego potęga, to coś niewysłowienie
pierwotnego, świeżego, młodego, przedzierzgnęto
w jednej chwili płócienną dekorację w prawdziwe
ściany chaty, nie dzisiejszej, ale takiej, która stać
mogła w tych zamierzłych wiekach baśni, kiedy
w złociste zbroje zakuci rycerze zasięgali rad pu-
stelników co do wyboru żony; kiedy legendarne Go-
plany i Skierki mieszały się w ludzkie sprawy;
i kiedy dziewczęca młodość wyrastała silna, bujna,
pachnąca, jak jeden więcej kwiat na niewymęzono-
nej cywilizacją ziemi.

Czereza nie może jeszcze otrząsnąć się z uczuć
i myśli, jakie go tu przywiodły.

Artystyczne wrażenie, jakiego doznaje na wi-
dok i głos Balladyny nie pozwala mu zapomnieć,
że przecież jest to ta sama kobieta, która wczoraj
była u świekry Ali.

I gdy z ust jej zmysłowych, grubych, barwą do zwietrzałej poziomki podobnych pada to imię tak mu ukochane i święte, Czereza wzdryga się, a na czoło występuje zimny pot.

Dziwnym zbiegiem okoliczności młodzianka aktorka, grająca rolę Aliny, postacią i ruchami przypomina nieco Alę; a złocista peruka, jaką ma na głowie, podkreśla jeszcze to podobieństwo.

A kiedy Balladyna chmurna i niecierpliwa krąży po izbie i, migając bosymi stopami, szuka swego grzebienia; a tamta biała, wiotka, słodko uśmiechnięta, stoi pośrodku, Czerezy zdaje się, że widzi nagle wcielenie tej fatalnej tajemnicy, która jak polip morski oplątała i wciągnęła w toń zatraty tamto, droższe mu nad własną głowę, życie.

Na chwilę tak silnie nim to owłada, że, drżący na całym ciele, z zaciśniętymi do krwi ustami, musi obiema dłońmi trzymać się poręczy fotelu, aby nie skoczyć tam, do tej izby, nie chwycić tej posępnej dziewczki za rękę i nie krzyknąć:

„Mów! coś z nią zrobiła?”

Ale wchodzi Kirkor, i razem z jego ukazaniem się posępne złudzenie pryska.

Czereza pociera dłonią wilgotne czoło, myśląc: „Głupcze! to przecież scenal”

I stara się być znowu tylko widzem.

Patrzy na Balladynę i widzi tych dwoje wielkich, czarnych oczu, które dotychczas były jakby przygaste i omlone, rozpalających się niby żuzie, chłonących w siebie świetną postać rycerza.

Zdawałoby się mogło, że złoto jego zbroi wsią-

ka w te przepastne źrenice, tak one zaczynają mienić się ognisćie i złowrogo zarazem.

Moc bezlitośna, nie cofająca się przed niczem, osiada na jej bladym czole pod gradową chmurą matowych włosów.

Widać, jak jędrna pierś tej dziewczyny wzdyma się pod luźnym gorsetem, napływającą w nią nagle falą próżności, ambicji, żądzy bogactw i zaszczytów.

Tak! to już jest ta przyszła morderczyni, ta bohaterka, trupami moszcząca drogę swojego tryumfu.

Pod wpływem przekształcenia, dokonywającego się w tej niezwykłej duszy, cała jej postać zdaje się rosnać, potężnieć, nabierać już coś z czaru świadomości władzy i wywyższenia ponad wszystkich.

Stoi pośród matki, siostry i przyszłego męża, nie próbując nawet ukrywać miotających ją uczuć, jakby wiedziała, że ci dobrzy, czystych serc ludzie nie zdolni są pojąć tego ogromu złego, jakiego ona staje się geniuszem.

A gdy w odpowiedzi Kirkorowi zaczyna malować mu potęgę swojej miłości; żarłoczna jej twarz kureczy się spazmem żądzy; płomienne obietnice buchają z jej ust jak pożar, zdając się zataczać ognisty krąg dokoła zasłuchanego rycerza — krąg z po za którego nie wyjdzie on już żywy — zdają się raczej grozić, niż przyrzekać; a jednocześnie, jak odurzający czar z mistycznej kadzielnicy, bije od niej czar wszystkich rozkoszy, wszystkich upojeń, jakie taka dzika dziewa dać może, gdy kocha...

Tylko, że ona nie kocha... i to odczułby każdy, prócz tumanionego jej kłamliwemi słowy mężczyzny.

Jak nikło, jak blado przechodzi tkliwe zapewnienie Aliny, że będzie: „Kochać i być wierną,” jak łatwo zgadnąć, że wcześniej lub później to słodkie dziecko ustąpić musi tamtej; bo życie jest zawsze jednakie, a mężczyzna zawsze taki sam czy nosi zbroję, czy frak, czy zwie się Kirkorem, czy Oldanieckim!

Czereza rzuca się na fotela.

Znowu! Znowu to fatalne zestawienie!

Ale już cały teatr trzęsie się od okłasków.

Kurtyna zapadła nad snem marzącej o malinach, Aliny, i publiczność, jak wygłodzone stado szakali, któremu raz wymknęła się zdobycz, ze zdwojoną natarciwością domaga się swojej ofiary.

To darmo! Balladyna musi wyjść przed rampę, musi się kłaniać, wdziękować, aby zadośćuczynić barbarzyńskiemu zwyczajowi, który po każdym akcie, jak brutalny bicz przepędza delikatną wizję artystycznego złudzenia.

Wywoływania i okłaski trwają przydłuższą chwilę i już huczy w nich ten poniżający aktorską godność despotyzm zbiorowej jednostki, która się tu czuje wszechwładną, gdy wreszcie z po za kulisy wychodzi Ryta Szemko.

Lekki szmer, szmer zdziwienia przebiega sałę i na jedno mgnienie oka, niby poszum wiatru wpada w gromy okłasków.

Ryta bowiem, dzięki darowi nadzwyczaj szybkiego przebierania się zdążyła, przez tę krótką

chwile, jaką po jej wyjściu ze sceny trwa monolog Aliny, zrzucić zgrzebną koszulę i gorset, obać się i włożyć jedną z tych białych, obcisłych sukien, które nosiła w Sorrento.

Przyklejona niemal plecami do kurtyny z rękoma opuszczonemi wzdłuż ciała, ze skrętami czar-nych włosów, opadającemi luźno na ramiona, wy-głąda zupełnie tak, jak na tej fotografii, którą Czereza przyniósł Ali.

Twarz jej jest tak nieruchoma, skupiona, wzrok tak uparcie patrzący przed siebie, ukłony tak auto-matyczne, gest, jakim przyjmuje powitalny kosz kwiatów tak sztywny, iż rzechy można, że na tę pańszczyznę oklasków i hołdów wysłała nie siebie, lecz swoją woskową, w pracowni Grévina wyko-naną, figurę.

Ostatecznie, jest to jeden więcej efekt aktor-ski; ale Czereza musi przyznać, że tkwi w nim ogromny artystyczny smak i wielkie poszanowanie sztuki.

I, po raz pierwszy, oczy jego spoczywają na niej bez wstrętu.

Jest jej prawie wdzięczny za Słowackiego, bardziej nawet wdzięczny za to, że tej jego Balla-dyny nie wypchnęła przed kinkiety, niż za to, że ją tak wspaniale odtwarza.

Odtwarzać to jej fach; ale to... ta subtelna cześć oddana poecie, tak subtelna, że może dla niewielu tylko w tej widowni zrozumiała, to już jest coś więcej.

— Sprytna — myśli Czereza, waleząc jeszcze

z rodzącem się w nim uznaniem dla tej kobiety.—
Sprytna histrjonka! Tem gorzej.

Jego ręce są jedyne, które nie złożyły się do oklasku.

Nie zmieniając postawy, z brodą wsuniętą w kułak śledzi każde najlżejsze poruszenie Ryty.

Gdyby jeden muskuł drgnął w jej twarzy, dostrzegłby to niewątpliwie.

I jest jedna taka, króciutka chwilka, w której zdaje mu się, że czarne oczy aktorki, oderwawszy się od tego punktu w przestrzeni, w jakim tkwiły, błyskawicznym rzutem obiegają całą widownię, prześlizgując się po tej spiętrzonej fali głów, jakby upatrując kogoś, i że na tę jedną chwileczkę, jak technicznie po stali, przemyka po jej kamiennej twarzy szczególnie jakiś, miękki, marzący wyraz.

— Jego szuka—powiada sobie Czereza, i nagle opanowuje go wstręt i złość.

Przez cały antrakt nie rusza się z miejsca. Jest wściekły.

Nie może sobie darować, że tu przyszedł; lęka się, fizycznie się lęka sceny zabijania Aliny; chciałby wyjść, lecz jakaś niepojęta siła więzi go w fotelu.

Dokoła niego zgiełk, hałas, ożywione rozmowy. Po łóżach flirt i chrupanie cukierków.

Ryta Szemko jest na ustach wszystkich.

Tuż przed Czerezą dwóch arcykapłanów krytyki rozprawia głośno, z pełną świadomością, że uszy profanów, mających szczęście znajdować się w pobliżu, łowią pobożnie ich uświęcone słowa.

Obaj zgadzają się, że od zeszłorocznych występów, w grze Ryty zaszła znamienna zmiana.

„Ona jest dziś jak instrument, któremu przybyła jedna struna.“ Tak określa jeden z nich tę zmianę.

W drugim rzędzie wymokły młokos z taberową w butonjerce, pochylony ku ubranej wyzywająco blondynce, krytykuje przebranie się Ryty.

— Już myślałem, że się nie pokaże. To było nietaktowne. Aktorka, choćby najświetniejsza, nie powinna nigdy dać czekać publiczności.

— Tak—potwierdza blondynka, wysysając czekoladę z likworem. — Ma pan zupełną słuszość. To jest, bądź co bądź, arogancja.

I znowu, o samej sztuce, o samym dramacie nikt nie myśli; nikt się nim nie interesuje.

To przecież tylko przywilej premjery.

Słowacki jest w tej chwili tak daleko od tej widowni, która przez cały wieczór będzie się pasła serdeczną krwią jego mózgu, jakby go nigdy nie było.

— Ciekawam, jak ona będzie zabijała? — szepece kobiecy głos za plecami Czerezy.

Nie! nie! Cywilizacja nie nie zmienia ludzi— to mrzonka!

Gdyby dziś amfiteatry z dzikimi bestjami były dozwolone, tłoczono by się na nie tak samo, tak samo żłapano by oczyma krew, jak za czasów Nerona. Może tylko tortury byłyby bardziej „modern“ w stylu.

Czerezę aż dusi w gardle.

Nigdzie, nawet w tych trzeciorzędnych knaj-

pach, w których czasem bywał, nie porywało go takie taedium generis humani, jak w tej wytwornej, od brylantów i jedwabi iskrzącej się sali.

Klap! klap! klap! wracają na swoje miejsca widzowie, cuchnący dymem i anegdolkami, temi anegdolkami z foyer, które nigdy nie mogą być dostatecznie pieprzne i tłuste na ich wymagania.

W dzisiejszych było kilka o Rycie Szemko. Takich sobie, ale to nieodzowne. Aktualność musi być zachowana.

Zajmują więc swoje miejsca zadowoleni, doskonale przygotowani do słuchania drugiego aktu.

A na scenie jest las...

„Bo on woli
Mój kochanek
Taki pełny
Malin dzbanek
Niż zbożowy łan,
Och! niż zbożowy łan!...”

W ostatnich dźwiękach naiwnej piosenki Aliny zjawia się Balladyna z dzbankiem na głowie, a razem z nią ta szczególna prawda, to jakby powołanie do życia całego otoczenia: niby ostra woń świerków, niby poszum liści, niby zapach malin...

Idzie, stąpając po tych deskach malowanych, jak po żywych trawach; odzież jej odświeżna, jaskrawa, z przewagą malinowej barwy; włosy przepłatanę wstążkami z jakąś posępną zalotnością.

Znać, że nie na same tylko maliny liczy w zdobyciu serca Kirkora.

Jest zdyszana, na policzkach ma wypieki, głos

świszczący, okrutny, jakby wezbrany zapowiedzią tego, co się stanie.

Czerezy serce zaczyna bić jak młotem.

Alina!... Ala... już nadchodzi... biedne, ufne anielskie dziecko!

Zdaleka, między temi drzewami jej złotowłosa głowa miga ma prawie jak wtedy w ogrodzie Saskim...

Za sobą, przed sobą słyszy przyśpieszone oddechy.

I ta nadzwyczajna cisza natężenia!...

Nikt się nie porusza, nikt nie chrząka... Wszysey czekają... nóż!

I nóż błyskał a nad nim twarz Balladyny.

Twarz?... Nie! Coś więcej, czy coś mniej.

Czereza po raz pierwszy jest świadkiem podobnego przekształcenia twarzy ludzkiej, dokonywanego się tak „na oczach“ bez żadnych sztucznych środków, jedynie za pomocą działania samych mięśni i wprost niepojętej zmiany kolorytu.

Niegdyś, na jakimś obrazie Rohegrosse'a widział taką maskę, i prześladowała go ona potem długi czas.

Nie miała płci; nie miała wieku; nie była wogóle ludzka; była zakłębieniem w mięso człowiecze najdrapieżniejszych instynktów zwierzęcych.

Czereza czuje, wyraźnie czuje chłód grozy, idący od tego zjawiska po całej sali.

I nastrój ten potężnieje z każdą chwilą, pomimo, że Słowacki osłabił demoniczny rozrost swej bohaterki, każąc jej spełnić największą zbrodnię na początku. Temte, następne są przecież niejako

logiczną koniecznością tej pierwszej, nie mają jej żywiołowej mocy.

I dlatego, wszystkie sceniczne Balladyny po tej kapitalnej scenie zabójstwa siostry słabną, jakby traciły dech.

Ale ogromny talent Ryty zwycięża ten szkopał.

Jeżeli dotychczas była, bądź co bądź, tylko wiejską, pierwotną, namiętą, zawistną, dziewczyną, to z chwilą wydobycia noża gra jej zatracą stopniowo cechy realne, staje się jakąś syntezą zła, zbrodni, potworności, spychając niejako Balladynę jako postać, jako kobietę, na drugi plan.

W piekielnym majestacie swych krwawych czynów snuje się po scenie z purpurową plamą na białym czole, straszna a piękna, pięknnością zbuntowanych przeciw wszystkiemu co dobre demonów.

I, czy wypędza matkę, czy z nożem skrada się do komnaty Grabea, czy truje Kostryna, jest wciąż tylko jakby biernym narzędziem fatalnej, niszczącej siły, posępną amforą, w którą ręka przeznaczenia leje palące napoje występków i okropności.

I wrażenie to, do takiego stopnia narzuca się widzom, że gdy w ostatniej scenie piorun zabija królowę, grom ten zdaje się być naturalną, ostateczną kwintesencją nagromadzonych w powietrzu pierwiastków wybuchowych.

Co więcej — ta śmierć wydaje się jedyną możliwą.

Żelazo, truciźna, to za słabe dla tej nad-istoty... Takiej stanąć tylko oko w oko z najwyższą potęgą; oko w oko Arimanowi z Orkmedem.

Tryumf wielkiego poety ze sprawą wielkiej aktorki jest zupełny.

Nawet wywiędłe młokosy z tuberozą w butonierce, nawet wyzywające strojnisię, nawet flirtujące i chrupiące cukierki damy z łóż, nawet nadziani tłustymi anegdotkami bywalecy z krzesel cięhną w sobie, zatracają dominującą w nich zawsze świadomość swego maluczkiego „ja.“

Piękno, natechnienie i wykładnik tych boskich elementów: prawdziwy artyzm uderzają w te zwietrzałe dusze pełnym szumem swych królewskich skrzydeł, miażdżą je, a zarazem podnoszą.

Teatr wypełnia się jakąś nową, jakby oczyszczoną atmosferą, która piersiom pokrytym krochmalnymi plastronami i opiętym w modne staniki każe przez chwilę oddychać szeroko i górnie.

Czercza nie czeka wywoływań; opuszcza salę nim jeszcze kurtyna dosięgnęła ziemi.

Chee być sam, chce unieść niezmaconą i nie-
tkniętą tę iskrę, jaką Ryta Szemko rzuciła w popioły jego artystycznych łaknień.

Od tak dawna, od tak dawna już z jakąś cyniczną determinacją lekceważył, zaduszał w sobie tę stronę życia.

Nie wierzył w szczerość artystów - twórców, a na artystę - odtwórcę patrzył jak na cyrkowego linoskoka.

Według niego, na drodze prawdziwej ewolucji społeczeństw, sztuka była przeszkodą, a wybijały kult artystycznego piękna zapowiedzią upadku potęgi narodowej.

On wielbił je tylko, jako żywiołowy objaw sa-

mej natury i w jego oczach wynalazca szczepienia ospy bardziej zasłużył się pięknu, niż wszyscy Praksytele i Canowy, bo dzięki jemu tysiące ludzi zdołało zachować gładką skórę.

„Plaję na artyzm takiego społeczeństwa—mawiał—które się głowi nad wynalezieniem nowego sposobu mieszania farb, a znosi spokojnie wśród siebie kultywowane niedostatkiem i ciemnotą rachityczne nogi, wydęte gardła i bydlęce fizjonomie.“

Aż dziś!

Ta detronizowana przez niego królowa dotknęła go swoim berłem i musiał... musiał akorzyć się; musiał schyliwszy czoło rzec:

„Masz prawo! Panuj!“

Czereza jest za inteligentny, żeby nie czuł ile takie zwycięstwo daje zwyciężonemu.

Te kilka godzin spędzonych w teatrze, to było coś, jak oaza kastalskiem źródłem bijąca, z której na spiekłą pustkę swej egzystencji wyniósł ochłodę i pokrzepienie.

Zwłaszcza od chwili, gdy postać Aliny zniknęła ze sceny, osobisty podkład wrażeń psujący mu czystość artystycznego odczawania rozwiął się także.

Ryta Szemko, ta wilezyca, ta histrjonka, nienawistna i wstręt budząca, dała mu to, czego przez ostatnie pół roku nikt i nie dać mu nie mogło.

Okazała się silniejszą niż wódka, niż praca, niż zwątpienie, niż nadzieja nawet!

Ogarnęła go, zabrała, zmusiła do milezenia wyjąca w jego duszy hydrę pamięci.

Gdy Czereza wdrapawszy się na swoje czwar-
te piętro, staje po środku mrocznych kątów swej
samotni ma pełną świadomość tego, że wraca tu
innym niż wyszedł.

Jest w nim jakaś wielka miłość i jakaś wielka
wdzięczność, i jakby rozkucie z więzów, i to pły-
nięcie na obłoku, wśród cichego szelestu białych
skrzydeł, po przez fale fiołkowej woni...

.....

O! bądź błogosławiona! bądź pochwalona! ty
czysta, ty piękna, ty miłosierna, ty pokój czyniąca,
ty... sztakol

I chociaż byś nie innego nie dawała ludziom,
prócz takich chwil letejskich, już warta jesteś, aby
cię w laur wieńczyły znużone i okrwawione dłonie
niewolników bytu.

A ci, którzy tobie służą, niech idą do ciebie
jak chcą, którądy chcą, bo takie jest święte prawo
ich powołania.

.....

Piękna postać Oldanieckiego majaceje przed
oczyma Czerezy...

Wszak i ten także...

Widział w nim zawsze pozera, życiowego sy-
barytę, otulającego się w płaszcz autorstwa, aby
pod nim ukryć lenistwo bezcelowej egzystencji,
i że ma z tem było do twarzy.

Po raz pierwszy myśli o nim bez niesmaku,
bezstronnie!

Po raz pierwszy ta jego fantazja zaszyca się

w jakiś niewiadomy kąt Europy, za co znenawidził go i potępił, z większą jeszcze niż pani Oldaniecka bezwzględnością, wydaje mu się jakby zrozumiałą.

Może to była jedna z tych dróg do sztuki wiodących... Może... może...

Aż sam dziwi się z kądemu to pobłażenie, ta pogoda duszy... Lżej mu z tem i lepiej...

Życie jest podłe, nędzne, ale gdy się na nie wyjrzy przez to szczytne, wawrzynami upięte okno artyzmu, ma się wrażenie, że one jednak coś warte...

Ev viva l'artel

Następny ranek Czereza ma tak zabrany lekcyjami, że zaledwie koło drugiej łapie chwilę, w której może się trochę przebrać i popędzić do rożką do „Bristolu.“

Szwajcar, który go poznał, nie daje mu dokończyć zapytania o piętro i numer mieszkania Ryty.

— Pani Szemko wyjechała.

— Co? Kiedy? Gdzie?

— Wczorajszym wiedeńskim kurjerem do Galicji.

— Ależ to niepodobna! Wczoraj wieczorem grała.

— Niemniej wyjechała wiedeńskim kurjerem.

Czerezy nie pozostaje nic innego, tylko dać się wykołowrotkować na chodnik.

Chwilę stoi bezradny, oszołomiony niespodziewaną wiadomością, z takim uczuciem, jakby coś,

co już prawie posiadał, raptem mu się z rąk wyslizgnęło.

— Sacramento! — syczy przez zaciśnięte zęby.

Wchodzi do kawiarni i każe sobie podać kawę i Kurjer.

Nie szuka napróżno.

Zaraz na drugiej stronie znajduje następującą notatkę:

Zawistne fatam.

„Jakieś nieżycezliwe bóstwo zdaje się opiekuwać tak długo oczekiwaną u nas gością Ryty Szemko.

„Niezrównana artystka, która wczoraj entuzjazmowała tłumy swoją genialną interpretacją Balladyny, o czem czytelnicy w wieczornym numerze znajdą obszernie sprawozdanie naszego referenta teatralnego, opuścić musiała Warszawę, wezwana telegraficznie do łoża umierającego ojca.

„Depeszę tę, która nadeszła podczas przedstawienia, doręczono jej po ostatnim akcie, tak, że artystka, zaledwie zdążywszy się przebrać, prosto z garderoby teatralnej udała się na dworzec wiedeński.

„Wobec tego dalsze występy tej wielkiej mistrzyni słowa ulegną zwłóce nie dającej się dzisiaj określić.“

Czereza wypuszcza z ręki Kurjera i, zgarbiwszy się, siedzi bez ruchu, wpatrzony w stygnącą kawę.

IV.

— Depesza! Signori!

— Al Dobrze!

Oldaniecki bierze papier z rąk portjera, na którego czapce, złotem wyhaftowany świeci napis: „Hôtel Sirmione“ i stoi przez chwilę wahając pośrodku obszernego, w kwiaty i dywany ubranego przedsiönka.

Wracając z kąpieli przebrać się na lunch, lecz teraz, z tą depeszą w ręku, ma wstręt do restauracyjnego tarasu i różnojęzycznego gwaru turystów.

Nie przeczyta ją na świeżem powietrzu, w samotności.

Wie od kogo jest, domyśla się treści, mimo to drży cały.

Nieszczęście, które go dotknęło, było tak wyjątkowe, nadzwyczajne, że nauczył się brać w rachubę nadzwyczajności, jako rzeczy naturalne.

A gdyby ta depesza była od niej... od Alii...

Cóż! jak nieprawdopodobnie znikła, tak nieprawdopodobnie może się zjawić...

Och! niedorzeczność! W każdym razie dowie się czegoś.

Zawraca szybko i przez oliwny gaj dąży nad brzeg jeziora.

Ma już tu swoje ulubione miejsce: ławeczkę na płaskim urwisku.

W dniu przyjazdu do Sirmione zobaczył siedzącą na niej niemłodą, czarno ubraną kobietę w ciemnych okularach; z dużym, czarnym wachla-

rzem, który często podnosiła do twarzy, jakby się przed czemś zasłaniając.

Gdy ją mijał, dążąc do skał Katalla, coś powiało ku niemu od niej, jakby melancholja życia, które już wszystko przeżyło.

Wracając, już jej nie zastał.

Usiadł na ławeczce i doznał wrażenia, jakby zanurzał się w atmosferę bezdennego smutku i beznadziejności, jaką ta nieznajoma po sobie zostawiła.

Odtąd widywał ją codziennie o różnych porach, zawsze na tem samym miejscu; zawsze samą; zawsze co jakiś czas zasłaniającą się wachlarzem, jakby przed jakimś, w przestrzeni ukazującym jej się widmem.

Gdy ławeczka była pusta, sam siadał na niej, i tak zajmowali ją naprzemiennie, wytwarzając tem pomiędzy sobą jakiś łącznik.

Nieznajomej niema w tej chwili. Oldaniecki siada i otwiera depeszę.

Jest pisana po niemiecku i datowana z Belgio:

„Proszę przyjeżdżać. Referencje nie podlegające wątpliwości.

Waltersbrun.“

Jest to nazwisko ajenta biura wywiadowczego w Wiedniu.

— Boże! — szepeze Oldaniecki.

Tyle już razy łudzono go podobnemi wiadomościami!

Tyle razy płonność ich, czasem aż groteskowo bezpodstawna, uderzała w niego jak nowy cios.

I zawsze powtarzał się w nim szczególny proces psychologiczny.

Prócz kilku początkowych przypadków, w których dał się unieść szczeremu porywowi nadziei i które potem piekielnie odcierpiał, na dnie jego duszy nie było ani atomu wiary w podobne depe-sze, wezwania i zapewnienia.

Zawsze jednak wmawiał w siebie, że wierzy; oszukiwał się z całą samowiedzą, że się oszukuje; wytwarzał w sobie sztuczną gorączkowość oczekiwania, pogrążając go, jak działanie hasyszu w stan pół-jawy, pół-odurzenia, dojmującej, niby ten ból najwyższy, który się staje prawie rozkoszą.

Ale najosobliwszem w tem było to, że zawsze wtedy poczynała w nim działać wyobraźnia twórcza.

Pisał.

Bo przyszła na niego ta godzina cudu, której napróżno wyglądał w Sorrento.

Przyszła kiedy się najmniej spodziewał, podczas długiej rekonwalescencji po chorobie, którą przebył, dowiedziawszy się o zniknięciu Ali.

Jak dobrze pamięta tę chwilę!

Był sam; po raz pierwszy przeprowadzono go z sypialni do gabinetu.

Zmierzech zapadał; na kominku palił się bujny ogień.

Za oknami ostra, wczesna jesień ziębiła szyby. Oldaniecki patrzył w płomienie i zbierał myśli: Jak się to wszystko stało, że jest tak, jak jest?

Czereza powiedział mu: „Nie wiem,“ a on wtedy upadł na ziemię, i nastąpiła dziwna luka w jego egzystencji.

Lekarze nazwali ją zapaleniem mózgu.

Może i tak być. A potem?

Potem odzyskał przytomność i pytał o żonę, a matka ma rzekła: „Niema jej.“

Ale on tego absolutnie zrozumieć nie mógł.

Dokoła niego mówiono, że już wyszedł z niebezpieczeństwa, że gorączka minęła; jemu jednak zdawało się, że właśnie teraz dopiero zaczyna majaczyć, że świat cały jest w malignie.

Jak to?

„Nie wiem“ i „Niema jej.“

Czy ci ludzie potracili zmysły?

Dni upływały, a on, leżąc w łóżku i przyjmując automatycznie wzmacniające pokarmy, męczył się wewnątrz, aby to coś tak niemożliwie fantastycznego wtłoczyć w rzeczywistość.

A teraz, gdy mu się to nareszcie powiodło, zadał sobie pytanie:

— Jak z tem żyć?

I natychmiast przyszła odpowiedź:

— Z tem żyć niepodobna!

Więc co? Strzelić sobie w łeb?

— Tak; zapewne.

Ale jeżeli po za tem: „Nie wiem“ i tem: „Niema jej,“ tkwi gdzieś czyjeś: „Wiem“ i jakieś: „Jest?“

Do tej chwili nie miał poprostu czasu na żadną wątpliwość.

Grom w niego uderzył, powalił go, a on poddał się biernie jego sile.

Był naprzód nieprzytomny, a potem tak oszołomiony i osłabły, że nieprzychodziło mu nawet na myśl, że z tego zawartego koła nieszczęścia mogłoby się znaleźć jakieś wyjście! Aż dziś...

Oldaniecki rzucił się w swym fotelu rekonwalescenta, jakby nim coś raptem szarpnęło!

Szukać!

Tak. Będzie jej szukał po całym bodaj wielkim i szerokim świecie. Nie wszystko jeszcze stracone.

Gdzie tylko pole do działania otwarte, tam nie może być mowy o rozpacz, o apatji, o beznadziejności.

Szukać!

Pożarem ogarnęła go ta myśl.

Fantazja jego, raptem zbudzona z letargu, zaczęła pracować, stwarzać sytuacje, obrazy, nakładać fakta na fakta, niby na płótno.

Zrazu obracało się to wszystko jedynie dokoła postaci Ali: było jakimś kształtowaniem się dróg i sposobów, służących temu celowi, który przed nim nagle zabłysnął, jakimś jasnowidzeniem wyników, wieńczących jego usiłowania.

Aż oto — sam nigdy nie wiedział, jak do tego przyszło z chaosu tych osobistych rojeń, niby snop czystego światła z kotłowiska iskier, coś strzeliło w górę jedną płomienną myślą; gdzieś, z dna duszy, coś się porwało, jak raptem rozpięty ptak i wielkim szumem twórczego lotu napełniło mu wyobraźnię...

Z chorego, nieszczęściem stratowanego człowieka uczuł się dzwigniętym na wyżyny mocarzem;

bezwierny tryumf, przemożne szczęście niespodzianego rozkwitu zatamowało mu oddech; w oczach mu pociemniało — omdlał!

Jak dobrze pamięta to wszystko!

I ten swój lęk okropny, z jakim, gdy go się dociecono, sięgnął myślą w głąb duszy, szukając tam owej wizji twórczej, drżąc, że mogła pierzechnąć bez śladu i że nie wróci.

Ale wróciła.

Bogatsza, pełniejsza, stająca się tem czemś artyście najdroższem, co jest zrazu embrjonem, mgiełką, a co on z czasem ma nazwać swoim dziełem.

Pod wpływem tych dwóch podniet, zarówno silnych, zarówno w krew mu wehodzących, Oldaniecki zdumiewająco szybko powracał do zdrowia.

Życie go wołało, ciągnęło, nabrało dla niego podwójnej wartości, podwójnego celu.

I tak się złożyło, że tego samego dnia, kiedy poczynił pierwsze kroki na drodze poszukiwań Ali; kiedy rozesłał pierwsze listy do biur wywiadowczych w całej Europie, tego samego dnia napisał początek pierwszego rozdziału swej nowej wielkiej powieści.

I odtąd szło już to niemal równomiernie, rozłamując mu niejako egzystencję na dwie połowy: jedną zewnętrzną, w której stał i odbierał depesze i listy, jeździł, konferował z najrozmaitszymi ludźmi; drugą wewnętrzną, w której cierpiał, wątpił, spodziewał się i — tworzył.

Po za tem nie dla niego nie istniało: ani przeszłość, ani przyszłość, ani świat cały.

Ryta znikła mu z pamięci tak doszczętnie, jak gdyby całe Sorrento było majakiem sennym, po którym nie zostało nawet wspomnienia.

Nie dała mu nie z tego, czego się po niej spodziewał, i jego męski egoizm przeszedł z łatwością po rzewnej prośbie jej serca, która w ową noc burzy z jej ust namiętnością spalonych wypadła.

Miał też i powód do tego, aby chcieć zapomnieć.

W tem całym, niepojętym zniknięciu żony to jedno tylko rozumiał, że gdyby jej nie był pozostawił bez wiadomości o sobie, katastrofa ta nie byłaby się stała.

I to poczucie własnej winy, własnej odpowiedzialności za to nieszczęście było mu tak nieznośne, że odwracał myśli od wszystkiego, co mu ją przypomnieć mogło, a więc przedewszystkiem od owego sorrentyńskiego epizodu.

Takie było jego życie i stan jego duszy przez tych czternaście miesięcy, aż do tej chwili obecnej, kiedy siedząc na ławeczce w Sirmione, odczytuje depeszę pana Waltersbrana.

— Boże! — powtarza znowu.

Ręce ma zimne jak lód; w uszach szum.

A jeżeli?... a jeżeli?...

Tęsknota tak wielka, że wyczuwa ją fizycznie, jakby płyn palący i ostry rozechodzi mu się po żyłach, tamuje oddech w piersiach. Tęsknota za nią, za tą piękną, ukochaną, straconą!

Achl ujrzeć ją!...

Próbuje ogarnąć myślą możliwość takiego szczęścia i nie może.

A przecież... niegdyś... posiadał je...

Patrzył na nią codziennie; należało mu tylko odezwać się do niej, aby usłyszeć jej słodki, kochający głos; potrzebował tylko wyciągnąć ramiona, aby jej słoneczna głowa spoczęła na jego piersi.

Wszystko to było; on to wszystko miał!

A dziś?

Zarówno trudno mu uwierzyć, że mogłoby to znów stać się jego udziałem, jak że to już nigdy nie wróci!

Zasłania oczy rękoma i popada w rodzaj halucynacji.

Łudzi się, że ona idzie...

Gdzieś, z głębi oliwnego gaju wychodzi biała, złotowłosa, cudna i zbliża się ku niemu.

Z uśmiechem bezgranicznej miłości na różanych ustach, z wyciągniętymi jak dwa wonne kwiaty dłońmi...

Jeżeli odsłoni oczy i spojrzy po za siebie, zobaczy ją...

Ale on oczu nie odsłania.

Jest mu tak dziwnie dobrze; ta złuda tak go ukaja, kołysze...

Ostry paroksyzm tęsknoty minął, pozostało mu tylko po nim ogromne znużenie...

Nietylko po nim.

Cały wczorajszy wieczór męczył się bardzo.

Pisał — nie szło mu.

Doszedł do tego miejsca w swojej powieści, które od samego początku przedstawiało mu się w ogólnej kompozycji, jak pusta jama...

Zawsze miał obawę, że przy tem „utknie.“

I utknął.

Bezwiednie zaczyna o tem myśleć.

Postać Ali płacze mu się z postaciami jego fantazji.

I tamta, i te są zarówno po za bytem.

Łaknie w nim człowiek; łaknie artysta; szczególna dwoistość, będąca podłożem obecnego jego życia, wchłania go w siebie.

I stopniowo ta pusta jama, nad którą wczoraj daremnie trwał bezradną, jałową myślą, poczyną zasnuwać się tkanką nowego pomysłu; ogniwo niespodzianej sytuacji spaja szczyty kompozycji, rozlatującej się dotychczas w jego mózgu.

Oldaniecki coraz silniej zaciska dłońmi oczy w instynktowem odgraniczaniu się od zewnętrznego świata.

Cytl... cytl... byle nie spłoszyć tych dwóch mar, jednakowo niemal mu drogich... cytl...

Pod jego stopami, w dole, cicho, miarowo szmerzą fale, te same fale, które ongi nianęczyły serdeczne bóle starożytnego piewcy miłości.

Odwieczny ruch! Odwieczna męka!

W powietrzu jest ta sama senna, południowa cisza, jak owego dnia, kiedy Oldaniecki z Rytą siedzieli w pocentkowanej słonecznymi plamami kolebie, jak w ulu napełnionym rojem pszczoł złotych.

Otl otl w jaką nicość zapadł ten czas, „to krótkie życia święto“... Otl

I tak samo, jak wtedy, ostry świst parowozowej syreny rozdziera błękitną przestrzeń...

Lecz jemu to niczego nie przypomina, zupełnie niczego, prócz rzeczywistości.

Szybko odsłania oczy i spogląda na zegarek.
Nie.

To statek dążący do Gargnano; ten go nie obchodzi.

Lecz za godzinę będzie szedł drugi, w stronę Desenzana, na który musi wsiąść, jeżeli chce schwycić medjolański pociąg.

Więc znowu rachunki, napiwki!

Teraz jednak nie przejmuje go to takim obrzydzeniem jak w tamtą ostatnią noc pobytu w Sorrento.

Uciążliwa trywjalność tych drobnych czynności zaciera się i niejako idealizuje w oświetleniu tego wielkiego celu, dla którego muszą być spełnione.

Śpiesząc do hotelu, Oldaniecki myśli:

— Jutro o tej porze już będę wiedział.

I ta doba natężonej niepewności, jaka się przed nim otwiera, ta krótka podróż statkiem, potem koleją, potem nocleg w Medjolanie, potem znów kolej, potem znów statek, wszystko to ma dla niego urok działania, przerywa to bierne oczekiwanie, którego pleśń poczynała mu już obrastać duszę.

To też nazajutrz, stojąc oparty o barjerę durnety nie tylko nie czuje żadnego zmęczenia, chociaż większą część nocy, spędzonej w hotelu, pisał—lecz przeciwnie, spogląda na występujące z fal Como Bellagio z jędrną gotowością przyjęcia mających go tam spotkać wrażeń...

Na debarkaderze oczekuje go pan Waltersbrun,

typowy wiedeńczyk, gwałtownie przecharakteryzowany na anglika. Sztuczna powolność jego ruchów i flegmatyczna mowa w dosyć zabawny sposób kłóć się z latającem spojrzeniem szarych oczu, opatrzonych w złote binokle, które ma zwyczaj często poprawiać trzema palcami lewej ręki, wyprostowanymi lub zgiętymi, stosownie do okoliczności. Rucha tego nauczył się pan Waltersbrun od pewnego aktora, grywającego role lordów i dyplomatów, i jest głęboko przekonany, że nie bardziej angielskiego nad to nie może istnieć.

— I cóż? — pyta Oldaniecki gorączkowo. — Co pan masz dla mnie?

— Bardzo wiele, szanowny panie. Gdyby nie moje doświadczenie, które mnie nauczyło, że nie można być nigdy dość ostrożnym w kwalifikowaniu faktów, powiedziałbym: Wszystko!

— Mów pani

— Nie tutaj, szanowny panie. Pozwoliłem sobie zatrzymać dla szanownego pana pokój w „Grand Hotelu.“ Tam będę miał zaszczyt przedstawić szanownemu panu wyniki moich zabiegów.

Wsiadają do hotelowego omnibusu.

Przez drogę pan Waltersbrun bawi swego klienta rozmową krajobrazowo-etnograficzną, przy czem odświeża sobie w pamięci pogląd na jego osobę.

Widział go tylko raz jeden przed kilkunastu miesiącami w Wiedniu, a nim mu swoją pieśń wyśpiewa, chce się upewnić, z jakiego tonu ma ją zacząć.

Takich tonów pan Waltersbrun posiada kilka, a wielka wprawa, jakiej nabył w gatankowaniu klienteli daje mu możność poznać — nim omnibus minął bramę willi „Serbelloni,“ — że ten klient jest gatankiem primo, i że należy stosować do niego ton wytwornie *matter of fact*.

— I cóż? — powtarza Oldaniecki, gdy horda posługaczy, tragarzy, kelnerów, nad-kelnerów, pokojówek, nad-pokojówek, opuściła wreszcie pokój i znaleźli się sami.— Siadaj pan i mów mi wszystko. Czego się mam spodziewać?

Pan Waltersbrun poprawia binokle palcami lekko zaokrąglonemi, co oznaczać ma zwykłą przegrywkę.

— Do usług, szanowny panie. Przepraszam, iż nie będę się uciekał do żadnych omówień. W zawodzie naszym pełnimy poniekąd obowiązki chirurgów. Jesteśmy zmuszeni dotykać bezwzględnie miejsce bolących, i...

— Rozumiem—potakuje Oldaniecki przez zaciśnięte zęby.

Pan Waltersbrun ma zupełną słuszość.

Gdyby odpinał mankiety, zakasywał rękawy i ujmował w rękę nóż, jego towarzysz nie mógłby doznawać dotkliwszego wrażenia zbliżającej się operacji.

— Rozumiem — powtarza niecierpliwie. — Jestem na to przygotowany.

— Pomyślna to dla mnie okoliczność. Mogę przeto z całą otwartością zaznaczyć, że od chwili, gdy szanowny pan zaszczycił mnie swoim zaufaniem, uwaga moja skoncentrowała się przedewszystkiem na... zakłady dla umysłowo chorych.

Cięcie lancetu poszło za głęboko.

Pomimo zapewnienia, że jest przygotowany na wszystko, Oldaniecki wstrząsa się cały na krześle.

— Jakto?

— Nie inaczej, szanowny panie. Wypadek był anormalny, powiem — najanormalniejszy, z jakim zdarzyło mi się spotkać, i logiczna konkluzja wskazywała szukać rozwiązania na drodze... anormalnej. Wprawdzie raz miałem fakt poniekąd analogiczny i stosowałem do niego zupełnie odmienną metodę, ale... tam mąż, bogaty przemysłowiec, niemiec, był starcem i posiadał garb na plecach, a żona leżyła dwadzieścia pięć lat, była rumunką i...

Oldaniecki ściąga brwi.

— Proszę, nie odbiegaj pan od przedmiotu.

Pan Waltersbrun poprawia binokle, tym razem palcami sztywnymi jak druty.

— Trwam ciągle przy nim, szanowny panie. Wszedłem zatem w porozumienie ze wspomnionymi zakładami, uwzględniając przede wszystkim Austrię, Francję, Niemcy i Włochy. Szanse innych krajów, na przykład Szwecji, Hiszpanji były — według mego rozumienia — prawie żadne.

— Tak... zapewne — potwierdza machinalnie Oldaniecki.

Jest jak we śnie.

Wśród wszystkich najdzikszych przypuszczeń, to jedno mu nigdy na myśl nie przyszło.

Obłąkana!... Ala obłąkana!... Ta słodka, wdzięczna Ala!... i... kaftan bezpieczeństwa... Niel Niel!... To było zbyt potworne...

A przecież...

Pan Waltersbran zsuwa nieco binokle, łypie ponad nimi na swego klienta krótkim, nieokreślonym spojrzeniem i mówi dalej:

— Tak, szanowny panie. Manja wędrownicza jest nader pospolitym objawem u osób dotkniętych umysłowemi zaburzeniami. Oczywiście padają one najczęściej ofiarą grabieży, i przeważnie policja znajduje je w stanie opłakanym po ulicach, gościńcach, ogołocone nietylko z pieniędzy, ale i ze wszelkich dokumentów, o ileby je posiadać mogły. Wówczas umieszcza się taką bezdomną jednostkę w odpowiednim zakładzie, i wdraża się śledztwo, w czym, o ile tyczy się to osób cudzoziemskiego pochodzenia, pośredniczą właściwe konsulaty. Zwykle weześniej lub później zgłasza się rodzina, i koszta bywają pokryte.

Oldaniecki słucha, nie przerywając.

Patrzy prosto przed siebie w otwarte okno, poza którem widać przepyszne palmy ogrodu Serbelloni i rąbek Como, migający pomiędzy nimi jak błękitna wstążka, przewleczona przez zieloną koronkę.

Bezdomna jednostka!... policja... śledztwo... Co jeszcze?...

Głos pana Waltersbruna rozlega się dalej jednakowo suchy i bezbarwny. Mógłby w ten sam sposób opowiadać o wytłaczaniu oleju palmowego w Kalabarze.

— Mając to wszystko na uwadze, szanowny panie, przetrząsałem, rzecz mogę, każdy kącik, wchodzący w zakres mojego planu działania. Kilkakrotnie zdawało mi się, że jestem na tropie; raz

nawet jeździłem do Marsylji, z kąd mi nadesłano referencje łądząco zbliżone do moich wytycznych danych. Nie zaprzętałem tem wszystkim uwagi szanownego pana. Poczytuję za zbyteczne niepokoić klienta tem, co w naszym zawodzie jest, że się tak wyrażę, mierzwniem pola... Zresztą sam nie miałem wielkiej nadziei... Sytuacja była wyjątkowo trudna. Aż niespodzianie otrzymuję list od dyrektora szpitala... hm!... miejskiego w Insbraku...

Oldaniecki żywo podnosi głowę, a jednocześnie odchylone binokle pana Waltersbruna z poza których łytał wciąż na swego klienta, jadą w górę.

Szczególna rzecz! Ktoby pilnie obserwował manipulację angielskiego wiedeńczyka z temi narzędziami, mógłby powziąć podejrzenie, że są to zwyczajne szkiełka, służące raczej do zasłaniania wyrazu oczu, niż do poprawy wzroku pana Waltersbruna.

— Z Insbraku! — powtarza Oldaniecki.—A!

— Tak; i mnie to uderzyło, szanowny panie, w zestawieniu z tą okolicznością, że szanowna małżonka pana miała w projekcie podróż do Tyrolu. Była to już pewna koicydencja. List opiewał, że we wrześniu roku ubiegłego w okolicach Francensfeste znaleziono na polu młodą kobietę nieprzytomną z oznakami zupełnego wyczerpania organizmu. Odzież jej była zniszczona, obuwie podarte, jakby od forsownych marszów; nie miała na sobie żadnych klejnotów, ani pieniędzy; nie ulegało jednak wątpliwości, że ta młoda osoba należy do wytwornych sfer towarzyskich. Bielizna jej bardzo

cienka, choć rozlatująca się w strzępy, opatrzona była monogramem: „A. K.“

Drżenie silniejsze od poprzednich wstrząsa znów postacią Oldanieckiego.

„A. K.!...“ Są to panińskie inicjały Ali.

Pan Waltersbrun zawiesza głos i poprawia, binokle, zastaniając sobie, jakby od niechcenia dłonią oczy.

Zawodowa dyskrecja nakazuje mu nie widzieć wzruszenia klienta.

— Mów pan dalej—wykrztusza Oldaniecki.

— Do usług, szanowny panie. Młoda osoba była niebezpiecznie chora... tyfus... zdaje się tyfus głodowy... leczono ją w miejscowym szpitalu, a gdy zaczęła powracać do zdrowia, zauważono, że... że jest umysłowo nienormalna. Narodowość jej pozostawała na razie nie stwierdzona, gdyż jednym z objawów jej... rozstroju było absolutne milczenie. Płakała ciągle, a na zapytania odpowiadała tylko ruchami głowy. Wobec tego, po różnych perypetjach, nad którymi nie widzę potrzeby rozszerzać się, przeniesiono ją do szpitala dla dotkniętych umysłowemi cierpieniami w Insbruku. Tam... po kilku miesiącach nastąpiło w jej stanie polepszenie o tyle, że zaczęła mówić. Dowiedziano się wówczas, że jest polką, choć najchętniej mówiła po francusku, i że ma na imię Ada. Nazwiska swego nie mogła, czy też nie chciała ujawnić... Zwracam uwagę szanownego pana, że w takich warunkach zmiana jednej litery w imieniu mogła bardzo łatwo nastąpić.

— Tak.. tak... — szepece Oldaniecki.

Jak błyskawica przelatuje mu myśl, że „Ada“ może być również przypomnieniem jego własnego imienia.

Czuje jakiś tępy, niecznośny ucisk pod czaszką.

Boże, wielki Boże! gdyby to jednak miało być prawdą...

— Powierzehowność młodej osoby — ciągnie dalej pan Waltersbrun, po krótkiej gimnastyce z binoklami—uderzająco zgadzała się z rysopisem, jaki wskutek mojej kurendy znalazł się w posiadaniu dyrektora. Była blondynką, o wielkich, bardzo jasnych włosach, piękną, delikatną; więc...

— Pojechałeś pan do Insbruka? — przerywa Oldaniecki.

— Nie, szanowny panie. Raczy szanowny pan przypomnieć sobie, że zaszczycony zostałem jego uwagą dopiero w marcu. Kurenda moja przyszła za późno i tylko wyjątkowej skrupulatności nowego dyrektora — jego poprzednik byłby się może weale nie pofatygował — otrzymałem te informacje. Gdy bowiem ów dzielny człowiek pisał do mnie swój list, młodej osoby nie było już w szpitalu.

Chwila milezenia.

— Umarła? — pyta głucho Oldaniecki.

— Nie, szanowny panie—odpowiada pan Waltersbrun powściągliwie.

— Więc co się z nią stało? Gdzie jest?

— Tutaj!

Od początku rozmowy pan Waltersbrun widział przed sobą ten kulminacyjny efekt, rozkoszował się nim naprzód, każde słowo było obrachowane, aby

go wywołać i teraz, gdy wreszcie nastąpił, wrażenie, jakie sprawia, nie zawodzi oczekiwań ajenta.

Pomimo całej siły panowania nad sobą Oldaniecki zrywa się z krzesła.

— Tutaj? I pan mi to dopiero teraz mówisz!

— Jeszcze chwileczka cierpliwości, szanowny panie. Młoda osoba opuściła szpital, w okolicznościach dosyć szczególnych. Pozwolę sobie streścić je możliwie najzwięźlej. Pewna bogata amerykańka straciła przed kilku laty jedyną córkę. Córka ta umarła na pomieszenie zmysłów. Rozpacz matki była tak straszna, że groziła także obłędem. Lekarze zalecili jej podróżować. W podróżach tych nieszczęśliwa kobieta wszędzie, gdzie tylko mogła zwiedzała szpitale i zakłady dla umysłowo chorych, znajdując pociechę w osładzaniu doli tych wydziedziczonych. Jeżdżąc w ten sposób, znalazła się w Insbruku. Młoda osoba, o którą nam chodzi, była już wówczas tyle wyleczoną, ile nią być mogła, to jest przy absolutnej anestezji pamięci co do przeszłości, posiadała pełną świadomość chwili obecnej i zachowywała się przytomnie i rozsądnie. Była tylko ciągle ogromnie smutna i małomówna. Zarząd szpitala był w prawdziwym kłopotcie, co z nią począć dalej. Aż oto, stara dama, oczarowana jej pięknnością i rozezulona wyjątkową historją, ofiarowuje się zabrać ją na własną odpowiedzialność, jako swoją towarzyszkę... Szanownemu panu wiadomo: amerykańki bywają ekscentryczne. Oczywiście zarząd chętnie zgodził się na tę propozycję; młoda osoba nie stawiała żadnego oporu; owszem przylgnęła od razu do znalezionej tak

niespodzianie opiekunki; załatwiono potrzebne formalności, i obie damy wyjechały w dalszą podróż. Tyle referencji dyrektora.

— Dziwne!—szepcze Oldaniecki w zamyśleniu.

W głosie jego dźwięczy jakby nuta bezwiednego niedowierzania, którą wprawne ucho pana Waltersbruna chwyciła w lot:

— Bardzo dziwne, szanowny panie. Lecz pozwolę sobie uczynić spostrzeżenie, oparte na mojej długoletniej praktyce, że najdziwniejsze są właśnie te rzeczy, które się zdarzają.

— Mów pan dalej.

— Mając takie dane, szanowny panie, postanowiłem trzymać je w tajemnicy, dopóki nie natrafię na ślad podróżującej amerykanki. Było to dosyć trudne, i pochlebiam sobie, że niewielu z pośród moich kolegów sprostałoby takiemu zadaniu. Za całą podstawę moich poszukiwań służyło mi jedynie nazwisko starej damy. Nie szczydziłem pieniędzy ani fatygi, użyłem wszelkich sprężyn i dopiąłem swego. Odnalazłem je... Te panie są tu... W Bellagio. Mieszkają w tym samym hotelu!

Pan Waltersbrun milknie i dotyka binokli rękąchem wspaniałym i powściągliwym zarazem, jak gdyby chciał powiedzieć:

— Nie wypada mi się pysznić, ale pokaż mi drugiego takiego, jak ja.

Oldaniecki tego nie spostrzega. Jest wciąż jak we śnie.

Przez jeden moment ma wrażenie, że już to wszystko niegdyś słyszał, w tym samym pokoju, w którym przecież po raz pierwszy się znajduje,

że już przed tem mówił te słowa, które teraz, jakby ich własne echo z ust mu wychodzą:

— Widziałeś ją pan?

— Tak, szanowny panie. Kilkakrotnie.

— I... Pan masz fotografię mojej żony?... Ta sama?...

— Szanowny panie — odpowiada pan Waltersbran uroczyście.—Fotografie szanownej małżonki pańskiej były przedmiotem moich najskrupulatniejszych studjów... Ale... raczy szanowny pan zważyć: O ile łatwo poznać na fotografii osobę znającą, o tyle trudno z fotografii stwierdzać podobieństwo osoby, której się nigdy nie widziało. W fotografii, choćby nawet mało trafionej, będzie zawsze coś, jakiś szczegół, co nam przypomni to, cośmy przedtem oglądali w naturze; martwy zaś wizerunek jest zawsze tak niedokładny, mylący, jeżeli się ma podług niego wskazać żywy pierwowzór... Dlatego też, nie dowierzając mojemu osobistemu wrażeniu, które może być błędne, pozwoliłem sobie wezwać szanownego pana, jako decydującą w tym przypadku kompetencję.

Ponowna chwila mileżenia.

— Zobaczę ją?—mówi Oldaniecki zduszonym głosem.

— Oczywiście, szanowny panie.

— Kiedy?

Pan Waltersbran spogląda na zegarek.

— Od trzech dni obserwuję tryb życia tych pań... W kilka godzin po lunchu mają zwyczaj wychodzić na przechadzkę. W tamtej stronie parku znajduje się mała rotunda, z której prześliczny

widok na oba jeziora.. Tam najchętniej przesiadają. Zauważyłem, że rozmawiają mało. Stara dama czyta zwykle książkę, a młoda osoba, której powierzchowność niezem nie świadczy o jej anormalnym stanie, bawi się kwiatami lub maleńkim pieskiem. Mimo to widać ze wszystkiego, że wzajemny stosunek tych pań jest bardzo czuły, jak matki z córką... Młoda osoba ma w twarzy nadzwyczaj wiele słodyczy...

Oldaniecki chwytła oba dłońmi kratkowany rękaw pana Waltersbruna.

— Jeżeli to ona...—bełkoce, dławiąc się wzruszeniem—jeżeli to ona... ja pana całe życie... ja nigdy...

Pan Waltersbrun dziękuje powściągliwym ukłonem.

Wolałby jakąś ściśle określoną samę, ale krzepi go myśl, że wdzięczność ludzi bogatych zawsze się da przetłómaczyć na brzęk.

— Będę niewymownie szczęśliwy, szanowny panie. Mamy jeszcze jakąś godzinę czasu przed sobą. Pozwoliłbym sobie doradzić spożytkowanie jej na posiłek i odpoczynek. Punktualnie o trzeciej trzydzieści zapukam do drzwi.

Oldaniecki zostaje sam.

Nadmiar wrażeń nie pozwala mu skorzystać z praktycznej rady pana Waltersbruna.

Myśl, że Ala znajduje się może pod tym samym dachem, przyprawia go o zawrót głowy.

A jeżeli go nie pozna?...

Jeżeli nie zechce opuścić tej obcej kobiety, która dziś stała się jej najbliższą?

Jeżeli mu przyjdzie odwoływać się do prawa,

aby odzyskać tę, dla której niegdyś był całym światem?...

Ogarnia go lęk i wstręt nieopisany.

Dotychczas myślał tylko o tem, aby ją znaleźć: żywą czy umarłą; na tym punkcie zatrzymywały się wszystkie jego dążenia.

Teraz jednak, gdy zdaje się być blizkim celu, poczyną go dręczyć straszidło tragicznych powikłań przyszłości.

W jaki sposób aksztaltuje się życie z tą odnalezioną, która już nie będzie sobą?

Jak sobie poradzi z jej niechęcią lub obojętnością, on — znający jedynie jej wielką miłość?...

Oldaniecki obu dłońmi ściska czoło, pod którym mózg zdaje się kipieć i rozsadzać tkanki.

Czuje się jakby sam blizkim obłądu.

Życiel! Życiel! czem ty czasem potrafisz być!

Podechodzi do okna i zaczyna patrzeć w ogród.

Z dołu dolatują dźwięki fortepianu. Ktoś gra Romanzę Rabinsteina. Na tarasie, obwiedzionym złocistym płotkiem kwitnących chryzantemów, dwie strojne dziewczynki prowadzą lalkę niewiele od nich mniejszą. Srebrzysty ich szczebiot miesza się ze słodką melodją Romanzy. Uśmiechnięty czar włoskiej jesieni płynie nad dziećmi, muzyką i kwiatami, wyłocony łagodnem słońcem, wonny od dojrzewających pomarańcz.

Oldaniecki patrzy na dziewczynki i myśli, że Ala tak samo bawiła się lalką, gdy była mała.

A dziś?...

Któż zdoła przewidzieć co czeka te szczęśliwe, wytworne jak żywe cačka, istotki? Może je-

dna skończy na barłogu, a druga popełni samobójstwo!... Życiel Życiel...

Dyskretne pukanie.

Akuratny jak febra stawia się pan Waltersbrun z zawieszoną przez kratkowane plecy lornetką.

Wychodzą.

Bellagio w tej porze roku święci pełny sezon.

Wszędzie roi się od stałych gości i przygodnych turystów.

Wytworna klientela „Grand Hotelu“ rozsypała się po amfiteatralnych tarasach parkowej góry, pod arkadami palm i wśród świerkowych szpalerów.

Jasne kapelusze mężczyzn i barwne parasolki kobiet migają wskroś zieleni, jak ruchome kwiaty.

Sam park wygląda jak stożkowata wyspa, ujęta w obie odnogi jeziora.

W miarę, jak Oldaniecki z panem Waltersbrunem pną się w górę, co raz więcej roztoczy wonej odsłania się pod ich stopami.

Jej błękitna głąb mieni się w stubarwne centki, jakby jaki bajeczny paw pogabił tu pióra w przelocie.

We wszystkich kierunkach mkną po niej chyże łódki z postawionemi różnokolorowemi daszkami, niby wielkie ptaki, i suną majestatycznie parowce, ciągnąc za sobą szeroki gościniec srebra.

I gdzie spojrzeć, na ziemi i na wodzie, tłumy turystów, rozradowane twarze, wesołe śmiechy, wykrzykniki zachwyta, jasne stroje, jakiś ogólny byt bez troski, jakieś braterstwo wielkiej radości życia.

Śniegi Alp dalekich pod szafirami niebios błyszczące zdają się stać na straży i bronić dostępu

nędzom i brzydotom świata do tego zakątka szczęśliwości.

Dusza Oldanieckiego zapływa gorzką falą wydziedziczenia.

Zdaje mu się, że on jeden tylko wszedł tu ze swoim nieszczęściem, jak trędowny pomiędzy zdrowych.

Zdaje mu się, że wszyscy to widzą i przeprowadzają go spojrzeciami upokarzającej litości.

Podnosi głowę i patrzy niemal wyzywająco na rozmijające się z nim grupy.

Przykry uśmiech wykrzywia mu usta...

Ejże! Czy to nie on raczej jest w błędzie?

Czy ci pogodni i zadowoleni ludzie nie obnoszą tak samo ukrytych wrzodów swych egzystencji po zaroślach tego czarownego parku?

Czy ten i ów z pomiędzy nich nie idzie tak samo na spotkanie rzeczy tragicznych, mających rozstrzygać o całym jego życiu, choć z pozoru wygląda, jakby śpieszył tylko podziwiać widok Camdenabji?

Wszak i pan Waltersbrun ze swoją lornetką, i on sam w swym eleganckim migdałowem palcie i prawdziwym panama, niezem na zewnątrz nie różnią się od innych turystów.

Więc wszystko kłam... pozór... owoc Martwego morza!

Jedno tylko nie zawodzi; w jednym tylko prawda życia leży... Wiara artysty w jego sztukę; miłość twórcy dla własnego dzieła... Po za tem!... Czy warto?... Czy warto?...

— Zbliżamy się — szepece pan Waltersbrun. —

Tam za temi oleandrami widzę suknię młodej osoby. Młoda osoba zwykła ubierać się błękitno.

— Ali

Oldanieckiemu przypomina się nagle uprzedzenie Ali do błękitnego koloru i naiwna waga, jaką przywiązywała do przepowiedni cyganki. Ale ostateczności stykają się często; więc może teraz...

Serce poczyna mu walić w piersiach, jak młotem.

— Czy mam towarzyszyć dalej szanownemu panu?... Potrzebujemy tylko okrążyć ten klomb, a znajdziemy się nawprost tych pań.

— Nie, nie!

Angielskim ruchem pan Waltersbrun zdejmując binokle, wydobywa lornetkę i narychtowawszy ją z wielką dokładnością, poczyna studjować przeciwległy brzeg jeziora. Turysta w każdym calu!

Ale i jemu pod angielską, kratkowaną tkaniną krew tętni w żyłach zgoła nie na modłę angielskiej flegmy.

Patrzy niby na białe zarysy Varenny, a przed oczyma tańczą mu same znaki zapytania i liczby.

Bo—jeżeli się okaże, że to jest naprawdę żona tego bogatego polaka — to... ile?...

Koszta polikwidują mu się oczywiście w każdym razie (przy pomyślnym wyniku podwójną kretdą), ale po za tem?...

Czy samemu oznaczyć liczbę, czy zdać się na hojność uszczęśliwionego małżonka?

Pomimo całego swego doświadczenia, pan Waltersbru nie wie, w którą stronę przechylić szalę.

Wydarzenie jest tak wyjątkowe pod każdym względem!...

Z różnego rodzaju ludźmi przeprowadzał pieniężne tranzakcje, ale nigdy z bogatym literatem.

Zjednoczenie tych rozbieżnych pojęć w jednym człowieku wydaje mu się czymś tak anormalnym, że anormalność samej sytuacji błędnie wobec tego.

Ach! byle nie zepsuć tej nadzwyczajnej okazji! Ach! domek z ogródkiem na Wachringul

Jeżeli mądrze weźmie się do rzeczy, kto wie, czy ten szczyt mieszczańskich jego ideałów nie da się osiągnąć!

Tymczasem Oldaniecki idzie szybko we wskazanym kierunku, ale doszedłszy do owej kępy oleandrów, przystaje.

Dokonał się w nim nagły przeskok z powątpiewania do zupełnej pewności.

Gdyby mu kto powiedział, że to może być nie ona za tą kępą białych i różowych drzew, wzruszyłby z politowaniem ramionami.

Mimo to, a może właśnie dlatego, chce odwlec o kilka bodaj minut tę ostateczną, decydującą chwilę.

Tych kilkanaście kroków dalej, a zacznie się nowa epoka jego życia...

Ścisnąc kurezowo oba dłońmi żelazny pręt parkowego ogrodzenia, patrzy w dół na jezioro, wsłuchany w szaloną tarantelę swego serca...

Jakby w migawkowym zdjęciu, staje mu przed oczyma cała jego przeszłość, związana z Alą od pierwszej chwili, kiedy ją poznał, aż po dziś dzień!

Widzi ją młodziutkiem dziewczęciem w domu jej rodziców, widzi jej nadzwyczajną piękność, wzbogaconą jeszcze temi wszystkimi urokami, w które przyoblekła ją jego własna, młoda, wielka miłość.

I te chwile narzeczeńskie, czyste jak srebrny sen; i te kilka lat małżeńskiego pożycia, różami namiętłych upojeń zwieńczone.

Nigdy żadna inna kobieta nie dała mu tyle rozkoszy, co ona; nigdy przez żadną nie był tak szczęśliwy, jak przez tę słodką, jasną Alę!

I dusza napełnia mu się niezmierną dla niej tkliwością.

Ach! niech będzie zmieniona, obłąkana, nie poznająca, nienawidząca go nawet — byle była!

Odda się jej wyłącznie: wywiezie daleko, w gorące kraje, gdzie tylko kwiaty i ptaki patrzeć na nich będą, i tam budzić ją będzie z letargu niepamięci.

Miłość jego jest tak wielka, tak ofiarną się czuje w tej chwili... a miłość czyni cuda.

Czemu nie dokonali lekarze i pieniądze amerykańskiej dobrodziejki, to stać się może za sprawą jego spojrzenia.

Z poza klombu dolatuje szczekanie małego pieska, jej pieska!

Z gwałtownem drgnięciem całego ciała Oldaniecki odrywa się od barjery, okrąża pachnący bukiet oleandrów i wydostaje się na rodzaj placyku, zamkniętego z jednej strony kaskadą zstępującej ze skał roślinności, a od strony jeziora półkolem kamiennych ławek.

Na jednej z nich, bokiem do Oldanieckiego zwrócone siedzą dwie kobiety: pierwsza siwa, otyła, w ciemnych okularach z olbrzymią płachtą angielskiego dziennika w ręku; druga bardzo szczupła, blada, w jasnej, lekkiej sukni i błękitnym kapeluszu na bujnych, złotawych włosach.

W chwili, gdy Oldaniecki wychodzi z za drzew, rozpędzony piesek z radosnem poszczekiwaniem wskakuje na kolana młodej kobiety, która, podana naprzód, z pochyłą głową, wyciąga do niego obie ręce.

Oldaniecki zbliża się szybko i nagle staje...

Nie widzi jeszcze jej twarzy, ale już odgaduje.

Krew lodowacieje mu w żyłach; nogi jakby wrosły w ziemię.

Piesek, spostrzegłszy obcą postać tak blisko nad jego panią stojącą, zaczyna gwałtownie ujadać.

Wtedy młoda kobieta podnosi głowę i jej blade, jakby splukane, nie mówiące oczy spotykają się z wejrzeniem Oldanieckiego.

I patrzą tak chwilę na siebie: on skamieniały, z twarzą zszarzałą raptem i zastygłą; ona z rozchylonemi nieco ustami, na których błąka się jakiś nieokreślony wyraz, obu rękoma przyeiskająca do piersi wydzierającego jej się pieska.

W całej jej postawie, w tym ruchu namiętym, w tych rozchylonych ustach, w tych oczach bezbarwnych maluje się jedno tylko wrażenie: dziecinna trwoga, aby jej nie odebrano ulubieńca.

Stara dama jest tak zaczytana, że w pierwszej chwili nie spostrzega tej drobnej, niemej sceny, lecz gdy ujadanie pieska staje się eoraz zażart-

sze, opuszcza gazetę i podnosi oczy na Oldanieckiego.

Jej zwiędłe czoło fałduje się zmarszczką niezadowolonego zdziwienia.

Ten nieznajomy jest tak shockingly nie correct!

— Vous desirez, Monsieur? — pyta sucho okropnym, drapiącym uszy akcentem.

Jak zbudzony ze snu, Oldaniecki cofa się o kilka kroków, odrywa wzrok od twarzy młodej kobiety i wodzi nim przez chwilę dokoła.

Cały ten czas—ile to trwało?—minutę—wiek cały?—gdy tak stał i patrzył w te obce, nikłe rysy, doznawał w mózgu wrażenia wręczającego mu się tam świdra; a teraz czuje szarpnięcie, wyrwanie i nagłą pustkę...

— Pardon, madame—wymawia machinalnie, uchylając kapelusza.

Ręka jego wykonywa ten ruch, w taki sposób, jak gdyby ją ktoś inny w nim będący podniósł.

— Przepraszam — dodaje zarazem, i znowu jest mu tak, jak gdyby ktoś inny bez jego woli ten wyraz za niego wymówił.

Ale na dźwięk polskiej mowy młoda nieznajoma pochyła się naprzód, zdając się nadśłuchiwać.

Twarz jej uspakaja się i pogodnieje.

Zanurzając obie ręce w jedwabistej sierści pinczerka, wyciąga go zlekka w stronę Oldanieckiego.

— Piesek! — mówi z bladym uśmiechem: — piesek!

Głos jej brzmi pieszczotliwie, dziecięco niemal, ale o! jakże inny.. jakże inny!...

Oldaniecki wzdryga się ponownie, odwraca, i znika za biało-różową ścianą kwitnących drzew.

Pan Waltersbrun ma wciąż lornetkę przy oczach, ale już teraz co chwila łypie ponad nią w stronę oleandrów.

Przedłużająca się nieobecność Oldanieckiego napełnia go coraz większą otuchą, i domek z ogródkiem na Waerhingu przybiera coraz wyrazistsze kształty.

Już widzi brzoskwinie, dojrzewające na jego południowej ścianie, piękne, soczyste brzoskwinie.

Upływa jeszcze minuta... i jeszcze minuta... mógłby już wrócić, gdyby to nie była ona. Nie wraca... a więc!...

Pan Waltersbrun widzi teraz siebie, jak po powrocie z dziennych zajęć, o pięknym zachodzie słońca, wybiera sobie najdojrzalszy owoc i starannie obcina go nożykiem.

Tam, na drugim końcu linii tramwaju elektrycznego zostało gwarne, męczące miasto, biuro, klienci, obliczanie strat i zysków; a tu jest tylko on i jego własne brzoskwinie.

Mija jeszcze kilka minut..

— To już niema wątpliwości—myśli pan Waltersbrun i czuje delikatny smak owocu, rozplywającego mu się w ustach. — Achl co za rozkosz...

Ale w tym samym momencie z poza oleandrów wynurza się postać jego klienta.

Pan Waltersbrun szybko opuszcza lornetkę i chce pójść na spotkanie, wtem...

Co to znaczy? Czyja to jest ta zszarzała, zakrzepła twarz, którą spostrzega w ramach znanego mu panamskiego kapelusza i jasno migdałowego paltota.

Twarz ta zbliża się, zbliża, równa z nim i mija go nieruchoma, milcząca, martwa, jak wiadło.

I pan Waltersbru zostaje na miejscu, bez słowa, bez ruchu także, a smak brzoskwini zamienia mu się w cykatę, jak to się zdarza z tyłu innymi niedojrzałymi owocami ludzkich marzeń..

.
.

V.

Wróciła! Ryta Szemko wróciła do Warszawy.

Po miesięcznej nieobecności przyjechała wreszcie na swoje, tak niespodzianie przerwane występy, i pisma codzienne rozbrzmiewają znów fanfarą entuzjastycznych przymiotników, wśród których: „genjalna,“ „mistrzowska,“ „natchniona,“ „niezrównana,“ skaczą po szpaltach jak piłki żonglerskie, wprawniemi rękoma reporterów podrzucane.

Czereza, czytając to, nie splawa już z pogardą.

Wspomnienie „Balladyny“ pozostawiły mu w duszy ślad niezatarty.

Nigdy już, myśląc o Rycie, nie nazywa jej wilczycą ani histrjónką.

A przytem, wiadomość o jej powrocie zdjęła mu taki ciężar z piersi!

Miesiąc ubiegły był najpiekielniejszy w tej gehennie, w jakiej żył od zniknięcia Ali.

Do wszystkich dawniejszych cierpień przybyła mu dotkliwa udręka zawodu, który go spotkał poniekąd z własnej winy. Wyrzuciał to sobie nieustannie.

Należało mu nie liczyć się z żadnemi zastrzeżeniami; przemocą bodaj wtargnąć... sprawa była za ważna!

A on — jak greczny chłopczyk czekał potulnie, aż mu pozwolą wejść i — ma teraz!...

A najokropniejsze było to, że nie widział kresu swej niepewności i oczekiwań.

Ryta Szemko mogła wrócić tak samo za tydzień, jak za rok.

Chwilami tak go to nurtowało, że nie mogąc sobie dać rady, chodził po redakcjach w nadziei, że tam się czegoś dowie, choć zawsze wtedy doznawał takiego uczucia, jakby go puszczano przez różgi.

— Te pismaki posądzają mnie pewnie, że ja się w niej Kocham — mówił sobie, i ta myśl przemawiała go takim obrzydzeniem, że aby ją zdusić, po każdej podobnej, nieudanej ekspedycji, szedł pić.

Dopóki pani Mrońska bawiła w Warszawie, jej odwiedziny przynosiły mu jeszcze jakąś ulgę.

Przychodziła codziennie o zmroku; czasem krzątała się trochę, porządkując nieznacznie w jego garderobie i bieliźnie, ale najczęściej siadywali

oboje na otomanie i trzymając się za ręce, rozmawiali mało, nie prawie.

On jednak czuł, że ta cicha i tylko co jakiś czas z lekka dłoń jego pieszcząca kobieta rozumie go jak nikt, i to mu wystarczało.

Za to po jej wyjeździe, gdy zbliżała się szara godzina, a on był sam, wyczerpany lekcjami, chory, niezdolny zająć się czemkolwiek, niezdolny nawet wywlec się z domu na wicherę i szarugę uliczną; katusze jego dochodziły takiego napięcia, że stawiały go wprost na granicy obłądka, albo samobójstwa.

I byłoby się może na jednym lub na drugim skończyło, gdyby nie wiadomość o powrocie Ryty.

Odrazu uczuł się innym człowiekiem.

Przekonanie, że ta kobieta oddziaływała decydująco na losy Ali, i że ona jedna może rozjaśnić zagadkę jej zniknięcia, nie tylko nie osłabło, lecz owszem spotęgowało się w nim przez tych kilka tygodni, podczas których myśl jego ustawicznie krążyła koło tego przedmiotu.

Nauczony doświadczeniem, postanawia zwrócić się do niej wprost, bez pośrednictwa służby hotelowej.

Skłania go do tego i ten wzgląd, że, jak mniema, w godzinach przyjęcia, które mu oznaczył portjer, Ryta Szemko bywa zapewne oblegana przez wielbicieli i interwjuerów.

— Ładniebym się wybrał pomiędzy tę zgrają — myśli, i właściwym mu telegraficznym stylem, bez instytalacji i końcowych dodatków pisze następujący bilecik:

„Proszę o krótką rozmowę bez świadków.
„Sprawa bardzo ważna i pilna. Proszę oznaczyć
„dzień i godzinę, kiedy mam przyjść.

Michał Czereza.“

Ten listowny spartanizm, surowo zawsze przez panią Oldaniecką potępiany, wychodzi mu tym razem na dobre: zaciekawia mimowolnie Rytę.

Kim może być człowiek, piszący do niej w ten sposób?

Na wielbiciela za suchy; na petenta za hardy; zamiast więc rzucić list do kosza i pozostawić go bez odpowiedzi, jak tyle innych, któremi ją różne nieznane osobistości zarzucają, odpisuje:

„Jutro o czwartej będę w domu sama.

Ryta Szemko.“

Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów Czereza budzi się tego dnia prawie wesół.

Pogwizdując z lekka, odczytuje po raz drugi leżący na stoliku przy pościeli list aktorki.

Stanowczo będzie to dobry dzień: Nietylko spełni się wreszcie to, czego od miesiąca napróżno oczekiwał, lecz jeszcze—Ala mu się śniła tej nocy.

Ani razu od czasu jej zniknięcia, pomimo, że na jawie ciągle zapełniała jego myśli, nie spotkało go to szczęście.

Wyglądał go jako jedynej pociechy i — nigdy.

Codziennie, zasypiając, mówił sobie: „Może ją dziś zobaczę.“

Sny przecież tak często dają wrażenie rzeczywistości!

Człowiek tak bardzo bywa w nich sobą... tak cierpi, tak się cieszy tem, co jest jego bólem lub radością na jawie.

Czereza poprostu łaknął takiej jednej chociaż chwili złudy, w której daneby mu było wierzyć, że znów patrzy na nią, że słyszy jej głos.

I wreszcie dzisiejszej noey pragnienia jego spełniły się.

Ujrzał ją, jakby wynurzającą się z jakiejś bezmiernej, błękitnej mgły.

Świat cały gdzieś zniknął; wszystko przestało istnieć, była tylko ta mgła i — ona.

On stał nieruchomy, a ona szła ku niemu lekko, jakby płynąc, cała promieniejąca błękitnem światłem, które z jej cudnych oczu rozchodziło się po jej postaci.

Była uśmiechnięta, a z jej otwartych rąk sypały się drobne, dziwne kwiatki, wirując dokoła niej jako rój pachnących motylków.

Podeszła też; uczuł jej wonny oddech na twarzy; położyła mu obie dłonie na piersiach, jak wtedy, kiedy ją trzymał splakaną i drżącą w objęciach, w ten ostatni wieczór, i rzekła: „Pójdź!”

Było to tak wyraźne, że Czereza, zbudziwszy się nagle, słyszał jeszcze jakby wibrację jej słodkiego głosu w powietrzu.

I jest prawie szczęśliwy.

Jakieś błogie, nieujęte przeczucie napęlnia mu duszę.

— Coś mi się pomyślnego przytrafi — myśli, ubierając się.—Ale co?... Chyba umrę dziś Sacramento!

Żeby to „coś pomyślnego“ miało wypłynąć z odwiedzin u Ryty — tem się nie łądzi.

Dawno to już rozważył, i wrażenie, którego doznał w teatrze, gdy Balladyna mordowała Alinę, wraca mu niby ponura zapowiedź tajemnicy, będącej w posiadaniu tej kobiety.

Więc poprosta chce tylko wiedzieć, a potem — będzie co będzie. Nic gorszego nad to, co się już stało, spotkać go nie może.

— Oti umrę chyba! — powtarza sobie ciągle.

Wychodzi na miasto i wałęsa się po ulicach, mimo dokuczliwego zimna, w oczekiwaniu oznaczonej godziny.

Przedtem jednak idzie na obiad do licej restauracji, w której się zwykle stołuje.

Znają go tam dobrze; kelner bez pytania stawia przed nim butelkę z wódką i napełnia pierwszy kieliszek.

Czereza bierze go machinalnie w rękę; długą chwilę wpatruje się w bezbarwny płyn; poczem zwolna, z dziwnym uśmiechem na swych wąskich ustach, wylewa go, kropla po kropli na ziemię.

Następnie przewraca kieliszek dnem do góry i w zamyśleniu odsuwa od siebie butelkę.

.

Wprowadzony przez zgrabną garderobianę, Czereza stoi jakąś chwilę sam pośrodku hotelowego saloniku Ryty.

Stłumione abażurami światło lamp elektrycznych kładzie na ścianach i meblach miękkie, złotawe tony.

Wepchnięte w najciemniejszy kąt wieńce i kosze z wczorajszego przedstawienia, roznoszą dookoła duszącą woń więdnących kwiatów. Szerokie wstęgi z napisami wydobywają się z tego stosu i pełzną po dywanie jak barwne węże.

Tuż koło biurka porzucony ogromny pęk świeżych, gorąco złocistych chryzantemów, a obok nich przedarty list.

— Taki tu czuć aktorkę—myśli Czereza, tym nieżyczliwym krytycyzmem zwalczając z umysłu dławiące go wzruszenie.— I efekcik wejścia zarezerwowany... Wiedziała przecież, że przyjdę. Mogła już tu siedzieć. Oti scena.

Drzwi w głębi otwierają się. Wechodzi Ryta.

Jest w żałobie. Głęboka czerń wełnianej, prostej sukni, zamykającej jak w futerale jej stalowe kształty, zlewa się z matową czarnością włosów, puszezonych na ramiona.

Skupiona, żółtawa twarz występuje z tego atramentowego tła jak Beklinowski pomysł.

Czereza składa jej milezący ukłon, a ona obrzuca go bezceremonjalnie badawczym spojrzeniem od czubka jego łysej głowy po końce niedoczyszczonej butów.

— Pan ma do mnie interes? Jaki?—pyta, zatrzymując się o kilka kroków.

Czereza podnosi głowę, szydersko lekceważąco wyraz miga w jego podpuchłych oczach.

— Pani miała interes do matki pana Adama Oldanieckiego? Jaki? — pyta nawzajem.

Mimowolnem poruszeniem Ryta zdradza całe

swoje nieprzygotowanie do usłyszenia słów podobnych. Powściąga się przecież w jednej chwili.

Teraz spojrzenie, którem Czerezę mierzy, jest prawie pogardliwe.

— Ach! Rozumiem. To ona pana przysyła?— mówi impertynenko.

— Nie pani nie rozumie—odpowiada Czereza z tą szaloną pewnością siebie, w której, gdy chce jest mistrzem.—Ale stojący tego tłumaczyć nie będę. Pani zapewne także usiądzie? To wygodniej.

Z temi słowy przysuwa sobie najbliższe krzesło, siada i wnet garbi się, wsuwając ręce pomiędzy rozstawione kolana.

Ryta jest tak oszołomiona, że jak w hypnozie bezwiednie zajmuje miejsce naprzeciwko niego.

Gdyby kto inny zachował się ten sposób, pokazałaby mu drzwi i zadzwoniwszy na służbę, wyszłaby z pokoju; lecz w pozornem brutalstwie tego człowieka jest jakiś tragizm, który jej czułe ucho artystki rozróżnia natychmiast.

— Ot tak!—zaczyna Czereza, uderzając z leka dłonią o dłoń. — Ot, naprzód powiem, że pani jesteś złą fizjognomistką. Czy ja wyglądam na takiego, którego się posyła?

— Nie—odpowiada Ryta w wielką prostotę.— Omyliłam się. Przepraszam pana. Słucham, co pan mi ma do powiedzenia!

Czereza zlekka przymyka oczy i czyni nieznaczny ruch głową, jakby przyjmując to należne mu zadośćuczynienie do wiadomości, poczem mówi dalej:

— Jestem ciotecznym bratem pana Oldaniec-

kiego. Przychodzę w tym charakterze sam z siebie. Ciotka moja nie wyprowadziła żadnych wniosków z bytności pani u niej. Lecz ja je wyprowadziłem. Pani oczywiście wie, że żona mojego kuzyna zniknęła w tajemniczy sposób we wrześniu roku zeszłego, i że dotychczas wszelkie poszukiwania jej okazywały się bezowocnymi?

— Tak. Dowiedziałam się o tem nazajutrz po moim przyjeździe tutaj w listopadzie.

Czereza wyprostowywa się nagle i patrzy chwilę na Rytę, usiłując przeniknąć, co może się kryć pod temi słowami, które go zaskoczyły tak niespodzianie; ale twarz wielkiej aktorki ma wyraz takiej szczerości i prawdy, że zaczyna mu się mieszać w głowie.

— Nazajutrz?... — powtarza, błędąc. — Nazajutrz?... Jak to?

Teraz Ryta jest trochę zdziwiona.

— W bardzo prosty sposób — odpowiada spokojnie. — Od września roku zeszłego byłam po za krajem. Spędziłam ten czas w Anglii i w Ameryce. Z Warszawą nie łączyły mnie żadne stosunki; nie odbierałam żadnych listów; nie widywałam nawet tatejszych dzienników... Dopiero po przyjeździe, ktoś ze wspólnych znajomych powiedział mi.

Czereza oba rękoma ściska skronie, w których krew puka mu z taką siłą, jak gdyby to były uderzenia kopytek małego rozgniewanego koziołka. Nie może i nie chce hamować się dłużej. Co go już wszystko obchodzi!

— Aj! — woła z wybuchem. — Aj! Sacramento! To nie po to pani u jego matki?... Dureń ze mnie

ostatni... A ja, oti tę głupią głowę byłbym dał sobie uciąć... Więc i pani także nie wie, co się z nią stało?... Nikt nie wie! Nikt nigdy wiedzieć nie będzie!

Ryta milezy.

Ten huragan bólu, zrywający się tak nagle przed jej oczyma, miotający tą lichą, ludzką powłoką, jak ocean łupiną, imponuje jej.

W jej artystycznej duszy tkwiło zawsze głębokie poszanowanie dla silnych, bezwzględnych namiętności, ale spotykała się z nimi tylko na scenie. To, co w życiu podszywało się pod tę nazwę było zawsze takie połowiczne, takie paktujące z opinią, z ambicją, z karierą, takie w gruncie teńhórzliwe i marnie!

— Kochał ją — myśli, z utkwionemi w Czerzę oczyma i, rzecz dziwna! podobnie jak pani Mrońska, uczuwa w sercu jakieś ukłócie: jakby tęsknotę, jakby zazdrość.

Zkądże to?...

Przecież ją tylu mężczyzn kochało; pisywali do niej wiersze, malowali ją, wielbili; ktoś tam nawet w łeb sobie palnął — wprawdzie był wtedy mocno pijany, poszło to jednak na rachunek miłości dla niej — ostatnio w Ameryce milionowy jankes ofiarowywał jej małżeństwo, pod warunkiem, aby opuściła scenę — ale to nie było to.

Z subtelną intuicją, właściwą jej wyobraźni, widzi odrazu stosunek tych dwojga ludzi: Siostrzaną życzliwość kobiety rozkochanej w innym i cześć, namiętność, ubóstwienie, pożądanie, spalające się

w beznadziejnym kulcie u jej stóp, razem z życiem tego do szkieletu podobnego mężczyzny.

Nie! jej tak nikt nigdy nie kochał, a przecież taka tylko miłość ma pełne prawo do tej nazwy.

I uderza ją jeszcze dzika ironja losu, stawiająca ich tak naprzeciwko siebie: ją i Czerezę, ich, których serca zaczęły się w tak podobny sposób o zarówno im bezwzajemne serca tamtych dwojga.

Stara, wiecznie nowa historja: „Młodzieniec kocha dziewczynę; ona wybrała innego; inny kocha inną...”

Stary, zapomniany już, zlekceważony dziś Heine! Jak on nieśmiertelnie nucił w dniach swojej młodości...

Biedny, stary Heine!

Tymczasem Czereza zwolna, automatycznie podnosi się z krzesła.

— Przepraszam panią...— mówi bezdźwięcznym głosem — przepraszam, że panią naszedłem. Głupiec ze mnie ostatni był i będzie...

Ryta podnosi oczy, przesłonione mgłą tęsknoty i bólem rozbudzonych nagle wspomnień.

Patrzy na Czerezę, ale widzi przed sobą „tamtego,” i „tę gromów noc,” i „to krótkie życia święto,” i to całe drogie, jedyne, niepowrotne Sorrento!...

I jednocześnie tak jej żal tego obcego człowieka, z którym raptem połączyła ją wspólność najtajniejszych drgnięć duszy...

— Zostań pan — mówi z eicha, bardzo miękko. — Nie omyliłeś się... Ja dla tego byłam u matki pana Oldanieckiego. Ja wiem...

Nim skończyła, nerwowe palce Czerezy owinęły się do koła jej rąk jak chłodne, wibrujące struny.

— Pani wiesz!... Więc takie przeczucia mówią prawdę. Więc Bóg jest miłosierny... Powiedz, powiedz prędko: Żyje ona?

Oczy aktorki toną w nim wciąż, współczujące, żalose, takie niepodobne do oczu Balladyny, jak płomyk lampy cmentarnej do łuny pożaru.

Z ust jej, bardziej niż kiedykolwiek zwietrzałą malinę przypominających, wypada jeden krótki dźwięk:

— Nie!

Czereza puszcza jej ręce i bez słowa osuwa się na krzesło.

Nie garbi się teraz; siedzi wyprostowany, sztywniejąc i blednąc coraz bardziej, jak gdyby życie uciekało z niego kropla po kropli, otwartą nagle, niewidzialną raną.

Następuje długie bardzo długie milczenie.

Ryta kilkakrotnie chce przemówić, ale widok tej martwiejącej stopniowo postaci paraliżuje jej głos.

Wreszcie nachyla się nad Czerezą i lekko ramienia jego dotyka:

— Czy możesz mnie pan wysłuchać?

On spogląda na nią, mrugając powiekami, jak człowiek, którego razi jakieś światło.

— Tak... tak...—szezcze głucho—wiedziałem... Dawno wiedziałem... Tylko teraz... Zakręciło mi się w głowie... Piłem dziś wiele. Ja piję; uważa

pani... Jestem pijany... To nie nie szkodzi... Niech pani mówi... Ja... ja będę słuchać.

Krzusi się gwałtownie; rozpina sobie kołnierzyk i mówi znowu:

-- Nie żyje!... Powiadam pani, że wiedziałem... Cóż dalej?... Prawda!... Dalej nie być nie może: Co przedtem?... Okropnie jestem pijany. Brrr! Zimno tu u pani... jak... jak w grobie..

Na stoliku w kącie stoi taca z syfonem wody sodowej i kilku butelkami.

Ryta nalewa kieliszek ciemnego, mocno pachnącego wina i przynosi go Czerezy. Ale on, wzdrygnąwszy się, odsuwa jej rękę.

— Aj! aj! nie... Już mi doskonale... ciepło. Czy to pani ją zabiłaś?

— Biedny człowiek!—szepeze Ryta tak cicho, że Czereza nie może jej słyszeć, a głośno dodaje:

— Będziesz mnie pan słuchał bez komentarzy? Niespodziewanie Czereza wybucha śmiechem.

Ryta w swoim życiu słyszała niejedną przykry śmiech, zwłaszcza na scenie, ten jednak mrozi jej krew w żyłach.

— Bez komentarzy! Ha! ha! Wszak nie żyje! Umarła! Czy komentarze wskrzesiły kiedy kogo?... Więc co mnie po komentarzach? O! idea! Ja chcę wiedzieć, kto ją zabił? Dlaczego nie żyje?

— Sam pan sobie odpowiesz na to pytanie. Ja mam tylko garść faktów, kilka luźnych ogniów, które... Ciężko mi mówić.

Odrzuca w tył głowę i przegarnia włosy swym charakterystycznym ruchem dziesięciu palców.

Po chwili, z oczyma poślanemi w dal, zaczyna wolno, monotennie, z cicha, zupełnie jak w ów pierwszy wieczór w Sorrento, kiedy wśród sennej głuszy, napełniającej ściany „Rosa di Monte,“ opowiadała Oldanieckiemu historję o pastej, restauracyjnej karafce:

— Pomiedzy mną a panem Oldanieckim istniał stosunek dziwnej znajomości. Bardzo dziwnej... Ludzie myśleliby o niej zawsze gorzej; aniołowie zawsze lepiej, niż było w istocie. Zresztą to rzecz postronna. Roku zeszłego, podczas moich występów czerwcowych w Warszawie, powstał projekt spędzenia razem kilku tygodni we Włoszech. Następnie ja wyjechałam do Galicji; pan Oldaniecki na wieś i za granicę. Pisywaliśmy do siebie bardzo często. Włochy były postanowione na początek września. W tym czasie przyjechałam znów do Warszawy na dwa tylko występy, które byłam przyrzekła dwom instytucjom dobroczynnym. Wehodge w te szczegóły, bo one są potrzebne dla zrozumienia całej sytuacji. W Warszawie odebrałam od pana Oldanieckiego telegram, że jest w Sorrento i tam na mnie oczekuje. Wiadomo mi było także, jako rzecz poprzednio ułożona, że pobyt ten będzie tajemnicą dla wszystkich, prócz mnie. Ale ja właśnie wtedy rozmyśliłam się. Postanowiłam nie jechać. Napisałam w tym duchu do pana Oldanieckiego. List ten, jak wszystkie ważne listy, sama niosłam na pocztę. Mam taki przesąd, że się nigdy nikim w takich razach nie wyręczam. Niosłam go więc i... Pan zepewne pamięta dokładnie datę zniknięcia żony pana Oldanieckiego?...

— Tak. Pamiętam... We czwartek, szóstego września...

— Więc i to się zgadza. Dla zupełnej, matematycznej pewności brak mi było tylko tego szczegółu. Lecz słuchaj pan dalej. Ja swój list niosłam na pocztę we środę piątego września. I... zgubiłam go. Na jakiej ulicy, ściśle określić nie umiem. Spozstrzegłam się dopiero na poczcie, gdy go chciałam zarekomendować. Ale szłam wtedy ulicami Ujazdowskimi i Hożą, Marszałkowską i Świętokrzyską...

— Hożą... piątego września... Hożą... Tak; pamiętam...

Och! i jak pamiętał

Jak pamięta tę osłonecznioną, pustą ulicę, w którą weszli, gdy odprowadzał Alę do matki jej męża!

Chciał ją prosić, aby go kopnęła, sam siebie dobrowolnie przed nią sponiewierał; a to może było właśnie w tem samem miejscu, gdzie potem tamta zgubiła swój fatalny list.

Bo już wie, że nie mogła go zgubić gdzieinziej, tylko na tej ulicy...

Bo już zaczyna coś rozumieć; i zapewne, gdyby nie to, że w tej chwili pod czaszką ma zamiast mózgu bryłę lodu, rozumiałby wszystko.

Ryta tymczasem mówi dalej, a jemu się zdaje, że każde słowo pada jak kropla wrzątku na tę bryłę lodu, i że ona się w ten sposób roztopia powoli... powoli...

— Nie napisałam drugiego listu. Pojechałam do Sorrento. I zaraz na wstępie spotkała mnie

tam rzecz nad wyraz dziwna, niepojęta... Oto stanąwszy przy oknie swego pokoju — zamieszkałam w tej samej willi, co pan Oldaniecki — spostrzegłam uwikłany w fałdach firanki strzępek listu. Poznałam mój błękitny papier i mój biały atrament. Zrazu sądziłam, że na krótko przed moim przyjazdem pan Oldaniecki był w tym pokoju i podarł jakiś mój list. Wydało mi się to trochę zabawne... Pomyślałam, że jeżeli już chciał robić tego rodzaju porządek z moją korespondencją, mógł to załatwić gdzieindziej, ale gdy wzięłam strzępek do ręki i wyczytałam urywki zdań, które zawierał, zdumienie moje nie miało granic. Bo, osądź pani!... Znajdowały się tam takie specjalne wyrazy, co do których byłabym przysięgła, że nie użyłam ich w żadnym innym liście, tylko w tym, który zgubiłam. Więc jakim sposobem? Przedstawiała się jedna kombinacja: Każda rzecz zgubiona musi być przez kogoś znaleziona, i ów ktoś, widząc list zaadresowany mógł go wrzucić do skrzynki. Ale wybadywałam później pana Oldanieckiego, nie mówiąc mu nic o strzępku w firance, i upewniłam się, że on tego zgubionego listu nie odebrał. A jednak, powtarzam, byłabym przysięgła, że strzępek ów nie mógł być częścią żadnego innego listu, tylko tego właśnie. I nie było prawie dnia, podczas mego pobytu w Sorrento, żeby ta rzecz tak zgoła niepojęta nie męczyła mnie, jak coś, co urągało wszelkim prawom możliwości i logiki, a co się mimo to stało. Chwilami byłam prawie skłonna widzieć w tem jakiś spirytystyczny objaw i wtedy ogarniał mnie szczególny lęk... Ten lęk był powodem, że nigdy

wprost nie mówiłam o tem z panem Oldanieckim. Bo, na pozór, cóż było łatwiejszego, niż pokazać mu ów strzępek i zapytać: czy jest on szczątkiem jakiego z dawniejszych moich listów? Ale ja się bałam, niewypowiedzianie się bałam usłyszeć odpowiedź przeczącą, pomimo, że tu właściwie odpowiedzi przeczącej być nie mogło, bo czułam, że gdybym ją jednak usłyszała, cały mój spokój wewnętrzny byłby zrujnowany, że ta drobnostka, to nie — byłoby mnie mogło doprowadzić do obłędu... Wolałam więc pozostać w niepewności, a raczej wmawiać w siebie, że mnie pamięć zawodzi, i że tak być musi, jak mi się w pierwszej chwili zda wało. Oto masz pan pierwszy fakt; pierwsze ogniwo.

Ryta przestaje mówić.

Chwilę oddecha szybko i ciężko, jak po wielkiem zmęczeniu.

Jest blada; prawie tak samo blada, jak Czerca.

Ten nie zmienił postawy.

Siedzi wciąż wyprostowany, sztywny, z oczyma utkwionemi w przestrzeń.

Oboje, jakby za wspólną zgodą zdają się unikać spotkania swoich spojrzeń.

Cisza, która po ostatnich słowach Ryty zaległa w pokoju, jest jak całun, pod którym serca tych dwojga dziwnych ludzi wiją się w agonji porzebanych żywcem istnień.

Z natłoczonych w kącie, więdnących wieńców płynie ku nim woń podobna do tej, jaka zwykle unosi się nad świeżemi mogiłami.

A nad tą ciszą grobową, nad tą męką dławioną i nad tym ementarnym zapachem coś się unosi nieokreślonego a sugestywnego, jakby obecność jakaś niewidzialna; rzekłbyś: duch Ali, który zleciał tutaj i, zwinąwszy promienne skrzydła, przysiadł na kwiatowym stosie i w zaświatowym ukojeniu słucha dziejów swej ziemskiej tragedji.

— A teraz — zaczyna znów Ryta — teraz to drugie... To było także bardzo dziwne... Płynęliśmy łódką, i nasz przewodnik opowiadał nam historję pięknej dziewczyny, która dawnemi czasy utopiła się tam, skacząc ze skały w wiry morskie. Fantazja ludowa otoczyła jej śmierć aureolą bohaterstwa i wysnuła z niej śliczną legendę. Według tej legendy, duch utopionej pokazywał się i pokazuje po dziś dzień różnym ludziom w chwilach niebezpieczeństwa, trwogi i wogóle jako dobroczynne zjawisko. Nasz przewoźnik, zresztą inteligentny chłopak, przysięgał, że widział także Carmelinę w biały dzień, rzucającą się z owej skały do morza. Miało to być właśnie tego samego dnia, kiedy ja przyjechałam do Sorrento... Chłopak zapamiętał dobrze tę okoliczność, bo woził na parowiec pana Oldanieckiego, który udawał się do Neapolu na moje spotkanie... Oczywiście, ani ja, ani pan Oldaniecki nie przywiązywaliśmy żadnej wagi do tego opowiadania. Wydawało nam się ono po prostu halucynacją wrażliwej, młodzieńczej wyobraźni, ale gdy chłopiec zaczął bardzo dokładnie opisywać postać owego widziadła, złocisty kolor jego włosów—przyszło nam na myśl, iż może rzeczywiście widział zdaleka topiącą się jakąś kobietę,

najprawdopodobniej cudzoziemkę... Pamiętam dobrze szczególnie wzburzenie pana Oldanieckiego — i teraz tłumaczę je sobie, jako mętny objaw prze-
czucia,—z jakim powstał na naszego Eduarda, gro-
miąc go, że otumaniony baśniami nie pośpieszył
z pomocą tonącej. Ale Eduardo zbijał energicznie
ten domysł, dowodząc, z wielką zresztą logiką, że
gdyby jakaś cudzoziemka lub miejscowa znikła ra-
ptem z Sorrento musiano by tam o tem wiedzieć,
szukać jej i tak dalej. Nie rozprawialiśmy dłużej
o tem, ale tego samego wieczoru zdarzyło się coś,
co mi to przypomniało. Oto, pokojówka wyciąg-
nęła z kąta jakąś parasolkę, zapytując: czyby była
moją własnością? Otrzymawszy przeczącą odpo-
wiedź, poczęła wykrzykiwać, że domyśliła się tego
dawno, że zawsze chciała tę rzecz wyjaśnić, ale
bała się swego padrone; i, choć nie miałam naj-
mniejszej ochoty wdawać się z nią w rozmowy,
narzuciła mi się poprostu z opowiadaniem o jakiejś
pani, która właśnie w ten dzień, kiedy pan Olda-
niecki wyjechał na moje spotkanie do Neapolu,
przybyła z Castellamare do willi. Pani ta pytała
o pana Oldanieckiego i oznajmiła, że przyjeżdża
z Warszawy, wskutek czego, właściciel willi, myśląc,
że to ja jestem, zaprowadził ją do przygotowanych
dla mnie pokojów. Ona jednak, zabawiwszy tam
chwilę sama, wyszła zaraz i, powiedziawszy: „Omy-
liłam się, szukam kogo innego“ — opuściła willę.
Dziewczyna dodała, że nieznajoma była bardzo
piękna i miała włosy jasne jak złoto. Nadmienila
jeszcze, że padrone bardzo się tą historją zaal-
terował i najsurowiej zabronił służbie wspominać

o niej panu Oldanieckiemu. Co do mnie, słuchałam całej tej paplaniny, w pół myśląc o czym innym. Że włoskie uszy padrona mogły bardzo łatwo poplątać każde dłuższe polskie nazwisko, zwłaszcza zaczynające się tą samą literą z nazwiskiem pana Oldanieckiego, to było zupełnie możliwe, jak również i to, że tamta nieznajoma dopiero po pewnej chwili zorjentowała się w sytuacji i poznała swoją omyłkę. Jeden tylko szczegół uderzył mnie w osobliwy sposób: to te złote włosy. Przypomniało mi się opowiadanie Eduarda. Może to była ona?... ta legendarna Carmelina, ujrzana przez niego w tym samym dniu? Wszystko zdawało się za tem przemawiać, i przez chwilę uczułam chłód jakiegoś nieokreślonego lęku, czy przeczucia, owiewający mi duszę. Ale jeszcze ani na jedno mgnienie oka nie przyszło mi na myśl, żeby w tem wszystkim mogło być coś, co miałoby jakąś łączność z panem Oldanieckim. Nie wspominałam mu nawet o tem. Zresztą, nie miałam nawet sposobności... Nazajutrz rano opuściłam Sorrento, i z tą chwilą pan Oldaniecki i ja przestaliśmy istnieć dla siebie. Tak; własnowolnie nie spotkamy się już nigdy na tym świecie!

Przy ostatnich wyrazach głos Ryty nabiera szczególnego dźwięku. Jest w nim harda, prawie wyzywająca duma, a zarazem tkliwa i bezbrzeżna tęsknota.

Ona sama milknie i zdaje się zapominać o obecności Czerezy, który ze swojej strony przez cały ten czas nie zmienił postawy i teraz także nie czyni najlżejszego poruszenia, jak gdyby to, co usły-

szał nie obchodziło go weale, lub przeciwnie, obe-
szło go do tego stopnia, że jak wampir wyssała
z niego wszelkie poczucie życia, pozostawiając
na tem krześle tylko zmartwiały kształt człowieka.

I upływa tak znowu nieskończenie długa chwila,
nim Ryta pierwsza, wstrząsnąwszy się, wyciąga
przed siebie ręce, jakby odpychając narzucające
się jej gwałtownie widmo tej przeszłości, której
sama grób wykopała.

— Przepraszam...— mówi szybko— zapomniam...
Chociaż to już właściwie wszystko, co miałam
do powiedzenia. Bo nie potrzebuję chyba tłumaczyć
pana, jaką fatalną nicią, wiążącą te wszystkie,
napozór oderwane fakta była dla mnie, zasłyszana
ta wieść o tajemniczym zniknięciu żony pana
Oldanieckiego.

Ryta jest za dumna, aby dodać, że wieść ta
wywarła na niej tak silne wrażenie, iż przyprowadziła
ją o kilkadniową chorobę.

Sama przed sobą wstydziała się tego, jak je
nazywała, „mazgajstwa ducha;“ miałażby więc po-
pisywać się niem przed tym obcym człowiekiem,
który może poczytałby to za jakiś pośredni objaw
skruchy, za „okoliczność łagodzącą“ w akcie oskar-
żenia, który może będzie mu się podobało przeciw
niej wytoczyć.

Na tę myśl płomień strzela z czarnych źre-
nie aktorki; sprężysta jej postać wyprostowyywa się
i jakby wydłuża, a złagodniałe chwilowo rysy przy-
bierają znów zwykły, skupiony, żarłoczny wyraz
modernistycznej Brunhildy.

Po raz pierwszy odkąd zaczęła swoje opo-

wiadanie, zwraca się twarzą ku Czerezy i spogląda mu prosto w oczy zuchwale, bezlitośnie, jakby gotując się do odparcia ciosu.

— Tak—powtarza twardo.—Nie wiem, co pan o tem sądzić będzie, ale dla mnie nie ulega żadnej wątpliwości, że to żona pana Oldanieckiego znalazła mój list zgubiony na ulicy, że pojechała z nim do Sorrento, zapewne, aby zażądać od męża ustnej eksplikacji, że nie zastawszy go, a nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności trafiwszy na poczynione na moje przyjęcie przygotowania, wzburzyła się tem ostatecznie, list mój tam w pokoju podarła, i że następnie...

— Dosyć! — woła Czereza.

Wstał z krzesła raptem, sztywno, jak zgalwanizowany trup, a głos jego jest tak straszny, że nieulęknione serce Ryty ściska się spazmem oczekiwania na coś nadzwyczajnego, co ma teraz nastąpić.

I ona wstaje także i spojrzenie tych dwojga ludzi uderzają o siebie na błyskawiczną chwilę jak dwa tarany.

— Dosyć! — powtarza Czereza. — Wiem już wszystko! Zabiliście ją!

— My?...

— Tak! Wyl! Bądźcie przeklęci oboje!

.

VI.

Cieniachne jak bibułka ćwiartki rękopisu szeleszczą cicho, przekładane nerwowemi palcami Oldanieckiego.

Ponura grudniowa zawieja hasa nad miastem, zrywając z niskich, bawełnistych obłoków całe masy śniegu, które szamocą się, kłębią, to podlatują w górę, niby ptaki ranione, to lecą w dół, niby ptaki martwe, aż wreszcie nieruchomicją na dachach, wieżach i ulicach, wydobywając z wieczornych ciemności dziwaczne, białe widma tych wszystkich kształtów.

Ale w pięknym gabinecie Oldanieckiego jasno jest, ciepło i spokojnie.

Spuszczone rolety, koronkowe story i ciężkie sukienne firanki tłumią ostrość zewnętrznych odgłosów; chwilami tylko, gdy mroźniejszy podmuch wichury uderzy o szyby garścią zlodowaciałych raptem śniegowych płatków, przez tę potrójną zastłonę wdziera się do pokoju delikatny, szklany dźwięk i dzwoni lekko w przesyconem światłem i ciepłem powietrza.

Na kominku pali się bujny ogień, oblewając złotym blaskiem bok ogromnego, wspaniałego biurka, na którym podwójna, bronzowa lampa, precudnej roboty filtruje swe płomienie przez zielony jedwab umbrelek.

Cieniachne ćwiartki szeleszczą w dalszym ciągu.

Od samego rana, z małą przerwą na krótki,

samotny obiad, Oldaniecki siedzi nad niemi, przeglądając, poprawiając pojedyncze wyrazy i zdania.

Teraz praca jego ma się ku końcowi.

Gdzieś w głębi mieszkania, które zdaje się drzemać w ciemności i pustce z obu stron gabinetu, za jego pozamykanemi drzwiami zegar wybił dziewiątą, a z uderzeniem tej godziny Oldaniecki położył ostatnią éwiartkę na uporządkowanym już stosie i, odetchnąwszy przeciągle, zasnął się w fotel, opierając znużoną głowę na rękę.

Szczególny wyraz tryumfu, dumy, a zarazem jakby żalu i tęsknoty, błąka się po jego pięknych ustach i płonie w napół przymkniętych oczach.

Oto leży przed nim, zamknięty w tych laźnych kartkach, zapełnionych drobnem, ścisłym pismem przeszło rok jego życia, najbogatszy i najuboższy zarazem; rok, któremu po wielekroć złorzeczył, a którego za nie nie chciałby cofnąć; rok, któremu podobny nie powtórzy się już nigdy.

Oto leży przed nim to wszystko najwyższe, najpiękniejsze, co stanowi treść jego istoty, wydar- te nieśmiertelnej tajemnicy twórczego myślenia; leży przed nim jego własna dusza, kropla po kropli w męce i walec zszączona na ten papier, który przesiąkł nią, jak przesiąka pole krwią bojowników.

Oldaniecki bierze rękopis i trzyma chwilę na dłoni, jak gdyby go ważył.

Taki cienki świstek!.. takie nie!..

Jakże lekką jest ta trumna jego bezsennych nocy i jego dni samotnych!

Ile rzeczy musiało się stać, ile burz w jego piersi przebieżeć, w jaki wir wydarzeń, w jaką

plataninę uczuć musiało być porwane jego serce i mózg, aby ta trocha papieru zaczerniła się tą trochą atramental

Oldaniecki czuje to wypompowanie wszystkich władz duchowych ze swego organizmu; tę nirwanę, w jaką jego wyobraźnia zapada w tej chwili, kto wie... może na zawsze?

Jest z nim tak, jak z kimś, kto pod wpływem gorączkowego podniecenia dźwigał głazy olbrzymie, a dokonawszy zadania, osłabł raptem i nie znajduje już w sobie siły do podjęcia bodaj piórka z ziemi.

Bo też w ostatnich kilku tygodniach poprostu pożerała go twórczość. Pisał dniami i nocami.

Zaczął się to bezpośrednio po tem najboleśniejzem rozezarowaniu w Bellagio, które zgutował mu pan Waltersbrun.

Oldanieckiemu zdawało się wtedy, że zwarjuje.

Pałił go ból zawodu, ale silniej szarpała nim ślepa wściekłość sponiewieranej godności ludzkiej; wściekłość na los, który pozwalał sobie czynić z nim takie igraszki.

Wróciwszy z pod owej kępy oleandrów, zamknął się w swoim pokoju i miotał się jak potępieniec w napadach takiej furji, że chwycił za rewolwer, lub chciał wyskakiwać oknem, albo biedz zabijać nieszczęsnego ajenta.

A jeżeli nie z tych szaleństw nie popełnił, to nie dlatego, aby go wstrzymał instynkt samozachowawczy lub brak determinacji, lecz że w każdej takiej chwili odzywał się w nim zrazu słabo, po-

tem coraz potężniej głos jego niedokończonego dzieła, wołający o swoje prawa, o życie!

I późna już była noc, i wszyscy cudzoziemcy, zamieszkujący urocze Bellagio, już spali; spał nawet pan Waltersbrun, dawszy rozsądnie odpawę zbyt wygórowanym nadziejom, gdy Oldaniecki z pianą zasychającą na ustach, z resztkami obłąkania w oczach porwał z dna walizki swój rękopis i cisnąc go z dziką miłością do piersi, runął z nim na ziemię, nakrywając go swoim ciałem, w ostatecznym wyczerpaniu i ostatecznym zwycięstwie ducha na materją.

I twórczość, jakby w nagrodę za ten swój tryumf zmieniła dla niego swe oblicze.

Z dręczycielki i despotki stała mu się nagle tkliwą kochanką i służebnicą.

Wzięła jego skołataną, zakrwawioną duszę w swe piastuńcze ramiona i otuliła go niemi tak miłośnie, że cała gorycz doznanych mąk, cały wstyd sponiewieranego serca stopniały w tym uścisku i spłynęły z przepalonego nim mózgu kryniczną falą myśli.

Po raz pierwszy w życiu Oldaniecki poznał rozkosz pisania swobodnie, równo z biegiem tłoczących się myśli.

Dotychczas zawsze, nawet, gdy jak teraz nie borykał się już z tą najstraszniejszą zmorą artysty, jaką jest jałowość fantazji, sama techniczna strona tworzenia była mu mniej lub więcej ciężką, chwilami wprost wrogą i obezwładniającą.

Aż nagle pękły jakieś ostatnie okowy, i nastaly dla Oldanieckiego cudowne, nieprawdopodobne dni...

Żył jak w zezadzeniu twórczem.

Cały pierwszy tom swojej powieści przerobił i opracował na nowo, i dokończył drugi, którego dopiero połowa była napisana.

I wszystko to w ciągu niespełna miesiąca.

Czas ten spędził w Riva, dokąd prosto z Bellagio, załatwiwszy listownie rachunki z panem Waltersbrunem, pojechał.

A teraz od tygodnia jest z powrotem w Warszawie.

Sprzyskrzyły mu się szafiry Gardy i słodczye włoskiego klimatu; jak organizm okarmiony same- mi przysmakami czuje potrzebę codziennej, prostej strawy, tak jego ogarnęła nostalgia szarego nieba, bezlistnych drzew, nawet gradniowych zadymek.

Zresztą i tu, jak wszędzie, otoczył się samotnością.

Prócz obowiązkowych odwiedzin u matki, z jednym tylko Czerezą widział się raz po powrocie na krótko.

Nie czuł potrzeby żadnego towarzystwa; pochłonięty pracą, wystarczał sobie zupełnie.

W tej chwili dopiero, gdy z głową opartą na dłoni дума nad swym skończonym rękopisem, spada na niego, jakby naniesiona silniejszym poświstem wiatru nagłe, dojmujące uczucie pustki.

Oczy jego zwracają się ku jednym z zamkniętych drzwi gabinetu i tkwią w nich uparcie.

Za temi drzwiami znajduje się sypialnia Ali. W ciągłym oczekiwaniu odnalezienia zaginion-

nej Oldaniecki nietylko nie zmienił mieszkania, lecz nie dał w niem bodaj jednego mebla przestawić.

Sypialnia zaś była zamkniętą na klucz, i nikt do niej prócz niego nie wchodził.

Wszystko pozostało tam tak, jak było w chwili wyjazdu Ali.

Nawet ów liljowy szlafroczek, który zdjęła, aby się przebrać w podróżny kostium, leżał na szeszlągu; nawet szpilki któremi po raz ostatni upinała swoje złote włosy, walały się po toalecie wraz z chusteczką, przesiąkniętą jej łzami, wypłakanemi na piersiach Czerezy.

Nie nie było tknięte, zrazu przez lenistwo pokojówki, potem przez pietyzm męża.

Głębokie westchnienie wydobywa się z piersi Oldanieckiego.

Gdyby te drzwi otworzyć się mogły, jak bywało dawniej, gdy w chwilach wyczerpania lub zniechęcenia przyzwał swego „dzieciusia,” aby ucieszyć oczy widokiem jego wdzięków i ogrzać serce w blaskach jego miłości...

Ach! Gdybyl...

Jak straszliwą rzeczą jest samotność, gdy się ją odczuwał..

Jak lodowatym pustkowiem świat, gdy się niema na nim jednej wiernej duszy, zawsze blizkiej, zawsze gotowej zjawić się, gdy potrzebaj

Bo dopóki w piersi Oldanieckiego płonęła myśl twórcza, nie czuł on faktycznego braku żony.

Tęsknota jego za nią tkwiła bardziej w mózgu, niż w sercu, jako jedna więcej podnieta, zapładniająca jego wyobraźnię.

Szukał jej bardziej dla niej samej niż dla siebie, a jeszcze bardziej dla swego dziecka, które w tych poszukiwaniach rozwijało się jak kwiat w słońcu.

Ale teraz; gdy ten zwitek papieru leży przed nim jak wypalona pochodnia, jego duchowego ognia, gdy wszystkie te postacie powieściowe, te dzieci jego fantazji, w które się wcielał, w które wierzył, aby je tą wiarą w ich istnienie żywemi uczynić, gdy one zniknęły nagle z widnokrzęgu jego myślenia, cała istota Oldanieckiego ześrodkowuje się w tym wzroku łaknącym, jakim zawisł na owych drzwiach zamkniętych, jakby żebrząc od nich cada.

Ale drzwi pozostają nieruchome i ponure, jak płyta grobowca, natomiast do drugich, przeciwnych, ktoś lekko puka.

Oldaniecki odwraca się szybko.

— Proszę!

Na progu staje służący.

— Proszę pana, przyszedł pan Czereza. Mówiłem, że pan zajęty i nikogo nie przyjmuje, ale pan Czereza powiada...

— Dobrze— przerywa Oldaniecki:— prosz pana Czerezę.

Ale Czereza widocznie był zdecydowany obejść się w każdym razie bez pozwolenia, bo nie czekając, co Oldaniecki powie, wysuwa się z po za pleców służącego i wchodzi do gabinetu.

Ze trzy godziny minęły od chwili, gdy zataczając się, jak pijany, z kroplami krwi, ściekającymi mu na brodę z pogryzionych ust, wybiegł z Bristolu, przeprowadzony ciekawemi spojrzeniami służby.

Zamiarem jego, a raczej popędem było udać się prosto do Oldanieckiego, ale dopadłszy bramy jego domu, cofnął się.

Uczynił to zarówno instynktownie, odepchnięty przez jakiś wstręt i strach, z których nie zdawał sobie sprawy.

Wogóle nie zdawał sobie sprawy z niczego.

Czuł tylko, że coś go peha, coś nim kieruje, i że on musi być tej sile posłuszny.

W ten sposób znalazł się raz przy rogatec belwederskiej, raz przy powązkowskiej, i za każdym razem, jakby cęcony widokiem szlabanów, opamiętywał się i zawracał ku miastu.

Wreszcie w pół żywy z zimna i zmęczenia, zadzwonił do drzwi Oldanieckiego.

Lokaj, który mu otworzył, przestraszył się ujrawszy tę postać, jak słup śnieżny, z twarzą siną i pokrytą złodowaciałami soplami pary oddechowej.

Ale Oldaniecki nie zwraca uwagi na powierzchowność swego kuzyna.

Jest ona dla niego zawsze mniej lub więcej dzika.

Zresztą Czereza siada natychmiast w najciemniejszym kącie gabinetu z boku kominku i, głowę nisko na piersi opuściwszy, mileczy.

— Jakaś dobra gwiazda przywiodła cię dziś tutaj — zaczyna Oldaniecki prawie serdecznie. — Ogarniała mnie chandra przepracowania i samotności. Bardzo ci jestem rad.

Niewyraźne mruknięcie jest odpowiedzią na te uprzejme słowa.

— Dopłynąłem nareszcie do brzegu — ciągnie dalej Oldaniecki, opanowany tą koniecznością wygadania się, usłyszenia własnego głosu, której czasem podlegają najbardziej zamknięci w sobie ludzie.—I prawie temu nie wierzę! Los od pewnego czasu tyle mi okazuje zawiści, że zwątpiłem, aby jakakolwiek pomyślność mogła się stać moim udziałem. Dlatego i w tej chwili, choć powinienem być zadowolony, choć zadanie moje spełnione, coś mnie dręczy... Jakiś niepokój, jakieś złe przeczucie. Oto, patrz! Pójdzie to pomiędzy ludzi i... kto wie... na poniewierkę może, na zatracenie.

— Hm! — odmrukuje znów Czereza.

Z pod spuszczonej powiek rzuca krótkie, nienawistne spojrzenie na rękopis, który mu podsusza Oldaniecki.

Ten, teraz dopiero zaczyna spostrzegać, że jego zawsze dziwny kuzyn zachowuje się dziwniej niż kiedykolwiek, i przypomina sobie to, co w pierwszej chwili uszło jego uwagi: że Czereza na powitanie ręki mu nie podał.

— Tobie coś jest, Michale? — pyta, usiłując dojrzeć jego rysy, tonące w cieniu.

— Czemu?

— Tak mi się zdaje.

— Żle ci się zdaje. Zmarzłem. Nic mi nie jest.

Czereza był pewny, że ledwo tu wejdzie, ledwo spojrzy na męża Ali, rzuci mu twarz to wszystko, co mu piersi rozsądza, z czem do niego szedł.

Tymczasem dzieje się przeciwnie.

Poprostu nie może rozsznurować gardła, nie może znaleźć słów...

Ta wiadomość, która mu wierei w mózgu i wisi na ustach, jest jak kamień zbyt ciężki do rzutu w ręką człowieka, który chciałby nim ugodzić, a nie może go dźwignąć.

Więc próbuje i czeka napływu energii, chwili rozmachu.

Oldaniecki zaś pod wpływem tej nagłej potrzeby mówienia, która nim ośwładła, nie zraża się mrukowatością swego gościa.

Poprzestaje na jego zapewnieniu i zaczyna znówu:

— Wiesz, Michale, zrobiłem odkrycie. Przekonałem się, w jakich warunkach ducha jestem zdolny coś z siebie dać... Ach! Boże dobry! gdy wspomnę, jak po tych moich „Zarzewiach“ lata całe tłułem głową o mur, rozkopywałem w szalonej męce duszę całą, aby trafić na ten źródło, który raz z niej wytrysnął i raptem wysechł... Goniłem za wrażeniami, stwarzałem nowy świat dokoła siebie, wszystko napróżno. Tak, tak. Każdy artysta potrzebuje swego elementu, aby tworzyć. Jeden musi pić, inny podróżować, inny kochać kobiety... Sześćsiłwy, kto go odrazu pozna... sześćsiłwszy, jeszcze ten, kto dobrowolnie może się, skoro chce, w ten swój żywioł wrzucić. Ale mnie tego nie dano. Mnie potrzeba czegoś, co nie przychodzi na zawołanie, jak kieliszek wódki lub bilet kolejowy. Mnie potrzeba wielkiej, całym jestestwem wstrząsającej niepewności... Tak było z „Zarzewiami.“ One z tego stanu duszy powstały. Ale ja tego

nie rozumiałem... Dopiero teraz to mi otworzyło oczy.

Kładzie dłoń na rękopisie i w zamyśleniu, bardziej do siebie niż do Czerczy, mówi dalej:

— „Zarzewiał“ Tak... To był dziwny epizod w mojem życiu. Dawno już... na dwa lata przed mojem ożenieniem zawiązałem stosunek z mężatką: rzecz zwyczajna. Moja kochanka została matką, a ja miałem wszelkie dane wierzyć, że jestem ojcem tego dziecka. Rzecz bardzo zwyczajna. Z mężem jej byłem na stopie przyjacielskiej. Rzecz najzwyczajniejsza. Otóż w kilka dni po tym fakecie poszedłem do nich dowiedzieć się o zdrowiu pani i „powinszować“ mężowi. Przyjął mnie rozpromieniony z miną tryumfatora. Wydał mi się bezdennie zabawny i głupi. Siedzieliśmy w gabinecie, oddzielonym dwoma pokojami od sypialni. Nagle, w trakcie rozmowy, doleciał przez zamknięte drzwi słaby płacz. Mąż mojej kochanki umilkł, wyprostował się i wskazując w stronę sypialni, rzekł głosem, którego nigdy nie zapomnę, tak był szczęścia i radosnej dumy pełen: „Słyszysz?... to mój syn się odzywał“ A mnie porwała jakaś wściekłość i pogarda dla niego i o mało nie rzuciłem mu w twarz: „Głupcze! to przecież mój syn...“ Lecz w miarę, jak się w to kwilenie wsłuchiwałem i na tego człowieka patrzyłem (a był młody i urodziwy), poczęła wstępować we mnie wątpliwość. Kto wie?— pomyślałem— może właśnie ja się myłę! I wydało mi się raptem, że dałbym życie, aby mieć pewność. Dlaczego? Byłem do owej chwili zupełnie obojętny na tę sprawę. I oto wszystko się we mnie prze-

wróciło. Ten płacz!... Wstuchałem się w tętno własnego serca, aby mi dało odpowiedź głosu krwi—napróżno; w kilka dni potem zobaczyłem dziecko; próbowałem odnaleźć w tej niekształtnej, czerwonej twarzyczce jakieś podobieństwo—także napróżno. Za jedyny dowód miałem przysięgi mojej kochanki... Ale przestałem jej wierzyć. Czy tak samo nie byłaby przysięgała mężowi? W tej rozterce wydałem się sobie równie śmieszny i zohydzony jak tamten. Znienawidziłem tę kobietę; nie mogłem na nią patrzeć... Uciekłem do Bretanii i tam w samotności przechodziłem nieopisane tortury. Zkąd?... Dlaczego?... Alboż ja wiem! Ale bywały chwile, kiedy zdawało mi się, że gdyby ktoś był w możności dać mi niezbity pewnik mego ojcostwa, ja to dziecko, wychowujące się pod cudzym nazwiskiem, pod obcym dachem, ja byłbym je kochał do szata, życie całe byłbym mu z daleka poświęcił. To znowu naodwrot, pragnąłbym wprost przeciwnego dowodu, jak wyzwolenia, jak zepchnięcia z piersi duszącej mnie zmory... I wtedy, dla zagłuszenia samego siebie, zacząłem pisać... „Zarzewia“ były wynikiem tej dziwacznej tragedji mej duszy, i dlatego stworzyłem dzieło sztuki... Tak samo teraz... To jest pierwsza praca moja od lat, o której powiadam sam: „Ma wartość.“ A zawdzięczam ją jedynie temu, co się stało... Ona... ona, która zawsze była mojem szczęściem, nawet tym bólem, jaki mi zadała, wyświadczyła mi dobrodziejstwo... Jej też poświęcam tę powieść, bo ona niewidzialna, szukana, oczekiwana, razem ze mną ją tworzyła... Moja ukochana, jedyna, Ala moja!..

— Milezi! — wybiega nagle z piersi Czerezy, niby ryk zranionego zwierza. — Nie wymawiaj tego imienia swemi zbrodniczymi ustami.

Zerwał się z krzesła i przyskoczył do biurka, ukazując w pełnym świetle swą wykrzywioną, okropną twarz oczom Oldanieckiego, który unosi się na wpół w fotelu i w najwyższem osłupieniu patrzy na niego.

— Co to znaczy? — pyta ostrym, dumnym głosem. — Pijany jesteś? Zkąd przychodzisz?

— Myślisz, że z knajpy? Nie! Mylisz się tym razem. Przychodzę od pani Ryty Szemko!

— Od Ryty Szemko? A ty co z nią miałeś do czynienia?

— W każdym razie nie to, co ty w Sorrento!

— Michale! — woła Oldaniecki ostrzegającym tonem. — Michale!

Powstał zupełnie i wyprostowany, z głową w tył odrzuconą, imponująco piękny w tym ruchu mierzy groźnym wzrokiem nędzną postać Czerezy.

Ale Czereza nie słyszy i nie widzi.

Jak potok, zrywający wreszcie tamę, tak wybuch z jego zaciśniętego gardła lawina słów okrutnych, świszających, słów, z których każde jest potępieniem i wyrokiem.

Opowieść Ryty powtarza się w nich przetrwawiona w ogniu jego własnej rozpaczki i dyszącej pragnieniem zemsty nienawiści.

A Oldaniecki słucha, nie przerywając.

Spada to na niego tak piorunująco, jest czemś tak z najfantastyczniejszych nieprawdopodobieństw najprawdopodobniejszym, a jednocześnie w swej

druzgocącej logice faktów tak niezaprzeczalnem, że mąż Ali czuje, jak gdyby jakaś przepaść otwierała się pod jego stopami.

— Przestań! — woła nagle w jakimś ostatecznym instynktowym wysiłku samoobrony.— To być nie może! To fałsz! Nie wierzę!

— Nie wierzysz? — powtarza Czereza. — To jedź do Sorrento! Pytaj tej dziewczyny, pytaj tego włocha. Ale ty tego nie uczynisz. Ty wolisz dobrodziejstwo niepewności, bo już dwa razy na niem zrobiłeś interes, ty... kramarzu, chełpiący się mianem artysty. Sam przed chwilą przyznałeś się do tego. Ale nie z tego. Zbrodnia twoja nie posłuży ci za podnózek sławy. Ja temu przeszkodzę. Ja, mściciel waszej ofiary. Masz!

I szybszy niż słowo, niż myśl, porywa z biurka rękopis i ciska go w środek kominka. Cienutkie ęwiartki zajmują się w jednej chwili płomieniem.

Z nieopisanym, nieludzkim okrzykiem bólu i wściekłości Oldaniecki rzuca się na ratunek płonącego zwoju.

Ale Czereza zasłania sobą otwór kominka; czepia się konwulsyjnie szarpiących nim rąk Oldanieckiego.

— Niel nie! — powtarza chrapliwym, dyszącym głosem — nie!

— Puszczej! — ryczy Oldaniecki — puszczej, bo zabiję!

— Niel Niel

— Tyl...

Oszalała dłoń Oldanieckiego chwytą stojący

na biurku ciężki, brązowy posążek „Okazji“ i z całej siły uderza nim Czerezę w skroń.

— Puszczaj!

Ale Czereza już nie słyszy. Już nigdy nie słyszeć nie będzie.

Bez jednego jęku zwala się jak podcięte drzewo na ziemię.

Oldaniecki zdaje się nie widzieć swego czynu.

Całym ciałem rzuca się w otwór kominka, obu rękoma, wyrwijając płomieniom zwęglone już na pół ęwiartki.

Nie czuje jak go piecze żywy ogień, nie widzi zapalającej się na nim odzieży.

— Ha! ha!—zaczyna się śmiać dziko—ha! ha!

W tej chwili wpada do gabinetu zwabiony hałasem lokaj i gwałtem odciąga od ognia swego szalejącego pana.

.....

Nazajutrz cała Warszawa zelektryzowana jest wiadomością o nagłym obłędzie, któremu uległ znakomity powieściopisarz, Adam Oldaniecki, i o popełnionym przez niego zabójstwie na osobie brata ciotecznego, znanego także i cenionego historyka, Michała Czerezy.

Są tacy, którzy czyn ten uważają jako pierwszy objaw nieszczęsnej choroby; większość jednak dopatruje się w nim uparcie związku z tajemniczym zniknięciem pięknej pani Oldanieckiej.

Kobiety zwłaszcza twierdzą, że Oldanieckiemu dostarczono niezbitych dowodów miłostnego stosunku pomiędzy jego żoną a Czerezą (który wy-

wiózł ją i ukrył za granicą), i że on w ten sposób pomścił swoją krzywdę, a potem z rozpaczy, wobec potwornej zdrady, zwarjował.

.

Tego samego wieczora Ryta Szemko jest przedmiotem niebywałych owacji w „Norze“ Ibsena.

Artystka przeszła sama siebie i do takiego stopnia przejęła się swoją rolą, że po przedstawieniu zemdląca...

Przypisano to zbyt forsownemu wykonaniu taranteli.

.

K O N I E C.



**INSTYTUT
BADAŃ I PRACOWNIA PAN**

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

00-70 Warszawa

Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42





F
48